P.9786

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/484 - 2/485 1988

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. KOSTRZEWA: **PAX SOVIETICA - PAX AMERICANA - ROZMOWA Z EUGENE V. ROSTOWEM**

P. ZNAWCA: **PYTANIA, PROBLEMY, ZAGROŻENIA**

J. MARCZEWSKI: **USTRÓJ GOSPODARCZY POLSKI WYZWOLONEJ**

W. MAKSIMOW: **CUD NASZEGO ISTNIENIA**

NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1987

SPIS RZECZY

O. Innocenty M. Bocheński: *O nieprawych tyranach* 3
Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą* 4
Jerzy Jastrzębowski: *Zmierzch polskiej futurologii* 17
Igor Newerly: *List do Redaktora „Kultury"* 23
Igor Newerly: *Droga przez tajgę. — Kiedy doszli do bieguna* 24
Marek Nowakowski: *Pod gwiazdami* 57

ARCHIWUM POLITYCZNE

P. Znawca: *Pytania, problemy, zagrożenia* 67
Kamila Chylińska: *Lęk Niemców i lęk o Niemców* 79
Leopold Unger: *Proszę pamiętać, że ja byłem przeciw* 88

K R A J

Jan Marczewski: *Ustrój gospodarczy Polski wyzwolonej* 97
(ja): *Notatki z Polski* 119
— *Poroniona generacja* 126
— *„Tłok w stopkach i sensacje z Poronina"* 132
— *Informacja o działalności Oświaty Niezależnej* 134
— *Komunikat Funduszu Wydawnictw Niezależnych* 136

WYWIADY „KULTURY"

Robert Kostrzewa: *Pax Sovietica — Pax Americana. — Rozmowa z Eugenem V. Rostowem* 138
Redakcja: *„Nie jestem hazardzistą". — Rozmowa z Marianem Kaletą* 148

SĄSIEDZI

Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 157
Andrzej J. Chilecki: *Kronika niemiecka* 163

KRONIKA KULTURALNA

Marek Zieliński: *Granice sprzeciwu* 159
Władimir Maksimow: *Cud naszego istnienia* 168
Teresa Kuczyńska: *Czy warto opłakiwać związki twórcze?* 171

NAGRODY „KULTURY" ZA ROK 1987

— *Nagroda literacka im. Zygmunta Hertza — Renata Gorczyńska* 179
— *Nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego — Jakub Karpiński* 180
Nagroda przyjaźni i współpracy — Jan Chodakowski 181

POLEMIKI

J. P. Lasota, Jan Rawski, Bohdan Stasikowski: *O Komitecie Kultury Niezależnej* .. 183

KSIĄŻKI

Antoni Pospieszalski: *Reformizm ks. Hansa Künga* 191
Tadeusz Wyrwa: *Diana — powieść o polskim losie* 205
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 207

◆

— *Wydarzenia miesiąca oraz kroniki kanadyjska i szwedzka* 210
—

◆

M. Abramowicz, M. de Hernandez Paluch, M. Siciński, Starszawy inżynier z Kraju, M. Tomaszewski, T. Wyrwa, Redakcja „Dialogu" i in.: *Listy do Redakcji* 215
— *Odpowiedzi Redakcji* 221

◆

Zofia Hertz: *Humor krajowy* 222

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1988

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Anna S., Edinburgh (Wielka Brytania) — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza ..... F. 324,80
Dr Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 8-my — $ 103,00 ..... F. 560,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 13-ty — $ 106,00 F. 575,00
Tad De Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 13-ty — DM 20,00 .. F. 67,00
Juliusz Dzianott, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 12-ty — $ US 65,00 ..... F. 353,00
Krystyna Dziembowska, Moraga, CA (USA) — $ 20,00 ..... F. 105,00
Ignacy Fonberg, Jonesborough, TN (USA), po raz 7-my — $ 32,00 ..... F. 173,00
C. Kulikowski, Groths z Białowód ..... F. 140,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 15-ty ..... F. 400,00
Witold Mikułowski, Conacry (Gwinea), po raz 9-ty ..... F. 895,00
Michael S. Ochalski, Highland Park, IL (USA), po raz 14-ty — $ 25,00 ..... F. 135,00
Mieczysław Piaskowski, Caulfield North, Vic. (Australia), po raz 7-my ..... F. 261,90
Tadeusz Płodowski, Upper Monclair, NJ (USA), po raz 20-ty — $ 53,00 ..... F. 287,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MA (Kanada), po raz 25-ty — $ US 100,00 ..... F. 560,00
Prof. Alexander M. Schenker, Hamden CT (USA), po raz 18-ty — $ 53,00 ..... F. 296,00
Jan i Czesława Seremak, Encinitas, CA (USA), po raz 11-ty — $ 50,00 ..... F. 270,00
Irena i Zygmunt Soboltowscy, USA — w rocznicę śmierci Jana Erdmana — $ 50,00 ..... F. 270,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 11-ty — $ 22,00 ..... F. 118,00
Zygmunt Sowa, Indian River, MI (USA), po raz 20-ty — $ 122,00 ..... F. 664,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 28-my — $ 75,00 ..... F. 406,00
Irena Strutyńska, Knutange-Milvange (Francja), po raz 13-ty F. 100,00
Henryk i Kali Weynerowski, San Francisco, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Eli Sworakowskiej — $ 33,00 F. 178,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 10-ty — $ 50,00 F. 270,00
Dr Stefan Wowczak, Isernhagen (RFN), po raz 8-my ..... F. 240,00
W trzecią bolesną rocznicę śmierci mego Męża i Przyjaciela Edwarda Puacza, założyciela księgarni „Polonia" w Chicago — Żona. — $ 500,00 ..... F.2.720,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 23-ci — $ 222,00 F.1.207,00
Irena i Jerzy Szwede, Palo Alto, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób naszego Przyjaciela Henryka Herzlicha — $ 50,00 ..... F. 270,00
Zamiast kwiatów na grób Bronisława Lubińskiego od Przyjaciół w Oslo ..... F. 260,00
M. Zarzecka, Bruksela, po raz 3-ci ..... F. 120,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 48-my ..... F. 380,00

DZIĘKUJEMY!

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

BN P.9786 Chi A
1988 N 1029

O nieprawych tyranach *

Polskę odwiedził O. prof. Innocenty Maria Bocheński, najwybitniejszy polski filozof, od 1939 roku pozostający na emigracji. O. Bocheński wygłosił wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim, Warszawskim, w ATK, KUL-u, w warszawskich kościołach św. Jacka i św. Krzyża. Z tego ostatniego spotkania przytaczamy fragment wypowiedzi O. Bocheńskiego, dobrze charakteryzujący jego postawę moralną i polityczną ukształtowaną przez myśl niepodległościową:

„W jakich okolicznościach rewolucja jest rzeczą dobrą?

Rewolucja jest to wojna domowa a zatem podlega tym samym ograniczeniom moralnym co każda wojna. Trzy są warunki wojny sprawiedliwej: słuszna sprawa, władza prawowita i szanse zwycięstwa. Są dwa rodzaje tyranów: taki, co bezprawnie objął władzę i taki, co władzę objął prawowicie, ale ją w nieprawowity sposób sprawuje. W obu tych wypadkach, jeśli on jest bardzo nieprzyjemny, ten tyran, i jeśli są szanse zwycięstwa, no to należy go bić po głowie, robić rewolucję. Tak uczy św. Tomasz z Akwinu.

Zewsząd słyszę, że Polacy w żadnej sytuacji nie mogą się bić... Młodzież już nie pamięta, że my, żołnierze drugiej wojny światowej, codziennie się modliliśmy: „Wołamy ze wszystkich stron do Ciebie o polski dach, o polską broń". Dajcie spokój!!! Pan Bóg po to stworzył nieprzyjaciela, żeby go bić po głowie. Należy go bić po głowie, ale nie należy go nienawidzić — nienawidzić błędy, a nieprzyjaciół miłować. My, Polacy, nie gęsi, mamy przecież nie tylko własną mowę, ale i własny Kościół i własne wyznanie wiary. W naszym hymnie wyraźnie stoi: „szablą odbierzemy". Kto chce to wyrwać z duszy polskiej, ten się z Polski wyrwał sam. To do naszego ducha nie należy. Myśmy byli przedmurzem chrześcijaństwa, biliśmy się w obronie całej Europy: ja już jestem stary, ja już nie dam rady, ale Państwo... A ta wojna kiedyś w końcu będzie...".

*** „Wiadomości", tygodnik NSZZ „Solidarności", regionu Mazowsze Nr 258 z 8 listopada 1987.**

Dziennik pisany nocą

Neapol, 19 października 1987

Gulia Rinieri Berlinghieri, kobieta w której Stendhal kochał się (z wzajemnością) w ciągu ostatnich piętnastu lat swego życia, była oczywiście znana stendhalistom. Ale dość powierzchownie, jak widać teraz, gdy żyjący jeszcze potomek sieneńskiego rodu Rinierich otworzył archiwum rodzinne. *Storia di Giulia* jest ładnym i pasjonującym chwilami portretem kobiecym, tym ciekawszym, że Stedhal przewija się w nim na drugim planie, ustępując miejsca jedynej w jego życiu kandydatce na ślubną żonę.

Pochodziła więc ze Sieny, była urodziwa i wyjątkowo inteligentna, miała dwadzieścia sześć lat (w owych czasach dzwonek ostrzegawczy staropanieństwa) w roku 1827, roku poznania pięćdziesięcioletniego blisko pana Beyle w Paryżu, gdzie mieszkała u boku swego opiekuna, przyjaciela rodziny i później przybranego ojca, posła Wielkiego Księcia Toskanii na dworze Karola X. *Coup de foudre* z obu stron. Ona: „Jesteś stary i szpetny, ale kocham cię". On, przysięgły stary kawaler, gotów nagle zaakceptować „związek dość szczególny i śmiem nawet twierdzić przeciwny naturze, jakim jest małżeństwo". W dziewięć lat po narodzinach miłości wyznał na kartach *Henry Brularda,* że wśród kochanych przez niego kobiet Giulia wznosiła się ponad inne *par la force du caractère.*

Początek romansu jest zabawny, ozdobiony jednym z tych znaków epoki, w których lubują się kolekcjonerzy osobliwości obyczajowych. Karol X otrzymał w prezencie żyrafę od egipskiego paszy. Oglądanie egzotycznego daru w Villeneuve-Saint-Georges miało być ewenementem towarzyskim Paryża. W ostatniej chwili data prezentacji została przesunięta, o czym pan Beyle zawiadomił listownie toskańskiego posła: „Wysokie osobistości, jak Pan wie

Ekscelencjo, zwykły zmieniać zdanie. Dowiaduję się właśnie, że bardzo wysoka żyrafa przybędzie do Villeneuve-Saint-Georges dopiero w sobotę, a nie w piątek". Liczył na nowe *rendez-vous* z poznaną świeżo Giulią, ale przesunięcie daty pokrzyżowało tę rachubę.

Nie gustuję (delikatnie mówiąc) w wybebeszaniu prywatnego życia wielkich pisarzy, pomijam więc wszystkie, dokładnie przez stendhalistów wypunktowane, etapy romansu, łatwe zresztą do ustalenia dzięki licznym datowanym adnotacjom Stendhala na marginesach czytanych książek o „oblężeniach", „bitwach" i „zwycięstwach", łącznie z pierwszym komunikatem angielskim o defloracji Giulii: *1830, 22 mars, a time, a first time.* Interesuje mnie kobieta o „silnym charakterze". Doszła szybko do wniosku, że Stendhal nie nadaje się na męża w tradycyjnym w jej środowisku rozumieniu tego słowa. Kochała go i nie przestała nigdy kochać, ale co innego kochanek, a co innego mąż. Uważała go za „lekkomyślnego oryginała", była nim zafascynowana, nie bardzo jednak pasował do sieneńskiej rodziny ziemiańsko-mieszczańskiej o wygórowanych ambicjach. Jej opiekun i późniejszy ojciec przybrany, przedstawiciel Wielkiego Księstwa w Paryżu, którego „pewien pan Beyle" oficjalnie poprosił o rękę panny na wydaniu, tak przedstawił pretendenta w liście do rodzonego ojca Giulii w Sienie: „Człowiek dowcipny i o dobrym sercu, chociaż dość postrzelony; autor kiepskich powieści i bystrych spostrzeżeń w dziedzinie sztuk pięknych". Giulia wiedziała i rozumiała, że lepiej nie nalegać. W grę wchodziły również względy finansowe: „autorowi kiepskich powieści" powodziło się kiepsko, konsulowanie w Trieście i w Civitavecchia mogło w niewielkim stopniu poprawić sytuację. Kobieta o „silnym charakterze" postanowiła serce oddzielić od ołtarza. Na kochanka wybrała „lekkomyślnego i postrzelonego oryginała", na męża sieneńskiego kuzyna Martiniego. Trzymała się tego podziału ról konsekwentnie aż do śmierci Stendhala. Wszystko wskazuje na to, że Stendhal pogodził się z takim rozwiązaniem, być może nawet dosyć mu ono dogadzało. Krótko przed śmiercią mógł jeszcze zapisywać na marginesach książek: *Battle and victory of third August 1839;* w rok później *4 juillet 1840, a time;* na rok przed śmiercią, proroczo, *Two and tenth August 1841, perhaps the last of his life.*

Storia di Giulia kończy się cytatem z *De l'Amour* Stendhala: *Il est beaucoup plus contre la pudeur de se mettre au lit avec un homme qu'on n'a vu que deux fois, après trois mots latins dits à l'église, que de céder malgré soi à un homme qu'on adore depuis deux ans. Mais je parle un langage absurde.* Dla Giulii nie był to bynajmniej „język absurdalny". Stendhaliści widzą w niej model Matyldy de la Mole. A Sanseverina? A Vanina Vanini?

Umarła w roku 1881, w wieku osiemdziesięciu lat, samotna, prawie zupełnie osierocona, surowa matrona, zajęta głównie działalnością filantropijną. Na jej grobie w toskańskim majątku męża powinna być wyryta inskrypcja: „Żyła piętnaście lat miłością Stendhala i do Stendhala, czterdzieści wspomnieniami o niej".

23 października

Pietro Citati, jego portrety wielkich pisarzy. Po *Tołstoju* wydany ostatnio *Kafka*. Citati jest wrażliwym i bardzo oczytanym krytykiem literackim, ale ma według mnie dwie okropne wady. Jest ukrytym i niewyżytym poetą. Lubi „opowiadać" (bo nie streszczać nawet) w poetycko-kwiecistym wielosłowiu swoje ulubione książki. Można ostatecznie, wzruszając ramionami, czytać „opowiadane" przez krytyka-portrecistę powieści i nowele Tołstoja: są dostatecznie „tradycyjne" w swojej strukturze narracyjnej, aby znieść jako tako dziwaczny zabieg „renarracji". W wypadku Kafki dziwaczność staje się bzikiem. Nie dlatego tylko, że struktura narracyjna utworów Kafki jest mniej „tradycyjna". Dlatego, że „opowiadane" przez kogoś innego tracą swą enigmatyczną naturę; rozchwiewają się, blakną, zamazują, jak podziemne malowidła w zetknięciu ze światłem i z powietrzem w jednym z filmów Felliniego.

Paradoksalnie widzę teraz jaśniej, po lekturze książki Citatiego, czym była twórczość Kafki w sensie czysto artystycznym. Zgadzam się naturalnie z Citatim, sam byłem zawsze tego zdania, że Kafkę trzeba uważać za pisarza religijnego, który we wszystkich swoich powieściach, dłuższych i krótszych nowelach, przypowieściach i aforyzmach, wznosił budowlę teologiczną, usiłował niestrudzenie przeniknąć teodyceę boskiej wszechmocy (z przypisywanymi jej atrybutami) i ludzkiej niemocy (z jej niezliczonymi przejawami). Nie, „wznosił" nie jest właściwym określeniem, wprost przeciwnie: wkopywał coraz głębiej w ziemię coś, co dla odróżnienia od Wieży Babel nazwał raz Studnią Babel. Citati rozumie to dobrze, nie traci nigdy z oczu istoty kafkowskiego przedsięwzięcia, słusznie ignoruje rozmaite i dość rozpowszechnione bałamuctwa o Kafce „proroku przyszłości", „wizjonerze biurokracji", „antycypatorze nadchodzącej formy procesów sądowych w ustrojach totalitarnych". Bez konfrontacji Bóg-człowiek, boskość-ludzkość, Kafka nie jest w ogóle Kafką. Ale ten Wielki Kret rył się w „doskonałym" boskim Dziele Stworzenia i w „absurdalnym" ludzkim Padole Łez w sposób niespotykany dotąd w literaturze.

Przy pozorach „normalności", a nawet pewnej konwencjonalności, proza Kafki ma cechy narracyjnego rytuału. Od epizodu

do epizodu, od opisu do opisu, od dialogu do dialogu, rośnie wrażenie uczestniczenia w upartym i rozpaczliwym poszukiwaniu Boga, którego imię nie zostaje nigdy głośno wymówione. Ten rytuał okazuje się nadaremny, ale jest nieuchronny i będzie się powtarzał zawsze, dopóki żyje człowiek rzucony w świat, jak w apologu *Przed Prawem*. Sekret geniuszu Kafki tkwi w przełożeniu na język prozy, tajemniczą modulacją głosu zbliżoną o włos do zwykłego głosu, lecz od początku do końca niezależną od niego i samoistną, obrzędowego charakteru losu ludzkiego między niedosiężnym niebem i jałową ziemią. Droga wchłania krok po kroku Cel, nie uznając żadnych przystanków poza definitywną klęską śmierci. Oczekiwanie i wytrwałość przybierają postać jedynej dostępnej nam nieśmiertelności. „W teorii (słowa Kafki) istnieje możliwość ziemska doskonałego szczęścia: wierzyć w to co jest zdecydowanie boskie i nie dążyć do jego osiągnięcia". Na pytanie Broda, czy „poza światem który znamy egzystuje jakaś nadzieja", odpowiedział: „Ogromna, bezgraniczna nadzieja, ale nie dla nas". Pisał do Mileny: „Nikt nie śpiewa tak czysto jak ci, którzy znajdują się w najgłębszym piekle; to co bierzemy za śpiew aniołów jest ich śpiewem".

„Opowiadać" zrytualizowane utwory Kafki! Stawiać kropki nad i, zatykać komentarzem świadome szpary milczenia, rozjaśniać umyślne zaciemnienia, dociskać zawieszenia głosu! Szalony zamiar, który Kafkę pod piórem Citatiego zamienia nie w szkielet nawet, lecz w wyodrębnione i oczyszczone preparaty anatomiczne w słoikach.

W eseju o religii *Jeśli Boga nie ma...* Kołakowski zalicza Kafkę do szerokiej kategorii „konsekwentnych ateistów", włączając go do podgrupy tych, którzy „z bolesnym uczuciem tragicznego rozdarcia" widzą „nieprzekraczalną przepaść oddzielającą naszą pogoń za sensem od świata takiego, jaki jest i pozostać musi". Dla mnie każdą poważną rozmowę o Kafce należy rozpoczynać od słów „Bóg jest, a jednak...". Albo, z naciskiem na kafkowską samoudrękę „noża obracanego w sercu": „Im bardziej Boga nie ma, tym bardziej jest".

28 października

Tocqueville, opisując w *Wspomnieniach* rok 1848, zauważył: „Rewolucje rodzą się z ogólnej choroby umysłów z nagła przechodzącej w stan przesilenia wywołany przypadkową okolicznością, której nikt nie przewidział, co zaś do mniemanych inspiratorów i wodzów, niczego nie zainspirowali, niczemu nie przewodzili, a cała ich zasługa jest taka sama jak zuchwalców, którzy odkrywali nieznane lądy".

Zwrot o „zuchwalcach odkrywających nieznane lądy" jest jedynym i ostatnim bodaj „komplementem", jaki spotyka się w okolicznościowych artykułach „sympatyków" na siedemdziesięciolecie Rewolucji Październikowej. Rzecz jasna, z melancholijną refleksją o nieznanym lądzie, który miał być „królestwem wolności", okazał się zaś... No, lepiej nie mówić czym się okazał, a w każdym razie wolą o tym nie mówić zbyt szczegółowo, mimo przychylnych przecież wiatrów ze Wschodu, rozczarowani i zgorzkniali „sympatycy". Przypominają wychłostane ulewą koguty z podwiniętymi ogonami i opuszczonymi grzebieniami. Bez reszty, i nieodwracalnie chyba, znikła domieszka rewolucyjnego „patosu" w dawnych obchodach rocznicowych. Po przeciwnej stronie barykady natomiast orgia, ośmielona „bilansem" Gorbaczowa. „Od Pałacu Zimowego do Ostatniego Imperium". „Październikowa Kontrrewolucja przeciw Rewolucji Lutowej". „Powstanie i zmierzch Imperium Ottomańskiego". „Z rosyjskiego lasu do sowieckich koszar". Rehabilitację ośmieszanego dotychczas Kiereńskiego uwieńczyła pękata o nim książka, wydana w Anglii. Ponieważ Lenin uczył się w Symbirsku w gimnazjum klasycznym, którego dyrektorem był ojciec Kiereńskiego, autor jednego z artykułów wzdycha: „Zły uczeń w dobrym gimnazjum". Jeszcze trochę, a ujrzymy załamywanie rąk nad knąbrnym uczniem w przyzwoitym seminarium duchownym w Tyflisie.

Zwykło się w rozważaniach o Rewolucji Październikowej przywoływać *Legendę o Wielkim Inkwizytorze*. „Ufilozoficznieni" sowieccy spadkobiercy Wielkiego Inkwizytora powtarzają za nim: „Zaiste, najbardziej męczącą troską człowieka jest to: znaleźć kogoś, komu by można jak najprędzej oddać dar wolności, z którym ta nieszczęsna istota się rodzi... Nie ma nic bardziej ponętnego dla człowieka nad wolność sumienia, ale nie ma też nic bardziej męczącego... Przekonamy ludzi, że tylko w tym wypadku będą wolni, gdy wyrzekną się swej wolności, nam ją oddadzą i nam ulegną".

Ciekawe byłoby, mając w myśli te trzy przestrzegane przez Lenina i Stalina wskazania Wielkiego Inkwizytora (zwłaszcza trzecie), przyjrzeć się sytuacji w siedemdziesiąt lat po Rewolucji Październikowej. Imperatywem chwili, zapewniają doradcy i przyboczni Gorbaczowa, warunkiem nieodzownym przezwyciężenia stagnacji i immobilizmu, ruszenia z posad bryły systemu, jest obudzenie w podwładnych tych „ponętnych dla człowieka" aspiracji, które im niegdyś za radą Wielkiego Inkwizytora odebrano (a raczej — zgodnie z jego planem — których się sami wyrzekli, które sami swym władcom oddali). Ale czy to możliwe bez wstrząsu, czy słowne i puste chwilowo obietnice i przynęty są w stanie pokonać rutynę niewolnictwa, przyzwyczajenie do zaprzęgu? Przeczytałem kilka wypowiedzi prymusów z ekipy Gorbaczowa. Tatiana Zasławska skarży się na „inercję psychologiczną" obywateli sowieckich. Abel Aganbegian twierdzi, że „lękają się samodzielności i niezależności". Nikołaj Sziszlin, przyznawszy że dzięki Chruszczowowi oczyszczono sowiecki okręt i odciążono go po wyrzuceniu zbędnego balastu, domaga się by został teraz gruntownie przebudowany, zaopatrzony w nowy mechanizm i nowe instrumenty nawigacyjne. Jak to zrobić, co to da, gdy komendantom nijak nie udaje się wytrącić z „inercji" zalęknionych pasażerów i zalęknionej załogi? Trzeba poczekać na nowych „zuchwalców", którzy u szczytu „ogólnej choroby umysłów" potrafią poderwać się i zagrzać innych do „odkrywania nieznanych lądów"?

29 października

17 stycznia 1978. Pod tą datą opisałem w dzienniku moją wizytę u profesora Palmieri, kierownika zakładu medycyny sądowej na Uniwersytecie Neapolitańskim i jednego z dwunastu sygnatariuszy orzeczenia Międzynarodowej Komisji Medycznej w Katyniu. Był już wówczas stary, od lat na emeryturze, ale przychodził regularnie do zakładu; i tam dwie godziny, bardzo ożywiony, opowiadał mi o swoim „katyńskim doświadczeniu" (które go sporo kosztowało zaraz po wojnie, gdy komuniści rozpętali przeciw niemu nagonkę prasową, domagając się by za „hańbę współdziałania z hitlerowskimi oszczercami" zapłacił ustąpieniem z katedry uniwersyteckiej) oraz pokazał mi około trzystu posiadanych fotografii z Katynia. Na pożegnanie powiedział: „Zbrodnia była sowiecka, nie ma dwóch zdań. Kiedyś zbrodniarze będą musieli się do niej przyznać".

Mój zapis w dzienniku skłonił historyka i polonistę włoskiego F.C., w momencie odżycia „białej plamy" Katynia na stole obrad mieszanej komisji polsko-sowieckiej, do sprawdzenia czy Palmieri jeszcze żyje. Wątpiłem w to, okazało się jednak że żyje i zbliża się do dziewięćdziesiątki. Wybraliśmy się do niego w dwójkę wieczorem, C. jako wysłannik *Corriere* i telewizji, ja jako ten który rozmawiał z nim blisko dziesięć lat temu.

Ostatni żyjący członek Międzynarodowej Komisji Medycznej w Katyniu. Niskiego wzrostu, krępy i dość jeszcze żwawy, z jednym przymkniętym okiem (po operacji), z zachowaną dobrze jasnością i trzeźwością umysłu w sprawach *bieżących*. Wyłącznie w sprawach bieżących, wspomnieniami *nie chce* sięgać zbyt daleko wstecz. Widać wyraźnie, że nie chce, że mógłby bez większego wysiłku, ale po prostu nie chce. Pytany o swoje „katyńskie doświadczenie", milczy i rozkłada szeroko ręce gestem *lasciatemi in pace*, zostawcie mnie w spokoju. Raz tylko, gdy mowa o ka-

tyńskich fotografiach, wyjaśnia, że zakład medycyny sądowej ucierpiał bardzo w trzęsieniu ziemi: podobno jakieś jego ocalałe papiery zapakowano do worka, któż to wie czy ten worek jeszcze się gdzieś uchował. Dla C. nie ma to już nadmiernego znaczenia, Palmieri ogłosił niegdyś drukiem to co na temat Katynia miał do powiedzenia (oto fotokopia jego sprawozdania na użytek C.), wystarczy więc jeśli zgodzi się teraz na parę zdjęć telewizyjnych podczas codziennego spaceru porannego. Dla mnie, niezależnie od Katynia, ten wieczór był przeżyciem. Bez słowa wpatrywałem się w dziewięćdziesięcioletniego starca, który u schyłku życia postanowił odwrócić się radykalnie od dalekiej przeszłości. Tak radykalnie, być może, że nie zerka na nią ukradkiem nawet w samotności.

1 listopada

Nazajutrz po wojnie przyjęte było sądzić (świadczy o tym między innymi korespondencja Hanny Arendt z Jaspersem z lat 1946-1949), że Heidegger splamił się dość naskórkowo współpracą z hitleryzmem, podpisawszy jedynie na urzędzie rektora uniwersytetu we Fryburgu dymisyjny list okólny do profesorów pochodzenia żydowskiego. Sądząc tak, sprowadzało się jego winę do przejściowego i nieuniknionego „potknięcia" w imię „uratowania tego co było jeszcze do uratowania" na uniwersytetach niemieckich po dojściu Hitlera do władzy, jakkolwiek według Hanny Arendt list z podpisem Heideggera „niemal zabił Husserla". W roku 1976 sam Heidegger, na krótko przed śmiercią, zaprzeczył kategorycznie w wywiadzie prasowym jakoby z jego polecenia usunięto z biblioteki uniwersyteckiej i spalono na dziedzińcu książki autorów „nie aryjskich", przyznał natomiast że w swoim przemówieniu rektorskim powitał nominację Hitlera na kanclerza Rzeszy jako „wielkie i wspaniałe zerwanie z powszechnym zamętem systemu zdominowanego przez dwadzieścia dwie partie" na rzecz „jedynej alternatywy narodowej i społecznej" („byłem o tym przekonany", dodał). Na ogół więc i zaraz po wojnie i długo potem minimalizowało się „potknięcia" Heideggera, uważało się je za mieszaninę politycznej naiwności i „sytuacji przymusowej". Podobnie trochę jak nie przywiązywało się we Włoszech większej wagi do faktu, że za panowania Mussoliniego tylko jedenastu czy dwunastu profesorów odmówiło złożenia „przysięgi faszystowskiej", która była warunkiem *sine qua non* zachowania katedry uniwersyteckiej. Kiedy w roku 1934 Croce, recenzując w *La Critica* książkę Heideggera, nazwał autora *indecente e servile*, jego słowa mogły były podówczas uchodzić i do niedawna jeszcze uchodziły za dowód niesprawiedliwej przesady.

Do niedawna jeszcze, bo wybuchła właśnie heideggerowska bomba ze spóźnionym zapłonem. Chilijski historyk filozofii Victor Farias ogłosił książkę *Heidegger et le nazisme*, z której można się dowiedzieć (dzięki badaniom archiwalnym Fariasa), że Heidegger należał do NSDAP od początku do końca istnienia Trzeciej Rzeszy; że bliskie mu były koncepty „rasy" i „ziemi"; że nawet po wojnie nie zerwał stosunków z byłymi animatorami „Instytutu higieny rasowej", odpowiedzialnego w dużej mierze za eksperymenty na więźniach kacetów; że jako filozof proponował „przemyślenie na nowo tradycyjnej nauki w świetle założeń nacjonal-socjalizmu". Znamienny jest jeden szczegół. W wieku dwudziestu lat, czyli w roku 1910, Heidegger, student wydziału teologii na uniwersytecie fryburskim, zakochał się w postaci mnicha augustyniańskiego z końca XVII wieku imieniem Abraham di Santa Clara, fanatycznego nacjonalisty i antysemity, „geniusza (słowa młodego Heideggera), który szukał zbawienia narodu w jego ciele i w jego duszy". W wieku siedemdziesięciu pięciu lat, czyli w roku 1964, miłość sprzed pół wieku żarzyła się ciągle w popiele Epoki Pieców: stary Heidegger nazwał „genialnego" mnicha „mistrzem naszego życia i naszego języka".

Heideggerowska bomba ze spóźnionym zapłonem wywołała, jak czytam, wielkie poruszenie wśród admiratorów filozofa niemieckiego. Jej odłamki będą pewnie w przyszłości nie raz analizowane na sympozjach i kolokwiach filozoficznych wszystkich stopni, od kameralnych do bardziej spektakularnych. Co do mnie, przy moim nieustannym zainteresowaniu tematem „kultura wobec totalitaryzmu", heideggerowska bomba wybuchła z hukiem akurat w chwili, gdy zapoznawałem się z inną niemiecką figurą podobnego pokroju i formatu.

Znawcy przedmiotu zapewniają, że Carl Schmitt należał do najwybitniejszych jurystów i był najwybitniejszym konstytucjonalistą początków XX stulecia. Po zdobyciu władzy przez Hitlera wstąpił do NSDAP i otrzymał katedrę w Berlinie, w roku 1935 został przewodniczącym *NS-Juristenbund*. W rok później podał się do dymisji, lecz z partii nie wystąpił. Aresztowano go po wojnie, spędził dwa lata w celi więziennej. Zrezygnowano z pierwotnego zamiaru sądzenia go w Norymberdze: nie był karalny w ramach procesu norymberskiego, chociaż zastępca prokuratora generalnego nazwał go „największym zbrodniarzem z punktu widzenia moralnego". Charakterystyczny był pojedynek oskarżyciela z oskarżonym. Oskarżyciel: „Nie twierdził pan może, że prawodawstwo i sprawiedliwość w Niemczech powinny być przeniknięte duchem nacjonal-socjalizmu? Tak czy nie? Nie twierdził pan tak między rokiem 1933 i 1936?". Schmitt: „Twierdziłem. Od roku 1935 do 1936 stałem na czele związku jurystów.

Czując się kimś wyższym, zamierzałem nadać mój osobisty sens terminowi nacjonal-socjalizm". Oskarżyciel: „Hitler miał swój własny nacjonal-socjalizm, a pan inny i też swój własny". Schmitt: „Czułem się kimś wyższym". Oskarżyciel: „Czuł się pan wyższy od Hitlera?". Schmitt: „Bezgranicznie wyższy z intelektualnego punktu widzenia. Postać jest tak nieciekawa, że wolałbym o niej nie mówić". Oskarżyciel: „Kiedy wyparł się pan diabła?". Schmitt: „W roku 1936". W celi więziennej Schmitt napisał dziełko *Ex Captivitate Salus,* wydane w Niemczech w roku 1950 i z woli autora nigdy więcej nie wznawiane. Po czym trzydzieści pięć lat swoistego trapizmu, aż do śmierci w roku 1985.

Dziełko, przełożone świeżo na włoski, jest mętne, mało przekonywujące, wykrętne, nie zasługuje na nadane mu przez autora miano „książki kluczowej". Uderzyły mnie w nim tylko dwa motywy, pośrednio ze sobą związane i dosyć pouczające.

Schmitt przypomina średniowieczną zasadę *Tyrannum licet decipere* z jej podpórką *potestas spiritualis,* dając niedwuznacznie do zrozumienia, że wbrew pozorom wolny niemiecki duch, syn nieodrodny ducha europejskiego, zdał egzamin pod rządami tyrana. Duch bowiem (wyjaśnia) ma swoją dumę, swoją taktykę, swoją niezbywalną wolność i działa pod skrzydłami swoich aniołów opiekuńczych; a wszystko to nie tylko wśród ludzi którzy wyemigrowali, lecz także wewnątrz, w szponach samego Lewiatana. Wolny duch umiał zawsze znaleźć swoje krypty i swoje katakumby, swoje nowe formy i swoje nowe metody. Należy tedy, choć nie jest to powiedziane wprost, szukać prawdziwego Schmitta i jego oczernianych niesłusznie towarzyszy w wewnętrznych i mniej dostrzegalnych zmaganiach z Lewiatanem, w owych kryptach i katakumbach, gdzie obowiązywały reguły, metody i formy innej taktyki; taktyki zwodzenia i oszukiwania tyrana. Benito Cereno (powiada Schmitt), bohater opowiadania Melville'a, stał się symbolem sytuacji intelektualistów w Trzeciej Rzeszy.

Nieszczęsny hiszpański kapitan statku *San Domenico* z przejmującego opowiadania Melville'a (które zestawia się niekiedy z *Jądrem ciemności* Conrada) jest przez Schmitta wielokrotnie przywoływany w *Ex Captivitate Salus,* jurysta niemiecki wyraźnie się z nim utożsamia. Trzeba zatem w paru słowach streścić historię Benito Cereno. Wypłynął na *San Domenico* z ładunkiem towaru i dużą grupą skutych niewolników murzyńskich. Na pełnym morzu udało im się nawzajem rozkuć. Pod wodzą przebiegłego i okrutnego Babo wzniecili bunt, wyrżnęli większość załogi z wyjątkiem kapitana i kilku marynarzy, opanowali statek i wprowadzili na nim rządy terroru. Cereno i oszczędzeni marynarze używani byli jako nawigatorzy, pod stałą groźbą poderżnięcia gardeł. Z braku wody i jadła *San Domenico* zawinął na wyspę, gdzie inny statek — amerykański — zarzucił był wcześniej kotwicę. Amerykański kapitan złożył wizytę hiszpańskiemu, obiecał pomoc w zaopatrzeniu i chociaż zdziwiły go nieco panujące na *San Domenico* stosunki, za dobrą monetę wziął zapewnienie Benito Cereno, że jest on panem statku i ufa rozkutym lecz posłusznym niewolnikom murzyńskim, zwłaszcza nieodstępnemu i wiernemu słudze Babo. Cereno odgrywał w masce komedię, drżąc o własną, gościa i białych marynarzy skórę, ale także w obawie że w razie ujawnienia prawdy buntownicy podejmą krwawą na pewno próbę zdobycia amerykańskiego statku. Wreszcie, w ostatniej chwili odjazdu amerykańskiego gościa, zdecydował się zrzucić maskę i skoczył do jego szalupy. Opowiadanie Melville'a kończy się stłumieniem buntu na *San Domenico* i oddaniem pod sąd murzyńskich niedobitków po rzezi. Powieszono Babo, mimo że Cereno wymówił się od spojrzenia mu w oczy i wystąpienia w roli świadka oskarżenia.

Komu w smak takie rozrywki, niech dokładnie przebada analogie między Cereno i Schmittem, Babo i Hitlerem, poczciwym i łatwowiernym kapitanem amerykańskim z zeszłego stulecia i jego współczesnymi rodakami. Mnie wystarczy że Benito Cereno, „ciałem i duszą przywiedziony do kresu", na resztę swych dni usunął się w zacisze klasztoru na *Mount Agony.* Jedyne co mógł zrobić i zrobił Schmitt, to pójść w jego ślady dla zamanifestowania agonii wolnego ducha niemieckiego w szponach „oszukiwanego" Lewiatana.

5 listopada

Od końca lat pięćdziesiątych ogłaszałem w *Kulturze* szkice i glossy o „zakazanych" i „wyklętych" pisarzach rosyjskich, którzy są teraz stopniowo „wskrzeszani" i „rehabilitowani". Za namową Jerzego Giedroycia powstała z tego w roku 1969 niewielka książka *Upiory rewolucji.* Odegrała ona pewną rolę w Kraju, podważając w jakimś stopniu polski stereotyp antyrosyjski. Przeczytało ją z pożytkiem w wydaniu *Kultury* wielu moich rozmówców krajowych, została też później (o ile wiem) wydana w drugim obiegu. W odautorskiej przedmowie zastrzegłem się, że nie pretenduję do miana „rusycysty": moją „rusycystykę" zrodziło po prostu przekonanie, że „losy Europy środkowo-wschodniej zależą niemal wyłącznie od zmian i przeobrażeń w samej Rosji".

Przypomniały mi się wczoraj moje *Upiory rewolucji,* gdy czytałem w włoskiej gazecie wywiad z poetą Andriejem Wozniesienskim, jednym z propagatorów owych „zmian i przeobrażeń". Andriej Andriejewicz, jak należy świętować siedemdziesięciolecie

BN

Rewolucji Październikowej? Robiąc nową rewolucję; nie takie to proste, bo toczy się u nas walka na śmierć i życie z przeciwnikami zmian i przeobrażeń. Zawężając temat: jak zmienić i przeobrazić życie literackie w ZSSR? W prosty sposób: wprowadzić rynek literacki z czytającą publicznością jako jedynym decydentem, na miejsce arbitralnych decyzji wydawnictw państwowych, które premiują posłuszeństwo i uprawiają ukrytą korupcję polityczną, płacąc pisarzom nie za sprzedane lecz za wydrukowane egzemplarze, naturalnie w nakładach zależnych od dyspozycyjności autorów; choćby książki tych autorów miały potem w magazynach czekać na przemiał.

Z czego wynika, że kolejna po Październikowej „rewolucja na śmierć i życie" jest także na odcinku literatury rewolucyjnym odkryciem obalonego przez poprzednią rewolucję Rynku. Wozniesienski ma rację: nie takie to, niestety, proste. Przed laty, po polskim Październiku, wyłożyłem dokładnie taki sam jak jego postulat Jastrunowi na miłej kolacji w Rzymie, zakłóciwszy tym przelotnie pogodną i zgodną atmosferę naszej rozmowy. Pan Mieczysław spojrzał na mnie surowo i powiedział z naciskiem: „Tej zdobyczy socjalizmu będziemy bronić do upadłego".

Za najpoczytniejsze obecnie w ZSSR książki Wozniesienski uważa powieść Rybakowa *Dzieci Arbatu* i opowiadanie Bułgakowa *Psie serce*. Opowiadanie Bułgakowa z roku 1925 jest przedmiotem mojej glossy w *Upiorach rewolucji*, zatytułowanej *Człekopies czyli sukinsynologia*. Nie zestarzało się *Psie serce* po sześćdziesięciu przeszło latach, za wypożyczenie książki na jedną noc (wobec jej szybkiego wyczerpania) płaci się słone ceny.

Sławny chirurg, poszukując sposobów odmłodzenia organizmu ludzkiego, przeszczepia na próbę łagodnemu psu przysadkę mózgową chuligana zamordowanego w bójce. Owocem operacji jest potwór, cham, „obkuty w marksizmie" człekopies, „polityk komunistyczny" terroryzujący całą kamienicę. Przerażony chirurg dokonuje operacji odwrotnej, zwraca psu jego przysadkę mózgową, a w słoiku konserwuje przysadkę mózgową chuligana. No i byłby wreszcie święty spokój, gdyby sławny chirurg nie zaczął na powrót grzebać w słoiku z przysadką mózgową chuligana, gotów najwidoczniej mimo niepowodzenia do dalszych eksperymentów.

Z jakimi uczuciami współcześni czytelnicy sowieccy, podwładni Gorbaczowa, pochłaniają *Psie serce?* Ufając, że po gorbaczowowskiej operacji odwrotnej zapanuje święty spokój? Czy zaniepokojeni ostrzeżeniem Bułgakowa w epilogu noweli: przechowywaniem na wszelki wypadek słoika w „rewolucyjnym laboratorium"? Tak czy siak, chwilowo kręcimy się wciąż w kółko w domenie „upiorów rewolucji".

10 listopada

Będzie „zrehabilitowany"? Nie będzie „zrehabilitowany"? Chodzi o Bucharina, odpowiedzi na te pytania oczekuje z zapartym tchem Zachód (bardziej na pewno zapartym, niż Związek Sowiecki), cudzysłów jest mój. Moskwa ma prawo zacierać z zadowoleniem ręce, że udało jej się tak łatwo przyswoić „wolnemu światu" pojęcie „rehabilitacji". Nikt już tutaj nie zastanawia się na serio, co ten osobliwy proceder oznacza. W nikim nie budzi się wątpliwość, czy do „rehabilitowania" ofiar powołany jest System, który je zaszczuł i zabił. Nikomu nie przychodzi na myśl i nikogo nie dziwi zanadto, że ewentualnej „rehabilitacji" Bucharina towarzyszyć będzie, po przemówieniu Gorbaczowa w rocznicę Rewolucji Październikowej, historyczne uprawomocnienie krwawej, „bolesnej lecz koniecznej", kolektywizacji (której Bucharin był przeciwnikiem) oraz dzieła przywódcy „nie bez ciężkich co prawda grzechów na sumieniu, nie bez jaskrawych skaz w charakterze, lecz oddanego sprawie budowy socjalizmu i obrony rewolucji" (który Bucharina posłał na szafot). Dla Zachodu „rehabilitacja" Bucharina stała się głównym testem *perestrojki*, najwyższą poprzeczką w skoku Gorbaczowa. Przeskoczy? Nie przeskoczy? Stworzenie w „wolnym świecie" tego *suspense* (słowo bez przerwy używane w prasie i telewizji) jest majstersztykiem nowego kierownictwa sowieckiego. Przeskoczy, przeskoczy. Bucharin będzie „zrehabilitowany" (z licznymi zastrzeżeniami), wdowa po nim przestanie być *non-person* po latach łagrów czy zesłania, jego jedyny syn wróci na mocy „specjalnego dekretu" do nazwiska ojca.

Zaglądam do mojego zapisu w dzienniku pod datą 10 listopada 1971. Jest to zapis o Bucharinie na podstawie pamiętników Bergera i relacji mienszewika Borisa Nikołajewskiego. Berger spotkał pod koniec roku 1937 za drutami łagrów sołowieckich Aleksandra Ajchenwalda, jednego z pupilów Bucharina. Po konfrontacji mistrza z uczniem w ramach przygotowywanego procesu Bucharina pozwolono im pożegnać się bez świadków. Bucharin pisał wówczas w celi więziennej ostatnią książkę swego życia. O czym? O naturze człowieka, odparł Bucharin i dodał: powinniśmy przestać myśleć o ideologii, ekonomii i polityce, powinniśmy cały wysiłek skierować na przeniknięcie sensu i celu życia. Nikołajewski widywał często i po kryjomu Bucharina na początku 1936 roku, podczas jego wizyty służbowej w Paryżu. Bucharin był zmęczony, wyczerpany, zdawał sobie sprawę co go czeka po powrocie do Moskwy. Opowiadał o okropnościach kolektywizacji, o „władztwie żelaznej stopy", o skażonej i okaleczonej psy-

chice komunistów posłusznych wszelkim rozkazom z góry, o terrorze jako naturalnej metodzie rządzenia. Tak się gorączkował, z taką desperacją perorował o jedynym zbawieniu jakim byłoby nadejście „humanizmu proletariackiego", że Nikołajewskiemu wyrwało się w pewnej chwili: „Nikołaj Iwanowicz, to co pan mówi jest propozycją powrotu do Dziesięciorga Przykazań. Nic nowego". Bucharin zamyślił się: „Sądzi pan, że Dekalog zestarzał się i przeżył?". Nikołajewski: „Nie twierdzę, że się zestarzał i przeżył. Twierdzę tylko, że istnieje od pięciu tysięcy lat. Mamy odkrywać Dziesięcioro Przykazań jako nową prawdę? Do tegośmy doszli?". Bucharin nic nie odpowiedział.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Zmierzch polskiej futurologii

Ridentem dicere verum
Quid vetat?

Liczbę ziarn piasku poznałam i morza wymiary,
Także niemego rozumiem...

Heksametrem rozpoczęła przepowiednię Pytia delficka przyjmując wysłanników króla Lidii, Krezusa.

Lawina ruszyła. Odtąd żaden szanujący się autokrata, basileus, cezar, prezydent lub generalny sekretarz nie wypowiadał wojny i nie podnosił ceł lub cen bez zasięgnięcia opinii kompetentnej wyroczni. Wyrocznią bywał poeta, kapłan, biały koń stąpający przez włócznie, zespół ekspertów.

Mieliśmy i my swoje wyrocznie: ks. Piotr Skarga reprezentował nurt profetyczny patriotyczno-państwowy, legendarny Wernyhora — nurt patriotyczno-ludowy („był on rodem kozak, z Ukrainy zadnieprskiej, zostającej pod panowaniem moskiewskim, chował jednak szczególniejsze przywiązanie do Polski", pisał o nim Seweryn Goszczyński). Dziewiętnastowieczni wieszczowie — od Mickiewicza po przedburzowców — wychodzili do podbitego narodu z przekazem nadziei lub rozpaczy. Ich profetyzm literacki nie był jednak uprawiany w intencji zgadywania przyszłości. Służył on wyrażaniu dogmatu patriotycznej wiary, przekonania, że Polska powstanie by żyć, a gnębiący ją despotyzm upadnie. Ogólnie znana jest cierpka opinia Bolesława Prusa o roli poetów w polskiej kulturze politycznej. Mniej osób zna zdanie Władysława Konopczyńskiego: „Jednym słowem, opinia poetów, podobnie jak opinia tłumów, nie jest kompetentna (...), gdyż brak jej perspektywy dziejowej". Wynikałoby stąd *implicite*, że wyżej kwalifikowanymi wieszczami bywają naukowcy, zwłaszcza histo-

rycy. Wydaje się, że jest w tym sporo racji lecz i najlepiej kwalifikowani specjaliści natrafiają na rafy i miny, zwłaszcza gdy od ogólnej wizji przyszłości przechodzą do proponowania scenariuszy wydarzeń, zwykle konkretnie i, o zgrozo, z datowaniem przewidywanych wypadków. Nazwijmy taką tendencję poznawczą futurologią.

Bodaj pierwszym — i znakomitym — futurologiem w historii Polski okazał się król Jan Kazimierz. Reprezentując pogląd, iż nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej, przedstawił on Sejmowi 1661 roku scenariusz przyszłej niedoli Rzeczypospolitej, scenariusz tak nieprawdopodobny, iż nikt ze współczesnych głowy sobie nim nie zaprzątnął. Cytując za Tadeuszem Korzonem: „Obecnie, niestety! (o gdybym był fałszywym prorokiem!) wszystkie te nieszczęścia zagrażają z coraz większą pewnością (...). Moskwa i Ruś odwołają się do ludów jednego z nimi języka i Litwę dla siebie przeznaczą; granice Wielkopolski staną otworem dla Brandenburczyka, a przypuszczać należy, iż o całe Prusy certować zechce (...); zresztą dom austrjacki, spoglądający łakomie na Kraków, nie opuści dogodnej dla siebie sposobności i przy powszechnem rozrywaniu państwa nie wstrzyma się od zaboru...". Prawda bywa nieprawdopodobna.

Futurologiem mniej fortunnym był Adam Mickiewicz. Niesyt chwały wieszcza, we fragmentach tajemniczego utworu pt. „Historia przyszłości" podał przebieg przyszłej rewolucji w Europie. Mylił się gruntownie. Porażka Mickiewicza jako futurologa opisana została m.in. przez Stanisława Pigonia („Zawsze o Nim") i Zofię Stefanowską („Historia i profecja").

W czasach nam bliższych wizjonerem i futurologiem był Marian Zdziechowski. Zapoznany dziś niemal doszczętnie, ten wielki — choć kontrowersyjny w swych poglądach — erudyta (1861-1938) w ciągu dwudziestu lat pracy na Uniwersytecie Stefana Batorego słał w świat alarmujące prognozy społeczno-polityczne dotyczące losów cywilizacji chrześcijańskiej, narodów europejskich, a zwłaszcza Polski. Zmarł na krótko zanim historia zrealizowała jego pesymistyczny scenariusz polski. Pozostałe części jego przepowiedni pozostają — na szczęście — niespełnione.

Po drugiej wojnie zmalał kaliber przepowiadaczy, lecz nie przepowiedni. Starsi spośród Czytelników pamiętają futurologiczny motyw białego konia i kolejne daty wyznaczane na jego wkroczenie w granice kraju. W tym samym czasie również władza zaczęła przepowiadać przyszłość. W pamięci niektórych Czytelników tkwią do dziś poglądowe obrazki tych przepowiedni, drukowane w latach czterdziestych na okładkach zeszytów szkolnych, zwanych wówczas kajetami: obrazek pierwszy — ruiny domu, to rok 1945; obrazek drugi — dom w rusztowaniach, rok 1949; obrazek trzeci — ulica zabudowana pięknymi domami i sznur samochodów marki Pobieda, to rok 1955, na który wyznaczono ziszczenie ideologicznych projektów dobrobytu. Od roku 1950 rozpoczęła się seria nieudanych prognoz zwanych planami rozwoju gospodarczego bądź społeczno-gospodarczego. Ciekawa rzecz: poczynając od planu sześcioletniego aż po ostatni, trzyletni, żaden z projektów nie został zrealizowany w pierwotnym zakresie. Prognozy nie sprawdziły się. Dlaczego?

W 1980 roku i później rzeczywistość zagęściła się, zagęściły się również prognozy. Stugębna plotka donosiła o rzekomym *démarche* Wiednia w ślad za półoficjalnym proroctwem z warszawskiego srebrnego ekranu o grożącym kolejnym rozbiorze Polski. Austriacy mieli twierdzić, że nie są zainteresowani — czyżby spoglądali łakomie na Kraków, lecz nie chcieli Nowej Huty? We wrześniu 1981 roku sprawy polskiej futurologii zaszły tak daleko, że nawet w hali Oliwii zadawano wielu działaczom tzw. proste pytania: jaka będzie Polska i jaka będzie „Solidarność" za cztery lata, w 1985 roku? Historyka czeka w przyszłości ciekawe zadanie opracowania źródłowego tych wypowiedzi. Dzisiaj można jedynie powiedzieć, że mylili się wszyscy z wyjątkiem jednego — wybitnego historyka mediewisty (nie z Warszawy) — który odmówił odpowiedzi, lecz w gniewnym komentarzu prawidłowo przewidział bieg wydarzeń. Ankieta na ten temat miała być kontynuowana, lecz los zrządził inaczej.

Tuż po północy 13 grudnia gasły światła w Stoczni Gdańskiej. Poprzedniego dnia wybitny prawnik i człowiek doświadczony przedstawił trzy niezbite argumenty na to, iż w grudniu nie może dojść do konfrontacji między „Solidarnością" i władzą. Następne tygodnie doprowadziły działania futurologiczne do rozkwitu. Chodzący na wolności znawcy wiedzy o Polsce i świecie współczesnym odpowiadali na inne proste pytania: jaki rozwój wydarzeń jest najbardziej prawdopodobny i jakie będzie miejsce „Solidarności" w nowej rzeczywistości? W odpowiedziach podawano daty, które łatwo było później zweryfikować. Niewiele było trafnych odpowiedzi. Oto dwa przykłady najbardziej chybionych (był styczeń 1982 roku): 1. do czerwca powstanie państwo podziemne z własnym rządem, pocztą i wymiarem sprawiedliwości; 2. czeka nas piętnaście lat neostalinizmu.

Jednocześnie sypnęły się prognozy ze strony władzy. Wobec utrudnionego dostępu do tego kręgu futurologów autor ankiety korzystał z opinii udostępnianych za pośrednictwem umundurowanego Dziennika TV, *Żołnierza Wolności* i *Trybuny Ludu*. Trzeba przyznać, że władza — wciąż zapewniając, że normalizacja jest w toku a nawet na ukończeniu — oględniej od opozycji formułowała swe prognozy i częściej stroniła od datowania przyszłych wydarzeń. Prognozy władzy często przybierały formę pro-

jekcji w przyszłość wynikającej *implicite* z życzeniowego oglądu sytuacji bieżącej. Z informacji wiceministra Spraw Wewnętrznych na forum sejmowym (*Trybuna Ludu* z 8 stycznia 1982 roku): „Społeczeństwo odetchnęło! Nastąpił wyraźny spadek groźnych przestępstw kryminalnych (...) nie odnotowujemy poważniejszych działań przeciwników socjalistycznego państwa (...). Technika wykonania ulotek jest przeważnie prymitywna, a ich ilość ograniczona, co wskazuje, że są to działania indywidualnych jednostek (tak w tekście — J.J.) bądź niewielkich grupek osób". I wniosek z takiego oglądu sytuacji: „Wszystko to stwarza pomyślne przesłanki poprawy sytuacji — także ekonomicznej w 1982 roku". Styczniowa sesja Sejmu owego roku obfitowała w przepowiednie. *Trybuna Ludu* z 29 stycznia donosiła: „W ciągu roku najdotkliwsze trudności mogą być za nami. Dwa, trzy lata pozwolą na przywrócenie równowagi". Należy oddać sprawiedliwość autorowi owej prognozy, że obwarował ją trzema warunkami: „spokój w kraju, ofiarna praca, brak nawrotu choroby". Któryś z tych warunków widocznie nie został spełniony. Dlaczego?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to ostatnie proste pytanie, podsumujmy wyniki *quasi*-futurologicznej ankiety z lat 1981/1982. Zrobiono to po paru latach, gdy opadły nieco emocje, a stan, początkowo uważany przez wielu za tymczasowy, przerósł w permanentne prowizorium. Z prognoz, dat i liczb, uszeregowanych chałupniczą metodą bez aparatu naukowego — i uwzględniwszy duży margines błędu — wynikałyby następujące proporcje: prognozy autorów zaliczających się do opozycji sprawdziły się w 10-15 %, przewidywania autorów zaliczających się do aparatu władzy — w 30-35 %, życie podyktowało rozwiązania całkowicie nieprzewidziane w 50-60 %. Wyliczenia te nie mają żadnego waloru naukowego (nieporównywalność prognoz głoszonych oficjalnie z prognozami głoszonymi prywatnie jest dość oczywista), tym niemniej ważna jest ogólna proporcja. Dodatkowe zastrzeżenie: w rachunku powyższym pominięto enuncjacje, których oczywistość bądź ogólnikowość trąciła banałem. Na przykład, wyłączono zeń zarówno znaną deklarację, iż rząd zawsze się jakoś wyżywi, jak i autorytatywne stwierdzenie „na załamanie władzy nie ma co liczyć" (*Trybuna Ludu* z 26 stycznia 1982 roku). Przestrzega się również niektórych Czytelników przed popadaniem w łatwy entuzjazm z powodu trzykrotnej z grubsza prognostycznej przewagi władzy nad opozycją. Władza ma po prostu znacznie większe możliwości sprawcze, m.in. w postaci łatwiejszego dostępu do informacji oraz wyłączności na środki przymusu, które mogą na krótszy dystans działać skutecznie. Tak czy owak, przechył w stronę rozwiązań pierwotnie nie przewidzianych, żywiołowych, pozostaje znaczący. Dlaczego?

Przez wiele stuleci wzrastały i umierały w Europie pokolenia

wychowane na rzymskim porzekadle *quisquid agis, prudenter agas, et respice finem* — cokolwiek czynisz, czyń rozważnie a patrzaj końca. Przez wieki (przynajmniej obecnie tak nam się wydaje) zrozumiałe przyczyny prowadziły do przewidywalnych skutków. Później wszystko się skomplikowało. Wiek XX przyniósł ogromny rozwój nauki i techniki (od drugiej wojny światowej mówi się, że 90 % uczonych wszechczasów żyje obecnie wśród nas i stwierdzenie to jest podobno co roku na nowo aktualne) oraz aktywizację jednostek i grup społecznych, której niepełnym odzwierciedleniem są terminy „upodmiotowienie" i „uobywatelnienie". Czy można spośród milionów wektorów składowych wyprowadzić choćby przybliżone wektory wypadkowe? Optymiści wśród futurologów twierdzą, że można i że m.in. superkomputery już wkrótce pomogą przewidywać zachowania społeczne. Zagadnięty o to informatyk śmieje się: bariera leży nie w operacyjnej sprawności maszyn, lecz w złożoności problemu; komputer może bezbłędnie zaprogramować taki drobiazg jak wyprawa na Księżyc, lecz okazuje się zawodny przy symulowaniu procesu myślowego dżdżownicy. Informatyk cytuje Johna von Neumanna: jeśli ludzie nie wierzą, że matematyka jest prosta, to dlatego, że nie zdają sobie sprawy, jak skomplikowane jest życie. Jak przełożyć na język matematyki nastroje i postawy ludzkie?

W niektórych krajach, w tym zwłaszcza w Polsce, do naturalnej nieprzewidywalności zachowań ludzkich i społecznych dochodzi decydujący element, który staje się istotną częścią naszego wzorca polityczno-kulturowego. Historyk, jedynie z konieczności stykający się z prawem i polityką, mówi: „Od sześciu tysięcy lat życie tworzyło systemy prawne. I oto nagle, na podstawie niesprawdzonej teorii, ustanowiono nowe prawa w nadziei, iż życie po pewnym czasie nagnie się do nich. Okazuje się jednak, i jest to obecnie dobrze widoczne, że są pewne zasady niezmienne lub zmieniające się bardzo powoli, których zmiany teoria nie jest w stanie wymusić. Konflikt między sztucznym systemem i prawdziwym życiem prowadzi nieuchronnie z jednej strony do łamania przepisów, zaś z drugiej — do degeneracji życia społecznego". W Polsce jest to widoczne, bardziej chyba niż w innych krajach, w postępującym braku utożsamiania się jednostek i grup społecznych z państwem i jego systemem prawnym. Wśród części młodego pokolenia proces ten nabiera cech paroksyzmu alienacyjnego. Stąd przewidywalna nieprzewidywalność zachowań i władza nie powinna mieć co do tego złudzeń. Cóż, że ogłosi się np. referendum i że 75 % lub 66 % ludzi rzekomo wypowie się — w ramach istniejącego porządku — w jakiejkolwiek sprawie pozytywnie, skoro później każdy tak czy owak postąpi jak mu okoliczności pozwolą? W świetle takich zachowań i w obliczu narastających zagrożeń cywilizacyjnych, o których mówi się półgębkiem,

lecz które trudno do końca przewidzieć, kto wie czy podział na nurt władzy i nurt opozycji w dziedzinie futurologii stosowanej nie okaże się z czasem sprawą mniej istotną niż pierwotnie mogło się nam wydawać? Względna jałowość prognoz obu nurtów — wprawdzie w krótkim historycznie czasie — wydaje się świadczyć za tą tezą.

W tekście pisanym w Paryżu w 1985 roku Waldemar Kuczyński trafia w sedno sprawy, aby zaraz potem się potknąć: „Jak wiadomo, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Nikt nie może uważać, że tak zgłębił duszę narodu, że potrafi przewidzieć jego reakcje. Prognozy są niebezpieczne dla tych co je robią. Mimo to — zaryzykuję". Nieszczęsny, po co? Czyż nie jest dowiedzione, że nasz polski świat — przy pozorach zakrzepnięcia — staje się coraz bardziej płynny, labilny, bez formy? Nikt nie wie, kiedy i w którą stronę się przeleje, choć przecież kiedyś przelać się musi. Autorzy wszelkich prognoz polskich niechby wpierw odpowiedzieli sobie na pytanie: zali liczbę ziarn piasku poznałem?

Był czas, kiedy przepowiednie miały istotnie moc sprawczą, a wyrocznie można było przekupić. Gdy Grecy pytali Pytię o wynik nieuchronnego starcia z inwazyjną armią Kserksesa, ta wpierw krzyknęła:

Po co siedzicie tu, biedni? Uciekaj na świata kończyny
Dom opuszczając i miasta krągłego najwyższe warownie!

Lecz następnego dnia, przebłagana darami, zmieniła wyrok:

Oto gdy reszta już będzie zajęta (...) mury drewniane
Jedne nie będą zburzone i ciebie wraz z dziećmi ocalą.

Grecy ustawili drewniany mur swej floty pod Salaminą.

Tak było dawniej. A dzisiaj? Dzisiaj Marcin Król pisze: „Czuję się gorzej, bo wiem już ostatecznie, że żyję w świecie bez formy, w świecie, którego przyszłości nie znam, a trochę się boję. Czuję się lepiej, bo wiem, że warto na historię spojrzeć z punktu widzenia życia duchowego jednostki, a nie z murów narodowej twierdzy (...)".

Jeśli nie jest to zdanie odosobnione, cóż może ono oznaczać jak nie zmierzch tradycyjnej polskiej futurologii?

Jerzy JASTRZĘBOWSKI

List do Redaktora "Kultury"

Giessen, 26 czerwca 1986.

Drogi Panie Jerzy,

Pozwalam sobie przesłać Panu okaleczone „Leśne morze" i dwa rozdziały, które się nie ukazały. Dwadzieścia lat temu miałem do wyboru: albo zgodzić się na kastrację, albo w ogóle książki nie wydać, stracić cztery lata żmudy nad tą chińską egzotyką. Szkoda było książki, przywiązałem się do niej. Pozostało jednak tyle przyrody, przygody i miłości, że wytrzymała pięć wydań polskich i ileś tam w krajach socjalistycznych. Ostatnio cztery kolejne wydania w NRD z zastrzeżeniem w umowie „ważne na cały obszar języka niemieckiego".

Mam tego dosyć. Chciałbym wydrukować rozdziały, które się nie ukazały, a potem wydać całą książkę „bez cenzury".

Co Pan o tym sądzi?

Za kilka dni, kiedy skończę objazd Göttingen i Stuttgartu, osiądę gdzieś na miesiąc odsapki — zatelefonuję do Pana.

W nadziei, że czuje się Pan dobrze, w pełni satysfakcji po osiągnięciach i sukcesach, łączę serdeczne pozdrowienia.

Igor NEWERLY

Droga przez tajgę

Była noc, godzina może dziesiąta, kiedy Okularnik przyszedł po niego. Z pistoletem w garści, to znaczy zabierał na zawsze.

Poszli w koniec korytarza po schodkach z podziemia na powierzchnię. Ostrogi żandarma podzwaniały, łańcuszek u kajdan Wiktora brzękał na każdym schodku.

Miało się ich do przebycia trzydzieści dwa. Wiktor pamiętał i jeśli co czuł, to chyba obrzydzenie. Bezmierny, obezwładniający wstręt do życia, do siebie, do kata, posapującego z tyłu. Starzejące się kacisko, niedługo pochodzi z taką zadyszką... Pomyślał o nim przelotnie, bez strachu czy nienawiści, z odrazą tylko, znieczulony na wszystko, jak gdyby skonał tamtej nocy i zastygł pomiędzy zwłokami Musi i Cięgły na dnie więzienia. Pozostała jeszcze pusta formalność, ostateczne odfajkowanie.

Na podwórzu więziennym, tym samym — z murem, jabłonią i palami skazańców — świeże powietrze zamroczyło na chwilę. Odwykł od powietrza, zapomniał o przestrzeni, a tu się noc rozwarła, letnia noc z gwiazdami jak dla dzieci na baśniowych malowankach. Czuło się czeremchę za murem, gdzieś był ruch i gwar, daleki, przejmujący gwizd lokomotywy... Skraj nieba nad miastem dyszał rudawym, paleniskowym odblaskiem po gwiazdy tchnące chłodno czeremchą i wiecznością.

Motor pracował, szofer siedział przy kierownicy obok konwojenta... Buda była gotowa do odjazdu. Czekano widać tylko na niego, Wiktora, na ostatnią „kłodę".

Żandarm pokwitował go Okularnikowi, skinął na budę — włazić!

Ledwo się tam Wiktor wsunął na czworakach, trafiając dłonią w coś cuchnącego i lepkiego, ledwo się przepchał przez ciała innych i kucnął — klapa opadła, zatrzaskując ostatnie złudzenia, że może jednak skończą od razu.

Wóz ruszył.

Światła miasta, bijące przez szpary, przebiegały jak dreszcz po leżących. Z mroku co chwila wybłyskiwały twarze osłupiałe, zmaltretowane, niewolnicze i dumne, oczy przymknięte lub gorejące, rany, szmaty, strzępy... Wszystko jechało do Pingfanu.

Wiktor nie miał co do tego wątpliwości. Ulżył tym dwojgu, doktorowi z kochanką, więc — jak powiedział Kaimatsu — musi stratę wyrównać i starczyć nauce za dwie pożywki... Rękę lub nogę będą ucinać po kawałku, zarażą paratyfusem, wyleczą troskliwie i spróbują, jak się dżuma przyjmie.

Wieźli ostrożnie, aby nikogo broń Boże nie uronić, z mocną obstawą: konwojent przy kierowcy, w środku na ławce żandarm z teczką, drugi konwojent u wyjścia i motocykl z przyczepą mknący tuż za samochodem... Buda zamknięta i na rękach kajdanki. Ani się rzucić, ani wyskoczyć, żeby zastrzelili przy próbie ucieczki.

Ktoś, kto się opierał o jego ramię, jęcząc zwalił mu się bezwładnie na kolana. Podnosić i cucić tę kobietę, bo to była prawdopodobnie kobieta — nie miało sensu. Lepiej żeby nie przytomniejąc doszła... Wparł się mocniej rękami w podłogę. Były wciąż uwalane... Tak właśnie widział siebie i wszystko: kupka błota czy gówna, z którego nawet otrząsnąć się nie można.

Stanęli na moście przed punktem kontrolnym. Żandarm z teczką wysiadł do sierżanta. Zaczęli rozmawiać żywo gestykulując — znali się widocznie. Sierżant zrobił ruch przedkładania, jakby mówił — posłuchaj. Z głośnika odwachu dochodziły zdania komunikatu o jakiejś bitwie morskiej, że w ostatniej jej fazie amerykańskie samoloty torpedowe typu Hermet, startujące z bazy Midway[1]...

Na słowo „Midway" wyskoczył konwojent, siedzący obok Wiktora, i kierowca z szoferki. Skupili się przed odwachem. Coś się stało na środkowym Pacyfiku, czego się spodziewali oczekując od dawna, co teraz nimi wstrząsnęło. Słuchali oszołomieni i zdezorientowani: zwycięstwo czy pogrom?

Wiktor leżał w budzie przy samym wyjściu. Klapa była opuszczona. Ujrzał balustradę mostu nad Sungari i głowę konwojenta, stojącego przed samochodem. Wszystko, co los mógł jeszcze zesłać: ostatnia szansa lekkiej śmierci.

Zsunął z kolan zemdloną, obrócił się na podkurczonych nogach... Z głębi auta ktoś ciemnawy i trzepotliwy, jak ptak, wyciągnął ku niemu ramiona, że i on, żeby i jego także! A może chciał krzyknąć, może nawet krzyknął — Wiktor nie słyszał. Wychyliwszy się nagle rąbnął z góry kajdankami w głowę konwojenta i skoczył na balustradę.

---

1. **Midway** — pierwsza druzgocąca klęska floty japońskiej u wybrzeży Midway na środkowym Pacyfiku, 3-4 czerwca 1942 roku.

Był na pierwszym przęśle, więc jeszcze nad lądem. Gdzieś pod nim, dwadzieścia metrów niżej, leżał brzeg płaski i kamienisty, tu i ówdzie głazy. Chodziło się tędy na raki...

Odbił się jak z trampoliny i z ogromną ulgą runął w dół, na zbity łeb.

Uderzył ramieniem, szarpnął się i poczuł, że leci dalej. Leci zachłystując się wodą.

Odruchowo wyrzucił ręce. Łańcuszek krępował, obie naraz zagarniały po żabiemu, ale nogi miało się wolne i dobrą rutynę. Wypłynął.

Wypłynął bezwiednie, z nawyku pływaka. Woda dusiła, więc się krztusił i ruszał na pół przytomny, oszołomiony tym, że się rusza, że żyje!

Wezbrana rzeka niosła ostrym powodziowym nurtem. Niewyraźne zarysy mostu oddalały się szybko, z prawa i z lewa biegły rzedniejące światła Charbina. Pojął: Sungari wylała! Musi być czerwiec, powódź czerwcowa... Woda chlusnęła, jak zwykle, daleko za pierwsze przęsło — dlatego się nie rozbił.

Z mostu wzbiła się rakieta. Wiktor zapadł w nurty. Jedna noga była lekka, na drugiej jeszcze ciążył nasiąkły wojłok walonka — strząchnął... Wszystko jak przed tym, bez myśli i woli, z odruchu ciała. Było znowu zdane na siebie, było w spienionym żywiole — walczyło.

Fale nakrywały i wynosiły na przemian. Porywisty wiatr, zacinający bryzgami, tłoczył w płuca z każdym oddechem powietrze wolne od tego tam w budzie czy celi, oczyszczone pędem przez szeroki świat. Z każdym rozkurczeniem serca i mięśni rosła prężna, rozpierająca świadomość istnienia, oby trwało chwilę jeszcze i jeszcze...

„Zdążę — pomyślał. — To zawsze mogę...".

I jakby na to właśnie błysnął reflektor, oślepiając rozjarzonym okiem śmierci.

„Nie dojrzą" — zapewniał siebie idąc pod wodę, by za chwilę wystawić na powierzchnię tylko nos i oczy. — W taką noc, z takiej odległości... Nie, w żaden sposób.

Wyrywał przed siebie co sił, naprzód, za miasto, dalej od ludzi... Za Wyspą Rybacką — pamiętał — odchodzi w prawo odnoga, dawne koryto Sungari. Są tam kępy i jeziorka, szuwary nieprzebyte, wysokie na parę metrów, szuwary jak tajga... Gdy w nie zapadnie, nie znajdą i z psami, choćby cały batalion szedł obławą.

Poprzez szum wiatru i fali doszło go nagle jakieś burczenie. Bąka czy trzmiela. Spojrzał za siebie. Był w zupełnych ciemnościach, daleko poza najdalszym zasięgiem reflektora i mostu nie widziało się wcale. Stamtąd rzeczywiście nie dojrzą. Ale

pomiędzy nim a mostem miotało się światło po rzece. Tam i nazad, w zakosy, z zajadłym warczeniem silnika. Motorówka policyjna.

Umykał przed tym potwornym świdrującym burczeniem, które narastało doganiając, lada chwila smagnie po głowie snopem światła. Nie, chciał do ostatka. Jeszcze czas. Zawsze zdąży podkulić nogi i pójść na dno, na denną padlinę...

Tuż przed sobą ujrzał raptem czarny brzeg z wysokim pniem. Majtnął się na głębinę i zawadził o coś pod wodą. Chwycił się — lina. Dopiero teraz rozpoznał dżonkę. Nie brzeg, ale dżonka na kotwicy.

Z trudem podciągnął się do niej za linę w poprzek rwącego nurtu. Obmacał. Był u rufy, osłonięty od rzeki płetwą steru. Gdyby nawet padło tu światło, to i tak by go nie wykryło. Zresztą na chwilę mógłby się zanurzyć.

Prąd ciągnął pod dżonkę. Wparł się kolanem w kil i trzymając się steru rozpłaszczył się na wznak. Chciał odetchnąć nareszcie, tymczasem zobaczył nad sobą... To, co wydało mu się pniem na brzegu, było człowiekiem. Widział nieruchomą sylwetkę człowieka na rufie i ten również musiał go widzieć.

Warkot motorówki leciał wprost na nich, nagle ucichł. Stanęli albo się oddalili szperając gdzieś z boku. Wiktor drętwiał rozpłaszczony pod dżonką. Człowiek nad nim uniósł ramię i tak został, trafiony nagle pełnym snopem blasku.

— Hej tam, dżonka! — okrzyknięto z motorówki po chińsku.

— *Szy!* — odpowiedział tamten starczym głosem. — Jest!

— Trzymaj cumę!

Dobili.

Zatupotano po dnie łodzi. Przeszukiwali. Każde stąpnięcie Wiktor odbierał całym ciałem, jakby po nim chodzili. Dygotał w okropnym strachu o ten los, o ten plugawy los, na który dopiero co szukał sposobu, żeby się go pozbyć.

— Widziałeś? — pytano na górze.

— Nic nie wiem, panowie. Przystanąłem tu na noc. Za żwirem płyniemy.

— *Chunchuz* zbiegł, rozumiesz?

— Rozumiem, prześwietny naczelniku.

— Dwa tysiące dolarów nagrody. Nie w papierkach — srebrem! Więc?

Dwa tysiące, taki majątek za jedno słowo, za jeden ruch właściwie — kto by się temu oparł... Ręka żwirnika wskazała na wodę.

Trzeba było wypuścić powietrze, podkulić nogi — i koniec. Ale Wiktor tego nie zrobił i czuł, że nie zrobi, nie potrafi... Zachłysnął się tym nędznym łykiem odzyskanego życia i już nie

wypuści. Będzie się skręcał z przerażenia i wstrętu, będzie tak oto kurczowo trzymał się steru, a nie rozluźni uchwytu aż ucapią, oderwą... Matko Boża, łaskiś pełna... Łaski!

— To tutaj on zbiegł? — spytał żwirnik wskazując na wodę.

— Z mostu skoczył. Widziałeś może?

— Och, nie trafiło się... Spałem z wnuczkiem. Ale będę uważał.

— Pamiętaj, dwa tysiące za żywego czy martwego bez różnicy...

Odjechali.

Usta Wiktora wciąż poruszały się w szepcie modlitwy. Póki jeździli po rzece i póki nie zamarł gdzieś pod mostem odgłos motoru. Wtedy się ocknął, nie będąc w stanie pojąć, co się stało, tyle rzeczy nie do wiary... Jest ocalony. Modlił się do Boga, w którego przecież nie wierzy... I to ostatnie doznanie robaczej niemocy i lęku ponad wszystko, do całkowitej zatraty, jak tylko może tchórz... Skończony tchórz!

Uczuł na grzbiecie lekkie dotknięcie... To stary podawał mu bosak. Chwycił się drzewca, które odwiodło go od wysokiej rufy i podciągnęło w górę. Zaczął się gramolić — sił zbrakło. Dwie pary rąk ujęły go pod pachy, dźwignęły na burtę.

Leżał ociekając wodą jak szmata.

— *Hao* — odezwał się stary — jak się czujesz?

— *Hao*... Dobrze.

— *Ni szy near żen?*

Na to, kim jest, Wiktor tylko wyciągnął ku niemu swe ręce w kajdankach.

— *Ming-pai*... Rozumiem.

— Za takich jak ja nagrody nie dają... Zabiją was razem ze mną.

— *Ming-pai* — powtórzył i odszedł na rufę.

Było cicho i ciemno. Żadnego ruchu, żadnych świateł na rzece... Dali spokój. Z pewnością doszli do wniosku, że utonął, że musiał utonąć, rzuciwszy się w odmęty z takiej wysokości, w kajdankach do tego...

Stary skinął na chłopca. Ten zaczął ostrożnie wybierać kotwicę. Czarny prostokąt żagla spadł przed Wiktorem, wypełnił się wiatrem i dżonka szarpnięta do przodu wyleciała z łopotem na fale.

Wracał do życia odmieniony, obcy przebytą śmiercią. Starszy od starca u steru, bardziej niepewny siebie niż chłopiec krzątający się przy saganie nad ogniem. Tylko po pierwszym poroście na brodzie domyślić się mogli, że młody. Unikali jego spojrzenia bez wyrazu i ludzkiego blasku, spojrzenia niesamowicie niebieskich oczu, rozbieganych czy skupionych na czymś poprzez rozmówcę, zawsze jednak pustych martwym połśniewaniem prześwietlonego szkliwa. Nie wiadomo, czy widzi i czy widzi tak samo jak inni.

Przyglądali mu się w milczeniu, jak kucnąwszy u wejścia do nadbudowanej na rufie komórki, trze o kamień ostatnie ogniwo łańcucha u kajdan. Trze drugi już dzień. Wczoraj pod wieczór odpadło pierwsze ogniwo, rozluźniły mu się ręce, mógł nareszcie zdjąć przez głowę bluzę, by wyschła zupełnie.

Dzielili z nim posłanie i nędzną strawę, mogli podzielić i los, gdyby ich złapano, mimo to nieprzebyta obcość stała między nimi, ciążyło milczenie jego i słowa, a dziwne wypowiadał słowa.

— Masz syna?

— Miałem.

— Umarł?

— Zabrali go do wojska. Nie wrócił.

— To i lepiej. Nie ma powrotów...

I dalej trze swój łańcuch o kamień, na nic nieczuły, trze, aż bąble zanadto dopieką. Odłoży na chwilę rozgrzane żelazo, by trochę ostygło i spojrzy wokoło, gdzie jest. Wtedy i oni się ockną, widzą siebie i dżonkę.

Dżonka płynie leniwie. Wiatr prawie że ustał. Woda opada, obnażając żółtawe brzegi spod wypustki wiklin... Bezkresna, jednostajna równina mandżurska, przez którą niesie pianę niedawnej powodzi ścichająca, majestatyczna Sungari — Biały Kwiat...

— Dwa tysiące dolarów to majątek, wiesz?

— Tak mi się widzi, choć nigdy nie miałem.

— A tysiąc?

— Nie zdarzyło mi się.

— No a pięćset dolarów?

— Raz zarobiłem trzysta, zbudowałem wtedy dżonkę. Ale to dawno było.

— Więc dlaczegoś mnie nie wydał?

Bosy starzec przekłada rumpel wzruszając ramionami.

— Nie można.

— Ale dlaczego?

— Jak można wydać ściganego? Człowieka w nieszczęściu... Tego się nie robi.

Wyrzekł się gotówki, nowej dżonki, własnej *fanzy* być może. Nie wydał ryzykując życiem swoim i wnuka, bo tego się nie robi — i już. Jak się nie robi kila w poprzek łodzi albo „placka rozłąki", kiedy nikt z domu nie wyjeżdża. Zwyczajnie... Wiktor nie wie: prymityw czy prawdziwa dobroć? Najczystsza, najgłębsza, bo już całkiem bezwiedna, zautomatyzowana dobroć?

— Mówili przecież, że szukają *chunchuza*.

— Wszystko jedno, człowiek prześladowany.

— A może jestem właśnie *chunchuz,* morderca? Zabiję was zaraz, a dżonkę sprzedam w Sansinie... Wszystko mogę — wiesz?

Okrutnie błahy uśmiech ma na ziemistej suchej twarzy i oczy nienormalnie przeniebieszczone... Puste, niewidzące, zda się, oczy.

Stary się trapi, bo taki naprawdę wszystko może.... Rozgląda się nieznacznie za czymś poręcznym, na wszelki wypadek. Ale tamten już zapomniał. Znów się zabrał do swojej roboty. Obłapił nogami kamień, żeby się nie trząsł od tarcia, przygarbił się nad nim. Włosy długie i rozczochrane osypały mu się płową grzywą, ciemne brwi, zszedłszy się do styku, wycisnęły zaciętą bruzdę na upartym czole. W całej tej wielkiej, małpio skurczonej postaci było coś z kaleki i coś ze zwierza.

— Wiele musiałeś przejść, ogromnie... Dziewięć razy po dziewięć dni minie zanim przyjdziesz do siebie, zapomnisz.

— Są rzeczy nie do zapomnienia.

— Dla słabych. Ty jesteś silny... „Jak się ryba urwała, to znaczy że duża" — mówi przysłowie.

— Z rozpaczy czasem i płotka się urwie.

— Za płotką tak nie gonią, nie dają mnóstwa dolarów. Nie, wzięli ciebie nie za morderstwo ani za oszustwo. Walczyłeś z nimi. Nie moja rzecz... Obym tylko dowiózł cię szcześliwie do Sansinu, a tam... Znajdziesz chyba drogę do swoich?

Wiktor skinął głową — naturalnie. Sansin leży przy ujściu Mutanciangu. Iść nocami, trzymając się rzeki, to się dojdzie w końcu do rodzimej tajgi, gdzie matki mogiła, do Fanzy nad Progami, gdzie mieszka Aszyche. Przez Aszyche znajdzie bez trudu Srebrogłowego, z którym ma kontakt Bagorny.

Droga prosta i jedyna — o tym nieraz myślał. Chce czy nie chce, tylko tędy musi iść, do tych ludzi walczących, moralnie lepszych. Tylko wśród nich otrząśnie się, być może, ze swej makabry, wróci do normy.

Ogniwko pękło przed sansińskim przewałem. Wystarczyło je — dostatecznie już przetarte — nasadzić na szpic kotwicznej łapy i stuknąć kamieniem, jak się rozwarło, wyskakując z uszka kajdanka. Obie ręce były teraz wolne. Na przegubach zostały tylko same kajdanki, dwie szerokie, stalowe bransolety, bez znaczenia, jeśli chodzi o swobodę ruchów, ale bardzo niebezpieczne. Demaskowały. Ktokolwiek ujrzy, pozna od razu zbiega. Należało pozbyć się ich czym prędzej, ale tego nie można było zrobić bez pilnika.

— W Sansinie dostanę — przyobiecał stary.

Musiał uważać przy sterze. Krajobraz się zmieniał. W oddali majaczyły wzgórza. Nurt płyciał przybierając na sile. Sungari białymi pieninami wchodziła między odnogi Małego Hinganu i Czangkuntailingu, skaliste progi leżały na dnie w poprzek rzeki.

Dwadzieścia parę kilometrów — i będzie Sansin, duże miasto, do którego oto, po trzech dniach podróży, zbliżał się stary żwirnik z podcharbińskiej wioski. Miał papier, że na roboty. Do budowy nowego toru trzeba dużo żwiru i *pao-czang,* rozdzielający ten szarwark na potrzeby Japończyków, kazał mu się stawić z dżonką w Sansinie. A jeśli wójt każe, to nie ma rady — jego bambus najbliższy.

O zachodzie minęli ujście Mutanciangu i wkrótce stanęli w porcie. Stary wyszedł z wnukiem po pilnik, ubranie i trochę żywności dla Wiktora na drogę.

Wiktor czekał. Z zapadającym zmierzchem na statkach i łodziach przy brzegu zamierała praca. Tylko tartak trajkotał gdzieś w pobliżu. Jazgotliwie zgrzytała tracka piła — pracowano tam widać bez przerwy na dwie zmiany, pod naglącym ciśnieniem wojny. Ten jazgot, światła i odgłosy miasta potęgowały trwożną świadomość bliskości mnóstwa ludzi, z których każdy może poznać i łapać.

Cichą zatokę portu przecięła motorówka. Jej kształt wydał się Wiktorowi ten sam, co motorówki policyjnej w Charbinie, jej burczenie świdrowało tak samo aż w mózgu. Szła wzdłuż brzegu, zatrzymując się niekiedy przy dżonkach. Coś sprawdzali albo kogoś szukali.

Próżno Wiktor starał się uspokoić, nie ma się czym na razie przejmować. Może co wieczór tak objeżdżają w celach porządkowych, a może jakiś kupiec szuka swoich ludzi... Dygotał jednak jak wtedy, rozpłaszczony w wodzie pod kilem, i czuł, że tej psiej zamraczającej drżączki nie jest w stanie opanować. Sam się zdradzi. „Czego tak drżysz? Czemu chowasz ręce, pokaż!". A na rękach kajdanki.

Rzucił się do komórki, obuł świąteczne *sie,* sukienne bambosze starego, wiszące nad wyrkiem, chwycił upatrzony od dawna kawał złamanego bosaka okuty na końcu i z tą maczugą wyskoczył na brzeg. Na ziemię w ciemnościach, gdzie nie tak łatwo go osaczyć.

Rozejrzał się na strony, wciągnął powietrze — zalatywało wilgocią moczarów od ujścia, dymem i śmieciami skądsiś z lewa... Niechybnym wilczym truchtem podążył w ciemną wyrwę pomiędzy miastem a Mutanciangiem.

Szedł drogą, biegnącą wzdłuż rzeki na Ningan, więc dobrze — w kierunku Gór Wschodnich i tajgi. Schodził z traktu, ilekroć zbliżało się coś w mroku, piechur czy *arba.* Czasem skręcał do Mutanciangu, aby się upewnić, że nie oddala się od rzeki. Nad górnym jej biegiem leżała niegdyś poręba na wzgórzu, gdzie stał polski dom i wszystkiemu dookoła matkowała mała kobieta dręczona zadawnioną, skierniewicką tęsknotą.

Dni przesypiał. Raz się przespał w *gaolanie,* a raz w gąszczu nadbrzeżnej wikliny. O zmierzchu ruszał dalej, obchodząc z daleka napotkane chałupy rybaków, pańskie dwory, wioski nowe, otwarte i stare wsie, obwiedzione glinianym murem. Czarne zarysy zębatych blanek na tle gwiezdnego nieba szczerzyły się ponuro w zastygłym średniowieczu.

Z przebytą przestrzenią narastało ośmielające poczucie jędrności. I głód. Głód przede wszystkim. U schyłku pierwszej nocy zabrał kobiecie, idącej na targ, jedzenie, co miała w koszyku. Następnej nocy, przebiegając przez ogrody, złapał zabłąkaną kurę. Rozdarł zaraz i zjadł, przykucnąwszy w zaroślach. Ciepła krew i świeże mięso — to było najbardziej ze wszystkiego krzepiące.

Na później zostały kosteczki. Całe szczęście, bo ta noc, trzecia z kolei, nic mu nie przyniosła, ani kęsa. Gryzł kurze szczątki, wyjmując je z kieszeni łakomie, jak delicje. O brzasku zostawił z boku jakieś miasto czy miasteczko i znów wyszedł nad rzekę.

Obejrzał się, jakby widział ten szmat drogi od ujścia, osiemdziesiąt a może sto kilometrów. Świtało już, trzeba było gdzieś się schować. Tuż przed nim sterczała z wody zadrzewiona wysepka. Przeprawił się tam i zasnął.

Zbudziły go głosy. Wyjrzał.

Mężczyzna wiązał łódkę do pnia, kobieta wysiadała.

— *... zdzies' daże czerepachy wodiatsja, znajesz?*[2]

— *Ładno chwalitsja, podierżi-ka łuczsze*[3] — ucięła kobieta podając spory tobół.

Wyszła na brzeg bosa, w czesuczowym kwiecistym kimonie, nie ściągniętym w biodrach paseczkiem. Wisiało na niej, jak płaszcz kąpielowy.

Podawała, on nosił — tobół, maty, dwie wędki... Broni nie mieli.

Oboje byli w jednym wieku — niemłodzi, lat trzydziestu pięciu. Niegroźni. Wiktor szacując ich mięśnie i ruchy upewniał się, że choć jest bardzo osłabiony, bez trudu jednak dałby sobie radę z tym niepozornym rybiarzem w podkasanych portkach. Kobieta wydawała się mocniejsza, nieco już tęgawa, ale wciąż jeszcze zgrabna i jędrna.

Urządzali się na wygodne wczasowanie. Z tego, jak się on krzątał, widać było, że nieraz tu rybaczył, dlatego taki opalony. Ona mu z pewnością nie towarzyszyła, jej skóra nie zaznała dotąd słońca.

— *Nu wot,* możemy teraz przekąsić.

— Ja bym wolała najpierw wykąpać się.

2. Tu nawet żółwie są, wiesz?
3. Przestałbyś się chwalić, potrzymaj lepiej.

Głos miała niski i zmęczony.

— To się wykąp. Ja tymczasem wszystko przyszykuję.

Zaczął wyjmować z wora i kłaść na trzcinowe maty prowiant — mięso w papierze, manierkę, chleb... Spory bochenek. Wiktor jadł go oczami, połykał dławiąc się skurczem.

A tamta zrzuciła już kimono, białe ramiona wzleciały swobodnie, bez wstydu. Zdjęła koszulę. Wiktor nigdy nie przypuszczał, że kobieta może być aż taka... Nie mógłby określić jaka. Nie znał kobiet, z obrazków tylko. Ta jej nagość wionęła nań czymś tak zawrotnie rozkosznym, że gorąco mu się zrobiło i już nie wiedział, czego bardziej pożąda: chleba czy kobiety.

— A i ładna żeś ty, Niurka — mówił z zachwytem mężczyzna. — Wciąż ta sama, jak w Winnicy.

— Słyszałam.

— Mało ci widać... Nigdy bym przecież nie uciekł, tylko ten głód, Niurka, głodny byłem ciebie.

— Nienasytny, pomyślałby kto — odburknęła, łagodniej jednak tym razem i zeszła do wody.

Mężczyzna został, przyglądając się spod dłoni. Zza krzaków dochodziły jej pluskoty pod brzegiem.

— Ależ się rozigrała, towarzyszko doktor!

— Byłam towarzyszką, teraz pani!

— Nie psiocz... Jak nie złapią, to i przetrzymamy.

Popatrzył trochę i przysiadł. Nalał z manierki do kubka, wypróżnił jednym przechyleniem, chrząknął i tak samo spiesznym, złodziejskim ruchem wsunął manierkę pod worek.

Wiktor się podniósł. Zza drzewa widział nieszeroką odnogę rzeki, brzeg usiany kamieniami, zachwaszczone nieużytki, dalej pola, gołe pola, ścielące się pod miasto na widnokręgu.

Nikogo w pobliżu nie było oprócz tych dwojga, którzy mieli jedzenie i nóż i sami skądsiś uciekli. Szumu nie narobią, bo przecież obawiają się, żeby ich nie złapano.

Bezpieczniej byłoby o zmierzchu, ale czekać parę godzin nim słońce zajdzie... Nie, należało się spieszyć, póki kobieta nie wróci, bo wszystko zjedzą.

Wiktor ruszył na otwarte.

Gdy cień jego przeciął matę, człowiek napoczynający bochenek chleba uniósł głowę i tak znieruchomiał.

— Daj — wykrztusił chrapliwie Wiktor.

Tamten w mig się zorientował, człowiek widać bywały.

— Głodnyś? A to podjedz sobie, zaraz odkroję.

— Daj — powtórzył Wiktor. — Ja sam.

Wyrwał nóż i chleb. Kroił i jadł. Rękawy zsunęły się, obnażając obręcze na przegubach.

Rybiarz fiuknął z cicha — jechało od niego wódą.

— *Nu wot, poniatno...* — skinął na kajdanki. — Japońskie?

— Nie malajskie przecie.

Jadł dalej.

— Naturalnie, jak tak sobie dla pewności... Siadaj, drożej nie wypadnie.

Wiktor siadł naprzeciw. Czujnie, ale bez strachu — miał nóż w ręku, maczugę pod sobą. Jadł.

— Weź kotlet... Nas możesz się nie obawiać. Samiśmy się tak przemykali.

— Słyszałem. Uciekliście.

— Jak słyszałeś, to masz...

Wysunął nogę i tknął pacem w rozharataną łydkę.

— Po nożnych? — spytał Wiktor.

— Nie, nie byliśmy skuci. Drzewo pokaleczyło.

Kobieta z brzegu zawołała:

— Ty tam z żółwiem rozmawiasz, czy do manierki?

— A właśnie, że z żółwiem! Popatrz, jaki się znalazł!

Wyjrzała i zaraz przysiadła za krzakiem, osłaniając swą nagość.

— Rzuć że mi, czorcie głupi!

Podał jej ubranie i do Wiktora:

— Małe przeoczenie, nie pomyślałem.

Ubierała się przykucnąwszy, z głową sterczącą nad krzakiem, z oczami utkwionymi w przybłędzie pracującym zajadle żuchwami; sina pręga, biegnąca od ucha do brody, napinała mu się jak żyła.

— Ty byś, Wania, cebuli dał. Cebula teraz dla niego, sam wiesz... W żółtej torbie, gdzie sól.

Mężczyzna zaczął szperać, ona tymczasem badała:

— Rosjanin?

Wiktor, jak gdyby potwierdzając, wskazał tylko przed siebie żeberkiem, które właśnie ogryzał:

— Do swoich.

— A gdzież tu swoi? Sami Chińczycy.

— Jak walczą to swoi.

— Nu, nie widzisz Niura, partyzant — zaprezentował go Iwan.

Podsunął Wiktorowi cebulę, kiełbasę i nalał z manierki do kubka.

— To ci dobrze zrobi.

— Nie piję.

— E, coś ty, partyzant czy mormon?

— Jak chcesz. Nie znoszę tego smrodu.

Kobieta spojrzała na Wiktora, jak mu się wydało, przyjaźniej, a Iwan mruknął „w takim razie trudno" i wypił duszkiem za niego.

— Nie trzeba od razu tak się najadać — powiedziała wychodząc z ukrycia ubrana. — To są niebezpieczne rzeczy.

— Nic mi nie będzie.

— No, ja bym nie radziła.

Nie była ładna. Blada i trochę dziobata. Tylko obnażone ramiona, pełne i silne — akuszerki czy praczki — przypominały jaka jest naprawdę. Widział ją wciąż bez kimona. Onieśmielała.

Znużone, bławe oczy patrzyły nieruchomo spod przypuchniętych powiek na jego twarz, oszelmowaną ciętą pręgą.

— Zagojona, ale zostanie na zawsze... Czym cię tak?

— Nahają.

— U nas tego nie było — wtrącił mężczyzna. — Co jak co, ale bicie... Nie, bicia nie było.

Drgnęła, przenosząc wzrok na manierkę w ręku swego Wańki.

— Zdążyłeś, widzę?...

— Iii, kiedy on wszystko wie. Słyszał.

— No jak słyszał... Cóż, możemy mówić otwarcie.

Głos przeczył jednak temu zapewnieniu. W głosie był niepokój. Wąskie usta wydały się jeszcze bardziej zacięte.

— Uciekaliśmy z łagru, to wiesz... Ale Japończycy chcieli, żebyśmy odpracowali ten azyl, żebyśmy im służyli. Uciekliśmy i od nich, i tu na razie się chowamy. To wszystko. Mijanka, jak widzisz: ty tam, a my stamtąd.

— Nie idę do sowietów — sprostował Wiktor, by nie gmatwać sytuacji, w której już się zaczynał orientować. — Wracam, jak mówiłem, wracam do tajgi, do swoich.

— Jasne, taka służba.

— Nie, nie jestem na służbie. Wolny. Mieszkałem z rodzicami, póki Japończycy nie spalili, rodziców zabrali. Nie wiem dlaczego. Od dawna tu jesteśmy, a pochodzimy z Polski. Ojciec za cara był na zesłaniu w kraju zabajkalskim.

— No to niezbyt nas chyba lubicie.

— To zależy. Rosję carską czy sowiecką trudno nam lubić. Nie ma za co, prawdę powiedziawszy. Co innego Rosjanie. W Charbinie kolonia polska żyła i żyje w zgodzie z rosyjską, pomagają sobie, jak to na wygnaniu, przyjaźnią się, nieraz to się i pobierają. Sporo jest takich małżeństw, on Rosjanin, ona Polka, albo odwrotnie. Zwyczajnie, po ludzku.

— Po ludzku — powtórzyła machinalnie kobieta i po chwili milczenia odezwała się rzeczowo. — Nie możesz tak iść. Te bransolety trzeba zrzucić. Pilnik? Dostaniesz. Czego jeszcze potrzebujesz?

— Nóż dajcie. I przydałyby się buty.

— Przymierz.

Buty przyniesione z łódki, stały obok — dobre buty, z cholewami. Wiktor zaczął wciągać.

— Ubranie też możemy dać. Weź, nie zbiedniejemy, mamy.

— Wszystkiego mamy w bród — potwierdził skwapliwie Iwan. — Tutaj każda kobieta, jak ma rodzić albo jak nie chce rodzić, to w te pędy do mojej pani doktor. Sława, można powiedzieć.

— Przestałbyś — powstrzymała go żona z grymasem niesmaku. — Owszem, urządziliśmy się, te rzeczy nic dla nas nie znaczą, proszę się nie krępować... Tylko tym swoim towarzyszom nie mów, kto dał. W ogóle nikomu o nas nie mów.

— Niepotrzebnie o tym wspominacie. O zmroku odejdę i nigdy się z wami nie spotkam. Nie obchodzi mnie, kim jesteście.

— Przecież widzisz. Zeki.

Wiktor nie rozumiał.

— Zeki znaczy *zakliuczonnyje* — wyjaśnił Iwan. — Artykuł pięćdziesiąty ósmy, działalność antysowiecka, piętnaście lat łagru.

— Za co? — wzdrygnął się Wiktor i zaraz się zreflektował. — Przepraszam.

— Nie ma za co... Za paczkę.

— Nielegalną?

— Skądże. Najlegalniej w świecie, za pokwitowaniem pocztowym, przez Wniesztorg. Wujek przysłał. Niura miała wuja w Polsce, chciał ratować, przysłał pięć kilo żywności, to było w trzydziestym drugim roku, rozumiesz?

— Wania, to mu nic nie mówi. Oni tu nie mają pojęcia, co się u nas działo — zauważyła kobieta i zaczęła tłumaczyć. — Takiego głodu, jak w trzydziestym drugim, Rosja nigdy jeszcze nie miała, myślę nawet, że nigdzie na świecie nie było dotąd takiego głodu. Ludzie zabijali się i upodlali, marli z głodu masowo na drogach, na ulicach. Nie sposób ustalić, ilu zagłodzonych padło. Statystyka nigdy już tego nie dojdzie, ile milionów pomarło.

— To aż tak straszną mieliście posuchę? Nieurodzaj?

— Nie, pogoda dopisała, słońca i opadów było pod dostatkiem. Lato wypadło znakomite dla rolnictwa, a pola i zagrody leżały martwe, opuszczone... To nie była klęska posuchy, to była kolektywizacja. Stalin likwidował chłopów.

— Po co?

— Żeby się utrzymać przy władzy. Miał chłopów przeciw sobie, stanowili większość narodu i byli materialnie niezależni, co za tym idzie — niezależni politycznie. Należało pozbawić ich gospodarstw, zapędzić do kołchozów i przypisać na stałe jako robotników rolnych, bez prawa poruszania się poza swoją gminą.

— I oni się dali?!

— Ależ zrozum, to się stało po piętnastu latach walk o ziemię, po niezliczonych buntach chłopskich, pacyfikacjach, ekspedycjach karnych, aresztowaniach, wywózkach... Wieś była wykrwawiona, bez przywódców, kompletnie sterroryzowana, mogła stawiać już tylko bierny opór. Ale im mniej ziemi oni obrabiali, tym więcej zboża i mięsa *prodotriady* zabierały im.

— *Prodotriady?*

— Tak, specjalne oddziały, które wybijały ze wsi, jak mawiano u nas, wybijały nałożone kontyngenty i podatki. Gdy nie mogły znaleźć na pokrycie należności, brały i te resztki żywności, które przyznawano na utrzymanie samej rodziny chłopa. Praca na roli straciła wszelki sens. Przyszła beznadziejna nędza i powszechny głód.

— Wtenczas właśnie wuj Niury przysłał z Polski paczkę — przypomniał Iwan. — Mieszkaliśmy w Winnicy, na Ukrainie, gdzie ziemia jak kompost, sama Ukraina mogłaby wyżywić całą Europę, a myśmy płakali, ujrzawszy białą mąkę, i cukier, i boczek! Braliśmy jak dar z nieba, jak chleb pański, nie przeczuwając naszej zguby!

— Wezwano mnie potem do GPU — wyjaśniła Niura. — Próżno tłumaczyłam, że nie mam żadnych kontaktów z zagranicą, nikogo poza bratem mamy, a ten działał przecież za pośrednictwe sowieckiego biura wysyłkowego, po przeczytaniu w gazetach ogłoszenia, że wolno posyłać żywność do krewnych i przyjaciół w Związku Radzieckim. Gdzie tam, nie pomogło, oni lepiej wiedzieli. Radzili, żebym ujawniła te kontakty i nazwała członków organizacji, bo będzie źle. Za tydzień miałam się zgłosić ponownie, wszystko powiedzieć i podpisać. Postanowiliśmy wiać póki czas. Wymknęliśmy się do Smoleńska. Przy pomocy krewnych udało się nam urządzić, pracowałam po dawnemu, jak w Winnicy, w ambulatorium, a Wania w szkole. Po roku wpadli na nasz trop, szczęściem uprzedzono nas i zdążyliśmy wyjechać do Astrachania. Tu przekwalifikowaliśmy się zawodowo, czas najwyższy, poszukiwali przecież lekarki i nauczyciela. Zostałam praczką, a Wania rybakiem, no i żyliśmy tak nawet nie bardzo źle przez parę lat, aż nas złapali i wzięli na badania. Po trzech miesiącach przyznaliśmy się do wszystkiego.

— Ale do czego właściwie?

— A że byłam łączniczką na żołdzie waszego marszałka Piłsudskiego.

— A ja, że należałem do OWU.

— Przepraszam, co to takiego?

— Organizacja Wyzwolenia Ukrainy. Byłem agentem pełnomocnym OWU na Hajsyn i Winnicę — nie bez dumy oświadczył Iwan, licho wie, może się zgrywał, a może naprawdę tak wysoka lokata w akcie oskarżenia łechtała jednak próżność własną. — Ja bym się przyznał i do zamachu na Stalina, ale tego ode mnie nie żądali, nie było tego w planie operacyjnym astrachańskiego GPU.

— I tak się zaczęło łagrowe życie. Co tam mówić, byłeś w niewoli, wiesz, do wszystkiego można się przyzwyczaić, wszystko wytrzymać, byle nie wypaść z koleiny łagrowych dni i nocy, nie doznać tchnienia dawnego życia. Z nami tak się właśnie stało. Po pięciu latach spotkaliśmy się przypadkowo w ostatnim łagrze i to wyrzuciło nas za druty. Wania pierwszy zaczął snuć szalone plany. Był brygadierem. Cała brygada *lesorubów* uciekła. Konwojenci, którzy nie mogli wrócić bez nas do łagru, bo by ich rozstrzelano, musieli ścigać do upadłego. Dla nas i dla nich był to wyścig o życie.

— A jak żeście się żywili?

— Zabraliśmy jednemu rybakowi wędy i kawałek sieci, mieliśmy więc ryby, no i runo leśne, różne jagody, grzyby, orzechy, czasem mięso jelenia albo dzika, raz jedliśmy niedźwiedzia.

— Toście mieli broń?

— Jeden karabin po konwojencie. Daliśmy go Sieniawinowi, geologowi, co długie lata szukał na Syberii nafty, złota, diamentów i innych skarbów, może słyszałeś? — Sieniawin — głośne nazwisko, wielki podróżnik. Pewnego razu powiedział przy wódce, żadna wojna tak nas nie wyniszczy, jak ten Azjata na Kremlu... A było ich trzech. Jeden doniósł. Sieniawin dostał wyrok śmierci, zamieniony na dożywocie... Właściwie on nas prowadził, znał tajgę i był znakomitym myśliwym. Dzięki niemu jadaliśmy niekiedy mięso, no i konwojenci ścigali nas oględnie, wiedząc, że Sieniawin nie pudłuje. Dwóch z nich ustrzelił, ale wciąż szli za nami truchtem gończych psów. Tak samo jak my przymierali głodem, grzebali swoich zmarłych i przedzierali się dalej przez lasy, bagna i góry całe lato i jesień, bez mała dwa tysiące kilometrów, raz tuż-tuż przy nas, to znów gubiąc trop zupełnie.

— A czemu oni nie wezwali pomocy?

— Ba, o to i Japończycy pytali Jeropkina, naczelnika konwoju: „Dlaczego nie zameldowałeś, że ścigasz? Byliby przysłali tobie pomoc, i psy, i samoloty zwiadowcze, i łączność radiową...". „Może przysłaliby, odpowiedział Jeropkin, a może by z miejsca rozwalili...". Skoro straciwszy głowę nie zgłosił się od razu z meldunkiem, tylko puścił się w pogoń pewny, że nas złapie, to potem nie mógł już stanąć do raportu bez więźniów, musiał złapać, albo zginąć.

— A zginąć oni się bali — wtrącił Iwan. — Myśmy uciekając z łagru przekroczyli barierę strachu, dalsze życie tam stało się nie do zniesienia, tak obrzydło, że wybraliśmy samobójstwo, no bo jeśli ma się najwyżej jedną szansę powodzenia na tysiąc niemożliwych, to taka ucieczka jest jakąś próbą samobójstwa. Oni natomiast za wszelką cenę chcieli żyć, gotowi byli na jakikolwiek kompromis, na ugodę z nami. W górach Udokanu błagali wprost o litość, zeki, bądźcież wy ludźmi!

— Musieli się widać znaleźć w paskudnej sytuacji.

— Zaraz się dowiesz. Wydarzyło się to w czwartym miesiącu wędrówki, mniej więcej w połowie epopei, jednej z tych, po których nic nie zostaje, ani kamienia ani pomnika, ani wiersza w literaturze... Leżeliśmy wyczerpani w wąwozie, którego mógł bronić jeden człowiek i rzeczywiście bronił skutecznie, właśnie wtedy Sieniawin ustrzelił pierwszego konwojenta. Mogliśmy sobie pozwolić na wypoczynek. Niosąc na zmianę czterech osłabionych i chorych towarzyszy zdążyliśmy mimo to pierwsi wdrapać się na szczyty Udokanu i przejść Mongolską Szczelinę, zrzucając kładkę w dół. Teraz tamci musieli zejść tysiąc metrów niżej, do granicy lasów, bo tu mieli same skały, musieli tam nożami nie mając siekiery przerżnąć dwa cedry albo sosny, przytargać na górę i spróbować przerzucić na drugą stronę — robota co najmniej na trzy dni, my tymczasem będziemy nie wiadomo gdzie. Kryjąc się za głazami po drugiej stronie przepaści, pięćdziesiąt kroków od nas, wołali — zeki, zostawcie nam chorych, nie ujdziecie z nimi, zostawcie, wrócimy do łagru, na rękach będziemy ich nieśli, jeszcze sobie pożyją, zeki, bądźcież wy ludźmi!

— A wy co?

Kobieta podniosła się, jak gdyby nie miała już nic do powiedzenia i nie chciała słuchać. Poszła do łodzi, zaczęła tam przebierać w rzeczach. Iwan łyknął z butelki i ciągnął dalej:

— Cóż, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że odejść możemy, ale ujść nie zdołamy. Z tym ciężarem, dźwigając czterech na noszach, nie sposób dotrzeć do granicy, wcześniej czy później wytropią nas i dogonią... A ci na noszach za nic nie chcieli zostać i wrócić z konwojem, prosili kategorycznie, rzućcie nas do Szczeliny, albo pchnijcie nożem... Masz pojęcie, co się z nami działo?

— Mam pojęcie — odburknął Wiktor, czując w żołądku refleks spazmu po tamtej chwili, gdy ujrzał u swych stóp grdyki Musi i doktora Cięgło, dwie cieniuchne, jak u piskląt szyjki o sinawej, pomarszczonej skórze, kruche szyjki, które miały chrupnąć pod drewnianym chodakiem. — Jakże w końcu, rzuciliście ich?

— Pomarli we śnie.

Kobieta skończyła gmerać w rzeczach przy łodzi, odwróciła się. Iwan ściszając głos dodał:

— Ona matkowała im do końca.

Szła do nich z węzełkiem w ręku.

— Znalazłam jeszcze, co się może przydać w drodze.

Podała Wiktorowi i siadła obok, silna kobieta, z tych walkirii i wojownic, co w sagach i mitach. Splotła dłonie na kolanach... Z dojmującym zrozumieniem patrzył na te miłosierne ręce, zgadując, w jaki sposób dały sen i wieczne odpoczywanie wykończonym, niezdolnym do dalszej wędrówki towarzyszom...

— A więc tak — odezwała się tonem zamykającym opowieść — przedzieraliśmy się ku granicy dwieście trzydzieści trzy dni. Było nas dwudziestu dwu zeków i pięciu konwojentów z ich *wzwodnym* Jeropkinem na czele. A przez Chingan, który u nas nazywa się Łańcuchem Pomyślności i Pokoju, tylko myśmy przeszli, ja z Wanią i Jeropkin. Tu nas wreszcie dopadł, ale kiedy się zorientował, że jesteśmy już na chińskiej ziemi, rzucił broń i także poszedł szukać mandżurskiego posterunku... Jest w Charbinie, w japońskim komitecie Wolnej Rosji.

— Wyzwoliciel! — prychnął Iwan. — Ja go sobie nie mogę wyobrazić inaczej, jak na bramie przed kolumną o świcie. Wprost słyszę ten chamchaty głos, tę komendę wymarszu do pracy: *Wnimanje! Szak na prawo, szag na lewo — pula w łob! Marsz! Da pożywieje, parazity, powiesielieje... S piesniej szagajem!*

Dali mu rzeczy życia i śmierci: nóż, pilnik, buty, trochę żywności, coś z ubrania, krzesiwo z długim knotem... Może z poczucia solidarności, pamiętając własną drogę zbiegów, a może i z obawy. Na przekupienie, żeby o nich nie gadał, dali mu takie milczkowe.

Uchodził w nowe przestrzenie i noce silniejszy o dziesięć cali hartowanej klingi. Zasobny w ogień i ciepłą strawę. Bardziej wytrzymały, zwinniejszy na obutych nogach. I samotny jak nigdy.

Rozmowa z dwojgiem zbiegłych zeków głęboko zapadła w duszę. Z początku nawet tego nie poczuł. Tak jakoś mówili zwyczajnie. Dopiero później zwyczajność rzeczy niesamowitych poczęła gęstnieć i gnieść. Im dalej, tym mocniej. Nie można było o tym nie myśleć.

Piłował na postojach zatrzask w kajdankach i myślał do zgrzytu pilnika o niepojętym, bezkresnym kraju za Pasmem Górskim Pomyślności i Pokoju[4], gdzie do niedawna szukał ludzi świadomych jakiejś wielkiej prawdy, moralnie lepszych. Mimo wszystko, co o nich gadają, znaleźli widać słuszną drogę i nową wiarę, rosną przecież w siłę, budują mocarstwo i mają ludzi tej samej miary co Bagorny... Tak kiedyś myślał. A gdy cisnął swe żelaza na dno Mutanciangu, to jakby się nie poczuł wolniejszy. Bo i cóż miał począć ze swoją wolnością? Z kim się łączyć i w imię czego? Widział twarze obojga zbiegów, ich krzywdę, udrękę, niewolę; widział krzywdę, udrękę, niewolę milionów ludzi, co zostali tam w niezliczonych łagrach i dzień w dzień o świcie słuchają w karnych kolumnach przed wymarszem za druty: Uwaga, krok w prawo, krok w lewo — kula w łeb! Naprzód marsz! Śpiewać!... Matko Boża, jak można śpiewać idąc do katorżnej pracy? I jaką pieśń, by spodobała się konwojentom? Może

4. Tubylcza nazwa gór granicznych Chinganu.

śpiewają *ja drugoj takoj strany nie znaju, gdie tak wolno dyszyt czełowiek...*

— Szkoda Srebrogłowego i partyzantów, nie wiedzą... Co innego Bagorny, ma rozkaz, musi walczyć o takie Chiny... Ale ja wiem! I ja nie muszę!

Niósł więc swe odkrycie, swą samotność w nowe noce i dale nad brzegami czystej rzeki. Czasem ścinając jej łuki schodził na *siaolu*, na te wąziutkie ścieżyny, wydeptane w żółtej glinie stopami niezliczonych pokoleń chłopskich. Ścieżki, pomykając od wioski do wioski przez Chiny wzdłuż i wszerz, przenikające je całe rozedrganą siatką włoskowatych naczyniek, po których nieustannie krąży żywa krew narodu.

Przeszedł tor Kolei Wschodnio-Chińskiej i znalazł się w *szu-hai*.

Mógł teraz iść cały dzień, przesypiając noce. Był w domu. Rodzima tajga osłaniała i żywiła. Gdzie tylko słońce docierało, gdzie poszycie nie głuszyło, na zboczach sopek i po krawędziach jarów tryskały barwnymi płachciami rozległe jagodziska tak zwarte, że buty po przejściu przez nie stawały się czerwone. Młode ptactwo dawało się jeszcze wybierać z gniazd. Pstrągi i *auchy*, chińskie okonie, które się łowiło dzięki otrzymanym haczykom z żyłkami — można było teraz wypełniać w środku cebulkami smolinosu i dzikiego czosnku, zapiekając w glinie. Zamiast soli miało się popiół olszowy.

Sił przybywało od samego zanurzania się w Leśnym Morzu, gdzie wszystko było prawdziwe i swojskie. Wszystko zrozumiałe. Tu nareszcie Wiktor odnajdywał siebie, swą wiedzę tajgi, nawyki i zmysły. Oczy po dawnemu bezwiednie i ciągle rejestrują każdy szczegół, węchem rozeznaje wszelką obecność w pobliżu i słuch nawet we śnie pracuje, jak u jelenia.

Pewnej nocy, gdy zasnął nad Mutanciangiem w okolicy, jak mu się wydało, znajomej — zbudził się, tknięty nagle obcym dźwiękiem: żelazo zgrzytało o piasek. Wsłuchał się. Gdzieś niedaleko kopano. Kopano ostrożnie z przerwami... Dźwięki zamierały na jakiś czas, by się odezwać wkrótce z innej strony...

Miało się wrażenie, jak gdyby ktoś szpadlem dziabnął, poszedł dalej, tam znowu dziabnął, wyrzucając piasek.

Wiktor patrzył przyczajony, nic jednak nie zdradzało czyjejkolwiek obecności. Dopiero gdy ujrzał bezszelestny, równy lot i ptaszysko zapadło tuż nad nim, pojął, że to sowa-przedrzeźniacz. Ta jedna z wielu sów ma papuzie skłonności. Ale skoro zgrzyta piaskiem, musiała się tego nasłuchać. Ktoś tu kopał i to przez dłuższy czas. Złota szuka? Do czegóż by innego był potrzebny w tajdze piasek rzeczny? Należało sprawdzić.

Wstający dzień ukazał rzekę jak rozrzucony płaszcz z rękawami w obie strony, z głównym nurtem szeroko rozlanym na

przemiale wśród piaszczystych nanosów. Miejsce rzadkie, jak na Mutanciang, raptowny zazwyczaj, wzburzony na szypotach pomiędzy górami albo spokojnie liżący swe brzegi w kotlinie, tłuste i rdzawe żuły leśne.

To miejsce Wiktor znał. Tędy płynął w krainę Siuksów, Irokezów i Mohikanów, a u steru stał Pen, chłopak zupełnie bez wyobraźni. Wszystko brał poważnie — ich pobratymstwo, czerwoną skórę i swe nowe, piękne imię. Tu gdzieś na szerokich płyciznach, poprzemieszanych z ławicami białych kamienistych gładyszków, rozbiła się ich tratwa i trzeba było dyrdać niepysznie do ojca Pena, zdrajcy Wu, który wtenczas nie był jeszcze zdrajcą. Zawsze uśmiechnięty i przymilnie usłużny, palił w piecach, nosił wodę, pracował w ogrodzie i sadzie, znał się na wszystkim, umiał wszystko — ulubieniec i wyręka matki, cicha odraza ojca: „Nie patrzy w oczy, taki zawsze ma duszę mętną...".

Wiktor idąc brzegiem trafił wkrótce na ślady piskorskiej roboty. Sowa nie na próżno zgrzytała: tu rzeczywiście kopano. Piasek był przesiewany i wywożony na mule. W najbliższym sąsiedztwie, do dwóch godzin drogi, leżała zagroda Wu. Za nią, pięć kilometrów dalej na południe, był Polski Dom, ich dom... Był. Spalony, więc się nie liczy. Piasek mógł wozić tylko Wu.

Ślady człowieka i muła wiodły tam i Wiktor, oddalający się za tym tropem od rzeki, wchodził już do lasu. Zaskoczyła go bardzo zagadka, kto to tak skrzętnie, dzień w dzień wywozi stąd piasek, do czego... Raptem stanął, wyczuwając czyjąś obecność. Powiódł okiem i ledwo musnął opleciony lianami orzech — wyskoczył Pen. Zupełnie jak bażant, kiedy spojrzy się w to miejsce, gdzie przycupnął.

Wiktor odruchowo wyrwał zza cholewy nóż i Pen pognał ścieżką. Obejrzał się biegnąc; dziwnie płochym, wyzbywającym się ruchem cisnął siekierę na ziemię i znikł między drzewami. W pobliżu mogli być ludzie. Wiktor podniósł siekierę i zawrócił czym prędzej do rzeki z dręczącym przeświadczeniem, że sfuszerował, trzeba było Pena od razu nożem. Teraz pobiegł do ojca, tamten zaalarmuje policję, może zacznie ścigać na własną rękę.

Rozzuł się i boso, z butami na ramieniu, pochlapał w górę Mutanciangu, nie zostawiając śladów. Na wypadek, gdyby Wu zaczął tropić z psami.

Ryba rzucała się jeszcze na plosach, ostatnie smugi różowych mgieł porannych topniały w powietrzu i sarny dopiero schodziły z popasu nad rzeką. Było cicho, bezpiecznie. Wiktor wchodząc znowu w las nie miał już tej pewności, że Pen pobiegł do ojca. Może po prostu stracił głowę na widok ofiary ojca i dlatego uciekł. Ten jego ruch, gdy rzucił siekierę, był raczej ruchem poddania się czy nawet dawania.

— Dlaczego odrzucił? Miał przewagę, mógł siekierą zarąbać...

To było oczywistym absurdem. W żaden sposób nie można było sobie wyobrazić, żeby Pen — Wierne Serce, jego druh, jego cień — porwał się na niego z siekierą. Pen, którego Wu przynosił co dzień na barana, aby mały *szao-je,* mały panicz Wiktor, miał rówieśnika na tym odludziu. Podrósł, to sam przebiegał z rana kawał drogi od *fanzy* Wu do polskiego domku na porębie, gdzie wysoki pan, ruszając strasznymi wąsami, za każdym razem się dziwił: „A jesteś już, Pąku" (pękate toto było i niedźwiadkowo wdzięczne). A dobra *tai-tai,* której nigdy nie nazywał po polsku „pani", nawet gdy już dobrze umiał — sadzała go zaraz obok syna: „Jedz, Peńcio, póki gorące, zdążycie jeszcze się nabawić". Po śniadaniu obaj zmykali w ten ich świat, zamknięty tajgą, dzieciństwem i mieszaną, dla nich tylko zrozumiałą mową polsko-chińską.

Tak było do szkoły. Wyjazd, gimnazjum, miasto, nowi ludzie, nowe zainteresowania — to wszystko oddaliło. Właściwie on, Wiktor, oddalał się i wracał odmieniony — Pen stał w tym samym kręgu wyobrażeń. Ostatni raz widzieli się w czasie wakacji zimowych, cztery lata temu. Wiktor był przed maturą, Pen po pierwszej drwalskiej wypłacie, którą mu ojciec naturalnie zabrał. Niewiele już zostało wspólnego u maturzysty z analfabetą. Żenowało jego przywiązanie, ciążyły dawne śluby, pojęcia, stosunki, które ten w prostocie ducha konserwował. Żal go było i odwagi brakło powiedzieć wprost, że nie są braćmi. Trochę tej krwi, zmieszanej według rytuału pobratymstwa — toć to była dziecinnada, czysty swędzik romantyczny. Nigdy nie popłyną z odsieczą Siuksom, szlachetnych Siuksów dawno nie ma i Wierne Serce jest po prostu Penem, synem Wu, sługi pana Domaniewskiego...

— Dobrze, że uciekł, mogłem go nożem z głupia pchnąć, mało brakowało...

Nic przecież nie mógł zarzucić Penowi prócz tego, że był synem Wu. Oczywiście Pen stanie w obronie ojca. Wcześniej czy później dojdzie do tego. Trudno wymagać by zrozumiał, że Wiktor, wyrównujący rachunek za rodziców i siebie, nigdy w całości do czysta nie wyrówna, nawet gdy szpicla spali, jak on ich spalił, nawet gdy gada zabije.

Zrobiłby to natychmiast, ale Wu nie mieszka sam. Nocuje u siebie drwali, a i patrole Mandżurów, zapuszczające się w tajgę, korzystają niekiedy z gościnności swego konfidenta. Bez broni tam ani rusz.

Trzeba było zdławić w sobie na razie żądzę odwetu. Chciał tylko popatrzeć bodaj z daleka na kochaną porębę, na zgliszcza, ale doszły go stamtąd dźwięki stukania czy obracania — jakieś

budowlane odgłosy. Obszedł przezornie, zanurzając się głębiej w *szu-hai*.

Przed wieczorem stanął u Tygrysiego Brodu. Nie znalazł krzyża z dwóch brzózek ani kopca. Nawet skały nie było. Woda nadwyrężyła ją widać, drążąc podstawę, napór ostatnich powodzi obalił i nic nie zostało po Domaniewskiej, nawet mogiły.

Był czerwiec, być może dwudziesty trzeci — dokładnie Wiktor nie wiedział — w każdym razie koniec czerwca... Akurat trzy lata. Tu zmarła z jego świadectwem dojrzałości w zaciśniętej dłoni. Stąd przeniósł ją na skałę, bo szła noc i trzeba było gdzieś się skryć. Tam siadł; ochrypła, drżąca Jaga legła przy niej... A *tsaoer* śpiewał nie dożyte, nie ziszczone...

Zdawało mu się wtedy, że już gorzej być nie może. Teraz siedzi, objąwszy kolana, po stokroć bardziej samotny i osaczony. Wierzchołki drzew i gór sterczą na niskim niebie, jak wyspy dźwignięte z oceanu ciemności.

Dawniej mógł przynajmniej wierzyć w zaświaty, w jakieś życie piękniejsze po śmierci czy na ziemi w przyszłości. Ale niebo jest puste, a ziemia plugawa. Człowiek? Dziękuję, wolę tygrysa.

— Tajga... Będę w niej takim, jak mi się spodoba. Jak każdy zwierz — zależnie od zdobyczy.

Gdzieś koło południa ukazały się progi, drzewo przerzucone na drugą stronę potoku, *fanza* zgrzybiała, przyziemna, na zboczu, wrośnięta w ziemię i w dziki krajobraz.

Cunmindi szczeknął. Zza chruścianego płotka, którego dawniej nie było, wyjrzała Aszyche. Chwilę przyglądała się nadchodzącemu, naraz przesadziła płotek i pobiegła ku niemu.

Słowa radości i powitania zamarły jej na ustach — tak był zmieniony i obcy.

— Co się stało, Wei-tou?

Wiktor nie odpowiadając przepatrywał nieufnie *fanzę* i okolicę.

— Czy tam nikogo nie ma?

— Naturalnie.

— A w pobliżu?

— Mieszkam sama.

— To Ju?

— Ju zginął w tym dniu, kiedy odszedłeś. Tygrys go rozdarł... Ale wejdźże, Wei-tou, odpocznij.

Wtedy spojrzał na nią. Oczy miał bielmowate, nieczułe, prześwietlone niebieskością i głos przytłumiony, bez wyrazu.

— Jesteś ładna i zdrowa i niedobrze tak mieszkać samej w *szui-hai*. Ta *fanza* starczy dla dwojga... Zostanę z tobą, Aszyche.

Kiedy doszli do bieguna

Lui-Tsin podszedł do ściany na której wisiał ich kalendarz, jak w każdej leśnej *fanzie*. Zapomnieli wczoraj odrzucić dzień przeżyty , więc Lui-Tsin przesunął na rzemyczku kuleczkę i wtedy Chińczycy zobaczyli szósty dzień *tung-czy*[1], a Polacy dwudziesty pierwszy grudnia. Poczęli zastanawiać się, jak spędzą Wigilię i czy nie urządzić choinki. Tymczasem Bagorny, Aszyche i Mo Tuan, przysunąwszy się do siebie, zaszeptali o czymś żywo.

To było przy obiedzie.

A wieczorem zostali jak zwykle po kolacji, rozmawiając o tym, kogo i gdzie wyprawić po ostatnie zakupy do miasteczka, żeby wyposażyć dom we wszystko jak należy. Później o tym i owym — co zbudowali i co mogli jeszcze zdobyć wspólnymi siłami. Tworzyli komunę. Nie wszyscy wprawdzie przyznawali się do tego słowa, jednakże wiedzieli, że trzymając się razem mają jakąś przyszłość.

Marzyli więc na głos przy stole.

Na południowym zboczu można założyć ogród warzywny.

Pożarzysko po spalonym lesie za bajorem zaorać i zasiać tam proso i pszenicę.

Dżonkę zbudować, aby żeglowała po Cinpohu w drugi koniec jeziora, wioząc na sprzedaż wszystko, co wyciągną z roli i łowiectwa, a przywożąc towary.

Lui-Tsin dorzucił, że i on ma swój wkład. Korzeń Życia stał się ostatnio rzadkością w dzikim stanie, a Lui-Tsin za stary na przeszukiwanie tajgi. Wszystkie jego osiemnaście tysięcy porów ciała proszą stanowczo o spokojniejszy oddech. Tymczasem żeń-szeń rośnie w najgłuchszych ostępach, przez które przedrzeć się trudno. Ludzie mówią, że szukać należy tam, gdzie upadła gwiazda, ale to nieprawda. Po prostu, gdzie wznosi się niewysoka, dumna łodyżka o kilku zaledwie listeczkach i kwiatach barwy chryzolitu, tam nie ma żadnej innej rośliny ani trawy — wszystko wokoło na dwa kroki od siebie pali swym tchnieniem żeń-szeń, jakby naprawdę spadła tu gwiazda ognista. W takich właśnie miejscach, jemu tylko znanych, Lui-Tsin zasadził przed kilku laty żółtawe nasionka, aby cudowna roślinka czuła się u siebie i zdro-

1. *Tung-czy* — zimowe przesilenie dnia z nocą, 22-gi okres w dawnym kalendarzu chińskim.

wo kwitła. Spodziewa się teraz pierwszych plonów. Tak, Lui-Tsin nie będzie ciężarem. Za każdą sztukę wszechleku kupcy płacą złotem — pięć razy, dziesięć razy więcej niż waży Korzeń Życia.

To było dobre źródło dochodu, przyznał Wiktor, ale należało pomyśleć i o drugim — o hodowli pantaczy. Już jedno stadko, mówił, da im grube pieniądze, jeśli tylko dbać jak należy o jelenie, młode poroża spiłowywać w odpowiednim czasie i odpowiednio konserwować.

Słowem zanosiło się — wszyscy to widzieli — zanosiło się na wcale niezłe, może nawet i dostatnie, wspólne życie.

I wtedy zaproponowano, aby je jakoś wyraźniej określić.

— Po co? — zapytał Wiktor.

Bagorny odrzekł, że w tej chwili nie ma to na pozór znaczenia. Ale trzeba patrzeć w przyszłość. Chcą czy nie chcą, są komuną. I tak samo niezależnie od swej woli będą musieli walczyć z Japończykami. Budujący się w odległości trzydziestu kilometrów fort na Domni stwarza stan nieustannego zagrożenia.

— Ja to rozumiem — upierał się Wiktor — ale po co nam nazwa?

— Po to, by zdać sobie sprawę z tego, gdzie nasze miejsce. Musimy wreszcie wyjść z izolacji, musimy współdziałać z chińską armią ludową, z Wyzwolonym Okręgiem Pogranicznym.

Rozmawiali po chińsku, więc Liza, Koropka i Szwyrkin nie rozumieli. Zwykle tłumaczyła im T'ao, ale jej nie było. Nie wyszła dzisiaj ze swojej klitki. Aszyche i Liza odwiedziły ją, przynosząc wiadomość, że T'ao jest chora.

Zaniepokojony Koropka trącił Wiktora i ten wytłumaczył mu w paru słowach.

Bagorny szepnął coś Aszyche, potem przechylił się do Mo Tuana. Wszyscy troje trzymali się razem. Komórka? Goryczą i trwogą przejęła Wiktora myśl, że Aszyche jest po przeciwnej stronie, że mówi z wyrzutem:

— Wei-Tou, jak możesz sprzeczać się o nazwę, o imię, które wyzwala nas z samotności?

Prawdopodobnie Bagorny specjalnie napuścił ją, żeby przejść na chiński i w ten sposób wyłączyć z dyskusji Iwana, Lecha i Lizę.

— Wybacz, że odpowiem po rosyjsku, ale oni też chcą mówić. Niech Bagorny tłumaczy.

— Tak jest, obrady będą dziś prowadzone w języku Puszkina i Mendelejewa.

Kiedy indziej może by się zastanowili nad tym odezwaniem

się Ałsufjewa. Wyprostowany i dostojnie skupiony, zachowywał niezmąconą powagę przewodniczącego. Zbyt jednak byli przejęci sporem i już się przyzwyczaili do jego dziwactw.

— Dobrze — zgodził się Bagorny. — Można i tak. Spróbujmy jakoś dojść do sedna prawdy.

— A której prawdy szukasz, Aleksandrze Sawiczu? — spytał nagle Koropka. — Jest ich wiele i każda inna. Są prawdy radosne i budujące, a są i takie, co parzą i kaleczą. Którym spojrzeć w oczy straszno. Nie każdą prawdę, powiedział jeden z zapomnianych naszych pisarzy, nie każdą prawdę można orkiestrą na trąbach wydmuchać!

Bagorny uśmiechnął się kącikiem ust.

— Ogromnie wy, Polacy, lubujecie się w takich błyskotliwych powiedzonkach. Pięknie... Ale wniosek jaki? Idea?

— Ach, każda idea, gdy się zmaterializuje w jakiejś organizacji... Toć i chrześcijaństwo, jak westchnął pewien mądry ksiądz, jakże piękne byłoby chrześcijaństwo, gdyby nie było Kościoła!

— Nie rozumiemy się. Wy o cnocie, a ja o forcie... Powiadam, fort na Domni to panowanie Japończyków nad tajgą i Międzygórzem. Niewola, wyzysk, śmierć mnóstwa ludzi. Ten fort trzeba zniszczyć, nim zostanie zbudowany. Zniszczyć tak, żeby się im odechciało przychodzić w te strony. Zrozumiałe? Zdaje się i dziecko zrozumie. Musimy zorganizować mocny oddział. Proszę powiedzieć, kto się przyłączy do dzikiej grupy kilku Rosjan i Polaków? Jaki cel, jakie hasła mogą tu zmobilizować okoliczną ludność? Dobrze wiecie, jakie... Ale wy tę jedyną możliwość walki gotowi jesteście zerwać. Zerwać w imię czystego człowieczeństwa i wzniosłych prawd, na znak protestu przeciw wszelkiej przemocy i niepełnej prawdzie... Wasz humanizm, pozwólcie, że i ja użyję tego stylu, chodzi w butach Japończyków, wasze piękne metafory służą im za darmo!

— Ja bym prosił bez demagogii! — obruszył się Koropka, ale spojrzawszy na Lizę, Wiktora i Szwyrkina, stracił rozpęd. Bagorny miał rację. Wszyscy to czuli. Ustrzelił ich tym fortem.

— Kiedy ja wcale nie występuję przeciw walce z Japończykami — spiesznie sprostował Koropka, a Iwan Szwyrkin, zerknąwszy na oponentów, podsunął dowód obustronnie oczywisty: — Wszyscyśmy ucierpieli od Japońców, kochamy ich jak dżumę.

— Jednym słowem, o co się tu spierać, o nazwę? — zawołała Liza. — Jaką nazwę proponujesz, Aleksandrze Sawiczu, powiedz, może wszystkim się spodoba.

— Internacjonalna komuna imienia Josifa Wissarionowicza Stalina — odrzekł Bagorny. — Dziś właśnie dzień jego urodzin.

Słowo „jego" pobrzmiewało dużym jot i padło w martwej ciszy. Koropka pierwszy ocknął się z oszołomienia.

— Daj spokój, Aleksandrze Sawiczu — odezwał się nie patrząc na Bagornego, jakby się wstydził za niego. — Przypomnij pakt Stalina z Hitlerem, i waszą napaść na Polskę w czasie wojny z Niemcami jak sztylet w plecy, i wywózkę naszych rodaków, toć setki tysięcy ich u was w niewoli, w łagrach, na zesłaniu...

— To były tragiczne konieczności ówczesnej sytuacji. Obecnie mamy porozumienie i sojusz, wszystkich jeńców i więźniów polskich zwalniamy.

— Tylko tym, którzy bez żadnej winy poginęli u was, tym wszystkim dialektycznie pomordowanym życia nie przywrócisz, ani Stalina nie wybielisz... I my go sobie nigdy za patrona nie weźmiemy, nigdy!

— No tak, rewolucja przemawia do was odświętnie z pułapu górnych idei i dążeń. Ale ma ona swój dzień powszedni, swoją żmudę, krew i pot, miewa straszliwe dramaty i musi być bezwzględna, czasem okrutna.

— Masz na myśli łagry? — spytał Wiktor. — Łagry, czy ofiary głodu i chłopów?

— I to i tamto. Musieliśmy zlikwidować prywatne gospodarstwa chłopskie.

— A dlaczego musieliście? — zdziwiła się Liza.

— Stalin nie utrzymałby się przy władzy — wyjaśnił Wiktor, przyłapując się na tym, że powtarza zdanie Szwyrkinowej, zawahał się na moment, skrępowany obecnością Szwyrkina, uczestnika ich rozmowy nad Mutanciangiem, nie mógł się jednak powstrzymać od przytoczenia dalszych, bardziej znaczących słów Niury. — Chłopi stanowili większość narodu, a byli kontra i byli materialnie niezależni. Dlatego Stalin spisał ich na straty.

Szwyrkin uniósł głowę znad splecionych na stole dłoni, omiótł dyskutantów zirytowanym spojrzeniem, jakby go czymś osobiście dotknęli albo coś w nim rozjątrzyli.

— Wy tu tak sobie politycznie, ekonomicznie i bodaj jak księgowi...

Dotychczas ograniczał się do krótkich odzywek. Może nie chciał jeszcze bardziej zaogniać swych stosunków z Bagornym, który faktycznie kierował ich wspólnotą, może liczył na jego pomoc w ewentualnej sprawie uwolnienia żony, żonę przecież miał u Japończyków wśród więźniów na Domni. Teraz nie wytrzymał. Ale bardzo się widać hamował, by nie wypadło zbyt ostro, zbyt brutalnie.

— Spisać na straty, no niby można się tak wyrazić... Tylko czy widzieliście kiedy ślepe pociągi? Takie długie składy z samych towarówek, z wagonów bydlęcych, co stoją tylko w nocy i zawsze na ostatnim torze? Ciemne pudła na kołach, zabite, zaryglowane, i konwojenci po obu stronach, i wilczury przy nich... Nie poznać, że te pudła dobrze upchano i że nie cegły w nich, nie bawełna... Tylko cisza, tylko powietrze zdradza. Powietrze, wiecie, ciepłe od oddechów, zalatuje smrodem stłoczonych, niemytych ciał, uryną i kałem. A cisza żyje tam straszną, dławioną męką. Mówi o niej niekiedy czyjś jęk albo płacz dziecka, albo ledwo dosłyszalne lękliwe błaganie o wodę, pić, pić, i warczenie wilczura na to. Mieszkańcy domków przy stacji dobrze znają te pociągi, ślepe pociągi. Przechodzą noc w noc, uwożąc precz wrogów ludu...

— Szwyrkin, jak się zbiegło z ojczyzny, to niekoniecznie trzeba ją szkalować!

— Nie z ojczyzny, towarzyszu pułkowniku, ja zbiegłem z łagru!

— A powiedz, Iwanie Trofimowiczu, co to za ludzie ci wrogowie ludu? Złodzieje, bandyci, malwersanci?

— Nie, Lizo, złodzieje, bandyci, malwersanci stanowią w łagrach uprzywilejowaną kastę. Dostają łagodniejsze wyroki, solidarni, zorganizowani, potrafią urządzać się na funkcjach, a po wyrokach wychodzą zazwyczaj na wolność.

— A wrogowie ludu?

— To są przeważnie ofiary, niewinne ofiary ze wszystkich warstw, ze wszystkich zawodów i narodów Związku Radzieckiego.

— Szwyrkin!

— Prawdę mówię, towarzyszu pułkowniku. Przysięgam, jak pragnę ocalenia Niury, przez te sześć lat, co spędziłem w łagrach i ślepych pociągach, widziałem wśród wrogów ludu chłopów, skazanych, wyrwanych z ziemi całymi rodzinami albo nawet niemalże całymi wioskami za to tylko, że w żaden sposób nie chcieli iść do kołchozu. Widziałem chrześcijan, Żydów, mahometan, baptystów i innych wierzących. Widziałem starych bolszewików z leninowskiej kadry. Inżynierów i robotników. Generałów i oficerów. Uczonych, pedagogów, literatów, lekarzy, marynarzy, sportowców, kierowców, esperantystów, dwóch komików i jednego cudotwórcę... Wszyscy byli wrogami ludu. Wszystkim im zarzucano, że byli antystalinowcami bodaj w mowie i myśli tylko, a nawet tylko w posądzeniu sędziego!

— Boże, w głowie się nie mieści...

— Mieści się, mieści, Lizo, jeśli przyjąć, że zdecydowano się na taki terror stały i masowy, żeby działał jak paraliż i jak hipnoza...

— Jeśli chcecie być sprawiedliwi, musicie policzyć i to, co

historia zapisze na dobro Stalina — zbudował mocarstwo komunistyczne!

— Nie przeczę, mocarstwo zbudował, ale komunizm pohańbił...

— A co to nas obchodzi! — zawołał Wiktor. — Wasza potęga tylko wam służy i wy możecie tym się pocieszać, trudno, mamy biedę, i terror, i wstydliwe sprawy, za to jesteśmy mocarstwem. Ale inne narody? Co dla nich znaczą wasze Dnieprostroje, Magnitogorski i wszelkie inne giganty, cały ten Kanał Białomorski, na którym, gdy statek idzie, słychać podobno, jak się rusza podkład, jak się tłuką na dnie kości więźniów... Z czym do ludzi, Aleksandrze Sawiczu? Masz, Aleksandrze Sawiczu, Ewangelię?

— Uspokój się, Witia. Nie czas na zgrywę. Stoimy wobec najbliższej, zagrażającej nam placówki imperialistów...

— Ja ten imperializm mam w dziąsłach, w kościach i na twarzy! Przedzierałem się do was po torturach spragniony walki o lepszy, inny świat, ale u was, jak się okazuje, też niewola, brudy i wyzysk. Daj mi rzecz najcięższą, ale żeby była jak Ewangelia! Coś bez krzty zwątpienia, coś świętego... A nie, to będę żył moim dniem powszednim, moją własną techniką i siłą, jak każde stworzenie tutaj w *szu-hai*.

Bagorny poczerwieniał z oburzenia, chociaż nie wiadomo, co go właściwie tak wzburzyło w słowach Wiktora, byłby trzasnął pięścią w stół, ale Koropka powstrzymał ją swoją malutką dłonią.

— On się nie zgrywa, musisz to zrozumieć, Aleksandrze Sawiczu. Młody, więc maksymalista... Mówmy spokojnie. Mamy rzadką sposobność oglądania tych zapiekłych spraw z tak wielkiego oddalenia, że jakby już zza grobu, niczym duchy w czystej kontemplacji.

Ałsufjew drgnął. — Duchy czyste? — spytał podejrzliwie spoglądając na nich z ukosa. — To dlaczego tu śmierdzi? Ja to czuję! — pociągnął nosem. — Jak żeście dopuścili, że planeta śmierdzi padliną?!

— Ona się tylko poci, to przejdzie — spróbowała uspokoić go Liza.

— A dlaczego się poci?

— Przed nową erą — wyjaśnił profesor.

— Wszystkie ery wyczerpane — uciął Ałsufjew. — Daję wam ostatnią szansę. Radźcie, ja się tymczasem pomodlę.

Złożył ręce, zamamrotał z buddyjska *om mani padme hum... om mani padme hum...*

Bagorny szepnął — „tym razem zapadł na dobre"...

— Nie poznaje nas — przyznała Liza.

— To co się robi w podobnych wypadkach?

Nikt nie wiedział. Naradzali się półgłosem. Zdarzały mu się zaćmienia umysłu, ale nie w takim stopniu, teraz jest gorzej.

— Nie masz ty czegoś na chorą głowę? Żeby przestał majaczyć — zwrócił się Bagorny po chińsku do Lui-Tsina. — Musi być coś na to w tybetańskiej medycynie.

— Napar panczenlamy powinien mu pomóc. Spróbuję przyrządzić, ale to potrwa.

— Przyrządź, nic innego nie pozostaje... Żebyś tylko mógł to zrobić jak najszybciej.

Koropka popatrzył za wychodzącym Lui-Tsinem i pochylił się ku Bagornemu w dramatycznym ruchu poufnej przestrogi:

— Opamiętaj się, ratujesz wroga klasowego, arystokratę, byłego obszarnika. Zbyt dużo świadków... Enkawude może się dowiedzieć, że za granicą miewasz jednak serce!

— Przestań — odburknął Bagorny. — Znalazłeś porę na dowcipuszki.

— Kiedy to dla mnie najważniejsze. Ważniejsze od rewolucji i wszelkiej potęgi.

— Ale o czym ty mówisz?

— O sercu, Aleksandrze Sawiczu, o dobroci. Dobroć uważam za pierwszą ludzką cechę. Wszystko tym mierzę i kwalifikuję, dobrocią i pochodnymi od niej jak uczciwość, życzliwość, poczucie sprawiedliwości... Dlatego nie dociera do mnie twoja fascynacja tym, coście zbudowali i co jeszcze macie w planach.

— To czegoż chciałbyś od rewolucji?

— Ba, gdybym miał dwadzieścia lat, powiedziałbym jak Wiktor — Ewangelii, czegoś świętego i wielkiego... Ale teraz, w tym moim wieku, dalekim od maksymalizmu, wystarczyłaby rzecz o wiele skromniejsza, na przykład walizka.

— Co znów za metafora?

— Nie, dosłownie, gdybym zostawił walizkę w Moskwie na chodniku, to czy znalazłbym ją potem?

— Nie sądzę.

— A w Szwecji podobno tak jest. Można zostawić cokolwiek na ulicy, w parku, na dworcu, będzie leżało, nikt nie ruszy.

— I to właśnie dla ciebie najważniejsze?

— Poniekąd... Wszystkie przemiany na świecie oceniam podług tego, czy ludziom jest lepiej i czy stosunki między nimi stają się bardziej ludzkie. Dlatego się pytam, czy u was teraz mniej kradną niż za cara? Czy mniej piją? Czy mniej klną mać twoja i tak dalej? Czy pracują lepiej i chętniej? Może kochają się czyściej i piękniej? Mniej są wyzyskiwani?

— Nie ma już wyzyskiwaczy.

— No jakże, a państwo?

— Państwo przeznacza dochody na cele ogólne dla dobra tychże pracujących.

— Możliwe, tylko wyzyskiwanego nie obchodzi, kto go wyzyskuje i w imię czego. Obchodzi go przede wszystkim stopa wyzysku, aby była najmniejsza, i jeszcze to, w jakiej mierze może się bronić.

— Rozumujesz, jak typowy drobnomieszczanin w Szwajcarii czy Anglii... My więcej wymagamy od naszych obywateli.

— A oni od was? Czy wolno im czegokolwiek wymagać od partii i rządu?

— Wiesz, dajmy już temu spokój, szkoda słów. Z najnowszej historii zrozumiałeś niewiele więcej od białogwardzistów w Charbinie, żyjących nienawiścią do sowietów i od dwudziestu lat przepowiadających krach sowietów w najbliższych dniach.

— Mylisz się. Ja końca waszym rządom nie widzę, przeciwnie...

Koropka odwrócił się, przerzucił nogę przez ławę i ociężale ruszył w ciemny kąt izby na wprost pieca, gdzie stała dzieża z kwasem. Światełko kaganka już tam nie docierało. Ledwo mogli dojrzeć drobną, z lekka pochyloną sylwetkę, jak zanurza chochlę, jak pije.

— Co przeciwnie? — zapytał Bagorny. — Masz na myśli proletariuszy wszystkich krajów?

— Nie, po takiej kompromitacji nie złączą się i nie powstaną. Ale prezydenci, premierzy, dyktatorzy, ale wszyscy politycy krajów Azji i Afryki patrzą na was i marzą o czymś takim u siebie — Koropka odpił, otarł usta.

— To wy stworzyliście pierwszy wzór władzy totalnej w kolorze czerwonym. Za wami w te pędy ruszył Mussolini z czarnymi koszulami, potem przyszedł Hitler ze swoją brunatną hołotą. Wszystkie trzy ustroje różnią się tylko kolorem. Pierwsza wspólna cecha to istnienie obowiązującej ideologii państwowej, ideologii walczącej z żarliwością fanatyzmu religijnego. Stąd cecha druga — agresywność i nietolerancja waszego komunizmu i faszyzmu, i hitleryzmu. Trzecia zasadnicza cecha wspólna to jednopartyjność, rządzenie za pomocą jednej tylko partii nowego typu, urobionej według doświadczeń wychowawczych armii, zakonu i mafii. Czwarta cecha wspólna to homogenizacja całego społeczeństwa.

— Przepraszam, niezupełnie rozumiem, jestem tylko żołnierzem, może by prościej...

— Homogenizacja od *homos,* jednakowy, znaczy przerabianie, rozcieranie na jednolitą miazgę, żeby nie dopuścić do powstawania broń Boże jakichkolwiek gruzełków, w danym wypadku gruzełków niezależnych i opornych. Homogenizacja ta odbywa się w hermetycznym ustroju, pod ciśnieniem propagandy, która nieustannie atakuje świadomość mas, cenzura izoluje od wpływów obcych, a gepeu czy gestapo śledzi, chwyta, niszczy każdy gruzełek, ledwo zacznie się uzależniać, ba, nawet kiedy się zaczyna dopiero krystalizować w umysłach!

Koropka odłożył akuratnie chochlę jak stempel po przypieczętowaniu i wyprostował się zaciskając dłonie na krawędzi stołu. Napięty, błyskając złowieszczo oczkami, z wąsikami Sobieskiego i szpiczastym nosem, wycelowanym w Bagornego, wyglądał pociesznie i wzruszająco — taki dzielny burunduczek, wspinający się na tylnych łapkach w obronie swej norki przed ogromnym zwierzem.

— Proletariusze nie powstaną, raczej się żachną. Ale dla polityków wszystkich krajów stworzyliście wzór i marzenie na wieki wieków. Toć to pokusa nieprzeparta, jakiś magiczny supertrik — za kilka sugestywnych frazesów wszystkie bogactwa kraju i bezgraniczna władza, rządzenie w absolutnej bezoporności i cześć boska! Można kazać, co się chce, uświadomieni obywatele wszystko zrobią, każ im, żeby się co trzeci wykastrował, to się ustawią w ogonkach przed ambulatorium z własnym sterylizowanym kozikiem, wykrzykując *da zdrawstwujet, evviva, heil!*

Zapomnieli już o co poszło i że nie są sami. Chińczycy, wyobcowani niezrozumiałą mową, siedzieli jak sfinksy, śniąc, zdawało się, z otwartymi oczami swe chińskie sny. Przez grzeczność tylko nie wstawali od stołu — ćmili fajeczki o cienkich, długich jak dzioby kulików cybuszkach. Czarne, nieruchome ich oczy patrzyły gdzieś ponad głowami białych, jak gdyby widziały całą złudę pełnej sprawiedliwości, ową przysłowiową „słomianą chatkę, w której można przenocować, ale nie sposób zamieszkać...".

— W głowie mi się mąci — poskarżyła się Liza po cichu. — Witku, czy ty się orientujesz w tym wszystkim?

— Jak czasem. Trzeba uważać...

Dyskusja sadziła wskok, zarywając na boki. Trudno się było połapać.

Za oknem szumiała zawieja. Wstrząsane podmuchami raz po raz odzywały się szyby. Knot lampy filował. Cienie załamywały się na głębokich, mchem poutykanych spojeniach między dylami i ściany zdawały się wyginać, wybrzuszać, jak gdyby chata kołowała, niesiona zbałwanionym nurtem w lodowe, szatkowane kurniawą ciemności.

Ałsufjew uniósł dłoń. Zrobiło się cicho. Spodziewano się po nim znów czegoś niezwykłego. Tym razem chciał tylko objaśnić knot z narosłym grzybkiem, powrócono więc do rozmów. Wiktor przyglądał się tej dłoni zręcznie manipulującej przy ogniku, białej dłoni o długich wypielęgnowanych palcach, arystokrata, pomyślał bez wrogości, nie znajdując innego słowa na tę obcość, co każe człowiekowi w tajdze wydać zarobione po latach pieniądze

na neseserek z pilniczkami, nożyczkami, gąbeczką, szkiełkiem powiększającym i innymi duperelkami do pielęgnacji rąk. „To są bardzo potrzebne rzeczy, bardzo, miałem je w młodości", tłumaczył się pokazując im, Wiktorowi i Aszyche, ten neseserek śliczny jak puzderko na klejnoty.

A tymczasem Bagorny zmierzał ku podsumowaniu.

— *Nu wot,* pobredziliśmy nie gorzej niż na charbińskich wieczorach u doktora Cięgło. Cóż, trzeba przyznać, padły tu cenne uwagi. Jak zwykle w gronie ludzi szlachetnego ducha, dyskusja miała interesujący przebieg i jałowy wynik. Dlatego pozwolę sobie ponowić pytanie, czy fort na Domni was nie obchodzi? Czy staniecie do walki z japońskim imperializmem?

— Oczywiście, z każdym imperializmem! — oświadczył żywo Koropka.

— Ale bez Stalina — dorzucił Wiktor. — W nazwie naszego oddziału nie może figurować Stalin.

— A co?

— Wszystko mi jedno. Oddział z Międzygórza, albo oddział myśliwych z Międzygórza.

— Dobrze, pomówię z chińskimi towarzyszami... Na zakończenie proszę pamiętać, że ja wam pozwoliłem wygadać się do dna, chciałem was zrozumieć, nie przeszkadzałem, chociaż cały czas wyście mnie obrażali.

Zaprotestowali, co też on mówi, w jaki sposób mieliby go obrażać?

— A w taki, że poruszając najcięższe dla mnie rzeczy, tłumacząc mi je dokładnie, nie bez pewnej niekiedy subtelizacji, mówiliście do mnie jak do idioty, który niczego nie dostrzega! Albo jak do pasożytującego karierowicza, który z tego żyje, tym się tuczy... To prawda, mamy sprawy, co parzą i kaleczą, sprawy nie na orkiestrę w rocznicę rewolucji. Ale ja z wami o tym mówić nie będę!

Dźwignął się i wetknąwszy pod pachy swe kule pochylił się ku siedzącym niesamowitą, zmierzchłą twarzą o podziobanym przez kruki policzku, z ciemną pulsującą żyłką na skroni, tam gdzie strzelił sobie w łeb — pijawka, zdawało się, przyssała się do różowej, zabliźnionej ranki i nienasytnie ssie.

Szczudło pod lewym ramieniem rozciągnęło wycięcie kombinezonu lotniczego na piersi, odsłaniając to, co miał pod spodem. Co włożył w dniu dwudziestym pierwszym grudnia.

Patrzyli na wstążkę, na tę czerwoną smużkę zakrzepłą gwiaździstą, złotą kroplą. W lśniącej skórze, jak w zbroi, stał przed nimi nieugięty, olbrzymi i wielkość rzeczy dokonanych stała w rozchwianym cieniu za nim. Mnóstwo poległych, rozstrzelanych, umęczonych, jak Łazo spalony w parowozie, żonę jego straconą w Komunie Kantonu i tyle lat, przeszło ćwierć wieku trudów,

wyrzeczeń, heroizmu przywodził na pamięć strzępiasty, rozpaździerzony jego cień na ścianie. A zarazem wszystko, co wyznał Iwan o łagrach, i cały nieludzki reżym według wykładu Koropki — aż się zbierało na mdłości. Wiktor nie mógłby już powiedzieć, co czuje do Bagornego. Budził podziw, ale i odrazę i nieufność. Fascynował i odtrącał. „Mimo kalectwa będzie naszym dowódcą, nie mamy innego...".

— O tych sprawach mogę mówić z Aszyche, z Mo Tuanem i innymi towarzyszami. Z tymi, których łączy jedność walki i jedność ideologii.

— Nie wymawiaj feralnego słowa jedność — ostrzegał Koropka. — Jeśli wyznawcy Chrystusa potrafili szkalować się i wyniszczać wzajemnie, to komuniści tym bardziej.

Zanosiło się na zryw nowego sporu, ale Bagorny miał już dość. Dopiął swego uzyskawszy ich akces i pełne rozeznanie, jak myślą, czego się można po nich spodziewać, mógł się odwrócić i życzyć dobrej nocy.

Zaczęli wstawać od stołu, Chińczycy się ocknęli, wtem Ałsufjew rzekł:

— Tak się nie odchodzi. Baczność.

Znieruchomieli.

Owiane smutkiem spełnionego spoglądało na nich z ogromnego dystansu pogodne oblicze władcy.

— Pawle...

— Cicho tam!

Stali nie wiedząc, co począć. Pochylona głowa odbijała matowym połyskiem łysiny spomiędzy szpakowatych skrzydełek po bokach. Usta poruszały się w bezgłośnym szepcie modlitwy.

— Dziękuję.

Wzrokiem jak rozwarta pusta blenda powiódł po zebranych.

— Możecie odejść. Do wtorku oczywiście.

Zasępił się, wygładzając w zadumie fałdki jakiejś zwiewnej tkaniny na piersi. Musiał je czuć pod palcami. Wiktorowi się wydało, że wprost widzi na nim togę zamiast waciaka albo inne jakieś powłóczyste i dostojne szaty.

— Na wtorek chcę widzieć wnioski na czysto i was czystymi jasnością, *che lume fia tra il vero e l'intelleto*[2]. Spieszcie się, bo mnie się może znudzić. Pamiętajcie, ja mam miliardy miliardów kalorii. Mam wszystką energię Ziemi i Słońca. Mogę wam dać, a mogę zrobić cyk!

Podniósł rękę, ujmując gałkę jakiejś dźwigni nad sobą.

— Drżycie, co? Uspokójcie się, ja tylko tak sobie, żebyście wiedzieli, kto tu panem! Naturalnie Rutherford pierwszy, ale...

---

2. *Che lume fia...* (wł.) — która jest pośrednikiem między prawdą a rozumem (Dante, „Boska Komedia").

Zerknął podejrzliwie. Czekał aż zaprzeczą, że Rutherford... Nie zaprzeczyli.

— No tak, no tak — zabełkotał — laboratoryjnie on pierwszy... Ale kto rozbił atom w sposób użytkowy? Powiedzcie bezstronnie. Przecież ktoś musiał to wszystko uprzystępnić...

Nie można było patrzeć, jak się szamoce w spazmach dumy i lęku.

— Naturalnie ty — powiedziała Liza bliska płaczu. — Nikt nie wątpi. To było piękne odkrycie.

— A profesor Meinemer? Czy kolega może potwierdzić?

— Mogę — oświadczył Koropka.

Wiatr natarł na szyby, jak gdyby ktoś za oknem osunął się i westchnął.

Koropka szepnął do Wiktora: „nie ma co, bierz go pod pachy...".

Nagle Ałsufjew wyprostował się i powiedział przytomnie:

— Zamykamy, panowie. Następne posiedzenie Konwentu Ziemi odbędzie się na biegunie, wieża C jak cerium, piętro sto trzy. Winda działa.

Igor NEWERLY

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81
oraz informacje
Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Pod gwiazdami

Pracownia zajmowała strych ośmiopiętrowej kamienicy. Była wspaniała, rzędy belek podpierały strop, galeryjka; przypominała komnatę jakiegoś zamczyska. Z jej wielkich okien umieszczonych w pochyłym dachu rozciągał się rozległy widok na mrugające światłami miasto i wygwieżdżone niebo, które przywodziło banalne lecz trafne w tej chwili słowa popularnej w tamtych latach piosenki „Wieczór swą melodię rozplótł pod namiotem złotych gwiazd".

Byliśmy jakby bezpośrednio pod majestatycznym nieboskłonem, owym namiotem złotych gwiazd.

Gospodarzami przyjęcia była para sławnych malarzy. Oboje pełni uroków towarzyskich, dowcipu i lekkości. Ona w dodatku powabna kobieta o zmysłowej urodzie i wibrującym niskim głosie. Profesor brzydki, gnomiczny, twarz miał pomarszczoną, niezwykle ruchliwą, przypominał klowna.

Początkowo oglądaliśmy obrazy, nowy cykl jego płócien. Te kolorowe, bardzo agresywne kompozycje wyrażały najnowsze tendencje panujące w malarstwie i miały już znaczne wzięcie u zagranicznych marszandów. Pan domu, biegły w sztuce pędzla majster, zaliczał się do krajowej czołówki. Był artystą wszechstronnym. Kiedyś wyróżniał się jako grafik operujący oszczędną, surową kreską i do obowiązującego kanonu należały serie jego rysunków, pokazujące walczące z kolonializmem narody Indochin czy greckich partyzantów generała Markosa. Z tamtego czasu zapamiętałem najlepiej akwarele z Syberii, owoc jego wędrówek ze szkicownikiem; przyroda, egzotyczni mieszkańcy, zwierzęta. Szczególnie piękne były renifery w polarnym pejzażu tundry. Miał szeroką skalę możliwości, to niewątpliwe. Ostatnie prace też świetne, bezbłędne w kompozycji i kolorystyce. Może zbyt perfekcyjne, przez to jakby bezduszne.

Oprowadzał gości, pykał fajeczkę, czasem wyjmował ją z ust i mruczał coś.

— Co mówisz? — dopytywano mistrza z zainteresowaniem.

— Tu bym jeszcze poprawił... — wskazywał fajeczką jakieś miejsce. — Tu czegoś brakuje.

Tak oglądając oparte o ścianę wielkie płótna zbliżaliśmy się powoli do schodów. Schodami poczęliśmy się wspinać do górnej części pracowni. Tu czekał na nas stół zastawiony jadłem i karafkami z alkoholem. Przyjęcie miało charakter barowy. Każdy nakładał sobie na talerz odpowiednią ilość sałatek, zimnych mięs i ryb, napełniał kieliszek jednym z kilku rodzajów wódki, przechadzał się lub siadał gdzieś na porozrzucanych sposobem tureckim skórzanych poduchach.

Ulokowałem się na ławie przy staroświeckiej, okutej metalem skrzyni. Rozglądałem się ciekawie wokół. Gospodarze posiedli wysoki kunszt wydawania przyjęć. O tym świadczył najlepiej dobór zaproszonych gości, ludzi różnego wieku, rangi towarzyskiej, profesjonalnej i urzędowej. Nawet moja skromna osoba stanowiła drobny lecz istotny element w tej kompozycji. Byłem młodym, dobrze zapowiadającym się malarzem o renomie zbuntowanego przedstawiciela swej generacji. Wbrew modzie uprawiałem malarstwo realistyczne o zacięciu społecznym. Zarzucano mi nadmierną deformację rzeczywistości i zaczynałem już mieć kłopoty z wystawianiem swoich obrazów.

Zauważyłem jeszcze kilku swoich rówieśników. Zaproszeni również zostali wiekowi mistrzowie pędzla. Oto ostatni z żyjących impresjonistów, który właściwie był postacią muzealną. Podpiera się laską, drepcze powolnie, posiada aparat w uchu, wszystkim potakuje, zupełnie nieobecny. Tam w kącie znów młodopolski artysta w czarnej pelerynie, też wiekowy starzec, podobno znał Przybyszewskiego, Mehoffera i Wyspiańskiego. Zarejestrowałem także suchą kościstą twarz twórcy obrazów przedstawiających budowę Nowej Huty, pochody 1-majowe i prezydenta Bieruta wśród dzieci.

I kogo tu jeszcze nie było! Modni scenografowie. Architekci znani ze zdobytych nagród na międzynarodowych konkursach. Pisarze, dygnitarze. Japończyk Osuku, plakacista który jest u nas na stypendium, snuł się wśród ludzi z tym swoim ugrzecznionym, wschodnim uśmiechem. Kłaniał się nisko każdemu. A ten tłusty staruch z siwą lwią grzywą to marszand ze Szwajcarii, przyjechał w poszukiwaniu towaru ze wschodniej Europy do swojej galerii w Zurychu czy Lozannie. Był już w dużej zażyłości z obojgiem gospodarzy.

Oni umieli uwodzić ludzi. Czynili to bez widocznego wysiłku, od niechcenia. Byli bardzo nowocześni, nic w nich z fałszywej

skromności, ukrytych kompleksów i niepewności, która paraliżuje wschodnioeuropejskich artystów. Jak to pisano o nich jako o parze (chyba z tego łączenia w jedność nie byli zadowoleni): „Artyści ci są niezwykle uwrażliwieni na swój czas, jego temperaturę, prądy i wszelkie zarodki nowego, dla innych często jeszcze niewidoczne".

Napełniłem sobie kieliszek i sączyłem powoli. Patrzyłem z przyjemnością na panią domu. Ubrana w luźną, letnią sukienkę, odsłaniającą krągłe opalone ramiona, z ciężkim kokiem czarnych włosów (już nieco podfarbowanych), twarz miała orientalną, leniwie wyuzdaną, a zarazem mocny zarys podbródka, duży, mięsisty nos świadczyły o sile charakteru i uporze; może to siła zatem łączyła się w niej ze zmysłowością wschodniej odaliski.

Opuściwszy wzrok niżej potykałem się o kuszące wypukłości jej ciała. Przypadkiem odwróciła głowę i nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Pomachała mi ręką.

— Baw się dobrze — zawołała.

Ona nie pokazywała dziś swoich obrazów. Choć moim zdaniem lepszą była malarką od męża, w obsesyjnych motywach rozkładu i czegoś co można nazwać śmiercią wierna swym autentycznym pasjom. Nigdy nie odznaczała się nadmierną pogonią za modą czy stosowaniem się do zaleceń mecenasów. Od lat uprawiała abstrakcję i poprzedni czas przymusowego realizmu, ideowej figuratywności dotknął ją dosyć dramatycznie; wtedy w ogóle nie wystawiała.

Oddaliła się na przeciwległy kraniec pracowni, a ja jeszcze przez długą chwilę zachowałem jej twarz w oczach. Bardzo pociągającą młodego mężczyznę, którym wówczas byłem.

Powróciłem do beznamiętnej obserwacji innych osób na tej scenie. Od początku najbardziej interesowałem się tym tęgim, ospowatym mężczyzną w szarym garniturze, białej koszuli z odpowiednio dobranym krawatem. W odróżnieniu od większości gości ubranych niedbale, z artystyczną oryginalnością, on jeden reprezentował swym wyglądem standardową urzędniczą staranność. Nie miałem jednak wątpliwości, że dla gospodarzy był osobistością najważniejszą. Może nawet ze względu na niego zostało wydane dzisiejsze przyjęcie. Znana była powszednia życzliwość, jaką darzył ludzi pędzla i palety, w szczególności tych dwoje, panią domu i jej męża. Oni mu się odwzajemniali tym samym, nie zapominając wszakże o zachowaniu pewnego dystansu, który zawsze dzielić będzie ludzi władzy, jednoznacznych decyzji i pragmatycznych zachowań od wolnych artystów żyjących w przestworzach twórczej imaginacji. Traktowali go nawet z pewnym poklepem i wyższością. Znosił te kaprysy nader wyrozumiale. Jego znajomość z parą gospodarzy stanowiła zażyłość trwałą i sprawdzoną. Mężczyzna w szarym garniturze przez lata całe piastował stanowisko ministra kultury w naszym kraju i jako szef tego

resortu postępował zgodnie z zaleceniami obowiązującej polityki kulturalnej.

W latach socrealizmu gromił więc burżuazyjną dekadencję i nihilizm, relikty dawnej bazy ekonomicznej (jak wiadomo było z nauk Józefa Stalina, nadbudowa kultury stanowiła pochodną bazy, tego fundamentu z którego wywodzi się duch, myśl, wszystko) rozprawiając się po partyjniacku z wyznawcami innych poglądów w sztuce. Ta postawa gorliwego wykonawcy nie przeszkodziła mu jednak w tym, że to on właśnie spowodował wyjazd pani domu na roczne stypendium do Paryża, tej Mekki artystów. Na ten wyjazd było wielu chętnych, zasłużonych w uprawianiu socrealizmu, wyjechała jednak ona, malarka surowo ganiona za formalizm. Świadczyło to o prawdziwej życzliwości ministra wobec swych przyjaciół.

Następnie, kiedy socrealizm wyrzucono na śmietnik i sztukę obdarzono swobodą poszukiwań formalnych, domagając się jedynie właściwych treści, wieloletni minister i tym razem znalazł się na wysokości zadania. Przede wszystkim czuwał nad literaturą (słowo pisane traktowano tradycyjnie jako najbardziej niebezpieczne), natomiast okazał się niezwykle liberalny wobec sztuk plastycznych. Mówiono o rozkwicie tych sztuk pod jego rządami. Przydzielał artystom pracownie, stypendia, hojnie szafował możliwością zakupów dzieł malarskich dla muzeów, galerii i ozdoby państwowych urzędów. Zasłynął jako brat łata, dobroduszny patron bohemy w poplamionych fartuchach. Sam też malował. Był niedzielnym twórcą.

— Nawet z pewnym talentem — mawiali o jego twórczości gospodarze dzisiejszego przyjęcia. Przeważnie były to martwe natury z kwiatami i warzywami oraz morskie widoczki.

Musiał być wytrawnym graczem, lisem kutym na cztery łapy, skoro jako minister zwycięsko przeszedł kilka wstrząsów i zakrętów, utrzymując swoje stanowisko. Pokątnie szeptano, że wywodzi się z nieusuwalnej kadry znajdującej się pod najwyższym patronatem. Obecnie sprawował funkcję kierownika wydziału kultury w komitecie centralnym. Według tutejszej praktyki znaczył więcej niż minister. Specjaliści od personalnych przesunięć w łonie władzy przewidywali jego rychły awans na wysoką pozycję sekretarza komitetu centralnego, odpowiedzialnego za cały pion kultury i propagandy. Tak powiadano coraz częściej i fakt zaproszenia go na dzisiejsze party był nie bez związku z tym przewidywaniem.

Barczysty, ospowaty mężczyzna przechadzał się powoli pośród ludzi i płócien. Cechowało go bezpośrednie, nieco rubaszne obejście; gwarzył, uśmiechał się i poklepywał znajomych malarzy. Bardzo swojski, rzec można plebejski.

Oto w tej chwili pan domu dokonuje ceremonii poznania szefa partyjnego resortu kultury z zachodnim marszandem. Przedstawiciele dwóch odmiennych światów podają sobie prawice. Tłumaczką jest pani domu. Biegle mówi po francusku i z wielką starannością przekłada na ten język słowa partyjnego dostojnika. Obaj panowie uśmiechają się do siebie konwencjonalnie. Szwajcar kiwa głową. Szef partyjnej kultury także. Szwajcar wybucha śmiechem. Ubawiło go jakieś powiedzonko ospowatego, celnie przełożone na francuski przez panią domu. Ripostuje czymś równie dowcipnym. Pani domu natychmiast formuje dowcip cudzoziemca po polsku. Nasz dostojnik rży rubasznie. Nawiązuje się między nimi pewna nić sympatii. Pan domu napełnia kielichy. Stukają się szkłem.

Patrząc na tę scenę przypomniałem sobie moją niedawną rozmowę z panem domu. Przybyłem tu jako jeden z pierwszych i profesor (byłem w akademii jego studentem) odciągając mnie na bok, zaszeptał. — Mam dla ciebie dobrą nowinę... Będzie tutaj... wymienił nazwisko partyjnego dygnitarza. — I wystarczy mu umiejętnie nadmienić! Rozumiesz? Stypendium do Francji masz gwarantowane. Gwarantowane! — powtórzył, chwytając mnie za guzik bluzy i przyciągając do siebie. — Poznam was ze sobą i powiesz mu co trzeba. Należy go także przekonać, że swoim realizmem nie godzisz wcale w ustrój. — Zaśmiał się. Śmiech miał zaraźliwy, niepohamowany. — To ja biorę na siebie!

Nie czekając na moją odpowiedź, podbiegł do kogoś, kto akurat pokazał się w drzwiach.

Taki był. Brutalny, bezpośredni i niezmordowany w zapobiegliwości. Przyznaję: koleżeński i lojalny w przyjaźni. Dbał nie tylko o swoje interesy.

Ale przypomnienie tej konfidencji miało dla mnie gorzki posmak wstydu, nawet poniżenia. Za kogo mnie uważa? Byłem bardzo młody i unikałem zapobiegliwości w swoich sprawach zawodowych. Sztuka stanowiła dla mnie świętość i naiwnie uważałem, że bez żadnych forteli i krętactw, wyłącznie owocami swego talentu, osiągnę to czego pragnę. Uznanie, sławę.

Zawstydziłem się za gospodarza. W myślach zelżyłem go jako tandetnego komiwojażera sztuki. Jak pracowicie uwija się wokół zachodniego marszanda i wschodniego dostojnika. Tańczy i łasi się. Razem ze swoją połowicą. Właściwie chętnie byłbym odmówił mu miana artysty. Ale przecież mimo wszystko robił sztukę. Może nie na miarę rozgłosu który uzyskał, jednak sztukę.

I tak toczyło się przyjęcie. Gwarno, wesoło. Spacerowałem z kąta w kąt, przystawałem. Z tym i owym zamieniłem kilka słów. Pani domu w przelocie pocałowała mnie w usta. Nie stroniła od romansów i ów pocałunek był jak obietnica. Wyobra-

ziłem sobie nas oboje w erotycznym zapamiętaniu. Imaginacja ta miała bardzo wyrazisty charakter.

Pan domu także dał mi znać o swojej pamięci.

— Niedługo was zderzę ze sobą i wtedy kuj żelazo póki gorące — zaryczał w moją stronę, trącając się kielichem z Japończykiem Osuku.

Zabełkotałem coś niezrozumiale. Znów rozjątrzył swą niedźwiedzią łapą moją ranę. Uciekłem pod ścianę pracowni. Tam zgromadzili się moi rówieśnicy. Malarz, który był asystentem pana domu na akademii. Drugi studiował pod okiem jego żony. Trzeci, którego nie znałem. I jakaś dziewczyna z włosami upiętymi w koński ogon. Dla nich to był wielki świt. Chłonęli szeroko rozwartymi oczyma sławy świata sztuki i możnych mecenasów.

Zachód spersonifikowany w osobach właścicieli galerii, Japończyka, naszej rodaczki stale mieszkającej w Nowym Jorku i jakiegoś Holendra. No i Wschód nie tylko w postaci szefa resortu kultury, pomniejsze tuzy też były tu obecne.

— Popatrz! — wskazywali kogoś dyskretnie i ochoczo raczyli się gorzałką.

Uczyli się sztuki życia.

Rozpocząłem konwencjonalną rozmowę z pewnym krytykiem malarstwa, cenionym w kręgach artystycznych złośliwcem. Posiadł on autorytet wyroczni, ustawiał wielkości na piedestale albo strącał.

Nad wyraz życzliwie wyraził się o ostatnich moich pracach.

— Bardzo osobiste i przeciw modzie — mówił cienkiem, nosowym głosem. Nadto forma nienaganna.

Nie wierzyłem jego pochwałom. Rozpoczął po prostu zaloty. Był homoseksualistą i swoimi przenikliwymi oczyma zdawał się mnie rozbierać. Ściągał koszulę, spodnie i lubieżnie obmacywał ciało. Parzyły mnie jego oczy. Dalsza rozmowa stała się nieznośna. Piętrzył komplementy. Pod jakimś pretekstem uciekłem od tego drania.

Tak przesuwałem się pod ścianami, unikając już zupełnie ludzi. Z coraz większą tęsknotą spoglądałem w okna. W oknach letnie, wygwieżdżone niebo. Całe to przyjęcie wydało mi się targowiskiem. Tyle pracowitych wysiłków pod pozorem beztroski i zabawy. Przy spełnianiu toastów, podczas tańca, nawet w drodze do toalety.

Miałem w tamtych latach wysokie mniemanie o godności twórcy i panujący tutaj sposób bycia szczególnie mnie rozdrażnił.

— Giełda i chlew! — powiedziałem do siebie i łapczywym haustem wychyliłem kieliszek wódki. Chciałem się znieczulić. Alkohol jednak wzmagał ostrość widzenia. Wszystko stawało się coraz bardziej pokraczne i odpychające.

Chociaż spotykały mnie też objawy bezinteresowności. Ta smukła dziewczyna o twarzy madonny patrzy na mnie z sympatią. Nie wie kim jestem, nie zna mojej sztuki; podobam się jej wyłącznie jako ja bez żadnych przydatków. Przyjemnie muska mnie jej spojrzenie. Dalsza wymiana spojrzeń przerwana została przez marszanda ze Szwajcarii. Zaczepił mnie naraz, coś mówił, uśmiechając się serdecznie i potrząsając moją dłonią. Nic nie rozumiałem, ale potakiwać zacząłem energicznie głową. Aż w pewnym momencie niby tancerz posuwistym piruetem oddaliłem się od siwego grubasa.

Zająłem na powrót pozycję pod ścianą przy masywnej, okutej metalem skrzyni i oddałem się obserwacji barczystego, ospowatego mężczyzny, który był szefem partyjnego resortu kultury. Miałem go teraz w polu swego widzenia, odległego ledwie o kilka metrów. Jak garnęli się do niego artyści! Stosowali różne sztuczki i sposoby. Niby przypadkiem podsuwali się i po chwili udanego zaskoczenia rozpoznawali go wreszcie. Wytyczali drogę swego spaceru po pracowni z dokładnością geometrów i zderzali się z nim. Albo po prostu prosili gospodarzy o łaskę poznania ich z możnym mecenasem. Podchodzili sztywni i godni, pełni pozornej niezależności i po kilku łaskawych słowach ospowatego topnieli niby wosk. Było to widowisko! Wkrótce i ja wystąpię na tej scenie. Pan domu przecież pamięta o swojej obietnicy. Postanowiłem kuć żelazo póki gorące i sam wziąłem sprawę w swoje ręce.

— Stasiu! — zawołałem donośnie. Zwróciłem się do dostojnika zdrobnieniem jego imienia. Obejrzał się od razu. To go zgubiło. Przywołałem go poufałym gestem ręki. Poruszył się niezdecydowanie.

— No, chodźże! — ponowiłem zaproszenie niecierpliwym głosem. Podszedł.

Równocześnie zauważyłem skamieniałe nagle, zastygłe w czujności twarze gospodarzy, profesora i jego żony. Patrzyli z napięciem w naszą stronę.

Nie odtworzę już tej rozmowy ze Stasiem. Daremny trud. Minęło przecież tyle lat. Spróbuję jedynie oddać atmosferę, zacytować strzępy swoich wypowiedzi i opowiedzieć o jego reakcjach.

Otóż traktowałem go z pobłażliwością. Był w tym stosunek badacza, powiedzmy antropologa do przedstawiciela nieznanego nam plemienia, odkrytego w dżunglach Nowej Gwinei czy Borneo. To go bolało. Grymasy jego twarzy świadczyły o tym dobitnie. Wiercił się niespokojnie. Ale nie odchodził. Siłą swego ducha trzymałem go na uwięzi. Właściwie to był sympatyczny. Twarz miał mięsistą, szeroką, pełną dziobów po ospie; wyglądał na jakiegoś majstra, murarza, blacharza pracującego dużo na po-

wietrzu, włosy gęste, falujące, przeczesywał je palcami. Ten ruch dłoni do włosów świadczył o rosnącej nerwowości, coraz częściej przegarniał czuprynę. Nie czułem do niego nienawiści ani szczególnej wrogości, był dla mnie pretekstem, źródłem inspiracji. Raczej podświadomie adresowałem swoją grę gospodarzom, tej parze znakomitych malarzy, którzy tak bujne renesansowe prowadzili życie.

Począłem dopytywać się dygnitarza o ciężar jego obowiązków, dając mu przy tym do zrozumienia jak są błahe, zgoła fikcyjne i szkodliwe dla wolnego obiegu sztuki. Nawet zdobyłem się na metaforę i mówiłem coś o ślepej, potężnej sile słonia, który kolumnami swych nóg niszczy delikatne, piękne roślinki. Tymi roślinkami była sfera sztuki oczywiście. Także wyszydziłem jego podejrzaną tolerancję wobec malarstwa. Zapytałem perfidnie, czemu tak po macoszemu traktuje literaturę. Wydałem z siebie szyderczy śmiech i zawołałem: — Bo malarstwo jest niegroźne! Bohomazy i geometria. Mistrzowie pędzla popadli w abstrakcjonizm i dla was, cerberów, to jest idylla!

Dodałem jednak, że z młodszymi malarzami będzie miał większy kłopot. Młodzi bowiem wracają do realnego świata, z niego pragną czerpać inspirację.

— Chcę malować widzialny świat! — powiedziałem z naciskiem. — Ale nie te kolorowe duperele! — lekceważąco wskazałem ręką dolną kondygnację pracowni, gdzie znajdowały się płótna mego profesora.

Demagogicznie przejaskrawiony wywód. Nie byłem przecież ślepy na walory kolorów czy wirtuozerię geometrycznej abstrakcji.

W oczach dygnitarza pojawił się popłoch. Na początku jeszcze próbował uśmiechać się dobrodusznie, bagatelizował mój monolog. Artyści upijają się często i wtedy ogarnia ich niepohamowane gadulstwo. Znał doskonale bohemę. Sądził więc, że ocknę się wreszcie i incydent zostanie uznany za niebyły.

Nic takiego jednak nie następowało. Nie byłem także pijany. Sprawa mu się skomplikowała. Ci artyści to dla niego zapewne była cwana i pokorna sfora pochlebców.

A ja wtedy naprawdę poczułem się wolny i nie krępowało mnie żadne ograniczenie.

— Sztuka... — wołałem — dość już ma tych wszelakich knebli. Prawdziwa sztuka nie da się wykastrować! — chwyciłem go za klapę marynarki i przyciągnąłem do siebie. — Rozumiesz? Bezwiednie przytaknął. Sapał i dyszał. Już nas otaczał podniecony tłum gapiów. Bardzo blisko uplasowali się gospodarze. Poważni, skupieni. Ani śladu niedawnej wesołości i wdzięku. Mistrz patrzy na mnie wściekłymi oczyma. Pani domu znieruchomiała

jak posąg i wcale nie odpowiada na natarczywe pytania marszanda ze Szwajcarii.

A mnie wena w tej improwizacji nie opuszczała nadal. Przeciwnie, rosła. Czułem się jak natchniony demiurg. Bliskość słuchaczy pobudzała do dalszej inwencji.

Rozpocząłem nowy wątek. Zająłem się jego niedzielnym malarstwem. Wyraziłem życzliwe zdziwienie, że przy nawale partyjno-rządowych zajęć posiada jeszcze czas na to hobby. Radziłem poświęcić więcej czasu tej niedzielnej formie wytchnienia. Tylko to po nim zostanie. Jego bezinteresowna wrażliwość zarejestrowana na płótnie.

— Niedługo będziesz miał więcej czasu — powiedziałem zagadkowo.

Dlaczego tak powiedziałem? Nie wiem. Płynąłem przecież na falach improwizacji, która nie rządziła się regułami rozumu, logiki.

I ciągnąłem dalej: — Nie chcę cię zmartwić... — cały czas używałem tego poufałego zdrobnienia — Stasiu — ale wkrótce nastąpią nieoczekiwane zmiany w twoim życiu.

Wpatrywał się we mnie w skupieniu. Może pomyślał o rychłym awansie. Ja zaś niby kapłan chaldejski wpatrzony w swą czarodziejską, szklaną kulę, oświadczyłem bez cienia najmniejszej wątpliwości, że dni jego kierowania resortem kultury są policzone. Oczywiście nie ma mowy o stanowisku sekretarza komitetu centralnego.

— Idziesz w odstawkę! — zakończyłem brutalnie. — Zrobią cię ambasadorem w jakimś peryferyjnym nieważnym kraiku. Tyle że pensję dostawać będziesz w walucie wymienialnej.

Żachnął się gwałtownie. Z tą walutą nieco przesadziłem. Na pewno nie był facetem pazernym na forsę. Raczej władza i jej narkotyczny czar pociągały go najbardziej. Może wierzył w to, co robi. Uważał, że inni będą gorsi.

— Czeka cię gorycz i nuda — powiedziałem jeszcze.

W tym momencie nastąpił koniec uniesienia. Zgasłem jak meteor. Poczułem pustkę i zmęczenie. Rozbolała mnie głowa, ucisk w oczodołach. Wpatrzyłem się w okno. Piękny nieboskłon, wysoki i bogato inkrustowany gwiazdami wabił moje zmęczone oczy. Wdychałem chciwie powietrze letniej nocy.

A kiedy odwróciłem spojrzenie od okna, wokół mnie była pustka. Goście otaczali dostojnika. On wyrywał się do wyjścia. Purpurowy i wściekły. Nasadził na głowę kapelusz. Gospodarze zatrzymywali go z gwałtowną serdecznością. Profesor obejmował oburącz, jego żona całowała w dziobaty czerwony policzek.

Przesunąłem się za ich plecami. Ukłuło mnie ostatnie spojrzenie pani domu. Zimne, wrogie. Barbarzyńca w ogrodzie. Zburzyłem im klasyczną harmonię. Tak pomyślałem o sobie z pew-

nym wyrzutem sumienia wobec gospodarzy. Bardzo byli dla mnie życzliwi.

Nie jest to jednak koniec tej historii. Po dwóch tygodniach przeglądając codzienną gazetę, organ partii, wyczytałem w stałej rubryce pt. „Kronika zmian kadrowych", że dziobaty dostojnik zwolniony został ze stanowiska kierownika wydziału kultury i powołany na ambasadora do Mongolii. Nie wierzyłem swoim oczom! Przeczytałem jeszcze raz. Tak, nie omyliłem się. Chodziło o ospowatego. Ambasador w Mongolii! Jurta i kumys. Pustynia Gobi. On nawet podobny do Mongoła. Wyobraziłem sobie nadwyżkę wolnego czasu, którą poświęcić może na malowanie.

Byłem dumny z siebie. Moja przepowiednia sprawdziła się co do joty.

I jeszcze nie koniec na tym. W kilka dni potem szedłem ulicą w pobliżu gmachu komitetu centralnego partii i nagle znaleźliśmy się naprzeciw siebie. Taki przypadek. Oko w oko. On i ja. Wysiadał akurat z samochodu. Dziobata twarz skamieniała. Zapatrzył się na mnie. W tym spojrzeniu była bezbrzeżna głębia zdumienia. Jakby nieme pytanie: człowieku, skąd o tym wszystkim wiedziałeś? Dopiero po chwili jego oczy odskoczyły od mojej twarzy. Ruszył z kopyta w kierunku swego gmachu. Obejrzałem się. On też.

Marek NOWAKOWSKI

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność" e.V. Ukazuje się w Berlinie Zachodnim od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE ■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z PODZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM 6,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu". Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd", Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62. Telefon 030/782 93 84.

Archiwum polityczne

Pytania, problemy, zagrożenia

1

Prawie rok temu napisałem artykuł pt. „Czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia?". W zasadzie nie muszę odwoływać czy korygować wyrażonych tam poglądów. Miniony czas pozwala jednak spojrzeć na sowieckie, polskie i światowe sprawy inaczej — mianowicie z generalizującego dystansu.

Rzeczywistej poprawy ekonomicznej, mierzonej stosowanymi powszechnie kryteriami obiektywnymi — z którymi ani propagandowe dekoracje ani rzeczywista wolność słowa nie mają nic wspólnego — nie uzyskał żaden kraj realnego socjalizmu. Jedynym przypadkiem nie całkiem jasnym są Chiny, a to z dwu powodów.

Po pierwsze, Mao Tse-tung zmiażdżył rewolucją kulturalną struktury partyjno-administracyjne i rozłożył aparat władzy do tego stopnia, że pozostało morze socjalnych ruin. Na nim poczęło się rozwiązywanie kołchozów, które dało znakomity skok produkcji rolnej. W sferze przemysłu brak równie jasnego obrazu, bo Chiny wpuściły sporo zagranicznego kapitału i utworzyły enklawy nieomal kapitalistycznej gospodarki. Następnie te przemiany uległy pewnemu przyhamowaniu, ale nowa ekipa polityczna, znacznie odmłodzona, zdaje się nieźle rokować na przyszłość.

Po wtóre, trzeba czerpać z doświadczeń przeszłości: im kraj mniej rozwinięty, im bardziej struktura rolna zbliżona jest do gospodarki pierwotnej, bezmaszynowej, i im mniej przemysłu, tym lepiej daje się zastosować jako intensyfikator wzrostu (byle nie stosowana jak w Kambodży ludobójczo) ideologia marksizmu (poprzez nacjonalizację, reformę rolną z wywłaszczeniem wielkich posiadaczy, ale jeszcze BEZ utworzenia gospodarstw kołchozowo-

sowchozowego rodzaju, z założeniem fundamentów industrializacji i tak dalej). Zahamowania, cementowana biurokratyzacja, wyzysk ludzkiej pracy idącej na zbrojenia i na marne, przychodzą dopiero później. Mimo to trzeba wyraźnie rzec, że Chiny żadnego wzorca zachęcającego do naśladowania NIE utworzyły. Jako całość Chiny są dla zewnętrznych obserwatorów mniej „przezroczyste" niż inne państwa „realnego socjalizmu", bo tak ogromne.

Krach systemu we wszystkich wariantach jest już tak widoczny, że nie można go niczym osłonić. System „samorządowy" Jugosławii, na który mieli chrapkę liczni polscy rewizjoniści, jest w zapaści. W Rumunii nie ma chomikowych zakupów towarów, bo towarów nie ma w sklepach; Rumunia spoczywa już na dnie, a rozruchy utrudnia lub uniemożliwia masowa interwencja policyjno-wojskowa. Na Węgrzech — gdzie ostrożnie „rozkręcana" reforma na razie nie doprowadziła do poprawy stopy życiowej — panuje stagnacja i nie widać zachęty do pójścia śladami kraju Kadara.

NRD gospodarczo przoduje w bloku wschodnim, ale długi zagraniczne rosną, konkurencyjność produktu na rynkach świata maleje, a każdy, kto objechał te Niemcy dostrzegł wielkie różnice w zaopatrzeniu między miastami z Berlinem na czele a prowincją, gdzie nie ma środków ani sił nawet na ratowanie substancji zachowanej lub odbudowanej po klęsce 1945. Ponadto — czy mimo to — NRD broni się gwałtownie przed samą koncepcją jakiejkolwiek reformy i wsławiła się powiedzeniem jednego z członków Politbiura *à propos* Gorbaczowa: „czy jeżeli sąsiad tapetuje mieszkanie, to my także koniecznie musimy kłaść nowe tapety?".

Czechosłowacja znajduje się w swoistym stanie chwiejnej niepewności. Przywództwo osadzone na Hradczynie czołgami sowieckimi nie wie, czy czekać na upadek Gorbaczowa, czy jednak coś wszcząć jako reformę gospodarczą pod niewinnym tytułem.

W Polsce zapoczątkowano „II etap reformy" z wielkim hałasem i szumem. Propaganda wpadła w zachwyt, że jest to przełom równy przełomowi z okresu lat 45-46, że będzie wspaniale, ale społeczeństwo okazuje tym zachwytom zupełną obojętność, lekceważenie, ironiczną złość, wynikłą z doświadczeń 42 lat (i całkiem słusznie). Gdyby stał się cud, gdyby Sowiety znikły, a Polska odzyskała niepodległość jak w 1918 roku, i tak trzeba by wielu, wielu lat wyrzeczeń i bardzo, bardzo ciężkiej pracy, ażeby spłacić długi i jako tako wyjść na swoje. Królewskiej drogi ku dobrobytowi nie ma nawet poza koszmarem „realnego socjalizmu".

W tej sytuacji jest szczególnie ważne to, co się dzieje w Sowietach, ponieważ tam „realny socjalizm" trwa i działa od 70 lat, ponieważ tam wymordował dziesiątki milionów ludzi po to, żeby

dojść do osobliwego stanu kraju o najniższej stopie życiowej w Europie i najpotężniejszym rozroście militarnym. Innymi słowy, udało się osiągnąć dokładną odwrotność tego, co zamierzali utopiści w wyszywanych pantoflach jak Marks i okrutny konspirator, demagog i polityk — Lenin. Żaden z nich bowiem nie dążył do biedy opartej o ładunki wybuchowe, zdolne świat spopielić. Miało być „trochę" inaczej.

Tak zatem Gorbaczow zmaga się przeszło dwa lata z tą ucementowaną skałą i zdążył już sobie trochę rozkrwawić o nią nos. System należycie utwardzony przypomina bowiem pułapkę na niedźwiedzie. Nieprzebytym gąszczem wiedzie drożyna, a w pewnym miejscu zamyka ją potężny kloc wiszący na linie. Niedźwiedź idąc natyka się na kloc i odtrąca go łapą. Kloc wraca jak wahadło i wali go w głowę. Rozeźlony niedźwiedź odtrąca kloc mocniej. Im mocniej go odtrąca, tym gwałtowniej wali go wracający kloc. Ot i cała automatyka sowieckiego ustroju. Im gwałtowniej usiłujemy się wyzwolić z okowów tej pułapki ustrojowej, tym boleśniejszy jest jej odwet. Tak było dotąd we wszystkich krajach, które podlegając Sowietom próbowały wyzwolić się, choćby tylko częściowo: NRD w 1953, Czechy w 1968, przedtem Węgrzy w 1956, potem Polska w roku sierpniowego „porozumienia".

Tu trzeba wstawić nawias. Zupełnej pewności być nie może, ale wygląda na to, że gdyby początek gierkowskiego krachu przypadł na intronizację Gorbaczowa, generał Jaruzelski nie zdobyłby laurów jako bohaterski zwycięzca „Solidarności" i Polaków. Polska mogła się stać terenem doświadczalnym nie tylko dla własnych reform systemu, ale i dla całego obozu „Ze Związkiem Radzieckim na czele". Wiadomo już, że władze nawet w chwili zawieranego porozumienia nie zamierzały go dotrzymać. To władze doprowadziły do radykalizacji najszerszych mas swoim sabotowaniem umów, oszukaństwami, rozmyślnym kunktatorstwem, złośliwą zręcznością widomą w niezliczonych prowokacjach, z których wymienię tylko groby padłych w Polsce żołnierzy sowieckich, masakrowane farbą po nocach przez ekipy funkcjonariuszy UB i SB. Władza zaś twierdziła, że jest całkiem na odwrót, że radykałami są ludzie z Krajowej Komisji związku i ich doradcy, podczas kiedy ci ludzie zajmowali się wciąż uśmierzaniem rozpaczliwej wściekłości doprowadzanych do tego stanu przez władzę — najszerszych warstw w Polsce. Rząd od początku kłamał więc nie wolno twierdzić, że generał Jaruzelski kłamał dopiero wtedy, kiedy zjawił się 13 grudnia w telewizji na tle falującego sztandaru narodowego, by zapewnić, że „Solidarność" powróci. Kłamał od początku, wiedział też dobrze o zamierzonej prowokacji bydgoskiej, która była „rozpoznaniem bojem" i właściwie teraz wiedzą już o tym wszyscy, którzy chcą zapoznać się z najnowszą naszą historią.

Mniejsza jednak o zwycięstwo generała nad własnym bezbronnym narodem. Według logiki rządzących i rządzonych, nie w tym wieku wymyślonej, jeżeli ma dojść do zasadniczej zmiany państwowo-społecznego kursu, dotychczasowa ekipa rządząca MUSI odejść i ustąpić miejsca nowej. Tak jest nawet w realnym socjalizmie. Tak doszło do zmiany po-bierutowskiej, gomułkowskiej, gierkowskiej. Teraz jednak nie ma komu ustąpić miejsca, poza tym miejsce jest ciepłe i można się na nim wyżywić nawet, jeśli by naród nie miał co włożyć do gęby (podniósł to słusznie Jerzy Urban i nikt mu tego nie zapomni). Ponieważ jednak program reform, w znacznej części pokrywający się z programem, który w swoim czasie szkicowała „Solidarność", musi być programem wyłącznie rządowym, o „Solidarności" i jej wskrzeszeniu nie wolno pisnąć. Dziś w zliberalizowanej Polsce wolno mówić rzeczy, za które przedtem szło się od razu do kryminału, których by żaden cenzor nie przepuścił. Wolno mówić, że Marks niedobrze to wymyślił, że Stalin był potworem, że Bucharin był zacny i niewinny, że Sowiety wtargnęły do Polski 17 września łamiąc traktaty, wolno mówić tysiąc innych zabronionych dotąd rzeczy, tylko nie wolno szepnąć, że „Solildarność" przydałaby się przy wprowadzaniu reform w życie. Ta postawa władzy jest zrozumiała. Rozbrajająca prawie jest też szczerość J. Urbana, który na pytanie, czemu teraz wolno pikietować monopolowe sklepy, a przed rokiem za to wsadzano odparł, iż pragnie „zniechęcić" pytających do stawiania takich pytań, bo się w Polsce wiele zmieniło.

Kiedy zmiany dosięgną jego osoby i znajdzie się on nie aż na szubienicy, ale przynajmniej na posadzie II sekretarza ambasady PRL w Ułan-Bator, będzie wolno uznać, że coś w PRL drgnęło. Naturalnie zmiany musiałyby objąć cały gabinet rządowy z generałem Jaruzelskim „na czele".

Ale nawet gdyby tak się stało, prorokowanie skuteczności reformy nie okazałoby się wcale pewne.

2

Jak już pisałem w artykule z lutego 1987, Gorbaczow wcale nie jest zakochany w demokracji, w liberalizmie, w wolnorynkowej gospodarce ani w prywatnej własności środków produkcji.

Gorbaczow usiłuje wyprowadzić Sowiety z zaułka, który bez wątpienia JEST ślepy, ponieważ uniemożliwia dalszy wzrost gospodarki, rozwój bazy techniczno-naukowej, zwiększenie wydajności w użytkowaniu wszelkich surowców, zmniejszenie rujnacji środowiska naturalnego, polepszenie poziomu życia, innowacyjną aktywizację — NAWET w dziedzinie militarnej.

Amerykańscy fachowcy tłumaczą, że wykradanie superkomputerów lub innych wytworów tzw. *high-tech* dopomaga Sowietom w pewnych specyficznych problemach. Zarazem jednak nie jest możliwe to, co oni nazywają *reverseengineering an industrial base*. Gotowy produkt można ukraść, ale nie można z ukradzionego produktu wyprowadzić „wstecz" całej przemysłowej bazy i techniki, która go wyprodukowała.

O tym (między innymi) dowiedział się we właściwym czasie Gorbaczow. To (między innymi) doprowadziło go i ludzi jak on myślących do zrozumienia, że jeśli rzeczy będą dalej szły tak jak dotąd, Sowieci znajdą się w sytuacji tubylców, którzy okradali myśliwych: mają kilka sztuk ich karabinów czy amunicji, potrafią strzelać, ale nie potrafią ani produkować karabinów czy amunicji, ani tym bardziej stworzyć warunków umożliwiających postępy w produkcji broni.

To jest jedno z głównych zmartwień sowieckiego przywództwa, większe niż to, że Sowiety są „zmuszone" do przyjmowania od zachodniej Europy takich „prezentów" jak ponad 500 tysięcy ton masła po 49 fenigów za kilogram, z zasobów „maślanej góry" Wspólnoty Europejskiej.

Zarazem jednak ten hamulec innowacji, odkryć, postępów NIE może być wprost ujawniony: Gorbaczow NIE może tłumaczyć otwarcie Komitetowi Centralnemu, że istniejący system rodzi zastój, że swoją niezwalczoną stagnacyjnością MUSI z czasem doprowadzić do zniweczenia przewagi militarnej, do zlikwidowania równowagi sił, aż po pewnym czasie Sowiety całkowicie przestaną się liczyć jako supermocarstwo NAWET w wymiarze militarnym. To można mówić po cichu, ale (jak pisałem w lutym 1987) jeżeli Sowiety nie zdołają dogonić światowej czołówki, będą zmuszone napaść ją, czyli wkroczyć w wymiar wojny atomowej.

Mało zachęcający wariant. Lecz to właśnie pojawienie się na horyzoncie czasowym wydarzeń niejako powołało do istnienia Gorbaczowa i jego rozpaczliwe, a może nawet tragiczne próby wydobycia imperium z samoustanowionej matni.

Chodzi o to, ażeby do końca dopowiedzieć pewne rzeczy, mianowicie rozwojowe tendencje, które utworzył i ubetonował sowiecki system. Gdyby nie miał przeciwnika w postaci USA i (szerzej) Zachodu, mógłby się zadowolić osiągniętą stagnacją. Samo jednak istnienie przeciwnika z jego bezustannym ruchem progresywnym stwarza dla sowieckiej inercji rosnące zagrożenie.

Należy rozumieć i pamiętać o tym, że nie jest to wcale jakieś zagrożenie wprost, wynikające z osławionych „zakusów imperialistycznych", ponieważ nie ma i nie było państw (razem z ich rządami) bardziej łaknących pokoju od (dziś) całego Zachodu (inaczej rzeczy się mają z teokratycznym islamem, ale to sprawa osobna i drugorzędna na scenie historycznej, aczkolwiek brzemienna groź-

bami: przecież w pewnym sensie drugorzędny „problem serbski" wciągnął państwa europejskie i zamorskie do pierwszej wojny światowej). Nie jest to zagrożenie wprost, tak samo, jak nie mają nic wspólnego z „prowokacjami amerykańskimi" demonstracje i protesty w niegdyś suwerennych państwach nadbałtyckich jak Łotwa, Litwa czy Estonia.

Dylemat reformizmu gorbaczowowskiego przedstawia się następująco. Gorbaczow rozumie, że pewna liberalizacja, jako katalizator aktywizacji jest konieczna dla osiągnięcia postępu w technice, w gospodarowaniu całym sowieckim majątkiem, że tak jak jest być nie może, bo ta machina złożona z kilkuset centralnych ministerstw, ta nakazowo-rozdzielcza ślepota prowadzi do samozniszczenia.

Lecz każdemu „odkręceniu śruby" PRZED pobudzeniem tego, na czym Gorbaczowowi zależy, towarzyszy rozbudzenie głosów niepodległościowych w zniewolonych ludach.

Zmartwychpowstawanie w dziedzinie kultury: literatury, sztuk plastycznych, teatru itp. Tam, gdzie dotąd triumfy święcił cyrk z baletem, te wskrzeszenia nie są, a przynajmniej nie wydają się rządzącym aż tak od razu niebezpieczne, jak odśrodkowe poruszenia wolnościowe Łotyszów lub Kazachów.

Istnieje jednak tajemnica naczyń połączonych w całej sferze duchowych prac człowieka. Nie umiemy się w tej spójności rozeznać, niemniej tak właśnie jest: ażeby dokonywać odkryć godnych nagrody Nobla, trzeba zarazem mieć niekwestionowane prawa do wyrażania własnej osobowości w DOWOLNY sposób (byle nie szkodzący współobywatelom, o czym „permisyjne cywilizacje" zdają się jednak zapominać).

Na tym tle upadek Jelcyna, wyniesionego przez Gorbaczowa na stanowisko szefa moskiewskiej organizacji komunistycznej, należy rozumieć jako cios powracającego kloca. Należy zrozumieć, że zjawisko to jest zupełnie — w skali „racji stanu Sowietów" — bezrozumne, a nawet przeciwrozumne. Kloc nie myśli, lecz wali. Jelcyn, usiłując dokonać „naprawy", powyrzucał ze stanowisk taką masę ludzi powiązanych ze sobą nepotycznie i korupcyjnie, tylu narobił sobie wrogów, że sam ich napór personalny musiał go w końcu wysadzić z siodła. Zapewne jacyś tam konkretni ludzie, zwarłszy bary, wymogli usunięcie Jelcyna, któremu Gorbaczow nie mógł wówczas zaoferować nic prócz także karcących słów i miękkiego lądowania na ministerialnym fotelu. Rozpatrywane jednak z dystansu to zjawisko jest typowe, charakterystyczne i znamionuje — wyrażający się nader rozmaicie — opór, który WSZELKIM zmianom stawia właśnie system.

W Polsce sprawy wyglądają pod wieloma względami inaczej, aczkolwiek jaruzelskiemu reformizmowi przyświeca też ciemna gwiazda.

Po pierwsze, nie jest w zwyczaju, wyrażając się delikatnie, ażeby zabójca przekształcał się w terapeutę. Ten, kto zarżnął „Solidarność", nie może zdobyć wiarygodności u jej byłych członków, w liczbie około 10 milionów, czyli omal trzeciej części Polaków.

Po wtóre, reformy Gorbaczowa nie mogą pozostać pozorne, jeżeli Sowiety mają ocalić a nawet wzmocnić swoją światową, imperialną pozycję. Natomiast PRL może spaść do poziomu rumuńskiego, a nawet jeszcze niżej i nie nazbyt to sowieckiemu imperium zaszkodzi (trochę jednak zaszkodzi, to oczywiste).

Po trzecie, władze (czyli wielkorządcy sowieccy) udawały od rozbicia „Solidarności" całkowitą suwerenność w owym rozbiciu. Jaruzelski i jego ludzie kurczowo powtarzali, że „Solidarność" była zagrożeniem dla państwa (kłamstwo), że trzeba było państwo ratować za pomocą WRONY (kłamstwo) i że Rosjanie się w to nie wtrącali (kłamstwo).

Należy rozumieć, że z tych pozycji ten rząd nie może się wycofać. Gorbaczow może oskarżać Stalina, tak jak — w odpowiednio zminiaturyzowanej skali — Gomułka oskarżał „miniony okres błędów i wypaczeń". Każda kolejna grupa rządząca może zwalać kubły odpowiedzialności na poprzednią — Gorbaczow np. na Breżniewa. Lecz aktualnie rządzący żadnej odpowiedzialności nie ponoszą i w tym właśnie zakresie cenzura zmusza w Polsce do absolutnego milczenia.

Cóż, można wyjść na ulicę bez spodni, ale opowiadać przy tym, że jest się odzianym po parysku — to niejaka przesada. Więc nawet akrobata kłamstwa, najwybitniejszy z następców (nie bardzo uczniów) dra Goebbelsa, Jerzy Urban, w końcu jest spychany na stanowisko wypowiadania oświadczeń, które byłyby zabawne, gdyby nie były tyleż bezczelne co jasne: że dziś w Polsce dlatego nie idzie się do kryminału za to, za co się szło wczoraj, „bo zaszły duże zmiany".

Skąd się wzięły te zmiany? Z Moskwy. Znaczy to, najpierw, że gdyby nie przyjście Gorbaczowa, nic by się w tym „kryminale" i jego zasięgu nie zmieniło. Po wtóre zaś, że jeśli Gorbaczow upadnie lub pójdzie na „remis" z betonami, to także w PRL-u wiekuiście gwarantowany teraz reformizm zostanie odtrąbiony.

To nie są znaki, które mogłyby zachęcać społeczeństwo do darzenia miłością tak wspaniale odmienionego reżymu.

Zważyć należy, że ja tu w ogóle słowa nie mówię o wewnętrznych warunkach, w których ma się rozpocząć wprowadzanie reformy w życie, ani o rzeczywistych rozmiarach tego, co naprawdę miałoby ulec zreformowaniu. To są sprawy osobne i ich badaniu

poświęciło się wielu publicystów zarówno ze strony rządowej czy „półrządowej" jak i ze strony opozycji. Ani tu ani tam płomiennej wiary w skuteczność reform nie dostrzegłem — najwyżej oficjalne powiadomienia ekspozytur czy rzecznika rządowego, że to jasne i naturalnie „musi" się udać. Referendum zaś miało poniekąd charakter pytania „Co wolisz, żyć dalej, czy też zostać powieszonym?" i interesująca może być najwyżej jego frekwencja.

Jakie zatem wnioski można wyciągnąć z krótkiego roztrząsania wielkich spraw, jakie widoki na przyszłość?

Obym był fałszywym prorokiem. Uważam jednak, że system jest zasadniczo niereformowalny. Zapewne z tym systemem jest trochę tak, jak z cholerą lub grypą: bywają epidemie o śmiertelności wysokiej i niskiej, ale trudno polubić grypę czy cholerę. Lepszy jest socjalizm złagodniały od stalinowskiego. Nie jest to jednak wybitnym odkryciem. Systemowi zagraża przede wszystkim w dalszym rozwoju *on sam;* reszta — razem z zakusami imperializmu i z CIA (albo „ća" jak mówią Polacy) jest kłamstwem. System ma tylko jednego sojusznika, który nigdy go nie opuści i w każdej potrzebie wesprze — Zachód: polityków łaknących wyborczego sukcesu; przemysłowców, gotowych Sowietom sprzedać własne matki i dziatki; pacyfistów, gotowych zagwoździć własne działa, byle Sowieci mogli wejść i po swojemu ukochać ich narody. Dziennikarzy piszących tak, jak sobie tego życzy szeroka publiczność, zajęta coraz bardziej forsowną „konsumpcją dóbr wszelakich"; producentów filmu, telewizji, nawet oper. Każda brednia, pochodząca od Sowietów, wyglądająca „odwilżowo", będzie na Zachodzie przyjęta burzą braw, zachwytów, na kolanach. Zapomniałem o finansistach: będą wspierali Sowiety, coraz bardziej u nich zadłużone. Zamiast zwrotu kapitałów, zamiast figi, ujrzą może kiedyś tę ciemność, którą kryją lufy armatnie, wyprodukowane za pieniądze hojnych kredytodawców. Takim zgrzytem kończę swoje uwagi. Chętnie pisałbym najzupełniej inne. Ale, jak rzekł Luter: „Tutaj stoję. Nie mogę inaczej".

3

Są jeszcze sprawy, którym winienem poświęcić uwagę, żeby dopowiedzieć do końca, jak doniosłe konsekwencje wynikają z omawianego przeze mnie tematu.

Najpierw chyba należy wyjaśnić, skąd właściwie bierze się zagrożenie Sowietów „nie wprost" przez industrialną cywilizację Zachodu, skoro Zachód ceni sobie nade wszystko pokój. Państwom demokratycznym należącym do czołówki światowej właściwa jest swoista sprzeczność: z jednej strony ich polityka, szczególnie zagraniczna, odznacza się krótkowzrocznością, ponieważ ludzie u sterów, jak i rządzące partie albo ich koalicje zmieniają się w wyniku wyborów. Dlatego jeden Gromyko mógł z łatwością przeżyć dziesiątki ministrów spraw zagranicznych innych państw. Mówiąc to, tym samym już podkreślam długi dystans polityki totalitarnego państwa, jakim jest ZSSR: polityka ta w zasadzie, w swoich tendencjach i w swoim kierunku, jest taka sama jak trockistowsko-leninowska polityka początków imperium.

Z drugiej strony — powracam do osobliwej natury demokracji — jakkolwiek ich światowo-polityczny kurs może być zmienny, ich ekonomia (przy typowej dla rynków chwiejności) ma postać trwale wzrostową. Należy rozróżnić między ekonomią narażoną na kryzysy, recesje i haussy a techniką, nauką i ich społecznymi wdrożeniami, które decydują o wciąż — mimo upadku — zwiększającej się potędze tak urządzonych i tak zarządzanych państw.

Filozof nazwałby zapewne motorem tych postępów instrumentalną składową nowoczesnej cywilizacji. Ona jest tej cywilizacji kręgosłupem i zarazem siłą napędową.

Gdy teraz popatrzymy na świat przez szkła zabarwione politycznie, ukaże się nam taki obraz: „prywatna inicjatywa" uczonych, inżynierów, techników, manadżerów, właścicieli narzędzi produkcji, nie tylko jest motorem społecznego bytu i społecznego postępu, ale ponadto wykazuje sporą niezawisłość od zmian politycznych, dopóki tym zmianom nie towarzyszy likwidowanie typowej dla demokracji swobody działania. Więc chociaż kryzysy mogą być ruiną mas ludzkich i są też wielce kosztowne gospodarczo, tak zbudowanemu systemowi właściwa jest ogromna samonaprawczość: na krzywej wzrostów instrumentalnych nawet wojenne kataklizmy i regresy ledwie zaznaczają się drobnymi uchybami.

Natomiast zmiażdżenie demokracji totalitaryzmem zagraża samej tendencji wzrostowej na równi z jej tylko w demokracjach dobitną niewrażliwością na „polityczne trzęsienia" lub „obsuwanie się ziemi" (a raczej rządów) w wyborach. Totalitaryzm XX-wieczny tym głównie różni się od dawnych tyranii i despotyzmów, że pojmuje wagę technologii, produkującej narzędzia zbrojnego władania na wewnątrz i na zewnątrz państwa. To z kolei nadaje totalitaryzmowi jego silną tendencję ekspansywną. Sądzę zatem, że Sebastian Haffner mylił się w swojej, skądinąd znakomitej książeczce *Bemerkungen zu Hitler,* gdy powiedział w niej, że w roku 1940, po podbiciu całej Europy, Hitler mógł się zatrzymać, że mógł ową Europą władać w sposób względnie pokojowy, aczkolwiek na pewno nie demokratyczny. Nie uważam, by taka możliwość podówczas istniała, niezależnie od tego,

że — jak Haffner słusznie powiedział — Hitlerowi takie pokojowe władanie Europą nawet do głowy nie przyszło. Sąd mój o nieuchronnej ekspansywności ustroju totalitarnego opieram nie tylko na przykładzie III Rzeszy, ale i Sowietów. Ustroje te, chociaż nie tożsame, ale nadzwyczaj do siebie podobne, odznaczają się gospodarką ekstensywną i polityką ekspansywną, bo takie są ich podstawowe cechy, a nie przypadłości przypadkowe. Zresztą historia powszechna nie zna przypadku imperium, które by się nie powiększało sekularnie, ale wręcz na odwrót, malało z upływem czasu, nie ulegając tym samym rozpadowi. Nie chcę ani nie mogę się tu wdawać w rozważanie czysto hipotetyczne, czy Stalin musiałby się z Hitlerem frontalnie zderzyć, gdyby Hitler nie napadł na ZSSR, ale zadowolił się ową wymyśloną przez Haffnera trwałą Europą zniemczoną. Chodziło mi bowiem tylko o ujawnienie, że demokracjom kolebiącym się wielopartyjnie i społecznie, wstrząsanym kryzysami czy bezrobociem, właściwa jest równocześnie konsolidująca moc postępów instrumentalnych, moc zarazem napędowa i zakłócająca osiągnięte formy społecznego współżycia. A ponieważ nowe technologie wymagają nowych form społecznej kooperacji, czyli — zwięźlej — instrumentalizm, jako siła wciąż rosnąca, rzuca wciąż wyzwanie adaptacyjnym zdolnościom społeczeństwa. Wyzwanie to, w postaci współczesnej automatyzacji, może być groźne nawet w sytuacjach doskonałego pokoju. Tego rodzaju automatyka postępów naukowo-technicznych jest totalitaryzmowi obca. Przyczyną obcości, przekształcającej się we wrogość wobec nauki czy techniki, mogą być czynniki nieprzewidywalne i bardzo różne. Na przykład to, że pewien fizyk był Żydem albo to, że pewni biolodzy uznawali niezupełną równość umysłową wszystkich ludzi za fakt podstawowy, powodowany zróżnicowaniem dziedziczności, a nie tylko komfortem wychowania i oświaty. Żydowska fizyka musiała zatem ulec potępieniu w III Rzeszy, a genetyka w stalinowskiej Rosji. W pierwszym wypadku konflikt totalitaryzmu z fizyką przyczynił się walnie do upadku hitlerowskich Niemiec. W drugim przypadku ruina uległa dalekosiężnemu odroczeniu dzięki liberalizacji, czy dzięki ustępstwom, które doktryna sowieckiego tym razem totalitaryzmu uczyniła na rzecz samostanowienia badań naukowych. Mimo to struktura całego społeczeństwa i państwa sowieckiego jest taka, że powstaniu automatyki postępów czy to czysto poznawczych, czy stosowalnych technicznie sprzyjać nie potrafi. Opory nie tkwią w ludziach, w mitycznych „biurokratach", lecz w samym systemie, w jego spetryfikowanej budowie. Pośrednio wpływa to na gospodarcze życie, powodując ekonomikę typowo marnotrawczą i tym samym ekstensywnie żarłoczną — a sukcesy może system zdobywać przede wszystkim pożerając inne, okoliczne — choć nie tylko okoliczne — kraje.

Przychodzi jednak chwila, w której wyższość naukowotwórczej demokracji przeradza się w samoczynne przyspieszenie jej przemysłowej bazy, a temu przyspieszeniu towarzyszy tym wyrazistsza stagnacja pod betonową pokrywą monopartyjnego sowietyzmu. Chwila ta nie tylko prowadzi do stawiania diagnoz chorobowych, ale zarazem woła o Wielkiego Reformatora, ponieważ ociekły krwią wymordowanych narodów Wielki Językoznawca już by nowej sytuacji nie dał rady ulubioną metodą — grozą terroru, tortur i białej kołymskiej śmierci. Nie o to chodzi, że łagry są niecałkiem etyczne ani o to, że Marks ich jakoś nie uwzględnił, lecz o to, że akumulacja wiedzy, typowa dla bogatych państw demokratycznych, okazuje się potencjalnym zagrożeniem coraz bardziej w tyle pozostającego sowieckiego prymitywizmu. Wiedza jest bowiem rzeczywistą bronią nawet jeżeli wcale nie była na początku uważana za broń.

Po tej wycieczce, którą można by nazwać porównaniem totalitaryzmu i demokracji pod względem ich poznawczo-instrumentalnej wydajności, która n i e jest w demokracjach zamierzona (bo politycy są w demokracji właśnie dlatego bardziej krótkowzroczni, niż sternicy totalitarnych ekspansji i zaborów), chcę się tylko lapidarnie rozprawić z paszkwilem na sowieckie społeczeństwo, który zawdzięczamy skądinąd utalentowanemu pisarzowi jakim jest Zinowiew, autor *Homo sovieticus* i innych książek.

Zinowiew uznał sowiecki system bytowania za „nagą socjalność", społeczeństwo za „stado świń", którym dogodnie jest żyć tarzając się w błocie już niedostrzegalnego upodlenia, toteż po sowieckim społeczeństwie niczego nie mógł się spodziewać. (*Casus* polskiej „Solidarności" potraktował pobieżnie i niechętnie jako wyjątek z ustanowionej przez siebie reguły). Gdyby było doprawdy tak, jak twierdził Zinowiew, gigantyczna rozbudowa aparatu KGB, wrastającego we wszystkie komórki życia Sowietów, świadczyłaby wyłącznie o ciężkiej manii prześladowczej, na jaką zapadła tamtejsza władza. Okazuje się jednak, że to społeczeństwo „zajmuje duchowo minimalną objętość" tylko jak gaz pod wysokim ciśnieniem. Wystarczy ciśnienie zmniejszyć, a natychmiast ujawnia się zarówno aktywność współczesna jak i zdumiewająca postronnych pieczołowita pamięć zgniecionej dotąd jakoby do zera przeszłości tak w kulturze, jak w polityce, religii itd.

Niestety, wszystkie przejawy pluralistycznego myślenia, samorządności, aktywizmu społecznego, który nie jest tylko marionetkową grą, odgórnie uruchamianą, wszystko to w sowieckim systemie może okazać się odwracalne z dnia na dzień. Żadne zapewnienia, żadne przysięgi, składane przez władzę, w tym systemie nie mają jakiejkolwiek wartości. Można więc właściwie ułożyć równanie o charakterze tak ścisłym, jakby szło o zjawiska fizyczne: społeczna martwota jest wprost proporcjonalna do siły dzia-

łającego terroru, z tym doniosłym zastrzeżeniem, że może też iść o siłę czysto potencjalną, niejako przyczajoną, lecz trwającą w wiecznej gotowości dławiącego działania. O tym, jaki jest stopień owej gotowości, ludzie dowiadują się momentalnie, a obserwatorzy, w rodzaju dziennikarzy zagranicznych, dostrzegli już za Gorbaczowa, wczesnym latem 1987, wzrost ilości spontanicznych demonstracji o różnych celach, jak i dość nagły spadek (właściwie do zera) takich manifestacji jesienią. Wtedy Jelcyn był jeszcze u szczytów moskiewskiego aparatu partyjnego, ale już nad jego głową zaciągały się chmury.

Narzędzia matematyczne są wielce zawodne przy badaniu zjawisk ludzkich w socjologii. Niemniej prawidłowości podobnego rodzaju, jak wymienione, obowiązują zapewne wszędzie, więc i w Sowietach. Po wieloletnim panowaniu krwawego terroru a potem powolnego, potencjalnego, po wdrożeniu w społeczną świadomość autentycznej lub rzekomej wszechobecności KGB trzeba było niejakiego czasu, licznych wystąpień Gorbaczowa, jego gromkich wezwań o demokrację, o jawność i o „publikowalność" wszelkich niedostatków i przypadłości trawiących byt w Sowietach, ażeby co śmielsze jednostki poważyły się na publiczne wystąpienia, po czym rozpętały się już reakcje tak lawinowe, że zaalarmowały zarówno polityków ostrożnych jak i tak zwane „betony".

Liberalizacja wybiórcza jest możliwa, ale w bardzo wąskich granicach. Można było np. użyczyć zwiększonego marginesu swobód uczonym, zamieszkującym Akademgorodok; mogli nawet urządzać wystawy malarstwa abstrakcyjnego pod dachem swych uczelni. Lecz breżniewowsko-andropowowski „neo-represjonizm" położył kres wielu i tak ograniczonym inicjatywom. O granice poszerzonych swobód będą szły utarczki w dalszym ciągu, to bodaj nie ulega wątpliwości. Zwłaszcza iż aparat przekonał się, jak stosunkowo skromny wpływ na zachowanie przeciętnego obywatela Sowietów mają „śmiałe wiersze" lub ekshumacje ongiś straconych pisarzy i poetów. Gorbaczow, pisałem w lutym 1987, potrzebował wsparcia ludzi kultury, tak zwanej inteligencji i nie zawiódł się na niej. Polskie doświadczenia uczą, że i powracający mróz nie wszystkie kwiaty ścina, nie wszystkie zdobycze odbiera. Inna sprawa z żelbetonową konstrukcją nośną, trzymającą w ryzach ustrój: jest ona niereformowalna w tym samym prymitywnym sensie, w jakim nie można zarazem urządzić wielokandydatowych wyborów i z góry wyznaczyć wybrańca, bo to sprzeczność; podobnie też nie może być ani „częściowej ciąży", ani „częściowego pokoju". Ale to są już banały, których nie trzeba dowodzić.

P. ZNAWCA

Lęki Niemców - i lęk o Niemców

Niepokój, lęk, strach, trwoga, chwiejność, niepewność, frustracja, psychoza, stress, nerwica, depresja — częstotliwość tych pojęć uderza od dłuższego już czasu czytelnika prasy niemieckiej. *Angst, Ängste* — skrótowe już dziś, nie różnicujące określenie, robi międzynarodową karierę. Podobnie jak kiedyś *Weltschmerz*, zaczyna wchodzić — w brzmieniu niemieckim — do różnojęzycznych publikacji, a nawet do potocznego słownictwa inteligencji także poza Niemcami. Tu na miejscu zadomowiło się nie tylko w dziennikach i w eseistyce politycznej, ale i w wydawnictwach historycznych czy socjologicznych. Ukazują się rozprawy i książki o niemieckiej nerwicy, a również poradniki praktyczne, jak zwalczać stany lękowe. O lękach dyskutuje się szeroko w gremiach naukowych, na masowych imprezach kościelnych, opiewa się je na scenach i scenkach, przyobleka w obrazy na ekranach. Nic dziwnego, że osobliwemu zjawisku przygląda się pilnie zagranica. Jeśli jednak Niemcy traktują swe nerwicowe skłonności jako prawowity składnik samopoczucia jednostki w dzisiejszym świecie, to obserwatorzy zewnętrzni akcentują ich wyjątkowe w Niemczech nasilenie. Zarazem zaliczają je do najistotniejszych rysów zbiorowego portretu współczesnego Niemca, co z kolei — wprawia w strach ich samych.

Większą niż gdzie indziej chwiejność, skłonność do przesadnych reakcji uczuciowych, nerwowość opinii publicznej — dostrzega oto w społeczeństwie niemieckim publicysta szwajcarski. Zakłócenia wewnętrznej równowagi, kłopoty z tożsamością narodową i szczególną trwożliwość — konstatuje autor włoski. A Niemka, pani Noelle-Neumann, dyrektor znanego Instytutu Demoskopii w Allensbach, przytaczając typowe pytanie zafrapowanych dobrobytem niemieckim turystów, czy też Niemcy nie są dumni z odbudowy swego kraju, odpowiada (na podstawie badań empirycznych): „Nie, do dumy nie jest Niemcom na duszy..." I dodaje, że historia polityczna i gospodarcza tutejszego terenu w obecnym stuleciu wprowadziła w samopoczucie niemieckie głęboką niepewność jako czynnik długotrwały.

Można się spierać o stopień nasilenia tej lub innej z wymienianych cech, lecz w obrazie ogólnym nie ma nic wymyślonego. Przy tym atmosfera niemieckich niepokojów, rozpiętych pomiędzy sprawami codziennymi a decydującymi dla przyszłości opcjami politycznymi — w skrócie: między zatruciem żołądka a reaktorem atomowym — oderwała się dziś od sił czy grup społecznych, które ją dawniej niosły. Oczywiście nikt nie potrafi przewidzieć, czy minął bezpowrotnie w Republice Federalnej okres dramatycznych spięć i konfliktów z grupami, sięgającymi do środków gwałtu w walce politycznej. Właśnie w ostatnich tygodniach

padły z tłumu we Frankfurcie strzały do policji, a w przyportowej dzielnicy Hamburga wieloletni spór między mieszkańcami zajmowanych nielegalnie starych kamienic a władzami miejskimi uniknął groźnej eksplozji w minutę przed dwunastą. Jednak geografia gwałtu politycznego wygląda teraz inaczej niż w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Grupy, gotowe do ataków fizycznych, skupiają się dziś raczej w określonych punktach, odgraniczonych właściwie od otoczenia. Natomiast szeroka, programowa gloryfikacja gwałtu, przyciągająca kiedyś najbardziej radykalne odłamy młodzieży, wyraźnie osłabła.

Młodzież w ogromnej swej większości poświęca więcej uwagi karierze zawodowej, reaguje doraźnie na naruszanie swych konkretnych interesów (np. na projekty wprowadzenia lub podwyższenia opłat uniwersyteckich czy też obniżenia stypendiów) lecz nie wykazuje tendencji do buntów ogólnych. Raczej odwraca się tyłem od wszystkiego, co jej się nie podoba. Trzeba dodać, że partia Zielonych, rozdzierana dziś najgłębszym od swego powstania kryzysem, nie stanowi obecnie zachęcającego przykładu i bardziej skłania do rezerwy, niż do politycznego zaangażowania. Wszystko to razem jest oczywiście przedmiotem sprzecznych interpretacji: jedni orzekają, iż większość młodzieży zdecydowanie wygrzeczniała, inni twierdzą, że odwracanie się plecami od rzeczywistości jest wyrazem postawy bardziej radykalnej niż wszelkie deklarowane radykalizmy.

Tak czy owak, nastroje lękowe nie są już przywilejem określonych ugrupowań. Przewijają się przez różne tendencje, pokolena, środowiska, wsączyły się w ogólnospołeczną tkankę psychiczną. I znów źródło dysputy: to lepiej — mówią jedni — gdyż tym samym opierają się przynajmniej stronniczym manipulacjom. To gorzej — mówią drudzy — gdyż trudniej je okiełznać, a nawet wypatrzyć ich tropy. Skoro są wszędzie, nie sposób przyporządkować ich nigdzie.

Atmosfera sprzyja nieograniczonym spekulacjom i niejednego obserwatora z zewnątrz pobudziła do najdziwaczniejszych wniosków. Czegóż to nie zdarzyło mi się wyczytać... Oto np. poszukując rodowodów współczesnej lękliwości niemieckiej cofa się ktoś... aż do mroków duszy pragermańskiej w „Nibelungach" (nie do Wagnera, lecz żeby było bardziej głębinowo, do średniowiecznego tekstu)[1]. Widocznie trudno czasami nie dać się zwariować.

Jednocześnie w warunkach podobnej płynności lub — jak chcą niektórzy — amorfii nastrojów, powracają coraz natrętniej znane pytania o *obliczalność* Niemców, o ich wiarygodność w przestrzeganiu układów, o rzeczywisty stopień ich atlantyckiej integracji, a czy naprawdę chcą iść razem czy samopas, a czy nie

1. Warto może przypomnieć, że w okresie hitleryzmu „Pieśń o Nibelungach" odgrywała rolę przeciwną. Widziano w niej apoteozę „wodzostwa" i gotowości na wszystko w imię posłuszeństwa.

wywiną się gdy będzie okazja, a co by zapłacili za zjednoczenie, a nowe Rapallo, a neutralizm, a nacjonalizm itd., itd. Także więc lęk o Niemców przybiera często wymiary irracjonalne, a niekiedy uderza w „apokaliptyczne" tony.

Na razie jednak pora spytać, co właściwie odróżnia lęki niemieckie, gdy już idzie o ich określone przedmioty, od niepokojów, trapiących także inne społeczeństwa zachodnie[2]. Przecież konkrety są wszędzie podobne. Gdzie znaleźć dziś państwo bez napięć między prywatną sferą jednostki a sferą administracji? W jakim kraju zniszczenie środowiska naturalnego nie zaprząta dziś ogólnej uwagi? Gdzież to nie widzi się wpływu wszechobecnej chemii na żywność i zdrowie, albo gdzie nie głowią się specjaliści nad optymalnymi normami bezpieczeństwa reaktorów atomowych? Kto nie chciałby zatrzymać spirali zbrojeń, kto nie boi się AIDS, kto pogodził się z perspektywą permanentnego bezrobocia, któraż to wreszcie gazeta na świecie nie nawiązała ostatnio — wśród tumultu na giełdach — do poprzednich kryzysów światowych?

A jednak w Niemczech wszystko przebiega inaczej. Zapowiedź trudniejszego do podrobienia dowodu osobistego skłania z miejsca do podejrzeń, iż chodzi o pretekst do bardziej arbitralnej kontroli władz nad obywatelem — toteż projekt czekał na realizację kilka lat. Dyskusja nad zabiegiem tak normalnym, jak spis ludności, również trwała lata, gdyż tajność indywidualnych danych nie wydawała się dostatecznie zagwarantowana. W sporach o higienę żywności, o stosowanie hormonów w hodowli bydła, o substancje używane do opakowań, o uchybienia w produkcji lekarstw czy kosmetyków, o transporty trujących chemikaliów, o składowanie odpadów — ton najwyższego alarmu zagłusza często kompetencję fachowców, utrudniając dokładne sprawdzenie zarzutów i podkopując wiarygodność środków zaradczych. Jest np. rzeczą całkowicie naturalną, że po audycji magazynu telewizyjnego (doskonałego zresztą) o zanieczyszczeniu ryb obrót nimi spada natychmiast o 60 % — nikt w końcu nie ma ochoty na spożywanie ryb z robakami. Lecz wydaje się o wiele mniej naturalne, jeśli po drastycznych zarządzeniach kontrolnych, po wprowadzeniu obowiązkowych metod prześwietlania ryb w handlu wewnętrznym i w imporcie i wreszcie po jednoznacznym odwołaniu alarmu przez kompetentne placówki, w dobrych kilka miesięcy od pierwszych sygnałów rynek nadal jest rozchwiany.

Szybkość przerastania polemik rzeczowych w ostre konfrontacje polityczne to chyba również niemiecka specjalność. Pominę nawet ostatnie perturbacje giełdowe, gdyż chociaż tygodnik *Der Spiegel* straszył z okładki ogromnym tytułem *„Angst"* — idzie tu

2. Zależy mi na podkreśleniu, że porównanie dotyczy demokracji zachodnich. W krajach totalitarnych bowiem sprzeczność między bezsilną opinią publiczną a samowolnym i niekontrolowanym państwem powoduje odmienne reakcje na podobne zjawiska.

raczej o dezorientację na wysokich szczeblach ministerialnych i bankowych, niż — jak dotąd przynajmniej — o panikę wśród ludności. Jednak w innych dziedzinach różnice poglądów na procedurę czy na metodę rozwiązywania spraw konkretnych przenoszą się błyskawicznie w sferę walki politycznej. Tak właśnie dzieje się w tej chwili z dyskusją nad przepisami, zaostrzającymi ustawę o demonstracjach. Tak wykrystalizowała się rozbieżność między solidarnościowo-informacyjną koncepcją federalnego ministra zdrowia, pani Süssmuth, a administracyjno-represyjną koncepcją rządu bawarskiego w praktyce przeciwdziałania AIDS. Tak wreszcie toczy się zatarg o dopuszczalne granice napromieniowania żywności. Wprawdzie w EWG ślimaczy się dogadywanie w tej materii, ale w prasie niemieckiej uderza osobliwy podział preferencji: tych co przystają na granice wyższe (czyli mniej radykalnie oceniają popromienne niebezpieczeństwo) faworyzuje prasa konserwatywna, tych co żądają granic niższych — prasa sympatyzująca z opozycją.

Różnice „światopoglądowe" mierzone w bekerelach? Kto nie przebywa tu stale, zrozumie może z trudnością, że to nie dowcip. Nie raz zdarzyło mi się zauważyć, jak do dyskusji rzeczowych wkradają się z miejsca oceny wartościujące, wprzód powściągliwe, a za chwilę czarno-białe. O ile mi wiadomo, w żadnym innym kraju ruch anty-atomowy nie przybrał cech tak „manichejskich", jak w Niemczech. Niedługo po wojnie — przypomniał mi niedawno znajomy fizyk — idea pokojowego wykorzystywania energii atomowej otrzymała tu kształt moralny. Oto przeciwieństwo niszczycielskiej bomby, oto — dodatek szczególny na tutejszym gruncie — okazja odkupienia się dla Niemców za rozpętanie światowej zawieruchy. Gdy jednak po latach dotarło do powszechnej świadomości ryzyko owej energii, emocje zaczęły się w pewnych środowiskach odwracać, aż zatoczyły łuk od apologii do potępienia. We Francji, gdzie terytorialna gęstość reaktorów atomowych jest — jak wiadomo — nieporównanie większa, a w ogóle zależność od energii atomowej nieporównanie wyższa, reakcje społeczne nigdy nie przekroczyły granic racjonalności, nawet krótko po katastrofie czarnobylskiej, kiedy — jak sygnalizowała ankieta paryskiego *Express*'u — wzrosła liczba przeciwników tej energii, a przeszło 80 % ankietowanych skarżyło się na niedostatek informacji o związanych z nią niebezpieczeństwach. W praktyce tutejszej natomiast namiętności wiodły w prostej linii do deklaracji programowych o charakterze wyznań wiary. I tak Zieloni wypisali na swych sztandarach abstrakcyjne hasło natychmiastowego odwrotu od energii atomowej, SPD żąda redukowania jej etapami w ciągu 10 lat, także oba Kościoły wypowiadają się za odwrotem na dłuższą metę, a partie koalicji rządzącej CDU - CSU i FDP nie chcą na razie słyszeć o żadnych zmianach, jakkolwiek w szeregi ich zwolenników wdarła się głęboko instynktowna postawa anty-atomowa. Programy mogą więc być przeciwstawne (chociaż tymczasem i SPD zaczęła swój 10-letni termin relatywizować w obliczu trudności technologicznych i prawnych), ale — jak wyżej — niepokoje nie dzielą się według partii. „Wojny

religijne" w sprawie reaktorów atomowych będą się prawdopodobnie toczyć jeszcze długo.

Refleksję precyzyjną uprawia się oczywiście w badaniach. Z koniecznością poszukiwania bezpieczniejszych źródeł energii zgadzają się wszyscy. Chodzi o terminy. Instytuty gospodarcze dowodzą, że zmiana dokonać się może jedynie w procesie długofalowym, nieuchwytnym jeszcze czasowo. Obliczają, że nowe źródła energii (np. słonecznej lub wietrznej) nie byłyby wystarczające, a stare, przed-atomowe, spowodowałyby wzrost kosztów i o wiele większe niż obecnie obciążenie środowiska naturalnego.

Jeszcze silniej — wiedzą o tym dobrze czytelnicy *Kultury* — tchnęły „manicheizmem" tutejsze długoletnie spory o redukcję zbrojeń atomowych. Od dłuższego czasu, zapewne wobec perspektywy układu wielkich mocarstw o zniszczeniu rakiet średniego zasięgu, emocje zaczęły opadać. Gdy piszę te słowa, układ został nieformalnie już zawarty — któż jednak zaręczy, że jutro fanatyczne grupy nie wymyślą powodu do nowego alarmu. Kto uwierzy np., że w miejscowości Mutlangen, w Szwabii, przy bazie amerykańskich Pershingów, zakwaterowali się na stałe (od momentu głośnej blokady sprzed przeszło czterech lat) niektórzy spośród ówczesnych demonstrantów. Jak doniosła niedawno gazeta *Kölner Stadt-Anzeiger*, wiedzą już nawet, co zrobią po usunięciu stąd Pershingów. Będą informować ludzi o innych systemach broni, gdyż tej zawsze starczy, by wysadzić świat w powietrze. Przykład wyjątkowy i tylko symboliczny. Ale ile trzeba zacietrzewienia, by przez lata obstawać kurczowo przy takim symbolu, by na siłę przedłużać psychozę po zniknięciu jej przyczyn.

O najistotniejszej bodaj właściwości tutejszego ruchu przeciw broniom atomowym pisałam w *Kulturze* kilkakrotnie. Powtarzając w skrócie: w poczuciu ogółu polityczny wymiar problemu został zastąpiony wymiarem biologicznym. Widmo po-atomowej pustyni bardziej przykuwa wyobraźnię, niż samo źródło tego zagrożenia. Nie w systemowej strukturze sowieckiej upatruje się niebezpieczeństwo, ale w nagim fakcie, iż oba wielkie mocarstwa posiadają broń atomową. Okres Gorbaczowa sprzyja oczywiście temu przemieszczeniu odczuć. Niedawno tygodnik *Die Zeit* ogłosił tekst długiej rozmowy telewizyjnej, o lękach właśnie, między byłym kanclerzem Schmidtem a słynnym fizykiem i filozofem von Weizsäckerem (bratem prezydenta). Czytałam potem publikowane listy czytelników. Tylko w jednym czy drugim wypadku lękom przed *absurdem* atomowej zagłady towarzyszyła refleksja o logice totalitaryzmu, który trwa i istnieje — pomimo Gorbaczowa i *pieriestrojki*.

Żeby nie skrzywić proporcji, muszę przytoczyć częste tu poglądy, że Niemców bardziej denerwują kłopoty z rybami, mięsem, kosmetykami czy lekarstwami, niż zasadnicze dyskusje o reaktorach, rakietach i redukcji zbrojeń. Porównawcza statystyka nastrojów (zwłaszcza, jak przystało na zjawiska nerwicowe, to rozpalających się, to znów gasnących) jest trudną rzeczą. Po prostu nie wiem. Chodzi zapewne — podobnie jak gdzie indziej — o róż-

nicę uczuleń między środowiskami bardziej lub mniej wdrożonymi w myślenie polityczne, a te drugie zawsze liczbowo górują.

Natomiast wiem na pewno, że lęki wszelkich możliwych kategorii doznały tu sankcji społecznej. Pojmowane nie tylko jako nieunikniony, ale jako pełnoprawny element powszechnego odczuwania, otrzymały nieoczekiwanie wysoką rangę ważności.

Weszły w ogólną tonację, w ogólny trend. Lekceważenie, nawet przez sekundę, zagrożeń ekologicznych w dzisiejszym świecie byłoby nonsensem. Ale w Niemczech — znów tutejsza odrębność — nie tylko wysunęły się one na czoło hierarchii rzeczowej, ale nieomal zapoczątkowały pewien obowiązujący kodeks zainteresowań. Nie jest przypadkiem, że w ankiecie wspomnianego już Instytutu Demoskopii w Allensbach, na pytanie co jest *in*, a co *out*, 93 % osób umieściło ochronę środowiska i w ogóle ochronę przyrody na pierwszym miejscu listy, złożonej z 43 pozycji. Fascynacja zagrożeniami, od codziennych po atomowe, przerosła w modę intelektualną. Zdarza się więc, że w efekcie lewicowo-radykalnej indoktrynacji nie tylko już broniom atomowym, ale własnej armii przypisuje się charakter agresywny. Roznieca się nieufność do racjonalnej myśli ludzkiej — gdyż z niej wzięły się narzędzia zniszczenia — rozkręca się koniunkturę na katastrofizm filozoficzny. Kto wie, czy to nie właśnie w ucieczce przed apokaliptycznymi wizjami świata liczniejsze tu podobno niż w innych krajach europejskich grupy młodzieży trafiają do różnych sekt. Może to również ku pokrzepieniu serc popularna prasa dla kobiet organizuje ankiety na temat cudownych ingerencji sił transcendentalnych w życie codzienne. Nigdy nie wiadomo, czym zaowocują pomysły, poczęte w elitach intelektualnych, wśród mniej wykształconych kręgów społeczeństwa.

W prasie politycznej, a przede wszystkim wewnątrz kierowniczych elit politycznych, niemieckie niepokoje rodzą inne jeszcze dylematy. Ulegać lękom społeczeństwa, tylko dotrzymywać im kroku — najwygodniejsza to przecież metoda walki o wyborców — czy też starać się racjonalizować je i opanowywać? Także ta sprzeczność wymyka się podziałom partyjnym, częściej przebiega wewnątrz partii. W SPD np. pozornie retoryczne starcie między konsekwentną dewizą Schmidta: „Strach jest złym doradcą" a obliczonym na efekt zawołaniem Lafontaine'a: „Strach jest najlepszym doradcą" — wyraziło przed kilku laty nie tylko doraźną rozpiętość istniejących w tej partii tendencji, ale także przeciwstawność dwóch filozofii politycznych. Obok Zielonych i ich peryferii także lewe skrzydło SPD włączyło kategorię lęków społecznych w rejestr *wartości*, nadało im — ze względu na samą ich naturę — rangę niemal cnoty, niemal niezbywalnego *prawa* jednostki... Otóż to: nie ma dziś wprawdzie społeczeństwa wolnego od lęków, ale nigdzie chyba nie zapędzono się aż tak daleko, by czynić z nich ideologię.

Dlaczego to wszystko?

Trzeba się oczywiście bronić zarówno przed odpowiedziami ryczałtowymi, jak i przed dowolnością — prawdziwym w podobnych wypadkach kuszeniem diabła. Niemniej sądzę, że od częściowych hipotez uchylać się nie należy.

Najprzód sprawy znane. Tak samo jak gdzie indziej, przestraszono się tu nowego skoku wiedzy ludzkiej i techniki, która niezależnie od zagrożeń codziennych obdarzyła człowieka możliwością zniszczenia gatunku i planety. Ale — inaczej niż gdzie indziej — przez środek Niemiec przebiega granica dwóch światów, nic więc dziwnego, że lęk materialny, fizyczny przejawia się ostrzej. Na tym jednak nie koniec. Jeśli bowiem elity polityczne przyjmowały tu zawsze z aprobatą ochronną rolę USA, to jednak w zakresie decyzji konkretnych wolałyby rolę podmiotu niż przedmiotu. Dwoistość ta istnieje i drażni.

Ale dotyczy tylko góry, żeby dowiedzieć się więcej, trzeba wejrzeć w podglebie społeczne. Niewątpliwie jest ono wystawione jeszcze teraz na ciśnienie, zza grobu, przeszłości hitlerowskiej. U byłych zwolenników systemu, uznawanego przecież za niewzruszony, bezprzykładny jego krach wywołał trwałą, odruchową nieufność wobec wszelkich inicjatyw i instytucji państwa. Inni wynieśli z wszystkiego co przeżyli lub — gdy idzie o dalsze pokolenia — z tego, czego się o hitleryzmie dowiedzieli, ostry lęk przed możliwymi przerostami każdej władzy. Klimat ten nie wpływał na zacieśnienie stosunków między ludźmi, a pogłębiały go dodatkowo inne wydarzenia. W wielu rozmowach zwracano mi uwagę na związek nerwic niemieckich z przemieszczeniami ludności po wojnie. Zresztą, poza tymi wielkimi przemieszczeniami, mało kto, zwłaszcza wśród mieszkańców miast, nie zmienił tu siedziby — toteż „swojskości", poczucia osobistego bezpieczeństwa, gwarantowanego przez więzi sąsiedzkie czy środowiskowe, trzeba się było dopracowywać przez długie lata. I znów podział pokoleniowy: w rocznikach starszych wzajemny strach przed pytaniami o przeszłość przeszkadzał nowym integracjom. Roczniki średnie do dziś szukają własnego stylu w przezwyciężaniu owej powojennej, niemieckiej samotności, której wzory wyniosły ze swych rodzin. Jest rzeczą charakterystyczną, jak rzadko zawiązują się tu przyjaźnie w miejscu pracy. A wspólny stolik w knajpie, osławiony niemiecki *Stammtisch*, kultywuje zażyłości zwyczajowe, regularne lecz dotyczące tylko świata zewnętrznego. Sfera intymna pozostaje w domu, zdana na siebie.

Inaczej z młodzieżą. Nie jest już samotna, wytworzyła zupełnie inny klimat międzyludzki, lecz nie brak jej powodów do zbiorowych frustracji w tym bogatym kraju. Nękają ją niepokoje o przyszłe miejsce w życiu, o trudne do zdobycia wykształcenie zawodowe, niemałe grupy, w tym akademickie, borykają się z bezrobociem, bądź z jego natrętną wizją — a niech nikt nie myśli, że najwyższe nawet zasiłki społeczne zapobiegają kompleksom, wynikłym z poczucia nieprzydatności życiowej. Oddaleni od źródeł narodowej identyfikacji — czego najczęściej świadomie nie odczuwają — poszukują młodzi Niemcy (ściślej: najwrażliwsi spośród nich, zdolni do auto-refleksji) innych, zastępczych terenów dla ujścia swej energii psychicznej, innych wspólnot uczuciowych i moralnych. Spóźniona rozprawa z przeszłoś-

cią postawiła ich zresztą w sytuacji szczególnej. Oto po dziesięcioleciach ogólnonarodowego nabierania wody w usta, młode, a dziś już także średnie, nie obciążone datą urodzenia generacje dźwigają — zastępczo za dziadków — całe brzemię rozliczeń z niemiecką odpowiedzialnością za hitleryzm. Obserwatorów zagranicznych często wręcz zdumiewa, jak chlubnie najlepsi spośród tych generacji wywiązują się z owej roli. Tylko, że samą chlubą trudno żyć. Ileż to razy zetknęłam się, u tych właśnie najwrażliwszych, z goryczą i ze strachem, że ich wysiłki znaczą cokolwiek tylko wewnątrz kraju, że na zewnątrz nie zdadzą się na nic, że obraz Niemców w świecie ani nie drgnie, że także na nich, na nowe pokolenia — bez różnicy i bez litości — spuści swoją zasłonę.

Pisałam kiedyś o radykalnych tu odwrotach od dawnych prawideł wychowawczych i kryteriów wartościowania: wczoraj dryl, dziś ucieczka od zasad, wczoraj wojna, dziś pacyfizm, wczoraj apoteoza odwagi, dziś apoteoza lęku. Ale zmiany wyznawanych wartości niekoniecznie idą w parze ze zmianami w strukturze psychicznej i w dziedziczonych wzorach zachowania. Więc jak się to tutaj krzyżuje? Autor licznych prac o Niemczech, Walter Laqueur, pisze w swej ostatniej książce „Germany Today", że jednym ze źródeł obecnych nerwic u Niemców jest ich perfekcjonizm. Nie lubią niezdobytych szczytów, gdy coś im na sto procent nie wyjdzie, wpadają w rezygnację i depresję. Sądzę, że trzeba tu jeszcze dodać niemiecki pociąg do wszechogarniających, zamkniętych ideologii. Wprawdzie stosunkowo szybko — w perspektywie historycznej — wymieniali jedne kodeksy na drugie, czasem odwrotne, lecz nie czuli się dobrze, gdy kodeksów nie było wcale. Woleli systemy „całościowe" od różnicujących. I tym może — by nawiązać do istotnych dla mego tematu tradycji tutejszego *Kulturpessimismus* — tłumaczy się ogromny wpływ Schopenhauera na inteligencję niemiecką w połowie zeszłego wieku, czy później szeroki oddźwięk spekulacji Spenglera o zmierzchu kultury zachodniej.

A zatem — bać się o Niemców? O ich *polityczną obliczalność?*

Odpowiadam z przekonaniem: nie — choć wiem, że Czytelnik mógłby zdziwić się w tym miejscu: Cóż to za *deus ex machina?...*

Jednak wcale nie *deus ex machina.* Gdyż zobaczmy: żadne z tutejszych lękowo-nastrojowych „trzęsień ziemi" nie podkopało zasadniczo jakiejkolwiek podstawowej opcji politycznej. Mogło pewne decyzje opóźnić, utrudnić, przekształcić — nie zdołało ich udaremnić. Bywało nawet, że niektóre napięcia same się z czasem korygowały i w rezultacie zadziałały pozytywnie. Odrzuciwszy sztafaż katastrofizmu, ruch społeczny w obronie środowiska naturalnego uczulił rządzących na te problemy. Pewne paniczne prognozy nie spełniły się. Gdy Zieloni wchodzili do rządu w Hesji, podniósł się krzyk, że zacznie uciekać stamtąd przemysł. Tymczasem nic podobnego się nie stało i nawet całkiem nieźle ułożyły się stosunki między tamtejszym Zielonym ministrem

ochrony środowiska[3] a przedsiębiorcami. (Koalicja SPD z Zielonymi rozpadła się tam później z innych powodów). Z drugiej strony SPD — jak wspomniałam wyżej — pozostając przy swoim kursie odwrotu od energii atomowej, zaczęła jednak rozluźniać nierealne i sztywne terminy. Ruch pokoju nie przeszkodził stacjonowaniu Pershingów. W tych dniach właśnie zwyciężyła naocznie kwestionowana latami przez Ruch Pokoju, Zielonych i lewe skrzydło SPD koncepcja Schmidta, bez „podwójnej decyzji NATO", której był inspiratorem, nie doszłoby bowiem do układu o zniszczeniu rakiet. Ogromna większość społeczeństwa niemieckiego aprobuje nadal sojusz atlantycki (rzecz znamienna, że Lafontaine, nieoficjalny rzecznik lewicy SPD, zrezygnował ze swych „separatystycznych" w tym zakresie pomysłów). Tutejszy ambasador amerykański, polemizując z poglądami o erozji niemieckiej woli obrony, przypomniał kiedyś i obłożył liczbami drobną okoliczność, że wkład RFN w sojusznicze siły obronne jest najwyższy w Europie.

By przejść do zjawisk z innych dziedzin: wbrew ostatnim perturbacjom gospodarczym na świecie, zaufanie do własnej gospodarki nie uległo tu większym zakłóceniom — mogą to zaświadczyć niezmiernie wysokie wkłady oszczędnościowe. Wreszcie — fakt politycznie najważniejszy i przekreślający wszelkie analogie: pomimo prawdopodobnego spadku koniunktury i trwającego bezrobocia, prawe ani lewe radykalizmy, jeśli nawet raz po raz dają znać o sobie, nie wykraczają nadal poza margines społeczeństwa.

Więc co z tymi lękami?

Są i będą, ale trzeba uważać, by przy ich ocenie nie wpaść w „apokaliptyczną" pułapkę. Sądzę, że ich poznawanie jest niezbędne — nie dla celów studyjnych, lecz dlatego, że obok wielu innych czynników współdziałają one w pewnym stopniu w kształtowaniu się decyzji i wyborów politycznych. Ale trzeba konfrontować je z podejmowanymi konkretnymi decyzjami. Wtedy okaże się, że współczesne społeczeństwo niemieckie nie jest mimo wszystko pozbawione mechanizmów kontrolnych, które w pewnym momencie — po burzach i wstrząsach — stawiają tamę irracjonalnym impulsom. Dwie skłonności żywego organizmu: jedna chwiejna, niepewna, folgująca załamaniom nastrojów i słabościom aż do pławienia się w nich włącznie — druga regulująca, wyciszająca emocje, przywołująca do równowagi w myśleniu. Ta bardzo szeroka amplituda należy również do tutejszych cech szczególnych.

Więc może Apokalipsa nie jest jeszcze na jutro. Może wstrzymajmy się jeszcze z grzebaniem niemieckiej obliczalności.

Kamila CHYLIŃSKA

29 listopada 1987

---

3. Trzeba podkreślić, że minister ten, Joschka Fischer, należy w partii Zielonych do skrzydła tzw. realistów. Są to zwolennicy pragmatyzmu politycznego i określonych reform — w przeciwieństwie do tzw. fundamentalistów, którzy negują istniejący system w całości i uchylają się od wszelkiej współpracy z innymi partiami.

Proszę pamiętać, że ja byłem przeciw

WIDZIANE Z BRUKSELI

Jak na churchillowski „sekret spowity w tajemnicę" (lub odwrotnie) i jak na zaledwie tysiąc dni rządzenia Związkiem Sowieckim i zachodnią prasą, Michaił Gorbaczow doczekał się, i to za życia, a nawet za młodu, wcale imponującej literatury. Właśnie skończyłem czytać w szpaltach (szykuję fragmenty dla mojego *Le Soir)* nową książkę Michela Tatu, dziennikarza z *Le Monde* pt. „Gorbaczow, czy ZSSR się zmieni?" *(L'URSS va-t-elle changer?)*, w księgarniach są do nabycia (ścisku, i słusznie, nie ma) wydane już przedtem dzieła Dev Murarka „Gorbaczow" (po francusku), Żoresa Miedwiediewa pod tym samym tytułem po angielsku, Mikołaja Polanskiego i Aleksandra Rahra „Gorbatschow, der neue Mann" *(„Nowy człowiek")* i Christiana Schmidt-Hauera „Mikhail Gorbatchow" po niemiecku. Nie znam bibliografii amerykańskiej, ale można sowietologom zza oceanu zaufać: zaleją rynek. To wszystko nie licząc fałszywego *best-seller*'a pióra samego Gorbaczowa pod nieco nużącym tytułem: *„Pieriestrojka,* nowe spojrzenie na nasz kraj i na świat", którego główna wartość sprowadza się do potwierdzenia hipotezy innego Michała, mianowicie Hellera, o stałym dążeniu sekretarzy generalnych partii sowieckiej do wspięcia się na Olimp i zdobycia statusu pisarza.

Dzięki tym arcydziełom dowiedziałem się, że dziadek oraz tatuś i mamusia (jeszcze żyje rzekomo) sekretarza generalnego należeli do kołchozowej arystokracji, że wśród kolegów ze studiów Gorbaczowa znajdowali się Aganbegian i Wielichow, jego obecni doradcy od ekonomii i technologii, że pani Raissa jest Titorenko z domu, a socjologiem z wykształcenia, że jej tatuś był dziennikarzem, a brat, rzekomo, KGB-istą.

Zdenek Mlynař, Czech, też kolega ze studiów w Moskwie, narysował, *a posteriori,* wzruszający portret Michaiła. Mlynař był najmłodszym sekretarzem czechosłowackiego KC w czasie „praskiej wiosny", zwolennikiem reform i pojechał na emigrację po bratniej inwazji. „Byłem, pisze Mlynař z dumą, pierwszym obcokrajowcem, którego Gorbaczow poznał. Razem studiowaliśmy, razem zdawaliśmy egzaminy, razem otrzymaliśmy dyplomy. Z wyróżnieniem. Gorbaczow był człowiekiem otwartym, jego inteligencja nie prowadziła go nigdy do arogancji, umiał słuchać innych. Był człowiekiem uczciwym i dobrej woli, miał poczucie godności i autorytet, prawdziwy a nie formalny. Nigdy nie bywał cyniczny, miał usposobienie reformatora... Pewnego dnia zwrócił się do mnie: 'A jednak Lenin nie kazał aresztować Martowa (mienszewicki przeciwnik wodza), pozwolił mu emigrować'. W 1952 roku — powiada Mlynař w 1987 roku — oznaczało to, że student prawa Gorbaczow zastanawiał się, czy naprawdę ludzie dzielą się tylko na zwolenników linii partii i zbrodniarzy", z czego wynikać by miało, że już za młodu Gorbaczow był przeciw błędom i wypaczeniom i za *pieriestrojką.* Z innych rewelacji, odnalezionych przez dziennikarzy amerykańskich wynika, że młody Gorbaczow już na studiach bronił naturalnie Żydów.

Dwie szkoły myślenia...

Najogólniej biorąc, zauważyć można na Zachodzie dwie główne szkoły myślenia, dwie filozofie strategii wobec ZSSR. Pierwszą można by nazwać nieprecyzyjnie „totalitarną". Wychodzi ona z założenia, że system sowiecki jest unikalny, bez precedensu, że żadna partia polityczna w historii nie potrafiła podporządkować sobie do tego stopnia i przykroić na tak bardzo swoją miarę nie tylko ogromnego państwa, ale całego społeczeństwa. Wszystko w ZSSR należy do partii komunistycznej: gospodarka i administracja, elektrownie i koleje, wojsko i policja, banki i szkoły, cała kultura, a także, jeżeli nie przede wszystkim, historia, jako że zgodnie z tym, co mówił Orwell, kto kontroluje przeszłość, ten włada teraźniejszością. A więc (taki jest wniosek „totalitarny") z punktu widzenia władzy jest to system „doskonały", a o to wszak przede wszystkim chodzi...

Wniosek „totalitarny" jest więc jasny. Sprowadza się do stwierdzenia, że tak doskonały system nie jest, bo nie może być reformowalny i że rzeczywiste zmiany mogą się dokonać jedynie drogą gwałtu, implozji lub eksplozji. Nie wyklucza to, a nawet zakłada, konieczność koniunkturalnych dopasowań, adaptacji, zygzaków. Gorbaczow to dobrze rozumie, chce tanio, drogą zabiegów kosmetycznych, uniknąć zmian gwałtownych. Ale system pozostanie bez zmian. Aż się rozleci od wielkiego „bang".

Druga szkoła zwać by się mogła „rewizjonistyczną", pragmatyczną. Jej zdaniem, pod słońcem nie ma niczego wiecznego. Skoro więc żaden system nie może uniknąć erozji i przekształceń, skoro wszystkie ustroje uległy sile gwałtownych kryzysów lub powolnych procesów, skoro prawa społeczne i gospodarcze biorą zawsze rewanż za gwałt na ich naturze, przeto i system sowiecki nie stanowi wyjątku i w końcu ulegnie. Gorbaczow, tak jak Wałęsa w Gdańsku w 1980 roku, znalazł się na właściwym miejscu we właściwym momencie. Ale zmiany w komunizmie zachodzą już od 70 lat. Zmian dokonywali Deng i Dubczek, Chruszczow i Gomułka. Do obecnych zmian i tak by doszło, z Gorbaczowem lub bez niego.

Są to więc dwie szkoły bardzo różne. Jeżeli jednak wyeliminować „ekstremy" (to także słowo z nowomowy PRL-u), to znaczy z jednej strony tych, którzy uważają, że należy już od razu rozbić Sowiety, a z drugiej strony tych, którzy widzą w *pieriestrojce*

krótką fazę przejściową do demokracji typu brytyjskiego, to obie te szkoły uważają zgodnie:

a) że coś się w ZSSR w tej chwili dzieje i zmienia i że zmiany te są interesujące,

b) że to co się zmienia ma zapewnić ZSSR miękkie lądowanie w XXI wieku bez utraty statutu supermocarstwa na zewnątrz i monopolu władzy kompartii wewnątrz,

c) że Zachód, w koncepcji Kremla, ma w tej operacji odegrać rolę kluczową, jako źródło kredytów i technologii, jako partner w rozbrojeniu prowadzącym do obniżenia budżetu wojskowego do poziomu możliwości gospodarki sowieckiej.

... i dwie szkoły działania

Na tym zgoda się kończy, a zaczynają się pytania. Zachód stoi przed poważnym dylematem. Czy to co się dzieje w Moskwie stanowi dla państw demokratycznych ofertę, czy wyzwanie? Czy jest to szansa dla świata, czy zagrożenie? Czy, w skrócie mówiąc, Zachód powinien pomagać Gorbaczowowi, czy nie, a jeżeli tak, to jak i na jakich warunkach?

Sprawa poważna. *Sina ira et studio* pochyliłem się nad tym *dossier*. Tu znowu mamy dwie szkoły.

Pierwsza szkoła, powiedzmy łagodnie, „optymistyczna" zakłada, że Gorbaczow ma prawo do kredytu zaufania na zasadzie domniemania niewinności. Jest to stara i bardzo demokratyczna zasada prawna, która, *if ever*, powinna być stosowana z ogromną ostrożnością w polityce, zwłaszcza w sferze Wschód - Zachód. Szkoła ta, mimo młodego wieku, ma już swoich filozofów, proroków, teoretyków. Głównym jej ideologiem jest Hans-Dietrich Genscher, zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych i wicekanclerz RFN. Genscher ma wszystkie szanse stania się Willy Brandtem epoki rozwiniętej *pieriestrojki*, dostanie też zapewne pokojowego Nobla po narobieniu, rzecz prosta, odpowiednio wielkich szkód na świecie. Otóż posłanie Genschera do świata zachodniego można streścić w następujący sposób (cytuję na podstawie angielskiego tekstu):

„Zmarnowanie okazji stworzonej przez wydarzenia w ZSSR, woła Genscher, byłoby błędem o historycznym wymiarze. Należy — powiada — przezwyciężyć onieśmielenie, nie wolno dać się zatrzymać przez anachroniczne myślenie i zadawnione antypatie, tak aby jak najszybciej wspólnie z przywódcami sowieckimi wypracować nowy porządek stosunków Wschód - Zachód". Jest to więc propozycja ideologicznie i politycznie poważna. Istotnie, trudno byłoby znaleźć lepszych fachowców od tworzenia we współpracy z przywódcami sowieckimi nowego porządku w stosunkach Wschód - Zachód niż niemieccy ministrowie spraw zagranicznych.

Bądźmy, choć to niełatwe w polityce, uczciwi w dyskusji. Genscher nie jest sam, ani nawet osamotniony, ani w Niemczech, ani na świecie. Ma za sobą wielu strategów, taktyków, a przede wszystkim kupców.

Szerokim frontem

Stratedzy zachwycają się „nową myślą dyplomatyczną" Gorbaczowa. Dokonali odkrycia: Gorbaczow wypracował rzekomo koncept „dostatecznego bezpieczeństwa", dokonał szeregu „ustępstw", bo doszedł do wniosku, że bezpieczeństwo ZSSR powinno być w większym stopniu zapewnione środkami dyplomatycznymi niż zawartością arsenałów. Według tej szkoły, Gorbaczow jest szczerze przekonany, że ZSSR nie powinien starać się zapewnić własnego bezpieczeństwa kosztem stanu bezpieczeństwa swych rywali, którzy, według obecnego sekretarza generalnego, mogą mieć prawo do niepokoju w obliczu potęgi wojskowej ZSSR.

Argumenty strategiczne zyskują szalenie na podbudowie gospodarczej i politycznej. P. Kendal, prezes Pepsi Cola, któremu udało się wysiudać Coca Colę z ogromnego rynku sowieckiego, jest np. (co za przypadek) przekonany, że Zachód powinien pomóc Gorbaczowowi „wyciągnąć ZSSR z pozycji gospodarczego karła", albowiem obecna sytuacja nie leży w interesie Zachodu. Inny altruista, Armand Hammer, prezes trustu naftowego, który pierwszy swój milion dolarów zarobił jeszcze za Lenina, też uważa (uważał tak po każdym pogrzebie na Placu Czerwonym), że nastała nowa era, że na Kremlu zasiadł człowiek, jakiego jeszcze nie było i że nie wolno zmarnować okazji.

Do tego samego wniosku doszedł Instytut Badań Spraw Bezpieczeństwa Wschód - Zachód z siedzibą w Nowym Jorku. Instytut ten, finansowany częściowo ze źródeł „naukowych" wschodnioeuropejskich, sponsorował opracowanie raportu autorstwa aż 37 politologów i businessmenów amerykańskich na temat stanowiska, jakie Zachód powinien zająć wobec Gorbaczowa. Pisanie trwało 6 miesięcy. Raport jest ciekawy. Idzie bardzo daleko. Autorzy jednomyślnie uważają, iż Gorbaczow dysponuje wystarczającym poparciem bazy dla realizacji swych projektów i że interes amerykański polega na udzieleniu mu pomocy w tym dziele. Raport stwierdza, że „polityka zagraniczna Gorbaczowa rozwija się w wielu kierunkach zgodnych z interesami zachodnimi", w związku z czym proponuje, pod określonymi warunkami (np. „rosnący respekt dla praw człowieka" — co to znaczy rosnący?!), zniesienie ograniczeń taryfowych (m.in. poprawki senatora Jacksona uzależniającej ulgi celne od liberalizacji emigracji żydowskiej i innej z ZSSR), dostęp do kredytów GATT i Funduszu Walutowego, rozszerzenie handlu z wyjątkiem technologii ściśle strategicznej.

Trzydziestu siedmiu redaktorów raportu świadomych jest ryzyka, jakie na dłuższą metę przedstawiać może potężny i kwitnący, dzięki zachodniej pomocy m.in. ZSSR, ale uważają, że warto ryzykować, albowiem do tego czasu, na dłuższą metę właśnie ZSSR będzie już prawdopodobnie bardzo zmienionym państwem o rosnącej roli i znaczeniu w „umiarkowanym porządku międzynarodowym". Autorzy nie cytują Keynesa, który mawiał, że na

dłuższą metę wszyscy będziemy martwi, nie mówią, co będzie, jeżeli ZSSR będzie kwitnąć, ale się zmieni mniej niż oni mają nadzieję, a porządek na świecie będzie mniej umiarkowany, konstatują natomiast (to bardzo ciekawe spostrzeżenie, choć nie wiadomo na jakiej podstawie sformułowane, a szkoda), że opozycja wobec Gorbaczowa szerzy się w kołach tradycyjnie wrogich wobez Zachodu i że w razie klęski Gorbaczowa jego następca wyłoni się z tych właśnie wrogich Zachodowi kół. Czyli, jak zauważa Kołakowski, „następny kat będzie gorszy". Inaczej mówiąc, skoro przeciwnicy Gorbaczowa są wrogami Zachodu, to zwolennicy Gorbaczowa naturalnie rekrutują się z kół Zachodowi przyjaznych, podobnie jak sam Gorbaczow i jego następcy po najdłuższej, daj Boże, *pieriestrojce*.

Politycy nie pozostali w tyle. Podróże do Moskwy należą od dawna do dobrego tonu arystokracji politycznej w USA. Rzadko jednak tak zaowocowały jak niedawny pobyt w Moskwie p. Jima Wrighta, przewodniczącego Izby Reprezentantów Kongresu USA. To potężna funkcja, jedna z pierwszych w Stanach. P. Wright, to nie tajemnica, członek partii demokratycznej w opozycji do prezydenta Reagana, znany jest z inicjatywy i gaf. Niedawno pomylił, jak mówią, opozycję z ingerencją, wmieszał się „indywidualnie" w politykę USA wobec Nikaragui, narozrabiał, na dodatek osobiście i ostentacyjnie oprowadzał prezydenta Nikaragui, Ortegę, po Capitolu. Ot, tak, na złość Reaganowi.

W Moskwie Wright nie zawiódł oczekiwań. Etymologia pojęcia „pożyteczni idioci" nie jest znana, fachowcy twierdzą, że ta definicja *poputczykow* jest niesłusznie przypisywana Leninowi. Mniejsza, gdyby ktoś jej już nie sformułował, należałoby ją wymyślić przy okazji telewizyjnego wywiadu Wrighta w Moskwie. „Moi *fellow citizens*" — zaczął Wright mowę do obywateli ZSSR — jako, że „wszyscy jesteśmy obywatelami świata...". „Pan Gorbaczow" (dlaczego nie towarzysz, skoro już *fellow*), zrobił na Wrighcie „pozytywne wrażenie, zwłaszcza przez swą szczerość. Moim zdaniem — ciągnął speaker Kongresu — Gorbaczow jest głęboko przejęty przyszłością dzieci w naszym kraju, USA i waszym kraju, ZSSR, chciałby im zapewnić lepsze życie i zapobiec, aby nie stały się niewinnymi ofiarami polityki, którą czasem, wy i my, prowadzimy". Obywatele obu krajów mają wiele wspólnego, odkrył Jim. „Oba nasze kraje zrodziły się z rewolucji, oba, choć w różny sposób, nie ustają w staraniach, aby zapewnić lepsze życie naszym narodom". Wright pogratulował obywatelom ZSSR dotychczasowych osiągnięć, oczekując „dalszego rozwinięcia demokracji, więcej otwartości w obu naszych krajach, dla nas i dla was". Taki „równy dystans" wobec obu krajów (nie ma tu miejsca na szczegóły, a szkoda), skłonił jedną z towarzyszących mu w Moskwie osób do wyrażenia sugestii, aby Wright zajął się od czasu do czasu uprawianiem propagandy nie tylko sowieckiej, ale i amerykańskiej.

Filozoficznie biorąc, credo zachodnich zwolenników *pieriestrojki* i wyznawców tezy o przechodzeniu ZSSR w demokrację

głosi: jeżeli nawet jesteśmy skazani na pozostanie w skali globalnej konkurentami, to nie jesteśmy skazani na pozostanie śmiertelnymi wrogami... Amen.

Histeria zwana „gorbazmem"

Powoli, odpowiadają sceptycy, otwierając w ten sposób wywód drugiej szkoły myślenia w sprawie Gorbaczow i spółka. Polityka może być dobra lub zła, trafna lub fałszywa, skuteczna lub niezdarna, ale nie powinna być sentymentalna ani ekumeniczna. Wam chodzi o uczucia, nam chodzi o życie.

Teza ogólna zasadnicza, ani optymistyczna, ani sceptyczna, a logiczna tego kierunku, wychodzi z założenia, że zagadnienia bezpieczeństwa zachodniego powinny być rozpatrywane i decydowane nie w związku i zależnie od zmian, dobrych czy złych w ZSSR, nie problemów wynikających z sowieckiej polityki wewnętrznej, sporów o władzę na Kremlu itd., choć trzeba wszystko to brać pod uwagę, a tym mniej z urody Raissy w stroju od Diora i oceny, dobrej czy złej, uroku Gorbaczowa jako gwiazdy telewizyjnej (zupełna histeria w USA, generalnie zwana „gorbazmem", korespondent NBC był wobec Gorbaczowa grzeczniejszy i układniejszy niż dziennikarz w polskiej telewizji wobec Jaruzelskiego) a powinna wynikać wyłącznie z analizy wymogów bezpieczeństwa Zachodu, naszych potrzeb strategicznych i interesu politycznego.

Inaczej mówiąc, nasz stosunek do Gorbaczowa i jego polityki ma być funkcją nie *pieriestrojki* czy *głasnosti* jako takiej w ZSSR, a skutków *pieriestrojki* przede wszystkim, *if any*, poza granicami ZSSR. Prawdziwy interes Zachodu jest funkcją nie zmian w klimacie, a w sytuacji międzynarodowej. Nie chodzi o meteorologię, a o stosunek sił między Wschodem i Zachodem. Poprawa klimatu powinna być skutkiem poprawy sytuacji międzynarodowej, a nie odwrotnie. A oto dlaczego.

Po pierwsze, nic z tego co Gorbaczow już uczynił nie jest nieodwracalne. Żadna nowa czy stara instytucja w ZSSR nie wnosi prawnych i realnych gwarancji tego, że pozytywne procesy, które są źródłem zachwytów na Zachodzie i są aktualnie w toku w ZSSR będą kontynuowane i rozwijane, czy choćby utrzymane. To co Gorbaczow powiedział w słynnym wywiadzie telewizyjnym dla NBC na temat Afganistanu czy praw człowieka, a przede wszystkim sposób w jaki został wyrzucony Jelcyn, ton jego krytyków, a zwłaszcza przeniesiona żywcem z czasów językoznawcy samokrytyka byłego szefa partii w Moskwie, powinny rzucić długi cień na nadzieje czy złudzenia entuzjastów Gorbaczowa na Zachodzie.

Okazuje się zresztą — jak to wynika z wywiadu Jegora Ligaczowa dla *Le Monde* — że pierwszy raz na Kremlu panuje coś w rodzaju dwuwładzy: Gorbaczow przewodniczy posiedzeniom — raz na tydzień — politbiura, Ligaczow, „na życzenie politbiura", przewodniczy regularnie oraz kiedy tylko zachodzi potrzeba po-

siedzeniom i pracy sekretariatu KC. Była to, w chwili pisania tych słów (8 grudnia 1987) informacja nowa, oznaczająca że Gorbaczow, jak pociągi w filmie nowej fali czeskiej w 1968 roku, jest generalnym sekretarzem KC pod specjalnym nadzorem.

W skrócie mówiąc, są poważni fachowcy, którzy uważają, że Gorbaczowowi wcale nie chodzi o *pieriestrojkę*, a o *pieriedyszkę*, i że wszystko może pewnego dnia wrócić do starego, albo jeszcze dalej, kiedy tylko Związek nabierze pełnego oddechu. Coś w stylu „krok wstecz, dwa kroki naprzód...", teza, która powinna być już dziś powszechnie znana choćby z „Krótkiego kursu"...

Po drugie, mówią sceptycy, „nowa myśl dyplomatyczna" Gorbaczowa nie jest ani nowa, ani myśl, ani dyplomatyczna, ani nawet Gorbaczowa. Związek Sowiecki, jak zresztą każde państwo, zwłaszcza super-potężne, stale dostosowuje politykę zagraniczną do swoich potrzeb i do konieczności, wynikających m.in. ze stałych zmian w układzie sił na świecie. Kiedy Hitler zdradził sojusznika i zaatakował ZSSR, Stalin wezwał na pomoc prawosławnego Boga, matkę-Rosję i kapitalistów z Wall Street. Gorbaczow robi „ustępstwa" i hołubi tych samych kapitalistów, miłuje *détente*, zakłada odwilż i robi zwrot o 180 stopni m.in. w dziedzinie euro-rakiet, albowiem powstrzymanie wyścigu zbrojeń bez zmiany równowagi sił jest niezbędne z punktu widzenia możliwości gospodarczych ZSSR i sytuacji społecznej w ZSSR i obozie komunistycznym.

Nie w moim typie

Po trzecie, nie słowa i książki powinny określać dystans, jaki dzieli jeszcze ZSSR od wejścia do kategorii państw praworządnych i godnych zaufania. Kreml podpisał układ SALT II, Breżniew wycałował Cartera w czerwcu 1979, a w grudniu najechali Afganistan. Atrament nie zdążył wyschnąć na podpisie ZSSR pod aktem (bardzo) końcowym z Helsinek, a już Sowieci zaczęli gwałcić wszystkie absolutnie jego paragrafy. Optymiści powiadają, że Gorbaczow to coś innego, to przywódca nowego typu. Na pewno. Ale jakiego typu?

Nie mam pewności, czy jest w moim typie. Dopóki tej pewności nie nabiorę, poproszę o gwarancje. Prawdziwe, konkretne, nawet jeżeli wiem, że żadne gwarancje nie potrafią zagwarantować na długo poszanowania międzynarodowych zobowiązań. Jakie gwarancje? Do wyboru i do koloru. *Pieriestrojka* wtargnie do mojego poczucia rzeczywistości, kiedy np. Kreml zwolni więźniów politycznych, pozwoli na choćby ograniczoną wolność słowa i krytyki partii, wycofa się z Afganistanu, kiedy Rosjanie pozwolą na wolną emigrację Żydów czy Niemców, oddadzą Tatarom co ich, zmienią układy w imperium, w stosunkach metropolia-kolonie (wystarczy przeczytać odpowiedni rozdział z *best-seller*'a Gorbaczowa, aby dojść do wniosku, że będzie to ostatnia dziedzina tknięta przez *pieriestrojkę*), zgodzą się na propozycję

Brzezińskiego utworzenia w środkowej Europie, wzdłuż granicy międzyniemieckiej, „strefy beztankowej", ujawnią budżet wojskowy własny i Paktu Warszawskiego, skończą z ingerencją w Nikaragui itd. Zwróćcie uwagę, mili czytelnicy, na moje umiarkowanie. Zważcie, że nie domagam się, aby wszystko zostało zrobione od ręki, że nie wymagam, jak Reagan, ten nieodpowiedzialny kowboj, zwalenia muru w Berlinie czy, jak inny bezbożnik, Mitterrand, wyjścia z Jałty. Ja jestem realistą. Mnie wystarczyłby nawet skromny, ale realny gest, taki, który w istotny sposób powiększyłby moje i nasze poczucie bezpieczeństwa. Na razie niczego nie czuję.

Po czwarte, ja też wcale nie uważam, że Sowieci muszą być na zawsze naszymi śmiertelnymi wrogami. Mam tylko wątpliwości, czy oni też tak uważają. Nie mam natomiast wątpliwości, że „śmiertelni" lub nie, Sowieci pozostaną naszymi zdecydowanymi przeciwnikami ideologicznymi, to znaczy politycznymi, a zwłaszcza geopolitycznymi, że ZSSR, z *pieriestrojką* czy bez, pozostanie państwem despotycznym, ustrojem mniejszego lub większego (zawsze można powiększyć lub zmniejszyć) bezprawia i gwałtu, opartym na monopolu władzy jednej określonej grupy ludzi, która nigdy nie poprosiła, no i nie otrzymała mandatu do sprawowania rządów.

Człowiek na Kremlu może się zmienić, ale system nie może, albo przestanie być tym systemem, a stanie się innym, czego sobie gorąco życzę. Na razie Gorbaczow tego nie obiecuje, a nawet wprost przeciwnie, i pod tym względem mam do niego pełne zaufanie. To nie charakter sekretarza generalnego jest głównym źródłem agresywności ZSSR, a właśnie system sowiecki, którego racja bytu opiera się wyłącznie, jak dotąd, na sile opresji na wewnątrz i ekspansji na zewnątrz. Z Gorbaczowem czy bez, ZSSR i ustrój komunistyczny pozostaną przeciwnikami i wrogami systemu demokratycznego, ich obecny system wartości jest bowiem nie do pogodzenia z naszym.

Nie znaczy to naturalnie, że nie musimy z tym innym, kolidującym z naszym systemem wartości współistnieć. Musimy, nie ma innego wyjścia. Ale, powiadają znowu sceptycy, wcale z tego nie wynika, że Zachód powinien partycypować w dziele umacniania tego systemu. Gorbaczow nigdy nie ukrywał, że chce, aby ten właśnie, obecny, leninowski system sowiecki stał się bardziej wydajny, bardziej sprawny, to znaczny potężniejszy, bardziej konkurencyjny we współzawodnictwie z Zachodem. Rozumowanie wydaje się poprawne: wydajniejszy Związek Sowiecki będzie bardziej opresyjny wobec swych własnych obywateli i bardziej agresywny wobec cudzych obywateli i, naturalnie, ich państw.

Związek Sowiecki to jedyne państwo sojusznicze z Hitlerem, które przetrwało drugą wojnę światową nie zmieniając swego systemu politycznego i społecznego, swojej ideologii. Mortimer B. Zuckerman nie wziął pod uwagę trwałości tego systemu. Mortimer, wydawca tygodnika *US News and World Report*, słynnego w świecie, odkąd jego korespondent w Moskwie Nicolas Danilow

został wzięty jako zakładnik przez KGB i wypuszczony po kapitulacji Reagana, który uwolnił w zamian prawdziwego szpiega sowieckiego, także napisał artykuł z okazji szczytu w Waszyngtonie. Jest w nim wiele odkrywczych myśli, m.in. ta o „śmiertelnych wrogach". Otóż Mortimer uważa, że „problem nie polega na tym, czy ZSSR stanie się silniejszy, a na tym, czy będzie z nim łatwiej współistnieć. Mortimer nie mówi jednak, co będzie, kiedy Związek Sowiecki będzie silniejszy, ale nie będzie z nim łatwiej współistnieć. To wykaże tylko historia, ale wtedy może już nie być ani Mortimera, ani jego tygodnika.

Gorbaczow niedawno powiedział, że jego sukces czy klęska to kwestia najbliższych 2-3 lat.

Osobiście nie widzę powodu, dla którego Zachód miałby starać się ten termin przyspieszyć lub opóźnić.

Leopold UNGER

Pisane w przeddzień konferencji waszyngtońskiej.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

Blisko 400 tytułów w ciągłej sprzedaży — w tym 90 znacznie przecenionych.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie.

Stodieck's Buchhandlung,

Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40

LIPERT GALLERY

147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA

Tel.: 718 383 4429

Obrazy wybitnych polskich malarzy na sprzedaż: Michałowski, Orłowski, W. Kossak, Pankiewicz, Wyczółkowski, J. Malczewski, Waliszewski, Tarankiewicz, Rudzka-Cybis, J. Cybis, Muter, L. Gottlieb, Eleszkiewicz, Tukan-Wolski oraz inni.

Duży wybór starych polskich rycin i map.

Nasza następna aukcja: listopad 1987 — stare polskie obrazy, ryciny, mapy, antyki, monety oraz książki. Katalog na żądanie.

Z. Michael LEGUTKO — właściciel

RÓWNIEŻ KUPUJEMY DZIEŁA POLSKIEJ SZTUKI.

Kraj

Ustrój gospodarczy Polski wyzwolonej

Polska wyzwolona, to kraj w którym naród polski będzie mógł nareszcie wybrać, w sposób prawdziwie i całkowicie wolny i demokratyczny, bez żadnych nacisków zewnętrznych, ustrój polityczny, społeczny i gospodarczy, w którym chce żyć. Zakładam, że olbrzymia większość Polaków wypowie się wówczas za ustrojem pluralistycznej demokracji parlamentarnej, dopuszczającej do głosu, na całkowicie równych prawach, wszystkie odłamy opinii publicznej, bez żadnych ograniczeń. Jednym z pierwszych zadań wyłonionych w ten sposób władz wolnej Polski będzie opracowanie i wprowadzenie w życie nowego ustroju gospodarczego, zdolnego do podniesienia kraju z katastrofalnego upadku, do którego doprowadziły go obłędne rządy PZPR.

Zadanie to nie będzie łatwe i dlatego ważne jest rozpocząć już teraz dyskusję nad celami nowego ustroju, nad jego strukturą i nad środkami jego wprowadzenia i zastosowania.

I. CELE NOWEGO USTROJU GOSPODARCZEGO

Zgodzimy się prawdopodobnie wszyscy, że nowy ustrój gospodarczy powinien zapewnić Polsce możliwie najwyższy poziom spożycia dóbr konsumpcyjnych, będących przedmiotem wolnego wyboru ze strony ludności i możliwie najsprawiedliwszy podział tych dóbr pomiędzy wszystkimi obywatelami kraju. Każde niemal słowo tego zdania wymaga jednak bardzo ścisłego określenia.

Mówimy tu tylko o dobrach konsumpcyjnych, będących przedmiotem wolnego wyboru ze strony konsumentów, gdyż tylko takie dobra przyczyniają się bezpośrednio do dobrobytu materialnego ludności. Dobra te mogą być produkowane w kraju lub też przy-

wożone z zagranicy. W pierwszym wypadku produkcja ich wymaga odpowiednich inwestycji kapitałowych wewnątrz kraju, co pociąga za sobą konieczność istnienia pewnego minimum oszczędności przeznaczonych na sfinansowanie produkcji dóbr wytwórczych, niezbędnych do wytworzenia dóbr konsumpcyjnych będących przedmiotem popytu ludności. W drugim wypadku import musi być pokryty całkowicie równoważnym eksportem dóbr produkowanych w kraju i jak najlepiej dostosowanych do popytu zagranicznego. Produkcja dóbr przeznaczonych na eksport również wymaga inwestycji kapitałowych. Możliwie najwyższy poziom spożycia dóbr konsumpcyjnych oznacza zatem najwyższy poziom produkcji i importu dóbr konsumpcyjnych, jaki można pogodzić z koniecznością wytworzenia i utrzymania potrzebnego ku temu aparatu wytwórczego. Wynika z tego, że spożycie ludności nie może w żadnym wypadku obejmować całości wytworzonego przez nią produktu społecznego. Część tego produktu musi być zaoszczędzona i obrócona na inwestycje. Chodzi jednak o to, kto ma decydować o wielkości tej części i o sposobie jej zmobilizowania i przekształcenia w dobra wytwórcze. Historia gospodarcza świata wskazuje, że istnieją w tej dziedzinie dwie główne możliwości rozwiązania (nie biorąc pod uwagę niezliczonych możliwości pośrednich): centralne planowanie i wolny rynek.

1. *Niewydolność centralnego planowania*

Zwolennicy centralnego planowania myślą, że wszelkie decyzje dotyczące produktu społecznego, jego wytworzenia, jego wielkości, jego składu rzeczowego, jego podziału na dobra konsumpcyjne i środki wytwórcze oraz jego rozdziału wśród poszczególnych obywateli kraju powinny być pobierane wyłącznie przez państwo. Życie wykazało najlepiej, do czego to prowadzi. Ani jeden z krajów stosujących system planowania sowieckiego nie doszedł do poziomu dobrobytu, na jakim znajdują się porównywalne kraje o gospodarce rynkowej, a wiele z nich (Etiopia, Wietnam, Madagaskar, Rumunia etc.) dochodzi do skraju nędzy i rozkładu. Najbardziej „udane" przykłady krajów „socjalistycznych", jak Węgry czy NRD, uzyskały swój względnie wysoki poziom właśnie dzięki wyłomom poczynionym w podstawowych zasadach planowania sowieckiego i mimo wszystko pozostają daleko w tyle za porównywalnymi krajami wolnorynkowymi, jak Austria i RFN, nie mówiąc już nawet o bardzo skutecznej pomocy materialnej, jaką NRD otrzymuje od swego zachodniego współziomka. Jest tak dlatego, bo centralny planista nie wyczuwa należycie szybko i z dostateczną dokładnością nieustannych zmian i wahań warunków wytwarzania i popytu na rynkach krajowych i zagranicznych i nie potrafi

przeprowadzać w sposób dostatecznie szybki i skuteczny odpowiednich zmian w działalności zainteresowanych przedsiębiorstw. Dostosowanie produkcji do potrzeb jest tym trudniejsze, że pomiędzy centralnym planistą a aparatem wykonawczym zachodzi stała rozbieżność zainteresowań. Pragnąc wyciągnąć jak najwyższe wyniki z istniejących zasobów, planista ma tendencję do przeceniania środków wytwarzania posiadanych przez poszczególne resorty i przedsiębiorstwa i w konsekwencji do nakładania na nie zbyt wysokich zadań produkcyjnych. Natomiast władze wykonawcze i przede wszystkim przedsiębiorstwa, obawiając się zbyt napiętych planów, rozmyślnie umniejszają dane o posiadanych zasobach i środkach wytwarzania. Poza tym zarówno dla planisty jak i dla podległych mu przedsiębiorstw każda zmiana w technice produkcyjnej i w popycie jest źródłem znacznych trudności, bo trzeba rozprowadzić jej kumulatywne następstwa poprzez wszystkie ogniwa planów przedsiębiorstw, planów resortowych i planu narodowego. Wolą więc oni, o ile tylko można, przejść nad nią do porządku dziennego, unikając jak ognia wszelkich innowacji, co prowadzi do zastoju technologicznego i do produkcji towarów przestarzałych, niedostosowanych do popytu krajowego, a tym bardziej zagranicznego. Ponadto, poczucie wszechwładzy, jakie ogarnia organy państwowe i partyjne dysponujące aparatem centralnego planowania, zachęca je do źle przemyślanych, wielkoskalowych inicjatyw o zgubnych nieraz dla kraju skutkach. Sześcioletni plan lat pięćdziesiątych i budowa „drugiej Polski" przez Gierka są tego najlepszymi przykładami. To samo poczucie wszechwładzy, nie podlegającej żadnej kontroli społecznej, pozwala administratorom kraju na lekceważenie najistotniejszych potrzeb narodu i zbyt pochopne lub nawet służalcze akceptowanie żądań obcych w dziedzinie tzw. „internacjonalizmu socjalistycznego".

Wyzwolona Polska nie może zatem liczyć na centralne planowanie, aby odrobić dobre pół wieku gospodarczego opóźnienia, które dzieli ją dzisiaj od najbardziej rozwiniętych krajów Europy Zachodniej. Musi wybrać ustrój, który pozwala na maksymalne wykorzystanie wszystkich sił i zasobów narodu w międzynarodowym współzawodnictwie gospodarczym wszystkich krajów świata i który dał już niezliczone dowody swej skuteczności w warunkach prawidłowego zastosowania. Ustrojem tym jest gospodarka wolnorynkowa.

2. *Zalety gospodarki wolnorynkowej*

Gospodarka wolnorynkowa rozróżnia dwie główne kategorie dóbr i usług:

— dobra i usługi podzielne, które odpowiadają potrzebom poszczególnych obywateli, jak: artykuły spożywcze, odzież, meble, domy, usługi szewców, lekarzy, adwokatów itp.;

— dobra i usługi niepodzielne, które odpowiadają potrzebom całego społeczeństwa, jak: obrona narodowa, bezpieczeństwo, sprawiedliwość, administracja publiczna itp.

W myśl zasad gospodarki wolnorynkowej, produkcja dóbr i usług podzielnych jak również produkcja potrzebnych ku temu środków wytwarzania powinna być dziełem całkowicie niezależnych przedsiębiorstw, powodujących się wyłącznie dążeniem do jak najwyższych zysków. Najbardziej typowym przedstawicielem gospodarki wolnorynkowej jest przedsiębiorstwo prywatne. Zasady wolnego rynku mogą jednak również być przestrzegane przez przedsiębiorstwa państwowe, samorządowe lub spółdzielcze, jakkolwiek natrafia to często na duże trudności i nieporozumienia.

Produkcja dóbr i usług niepodzielnych należy do kompetencji przedstawicieli społeczeństwa, tzn. do administracji państwowej i samorządowej. Musi ona jednak odpowiadać wiernie przekonaniom i wierzeniom zdecydowanej większości obywateli i uwzględniać w możliwie wysokim stopniu przekonania i wierzenia ewentualnych mniejszości. Dobra i usługi niepodzielne mają bowiem bezpośredni wpływ na wydajność gospodarki narodowej i odgrywają decydującą rolę w subiektywnej ocenie poziomu życia przez poszczególnych obywateli. Oznacza to, że administracja państwowa i samorządowa musi być wiernym odbiciem zarządzanego społeczeństwa, co jest osiągalne jedynie w systemie pluralistycznej demokracji parlamentarnej.

Niedorównalna efektywność gospodarki wolnorynkowej w produkcji dóbr podzielnych wynika głównie z następujących jej zalet:

1) Nikt nie jest bardziej zainteresowany w dobrym funkcjonowaniu przedsiębiorstwa niż jego prywatny właściciel lub jego prywatni właściciele;

2) Żaden centralny planista nie może tak szybko i sprawnie dostosowywać produkcji do potrzeb rynku krajowego i zagranicznego, jak prywatne przedsiębiorstwo, dla którego jest to warunkiem życia i śmierci;

3) Żadne centralnie planowane, monopolistyczne przedsiębiorstwo nie jest tak silnie zainteresowane w wykorzystywaniu wszelkich możliwości postępu technicznego, jak przedsiębiorstwo prywatne, dla którego jest to koniecznym warunkiem wytrzymania konkurencji krajowej i zagranicznej.

Twierdzenie, że przedsiębiorstwo prywatne jest zawsze źródłem tzw. „eksploatacji człowieka przez człowieka" wynika z błędnej interpretacji faktów historycznych zaobserwowanych przez

Marksa w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Jest rzeczą oczywistą, że przy silnym napływie ludności rolniczej do przemysłu, spowodowanym konkurencją rolnictwa ekstensywnego „nowego świata", na skutek wprowadzenia maszyny parowej do komunikacji lądowej i morskiej, płace w kopalniach i fabrykach angielskich nie zapewniały godziwych warunków życia olbrzymiej masie robotników niewykwalifikowanych, a szczególnie zatrudnionych tam również kobiet i dzieci. Co by się jednak stało, gdyby rząd angielski zadekretował wówczas (przypuszczając, że byłoby to legalnie możliwe) masową podwyżkę płac w kopalnictwie i przemyśle? Produkcja przemysłowa angielska nie mogłaby się rozwinąć tak szybko, jak to się stało, powstałoby poważne bezrobocie, powiększając jeszcze nędzę dużego odłamu ludności. Przodująca rola Anglii w przemysłowej rewolucji świata zostałaby zachwiana. Inaczej mówiąc, nędza pewnej części masy robotniczej w Anglii, w drugiej połowie XIX wieku (pewnej części tylko, bo na ogół płace angielskie były wówczas wyższe niż w innych krajach), nie była wynikiem „eksploatacji człowieka przez człowieka", lecz przejściowym zjawiskiem spowodowanym gwałtowną zmianą technologiczną, która zwiększyła niepomiernie podaż niewykwalifikowanych sił roboczych pochodzenia wiejskiego, nie powiększając od razu dostatecznie popytu na produkty przemysłowe angielskie, tak aby można było natychmiast zapewnić nowym pracownikom godziwe warunki życia. Rozwiązanie przyjęte przez Francję — silny protekcjonizm rolny i przemysłowy — nie dało lepszych wyników. Nie było wprawdzie masowego napływu ludności wiejskiej do kopalń i fabryk, ale za to rozwój gospodarczy kraju został poważnie opóźniony, co jeszcze teraz daje się odczuwać.

Nie oznacza to bynajmniej, że wypadki eksploatacji nie zachodzą nigdy w przedsiębiorstwach prywatnych, ale dzieje się to tylko w pewnych ściśle określonych warunkach, niezwiązanych zupełnie ze specyfiką przedsiębiorstwa prywatnego. Możliwość eksploatacji powstaje, gdy dane przedsiębiorstwo, obojętnie czy prywatne, czy państwowe lub spółdzielcze, korzysta z monopolu indywidualnego lub zbiorowego, zarówno na rynku wyrabianych przezeń artykułów, jak i na rynku danej kategorii pracowników. Może ono wówczas wyznaczać wysokie ceny na swoje wyroby, płacąc jednocześnie zaniżone stawki zatrudnionym przez siebie pracownikom. W gospodarce wolnorynkowej sytuacje takie są raczej wyjątkowe ze względu na silną i coraz silniejszą konkurencję wewnętrzną i zagraniczną. W każdym razie do obowiązków liberalnego państwa należy niedopuszczanie do takich nadużyć poprzez organizowanie i dozorowanie rynków konkurencyjnych, o czym będziemy mówić później. Zauważyć tu zresztą można, że tego rodzaju eksploatacja jest znacznie częściej spotykana i odbywa się na niewspółmiernie większą skalę w tzw. krajach „so-

cjalistycznych", gdzie państwo dysponuje monopolem zatrudnienia, a jednocześnie wyznacza arbitralnie płace i ceny. Stosunek tych dwóch zasadniczych parametrów może być, i zwykle bywa, tak ustalony, że pracownik otrzymuje tylko małą część wytworzonej przez siebie wartości dodanej, a reszta jest przyswojona przez państwo, które obraca ją nie tylko na finansowanie inwestycji naprawdę produktywnych, co jest uzasadnione, ale także na pokrycie najrozmaitszych, dowolnie określonych wydatków, jak płace urzędników państwowych i partyjnych, wojsko, milicję, fundusze dyspozycyjne różnych dygnitarzy, świadczenia na rzecz internacjonalizmu socjalistycznego, nie mówiąc o wszelkiego rodzaju „wyciekach" na wszystkich szczeblach skomplikowanej piramidy biurokratycznej.

Nie wszystkie gospodarki wolnorynkowe są jednak efektywne. Efektywność gospodarki wolnorynkowej zależy od szeregu warunków, których spełnienie w dużym stopniu zależy od społeczeństwa i od państwa.

3. *Podstawowe warunki sprawnego działania przedsiębiorstw wolnorynkowych*

Pierwszym zasadniczym warunkiem sprawnego działania przedsiębiorstwa wolnorynkowego jest, aby działalność jego oparta była wyłącznie na dążeniu ku maksymalizacji swego zysku, określonego jako różnica pomiędzy wartością sprzedanych towarów, a całkowitym kosztem ich wytworzenia.

Tak określony zysk jest najlepszym wskaźnikiem sprawności przedsiębiorstwa i dlatego właśnie nie należy go wypaczać żadnymi dodatkowymi określeniami lub instrukcjami. Przedsiębiorstwo powodujące się wyłącznie zasadą maksymalizacji zysku spełnia najlepiej swoją rolę społeczną, gdyż w ten sposób dostosowuje najbardziej dokładnie swoją wytwórczość do popytu krajowego i zagranicznego i wybiera w tym celu najtańsze i najbardziej efektywne środki produkcji.

Aby ten system działał prawidłowo, trzeba jednak, aby panujące na rynku ceny towarów krajowych i zagranicznych odzwierciedlały prawidłowo stosunki podaży i popytu wszystkich wchodzących w grę towarów i czynników produkcji. Jak wiadomo, taki idealny system cen powstaje tylko w warunkach tzw. „konkurencji czystej i doskonałej", a może także być obliczony teoretycznie przez zastosowanie programowania matematycznego. W praktyce jednak ani doskonała konkurencja, ani doskonałe programowanie milionów ciągle zmieniających się cen nie są osiągalne, nawet przy zastosowaniu najnowszych metod i komputerów.

Trzeba więc zadowolić się cenami formującymi się samoczynnie na rynkach mniej lub więcej konkurencyjnych, przy czym rola państwa nie powinna polegać na obliczaniu lub wyznaczaniu tych cen — bo tego nikt nie potrafi dobrze wykonać — ale tylko na pilnowaniu, aby warunki konkurencji były możliwie najlepiej przestrzegane. Najłatwiejszym i najskuteczniejszym sposobem zapewnienia wolnej konkurencji jest szerokie otwarcie rynku wewnętrznego przed przywozem towarów zagranicznych. Jedynym ograniczeniem, jakie można tu stosować, są wysokie cła przywozowe na artykuły wybitnie luksusowe w warunkach obecnej Polski. Wszystkie inne towary, a w szczególności wszystkie środki wytwarzania i artykuły szerokiego spożycia należy zwolnić (pod warunkiem wzajemności) z wszelkich opłat celnych, tak aby zmusić producentów krajowych do przestrzegania dyscypliny cen. Oczywiście w tych warunkach niezmiernie ważna staje się sprawa kursu złotego. Wrócimy do niej w rozdziale poświęconym polityce pieniężnej.

Konkurencja towarów importowanych sprawi, że przedsiębiorstwa nie będą mogły podwyższać dowolnie swych cen sprzedaży, co zmusi je do bardzo ostrożnej polityki płac. Wolne związki zawodowe, o których będzie później mowa, będą miały zatem powód, aby troszczyć się o wydajność pracy i nie przesadzać w swoich żądaniach zwyżki płac. Automatyczną sankcją przesadnych żądań będzie upadłość przedsiębiorstwa (nawet państwowego) i ewentualne bezrobocie. Tylko krótkotrwałe i przemijające trudności finansowe przedsiębiorstwa mogą być leczone za pomocą kredytów bankowych, przyznawanych na zasadach rynkowych, tzn. o ile są istotne szanse ozdrowienia kredytobiorcy i spłacenia zaciągniętego długu. Nie ma mowy natomiast o tym, aby przedsiębiorstwo chronicznie niekonkurencyjne mogło być nadal utrzymywane przy życiu poprzez subwencje państwowe. Subwencje tego rodzaju prowadzą do deficytu budżetowego i inflacji, a więc do zastoju gospodarczego i obniżenia poziomu życia ludności.

Drugim zasadniczym warunkiem sprawnego działania przedsiębiorstwa wolnorynkowego jest całkowita niezależność jego dyrekcji od czynników zewnętrznych, takich jak państwo, administracja samorządowa, jego własna załoga, wolne związki zawodowe i wszelkie inne podmioty społeczne. Stosunek przedsiębiorstwa do wszystkich tych czynników powinien opierać się wyłącznie na ogólnych zasadach legalnych i umownych, wytyczających ogólne ramy działalności przedsiębiorstwa (np. przepisy dotyczące bezpieczeństwa, normy podatkowe lub umowy o płacę ze związkami zawodowymi), a nie na szczegółowych nakazach dotyczących poszczególnych decyzji. Przestrzeganie tego warunku jest specjalnie ważne w odniesieniu do przedsiębiorstw państwowych i samorządo-

wych, które siłą rzeczy będą stanowiły przez długie jeszcze lata większość dużych przedsiębiorstw przemysłowych w Polsce.

Inne warunki sprawnego działania przedsiębiorstw wolnorynkowych związane są ściślej z charakterem danej branży. Rozpatrzmy je zatem w drugiej części tego artykułu.

II. STRUKTURA NOWEGO USTROJU GOSPODARCZEGO

Zmiany strukturalne, które w myśl poprzednio określonych zasad należy wprowadzić w wyzwolonej Polsce, obejmują wszystkie dziedziny wytwarzania, a więc: wielki przemysł, drobną wytwórczość przemysłową i usługową oraz rolnictwo. Siłą rzeczy muszą one objąć również wszystkie działalności ściśle związane z wytwarzaniem, a więc w szczególności samorząd pracowniczy, związki zawodowe i politykę gospodarczą Państwa.

1. *Wielki przemysł*

Jak przekształcić wielkie firmy państwowe w przedsiębiorstwa prawdziwie wolnorynkowe? Jedynym prawdziwym rozwiązaniem na długą metę jest prywatyzacja. Jednak w obecnych warunkach polskich prywatyzacja może być tylko bardzo stopniowa i powolna. Należy ją ułatwić maksymalnie, zamieniając przedsiębiorstwa państwowe w spółki akcyjne i organizując stopniową sprzedaż ich akcji w pierwszym rzędzie (na specjalnie dogodnych warunkach) ich pracownikom, ale również wszystkim innym wnosicielom kapitału, krajowym i zagranicznym. Szeroki udział kapitałów zagranicznych jest szczególnie pożądany, zarówno ze względu na brak kapitału prywatnego w Polsce jak i na możliwości transferu technologicznego, które wynikają z tego udziału. W powstałych w ten sposób spółkach akcyjnych przedstawiciele państwa rozporządzaliby ilością głosów odpowiadającą liczbie posiadanych jeszcze przez państwo akcji. Oznaczałoby to, że z początku w większości wypadków państwo zachowałoby głos decydujący w radach nadzorczych przedsiębiorstw wielkiego przemysłu. Należałoby zatem powziąć pewne kroki w celu zmniejszenia zależności przedsiębiorstwa od administracji państwowej. Można by np. przyjąć następujące reguły:

1) Nominacja przedstawicieli państwa w radach nadzorczych wielkich przedsiębiorstw powinna uzyskać aprobatę stałej komisji gospodarczej sejmu, złożonej z przedstawicieli wszystkich partii;

2) Z wyjątkiem wykroczeń i nadużyć karalnych sądownie, nominacja ta jest nieodwołalna przez co najmniej 5 lat;

3) Znaczna część wynagrodzenia przedstawicieli państwa wypłacana jest w akcjach danego przedsiębiorstwa. Każdy z tych przedstawicieli obowiązany jest do posiadania w czasie pełnienia swych funkcji pewnej minimalnej ilości tych akcji;

4) Dyrektor naczelny przedsiębiorstwa wybierany jest przez radę nadzorczą. Wybór ten nie podlega aprobacie rządu. Funkcje dyrektora naczelnego i przedstawiciela państwa nie mogą być sprawowane przez jedną i tę samą osobę. Z wyjątkiem nadużyć karalnych sądownie, dyrektor naczelny odpowiedzialny jest wyłącznie przed radą nadzorczą, która może go odwołać w każdej chwili. Część uposażenia dyrektora wypłacana jest w akcjach przedsiębiorstwa;

5) Dyrektor naczelny i rada nadzorcza mają wyłączne prawo decydowania we wszystkich sprawach dotyczących działalności wytwórczej i inwestycyjnej przedsiębiorstwa. W szczególności, ustalają oni ceny sprzedaży wyrobów przedsiębiorstwa, bez żadnej ingerencji ze strony administracji państwowej lub samorządowej;

6) Związki zawodowe działające na terenie przedsiębiorstwa są reprezentowane w radzie nadzorczej przez delegatów, którzy rozporządzają liczbą głosów proporcjonalną do liczebności względnej danego związku wśród pracowników przedsiębiorstwa. Łączna liczba głosów wszystkich związków zawodowych reprezentowanych w radzie nadzorczej nie powinna w żadnym razie przekroczyć 25 % ogólnej sumy głosów (konieczność tego ograniczenia zostanie wyjaśniona dalej);

7) Płace wszystkich pracowników przedsiębiorstwa, z wyjątkiem dyrektora naczelnego, ustalane są w drodze umów zbiorowych z wolnymi związkami zawodowymi, działającymi na terenie przedsiębiorstwa.

Uwolnione w ten sposób od narzucanych im przez biurokratów arbitralnych programów produkcji i inwestycji, zmuszone skądinąd do szukania najlepszych okazji zwiększenia swych zysków, przedsiębiorstwa użyją wszystkich swoich sił na jak najdokładniejsze dostosowanie się do popytu krajowego i zagranicznego i jak najpełniejsze wykorzystanie najtańszych środków i metod produkcji. Powstały w ten sposób rynek konkurencyjny zmusi przedsiębiorstwa do bardzo dokładnej kalkulacji swych kosztów i cen oraz przy odpowiedniej polityce gospodarczej, finansowej i pieniężnej rządu (o czym będzie dalej mowa) i rozsądnej współpracy ze związkami zawodowymi, pozwoli na szybkie opanowanie inflacji.

2. *Drobna wytwórczość przemysłowa i usługowa*

Akcja tzw. „uspołeczniania" środków wytwarzania doprowadziła do tego, że ta podstawowa gałąź wytwórczości, która w naj-

bardziej zaawansowanych krajach zachodnich wytwarza ponad 40 % produktu społecznego, jest obecnie w Polsce zredukowana do niecałych 22 %, w czym tylko jedna trzecia jest udziałem maleńkich przedsiębiorstw prywatnych, pracujących w niesłychanie trudnych i ciągle zmieniających się, a zatem niepewnych warunkach. Tymczasem, jak wiadomo, małe przedsiębiorstwa prywatne są podstawą postępu technicznego i ekonomicznego, bo małe warsztaty pracy wyzwalają najwięcej energii osobistej, inicjatywy, pomysłowości i wynalazczości, są najbardziej odporne na wahania koniunkturalne, najlepiej dostosowują się do zmiennych warunków rynku i są najważniejszym czynnikiem dobrego dopasowania produkcji do potrzeb społeczeństwa. Są one kolebką najbardziej dynamicznych wodzów przemysłu i najbardziej owocnych innowacji technicznych. Zniszczenie drobnej wytwórczości prywatnej to zbrodnia, której skutki ciążyć będą przez długie lata na gospodarce polskiej.

Aby przyspieszyć odbudowę i rozwój tej podstawowej gałęzi wytwórczości, należy:

1) Znieść wszystkie ograniczenia (z wyjątkiem przepisów sanitarnych lub dotyczących ochrony środowiska i bezpieczeństwa publicznego), które utrudniają zakładanie i funkcjonowanie prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, rzemieślniczych lub usługowych;

2) Znieść wszelkie ograniczenia co do zatrudniania siły roboczej, stałej i dorywczej, w tych przedsiębiorstwach;

3) Ułatwić maksymalnie zaopatrzenie ich w środki wytwarzania krajowe i zagraniczne;

4) Uwolnić ceny na wszystkie towary i usługi, starając się jednocześnie utrzymać konkurencyjność rynku, czego najlepszym instrumentem jest wolny import wyrobów zagranicznych;

5) Zreformować system podatków ciążących na przedsiębiorstwach prywatnych, obniżając maksymalnie wymagane stawki, znosząc ich progresywność i zwalniając całkowicie z podatku przez pierwsze trzy lata przedsiębiorstwa nowo założone.

3. *Rolnictwo*

Zaślepienie ideologiczne rządów PRL opóźniło o dobre pół wieku rozwój rolnictwa polskiego. „Wyczyn" ten został dokonany głównie poprzez wstrzymanie ewolucji gospodarstw chłopskich ku bardziej racjonalnym rozmiarom, uniemożliwienie przeprowadzania koniecznych inwestycji i przyswojenia zrealizowanego w międzyczasie za granicą postępu technicznego, narzucenie zaniżonych cen zbytu i wszelkiego rodzaju szykany administracyjne.

Aby przyspieszyć optymalnie rozwój rolnictwa polskiego i pozwolić mu w jak najkrótszym czasie na odzyskanie pozytywnego bilansu wymiany z zagranicą, przy zadowalającym poziomie zaopatrzenia ludności w artykuły spożywcze, należy:

1) Znieść wszystkie ograniczenia dopuszczalnych rozmiarów gospodarstwa chłopskiego;

2) Znieść wszystkie ograniczenia sprzedaży i kupna ziemi dla celów produkcyjnych;

3) Zwolnić ceny na wszystkie produkty rolne i zaniechać wszelkiej ingerencji w sprawy sprzedaży tych produktów dowolnie wybieranym przez rolnika pośrednikom handlowym lub bezpośrednio konsumentom;

4) Umożliwić i ułatwić chłopom wolny zakup wszelkich potrzebnych im środków produkcji;

5) Znieść wszelkie ograniczenia w zatrudnianiu przez chłopów siły roboczej, stałej i sezonowej. Obawa, że w ten sposób zostanie przywrócona „eksploatacja człowieka przez człowieka" jest całkowicie nieuzasadniona. Konkurencja pomiędzy gospodarstwami chłopskimi o najemną siłę roboczą oraz zapotrzebowanie na siłę roboczą innych gałęzi wytwórczości przyczynią się do powstania rynku pracy, na którym wysokość płac będzie się kształtować zależnie od prawa popytu i podaży. Oczywiście, w pierwszych latach płace robotników rolnych, jak w ogóle wszystkie zarobki w Polsce, będą bardzo niskie w porównaniu do płac zachodnioeuropejskich. Jest to nieuniknione ze względu na opóźnienie gospodarcze kraju i na wynikającą z tego słabą — w porównaniu do krajów przodujących — wydajność pracy. Trzeba pamiętać przy tym, że wszelkie próby uzyskania lub narzucenia płac przewyższających zrealizowany istotnie postęp wydajności pracy prowadzą do inflacji, ujemnego bilansu płatniczego i bezrobocia;

6) Ułatwić rozwiązywanie istniejących jeszcze spółdzielni produkcyjnych, o ile wyniki ich są niezadowalające i o ile jest to zgodne z wolą większości ich członków;

7) Zlikwidować deficytowe PGR-y, sprzedając ich grunty i sprzęt indywidualnym chłopom lub specjalnie w tym celu stworzonym prywatnym spółkom akcyjnym lub dobrowolnie powstałym spółdzielniom produkcyjnym. Sprzedaż ta powinna się odbywać na zasadach handlowych po cenach ustalonych przez rynek;

8) Zatrzymać we władaniu państwa jedynie kilka naprawdę wzorowych gospodarstw, działających jako stacje doświadczalne przy instytutach agronomicznych;

9) Ułatwić komasację gospodarstw rozdrobnionych;

10) Udostępnić rolnikom uzyskiwanie kredytów bankowych i hipotecznych na specjalnie dogodnych warunkach;

11) Zreformować system podatków płaconych przez rolników tak, aby w najwyższym stopniu zachęcał ich do inwestowania i powiększania podaży artykułów rolnych;

12) Zreformować system dziedziczenia gospodartw rolnych, tak aby nie przyczyniał się do ich rozdrabniania.

4. Samorząd robotniczy i związki zawodowe

Gospodarka wolnorynkowa nie wyklucza pewnych form samorządu pracowniczego, który cieszy się w Polsce wielką popularnością. Należy jednak postępować w tej dziedzinie z dużą ostrożnością, bo doświadczenia konkretne na Zachodzie, a zwłaszcza przykład jugosłowiański, nie są bynajmniej zachęcające.

O ile nic nie stoi na przeszkodzie, aby popierać samorzutne powstawanie przedsiębiorstw spółdzielczych zarządzanych przez swoich pracowników-właścicieli, o tyle nie ma powodu, aby zmuszać istniejące przedsiębiorstwa prywatne do przyjęcia tej formy zarządzania, bez spontanicznie wyrażonej zgody ich właścicieli. Tym bardziej nie ma żadnej racji, aby przedsiębiorstwo państwowe, będące własnością całego narodu, stało się nagle własnością — lub *quasi*-własnością, bo w teorii właścicielem pozostaje naród — swojej załogi, która nie przyczyniła się wcale, albo przyczyniła się tylko pośrednio i w małym stosunkowo stopniu, do sfinansowania majątku trwałego, którym przedsiębiorstwo rozporządza. Może więc tylko chodzić o udział załogi w prawie do zarządzania przedsiębiorstwem, a nie o wyłączne prawo do zarządzania nim. Następnie, jak to doświadczenie jugosłowiańskie dobitnie wykazało, pomiędzy interesem przedsiębiorstwa, a interesem załogi nie ma ścisłej zgodności. Załoga dąży spontanicznie do maksymalizacji płac i zysków natychmiastowych i do szybkiego podziału ich pomiędzy członkami zespołu. W interesie przedsiębiorstwa leży natomiast minimalizacja kosztów, łącznie z kosztem pracy, oraz tworzenie odpowiednich rezerw na finansowanie nowych inwestycji. Interes przedsiębiorstwa, jako podstawowego czynnika produkcji musi zatem być należycie reprezentowany w jego radzie nadzorczej. Głos samego dyrektora naczelnego nie wystarczy, bo dyrektor jest sam pracownikiem przedsiębiorstwa i wybór jego zależy od rady nadzorczej. Wydaje się zatem, że najlepszym rozwiązaniem jest udostępnienie pracownikom przedsiębiorstwa nabywania, na szczególnie dogodnych warunkach, akcji przedsiębiorstwa oraz wprowadzenie do rady nadzorczej pewnej proporcji (około 25 % głosów) przedstawicieli wolnych pluralistycznych związków zawodowych działających na jego terenie. Oczywiście, pociąga to za sobą konieczność udzielenia proporcjonalnej reprezentacji przedstawicielom pracowników nie należących do żadnego związku.

Poza udziałem w radach nadzorczych przedsiębiorstw państwowych i prywatnych, co powinno pozwolić im na bardziej obiektywne zrozumienie wzajemnych obowiązków i praw pracowników i pracodawców, rola wolnych związków zawodowych powinna polegać na obronie zawodowych interesów swoich członków we wszystkich dziedzinach ich życia. Do najważniejszych z tych dziedzin należą umowy zbiorowe o płace i inne warunki pracy, bezpieczeństwo pracy, obrona praw indywidualnych poszczególnych pracowników, organizacja życia kulturalnego pracowników i ich rodzin, organizacja wczasów, organizacja akcji oszczędnościowej i dodatkowych ubezpieczeń na starość, bezrobocie, choroby itp.

Nie należą natomiast do kompetencji związków zawodowych wszelkiego rodzaju sprawy polityczne. Wszyscy członkowie wolnych związków zawodowych korzystają z prawa całkowicie wolnego wyboru swojej orientacji światopoglądowej i politycznej i swojej ewentualnej przynależności partyjnej. Przynależność do związku nie może w żadnym wypadku być uzależniona od charakterystyk rasowych, narodowych, religijnych, światopoglądowych lub politycznych danego członka lub kandydata na członka. Jedynym powodem do odmowy członkostwa może być nieprzynależność kandydata do zawodu określonego w statucie związku.

Jak wskazuje ich nazwa, tworzenie wolnych związków zawodowych powinno być całkowicie wolne. Każdy zespół co najmniej 20 pracowników (liczba minimalna do przedyskutowania) wykonujących ściśle określony zawód ma prawo do założenia wolnego związku zawodowego. Jedynym warunkiem legalnego istnienia związku jest jego rejestracja w urzędzie wojewódzkim (lub sądzie okręgowym) jego siedziby. Złożona w tym celu deklaracja powinna zawierać, oprócz projektu statutu, imiona, nazwiska, adresy i zawód członków założycieli. Rejestracja ta musi być potwierdzona przez urząd lub sąd w terminie jednego miesiąca od daty złożenia deklaracji. Brak potwierdzenia równoważny jest z aprobatą. Jedynym powodem umotywowanej odmowy może być nieprawdziwość zawartych w deklaracji danych lub niezgodność statutu z ogólnymi celami związków zawodowych opisanymi powyżej. Tak powstałe związki mogą rekrutować swych członków i zrzeszać się w większe zespoły w ramach poszczególnych zakładów, przedsiębiorstw i obszarów administracyjnych do całego kraju włącznie.

Głównym środkiem działania wolnych związków zawodowych jest utrzymywanie stałego kontaktu z zarządami przedsiębiorstw i zakładów pracy oraz władzami terenowymi lub centralnymi w

celu polubownego załatwiania wyłonionych spraw. Organizowanie strajków jest dozwolone, ale powinno być uważane za ostateczność, której należy starannie unikać. Decyzja strajku musi być przyjęta przez większość zainteresowanych pracowników w tajnym głosowaniu pod kontrolą specjalnej komisji złożonej z przedstawicieli wszystkich pracowników i rady nadzorczej. Pracownicy nie biorący udziału w strajku mają prawo do kontynuowania produkcji. Wszelkie próby uniemożliwienia im dostępu do ich stanowisk pracy i narzędzi są nielegalne i podlegają sankcjom prawnym.

5. *Polityka gospodarcza państwa*

Wprowadzenie gospodarki rynkowej, opartej na przedsiębiorstwach niezależnych od państwa, nie oznacza bynajmniej, że organy państwowe nie powinny odgrywać żadnej roli w życiu gospodarczym. Znaczy to tylko, że państwo nie podejmuje bezpośrednio decyzji w dziedzinie wytwarzania dóbr i usług podzielnych i nie ingeruje w działalność przedsiębiorstw wytwarzających te dobra. Pozostają zatem w kompetencji państwa wszystkie czynności związane z produkcją dóbr niepodzielnych takich jak obrona kraju, bezpieczeństwo publiczne, sprawiedliwość, administracja ogólna kraju i jego podziałów terytorialnych oraz wszystkie czynności związane z opanowaniem tzw. „efektów zewnętrznych" *(externalities)*, które towarzyszą często produkcji dóbr podzielnych, a nie są uwzględniane przez rynek w formowaniu cen i kosztów. Efekty te mogą być negatywne lub pozytywne, tzn. przyczyniać się do zbyt niskiej lub zbyt wysokiej wyceny kosztów, a zatem i cen, a tym samym powodować zbyt dużą lub zbyt małą produkcję danego dobra w stosunku do potrzeb społeczeństwa. Typowym przykładem efektu negatywnego może być fabryka wiskozy w Jeleniej Górze. Cena rynkowa wiskozy, wynikająca z podaży i popytu tego półfabrykatu, nie zawiera w sobie wcale oceny strat zdrowotnych i materialnych, jakie ponosi ludność Jeleniej Góry z powodu silnego zanieczyszczenia atmosfery całego miasta i najbliższych okolic przez wydzielane przez fabrykę tę gazy. Obowiązkiem państwa jest w danym wypadku nałożenie na przedsiębiorstwo dostatecznie wysokich kar pieniężnych, aby zmusić je do instalacji odpowiednich urządzeń zapobiegawczych. Koszt tych urządzeń musi oczywiście wejść w skład ceny sprzedaży wiskozy, a jeśli wpłynie to negatywnie na sprzedaż tego produktu, to będzie oznaczało, iż budowa tej fabryki była mylnie zaplanowana, że należy obrócić ją na inne cele. Za przykład efektu pozytywnego może posłużyć „darmowa" tzn. utrzymywana przez państwo szkoła. Nauczanie jest z natury rzeczy usługą podzielną. Cena

jego może więc normalnie wynikać z prawa podaży i popytu, jak to ma miejsce np. w licznych szkołach i uniwersytetach prywatnych w Stanach Zjednoczonych. Ale nauczanie nie tylko powiększa wartość „rynkową" osobnika, który z niego korzysta. Nauczanie powszechne, bezpłatne, podnosi ogólną wydajność narodu, zwiększając kilkakrotnie liczbę korzystającej z niego młodzieży i przyczyniając się w ten sposób pośrednio do wzrostu konkurencyjności i dobrobytu. Uzasadnia to istnienie, obok szkół i uniwersytetów prywatnych, udzielających nauczania odpłatnie, bezpłatnych szkół i uniwersytetów państwowych. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że państwo powinno korzystać z monopolu nauczania, bo nie ma żadnego powodu, aby nie pozwolić rodzicom, którzy chcą i mogą to czynić, na posyłanie swych dzieci do płatnych szkół prywatnych. Wręcz przeciwnie, pojęcie pluralistycznej demokracji wymaga, aby obok darmowych szkół państwowych istniał system stypendiów pozwalający dzieciom niezamożnych rodziców na uczęszczanie do szkół prywatnych.

Do produkcji dóbr niepodzielnych, która powinna pozostać w kompetencji państwa, należy także tworzenie tego, co można by nazwać „ogólną infrastrukturą gospodarczą kraju". Pojęcie to obejmuje wszystkie inwestycje materialne i niematerialne, które przyczyniają się do zwiększenia wydajności produkcyjnej i dobrobytu narodu, ale nie mogą być podjęte przez poszczególne przedsiębiorstwa, ze względu na swe rozmiary, swą długotrwałość, swój kompleksowy charakter i związane z tym ryzyko. Do takich należą: budowa dróg i autostrad długodystansowych, kolei, portów, wielkich lotnisk międzynarodowych, wielkich instytutów badawczych i szpitali, ogólna organizacja szkolnictwa ogólnego i zawodowego, ogólna organizacja działalności badawczych, ogólna organizacja popierania sztuki itp. Nie oznacza to wcale, że wszystkie te czynności mają być wykonywane przez urzędników państwowych. Przeciwnie, w większości wypadków wykonanie poszczególnych robót związanych z tworzeniem tej infrastruktury może i powinno być powierzone niezależnym od państwa przedsiębiorstwom (państwowym, spółdzielczym lub prywatnym), pracującym na zasadach rynkowych. Państwo jednak (tzn. rząd i parlament) powinno zachować w tej dziedzinie inicjatywę i ogólne kierownictwo.

Wykonywanie przez państwo tych wszystkich czynności wymaga odpowiednich środków, których mobilizacja jest utrudniona przez fakt, że dobra i usługi niepodzielne nie mogą być przedmiotem sprzedaży poszczególnym obywatelom. Państwo musi zatem:

a) wycenić z góry koszt dóbr i usług niepodzielnych, których wykonanie proponuje społeczeństwu i ustalić sposób, w jaki koszt

ten ma być sfinansowany. Jest to przedmiotem polityki budżetowej i finansowej państwa;

b) rozłożyć ten koszt na poszczególnych obywateli. Zajmuje się tym polityka podatkowa;

c) ułatwić maksymalnie dopasowanie podaży do potrzeb narodu przez odpowiednią organizację wymiany dóbr i usług z zagranicą;

d) zapewnić podaż odpowiedniej ilości pieniądza, jako środka wymiany wszystkich dóbr i usług pomiędzy ich producentami i konsumentami, co stanowi cel polityki pieniężnej.

a. Polityka budżetowa i finansowa

Ocena dóbr i usług niepodzielnych, których wykonanie państwo proponuje narodowi na nadchodzący okres rachunkowy (zazwyczaj rok), należy oczywiście do kompetencji rządu. Zarówno projekt budżetu, jak i jego wykonanie za okres ubiegły muszą jednak uzyskać aprobatę legalnych przedstawicieli całego narodu, stanowiących sejm, wybrany na podstawie wolnego, tajnego, pluralistycznego głosowania wszystkich pełnoletnich obywateli kraju, na kandydatów wysuniętych przez wolno ukonstytuowane partie, bez żadnych wyróżnień i ograniczeń.

Budżet państwa powinien składać się z dwóch, wyraźnie rozgraniczonych części: budżetu wydatków bieżących i budżetu inwestycji długoterminowych.

Wbrew popularnej teorii Keynesa, budżet wydatków bieżących powinien być stale zrównoważony. Jedynie chwilowe niedobory kasowe mogą być pokrywane krótkoterminowym kredytem, regularnie spłacanym przez Skarb państwa. Ścisłe stosowanie tej zasady jest szczególnie ważne w Polsce obecnej, obarczonej olbrzymim zadłużeniem wobec zagranicy.

W odniesieniu do inwestycji długoterminowych należy od razu podkreślić, że finansowanie aparatu wytwórczego w dziedzinie produkcji dóbr podzielnych nie należy do państwa, lecz do zainteresowanych przedsiębiorstw (państwowych, spółdzielczych lub prywatnych), które powinny uzyskiwać potrzebne im kapitały na zasadach rynkowych, w drodze kredytów bankowych krajowych i zagranicznych i przez emisję papierów wartościowych. Oczywiście, w pierwszych latach stosowania nowego ustroju będzie to niezmiernie trudne. Wrócimy do tego punktu w ostatnim rozdziale.

Państwowy budżet inwestycji długoterminowych powinien zatem obejmować jedynie inwestycje długoterminowe w dziedzinie dóbr niepodzielnych i dóbr należących do ogólnej infrastruktury

gospodarczej kraju. Jest rzeczą jasną, że inwestycje te nie mogą być całkowicie pokryte z dochodów bieżących państwa, a ponieważ ich efekty produkcyjne dadzą się odczuć dopiero w przyszłości, finansowanie ich kredytem długoterminowym jest rzeczą normalną. Kredyt ten jednak nie powinien w żadnym wypadku być finansowany przez bank emisyjny, lecz pochodzić z dobrowolnych oszczędności poszczególnych obywateli, zmobilizowanych w drodze emisji obligacji długoterminowych (np. 5-, 10- i 15-letnich). Oprocentowanie tych obligacji wynikać będzie ze wskazań rynku kapitałowego, na którym obligacje (i akcje) znajdujące się w obiegu będą mogły być dowolnie sprzedawane i kupowane zarówno przez obywateli kraju, jak i przez cudzoziemców. Oprocentowanie to będzie normalnie wyższe niż oprocentowanie wkładów do Kas Oszczędności, które zapewniają całkowitą płynność złożonych w nich sum. Rzeczą ministra finansów będzie tak regulować emisję tych obligacji, aby ich stopa procentowa nie przewyższyła wydajności gospodarczej projektowanych inwestycji. Jedynie obiekty mające całkowicie pewny dodatni wpływ na możliwości eksportowe kraju mogą być finansowane długoterminowym kredytem zagranicznym. W żadnym wypadku kredyty zagraniczne nie mogą być używane do pokrywania wydatków bieżących.

b. Polityka podatkowa

System podatkowy oparty będzie głównie na podatku od dochodu i podatku od wartości dodanej.

Podatek od dochodu płacony będzie przez wszystkich stałych mieszkańców kraju (łącznie z urzędnikami państwowymi i partyjnymi), których zarobki przewyższają ustalone przez sejm minimum, z wyjątkiem personelu zagranicznych przedstawicielstw dyplomatycznych i konsularnych. Podatek ten będzie umiarkowanie progresywny, tak aby nie odstręczać od wysiłku produkcyjnego osób korzystających z wysokich dochodów i nie powodować emigracji mózgów i talentów. W żadnym wypadku najwyższa stawka krańcowa nie powinna przekraczać 50 %.

Dochód nierozdzielony przedsiębiorstw nie będzie opodatkowany. Chodzi o wzmocnienie w najkrótszym czasie możliwości inwestycyjnych przedsiębiorstw, które nie będą korzystały z żadnych subwencji państwowych.

Podatek od wartości dodanej płacony będzie od wszystkich towarów wyrabianych w kraju lub importowanych, z wyjątkiem artykułów pierwszej potrzeby stanowiących podstawę spożycia najuboższych warstw ludności.

c. Polityka wymiany z zagranicą

W przeciwieństwie do autarkicznej polityki krajów „socjalistycznych", polityka handlu zagranicznego oparta będzie na maksymalnym wykorzystaniu międzynarodowego podziału pracy między wszystkimi krajami świata. Zamiast dostosowywać eksport do niezbędnego importu, należy dostosowywać import do maksymalnego eksportu. Dostosowanie to nie powinno być zresztą przedmiotem jakiejkolwiek reglamentacji ilościowej, lecz wynikać ze spontanicznie kształtującego się kursu złotego na giełdach zagranicznych. Przez pierwsze lata kurs ten będzie musiał być bardzo niski. Wynika to z konieczności uzyskiwania poważnych nadwyżek eksportowych w celu stopniowej spłaty długów zagranicznych. Oznacza to, że w przeliczeniu na waluty obce zarobki Polaków będą niestety tragicznie małe. Należy jednak pamiętać o tym, że wszelkie próby podwyżki płac nominalnych w tempie przewyższającym tempo wzrostu wydajności pracy prowadzą do inflacji, która nieuchronnie powoduje dalszy spadek kursu złotego i dalszą obniżkę zarobków realnych Polaków.

Wszystko zależy zatem od prężności eksportu i wszystko musi być uczynione, aby prężność tę maksymalnie rozwinąć. W tym celu należy znieść całkowicie monopol państwowych central eksportowych i wszelkie inne formalności i utrudnienia administracyjne, krępujące działalność eksportową. Wszystkie przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne powinny korzystać z prawa do wolnego bezpośredniego dostępu do rynków zagranicznych eksportowych i importowych. Wszystkie mają prawo dysponować dowolnie uzyskanymi dewizami, których wymiana na złote jak i wymiana złotych na dewizy powinny być całkowicie wolne. Wolne powinno być również prawo obywateli do wyjazdu za granicę bez żadnych innych formalności niż posiadanie paszportu, którego uzyskanie nie powinno trwać dłużej niż jeden dzień. Obawa, że spowoduje to zbyt duży wyciek dewiz nie wydaje się uzasadniona, bo dewizy będą drogie, a możliwość użycia ich na wyjazdy za granicę pobudzi jeszcze bardziej pomysłowość Polaków w wyszukiwaniu możliwości eksportu lub pracy za granicą. Zdobywane w ten sposób doświadczenie i znajomość krajów i języków mogą się nie raz przydać w późniejszej działalności zawodowej i być ważnym elementem prężności eksportowej. Diaspora polska za granicą jest siłą, której nie należy lekceważyć. W tym samym duchu trzeba robić wszystko, aby powiększyć napływ turystów i przedstawicieli firm zagranicznych do Polski. Przyczynić się do tego powinna rozbudowa sieci prywatnych hoteli, wielkich ale także i małych, luksusowych i skromnych, we wszystkich miastach średniej wielkości. Inicjatywa prywatna w tej dziedzinie powinna korzystać z maksymalnych ułatwień administracyjnych. Opłaty w tych hotelach będą uiszczane w złotych obiegowych bez jakiejkolwiek dyskryminacji między stałymi mieszkańcami kraju a gośćmi zagranicznymi. Wolna wymiana złotego spowoduje, że dewizy przywożone przez gości zagranicznych będą wymieniane w bankach po kursie dnia, co spowoduje zniknięcie złotego dewizowego i czarnego rynku i pozwoli na bardziej racjonalne wykorzystanie napływających dewiz na potrzeby kraju. Innym jeszcze czynnikiem zwiększenia wymiany z zagranicą stanie się fakt, że przyjeżdżający do Polski przedstawiciel przedsiębiorstwa zagranicznego nie będzie potrzebował tracić tygodni, a nawet miesięcy na bezpłodne rozmowy z niekompetentnymi władzami, lecz będzie mógł od razu i bezpośrednio nawiązać kontakt z interesującymi go przedsiębiorstwami (państwowymi, spółdzielczymi lub prywatnymi).

Udostępnienie kapitałom zagranicznym maksymalnie rozszerzonych możliwości inwestowania w Polsce powinno w dużym stopniu ułatwić rozwiązanie sprawy obsługi długów zagranicznych. Inwestorzy zagraniczni będą niewątpliwie zainteresowani w nabywaniu na dogodnych warunkach od zagranicznych wierzycieli Polski ich wierzytelności, za które będą płacili w dewizach, a które będą im wypłacane w złotych pod warunkiem, że złote te będą użyte na określone inwestycje w Polsce. Oczywiście uzyskane z tych inwestycji dochody będą mogły być repatriowane w każdej chwili do kraju inwestora, co wynika zresztą z ogólnej zasady wolnej wymiany złotego.

d. Polityka pieniężna

Polityka pieniężna jest siłą rzeczy syntezą wszystkich innych polityk. Jej określenie wynika więc poniekąd automatycznie z poprzednio ustalonych wytycznych.

Polityka równowagi budżetowej i walki z inflacją nakazuje wysoki stopień niezależności banku emisyjnego od władz państwowych. Kadencja prezesa banku emisyjnego, mianowanego przez prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek stałej komisji gospodarczej sejmu, powinna być zatem dosyć długa (5 lat?) i nieodwołalna.

Kredyt otwarty banku na wydatki bieżące państwa powinien być ściśle ograniczony do potrzeb utrzymania równowagi kasowej w ramach budżetu wydatków bieżących.

Bank emisyjny nie powinien w żadnym wypadku finansować kredytów długoterminowych.

Emisja pieniądza będzie się odbywać w drodze zakupu złota i dewiz, redyskonta weksli krótkoterminowych dyskontowanych przez banki (państwowe, spółdzielcze lub prywatne) oraz zakupu papierów wartościowych na rynku finansowym *(open market policy)*. Wynikająca z tych operacji stopa procentowa będzie wywierać decydujący wpływ na kształtowanie się wachlarza krajowych stop procentowych.

Rola banku polegać będzie na utrzymaniu stopy procentowej na możliwie najniższym poziomie, co jest konieczne dla rozwoju działalności bieżącej i inwestycyjnej przedsiębiorstw, które nie będą już korzystały z jakichkolwiek subwencji państwowych. Stopa procentowa musi jednak być jednocześnie dosyć wysoka, aby nie powodować odpływu kapitałów z Polski. Powodzenie tej polityki zależy nie tylko od zdolności kierownictwa banku emisyjnego, ale też i to przede wszystkim od państwa, które musi utrzymać ścisłą równowagę budżetową, oraz od wolnych związków zawodowych, które muszą powstrzymać się od wszelkiej akcji mogącej doprowadzić do zwyżki płac przekraczającej wzrost wydajności pracy. Każde zwiększenie deficytu budżetowego, tak jak i każda podwyżka płac wyprzedzająca tempo produkcji, oddziałują negatywnie na bilans płatniczy i prowadzą do spadku kursu złotego, co podraża import niezbędnych surowców i środków wytwarzania, a zatem zmniejsza wydajność gospodarki narodowej i obniża poziom życia ludności.

Początkowo niski ale nie spadający kurs złotego, wraz z niskim poziomem płac wyrażonych w walutach zagranicznych, powinny stać się ważnym czynnikiem przyciągania kapitałów zagranicznych, a zatem także nowoczesnej technologii do kraju. Dopiero później, gdy wydajność gospodarki polskiej powiększy się, pozwoli to na szybszy rozwój eksportu, względne zwolnienie importu, stopniową, powolną zwyżkę złotego i tym samym podwyżkę realnych płac pracowników polskich. Jest rzeczą jasną, że odziedziczone po PRL olbrzymie zadłużenie kraju bardzo opóźni ten proces.

III. ŚRODKI WPROWADZENIA I ZASTOSOWANIA NOWEGO USTROJU

Jak wykazało fiasko wszystkich częściowych reform lansowanych w krajach „socjalistycznych", zmiana ustroju powinna być dokonana, przynajmniej w swych głównych zarysach, całkowicie i jednorazowo. Wszystkie podstawowe zasady nowego ustroju,

a przede wszystkim wolność cen i płac i uniezależnienie przedsiębiorstw od państwa, z jednoczesnym zniesieniem wszelkich subwencji, powinny wejść w życie jednocześnie, w jak najkrótszym czasie po przyjęciu ich przez sejm. Jest to konieczne, aby uniknąć sprzeczności istniejących pomiędzy poszczególnymi sprzężeniami starego i nowego systemu, które się opierają na całkowicie przeciwstawnych zasadach i których jednoczesne stosowanie doprowadziłoby do chaosu i do nowej katastrofy gospodarczej.

Oczywiście uwolnienie cen wywoła w pierwszym stadium dużą zwyżkę cen artykułów deficytowych i powszechne żądanie zwyżki płac i świadczeń społecznych. Przedsiębiorstwa produkujące artykuły najbardziej poszukiwane będą mogły podwyższyć odpowiednio płace, zwiększyć swój personel i swoje zakupy surowca krajowego i zagranicznego oraz przystąpić do koniecznych inwestycji. Przedsiębiorstwa produkujące artykuły niechodliwe będą zmuszone do zmiany swych asortymentów, a te które tego nie potrafią będą musiały ograniczyć swą produkcję. Bezrobocie, które z tego wyniknie będzie tym większe, że rząd i partia będą zmuszone do likwidacji wszystkich niepotrzebnych urzędów, co obejmie kilkaset tysięcy osób. Jest to niestety niemożliwy do uniknięcia koszt przesunięcia pracowników pełniących funkcje, które kosztują drogo, a nie przynoszą nic poza utrudnieniami, na stanowiska istotnie wydajne. Oczywiście nie może być mowy o pozostawieniu pozbawionych pracy obywateli bez środków do życia, ale świadczenia, które zostaną im przyznane muszą być zredukowane do minimum i ograniczone w czasie, tak aby ich zmusić do energicznego szukania czynności zastępczych. Jest to jednym z warunków uniknięcia inflacji, która spowodowałaby jeszcze silniejszy spadek złotego i wzrost obciążenia, wynikającego z obsługi długów zagranicznych i niezbędnego importu. Wolność nieograniczonego tworzenia przedsiębiorstw prywatnych oraz ułatwienia przyznane inwestorom zagranicznym, przy bardzo niskiej wartości realnej płac w Polsce, powinny pozwolić na dosyć szybkie rozładowanie bezrobocia wśród jednostek gotowych do podjęcia każdej pracy. Koniecznym warunkiem, aby tak się stało, jest z jednej strony ścisłe przestrzeganie równowagi budżetowej przez państwo, a z drugiej strony przyjęta dobrowolnie przez społeczeństwo i wolne związki zawodowe dyscyplina płac, które w żadnym wypadku nie powinny wzrastać szybciej niż wydajność pracy. Jedynie w ten sposób będzie można uzyskać odpowiedni wzrost produkcji i nadwyżki eksportowej, aby stopniowo zredukować wywołane przez reformę bezrobocie i zacząć myśleć o poprawie warunków bytu ludności.

Prof. dr Jan MARCZEWSKI

Wrzesień 1987

BIBLIOGRAFIA

Teoretyczne uzasadnienie wysuniętych w powyższym tekście propozycji zainteresowany czytelnik znajdzie w następujących pracach autora, poświęconych specjalnie polityce gospodarczej:

Politique monétaire et financière du IIIe Reich, Paris, Sirey, 1941.
Planification et croissance des démocraties populaires, Paris, P.U.F., 1956.
Crise de la planification socialiste? Paris, P.U.F., 1973.
Crisis in Socialist Planning, Eastern Europe and the USSR, New York, Praeger Publ., 1974 i 1976.
Inflation and Unemployment in France: A Quantitative Analysis, Praeger Publ., 1978.
Inflation et chômage en France, Paris, Economica, 1977.
Vaincre l'inflation et le chômage, Paris, Economica, 1978.
„The Concept of Macroeconomic Cost and its Utility", *The Review of Income and Wealth*, New Haven, number 1, 1986.
„Rola rentowności makroekonomicznej", *Ekonomista*, Warszawa, Nr 4-5, 1986.

Notatki z Polski

(LISTOPAD 1987)

Znów potwierdziło się, że Polska jest krajem paradoksu: najważniejszym wydarzeniem miesiąca było referendum, do którego mało kto tak naprawdę przywiązywał wagę. Po ogłoszeniu przez rząd pytań były jeszcze próby formułowania przez opozycję innego, bardziej znaczącego zestawu kwestii do rozstrzygnięcia; były nawet — choć nieliczne — pomysły różnych struktur „Solidarności", by przeprowadzić jak podczas ostatnich wyborów akcję niezależnego sprawdzania frekwencji. Ale władze „Solidarności" — jak i Lech Wałęsa w kilku publicznych wypowiedziach — ogłosiły, że Związek ignoruje referendum, które nie daje społeczeństwu żadnego realnego wyboru, pomija kwestie najważniejsze i ma jedynie posłużyć rządzącym do uwiarygodnienia ich poczynań. Takie stanowisko okazało się zgodne ze społecznymi odczuciami. W miarę zbliżania się do dnia głosowania atmosfera wokół niego zmieniała się na coraz bardziej indyferentną, ale też i kpiarską.

W ironicznym skrócie obrazuje ten klimat akcja uliczna wrocławskiej grupy „Ruch Nowej Kultury", która od przeszło roku organizuje w najruchliwszych punktach miasta *happening*'i ku rozrywce przechodniów i wściekłości milicji (pląsy krasnali w czerwonych czapkach i rozdawanie cukierków w Dniu Dziecka, manewry „Melon w majonezie" z tekturowym czołgiem i plastikowymi karabinami albo zbiorowe uliczne czytanie *Trybuny Ludu*). Jak zwykle, tak i tym razem setki hecnych ulotek zapraszały zainteresowanych sprawą referendum 27 listopada na ulicę Świdnicką, gdzie o 15-tej w tłumie zaczęli się kręcić młodzi ludzie poprzebierani w łachmany, w strojach zetempowskich, z urnami wyborczymi. Wraz z obecnymi bawili się pod hasłami: „Wrocław miastem 200 % frekwencji", „Referendum dziś, dyscyplina i dobrobyt jutro", „Józef Pinior twój wróg — przyjdź na referendum", „PPS reakcja, PPR atrakcja". Inicjatorzy *happening*'u, a wraz z nimi przechodnie skandowali: „2 × tak", „3 × tak", „4 × tak" itd. Rozdawali ludziom kartki na prąd i ciemne okulary. Milicja, co stało się już we Wrocławiu zwyczajem, zatrzymała sporą, jak na dużych demonstracjach, bo ok. 150-osobową grupę uczestników, ale jak zwykle wkrótce ich zwolniła.

Nie inny stosunek do reklamowanej przez oficjalne *mass media* procedury „poszerzania demokracji" prezentowała prasa podziemna. Gazetka *CIA* (Centrum Informacji Akademickiej) przedstawiła czytelnikom jako swoją propozycję do poddania pod referendum pytania: 1) czy kochasz władzę? 2) czy naprawdę? — z odpowiedziami do wyboru: Tak, oczywiście, ogromnie, bardzo i do śmierci. *Manifeściak*, pismo „Solidarności" kopalni Manifest Lipcowy, wśród pięciu swoich pytań zaproponował i takie: „Czy chciałbyś, żeby Jaruzelski miał tytuł prezydenta lub króla a w związku z tym wszystko zmieniło się na lepsze?"; „Czy chcecie Piasta na I sekretarza zgodnie z zasadą ludowładztwa?"; „Czy chcecie umiarkowanego tempa reformy, która w swym piątym etapie ok. 2000 roku zostanie zakończona wymienialnością złotówki na korony czeskie bez żadnych ograniczeń?".

W tygodniu przed referendum były też oczywiście akcje ulotkowe, i to w rozmiarach, które w stanie wojennym byłyby uznane niemalże za ogólnonarodową mobilizację, a teraz stały się „normalką". Były również niewielkie demonstracje. Warszawski NZS zorganizował 26 listopada w godzinach szczytu 50-osobowy pochód Marszałkowską z okrzykami „Chcemy reform, nie propagandy", rozrzucaniem ulotek, malowaniem „S" i „NZS" na ścianach domów. Następnego dnia Grupy Specjalne NZS rozwiesiły nad Trasą Łazienkowską transparenty, rozdając ludziom na przystankach ulotki i malując po murach. W Lublinie na Plac Litewski 27 listopada wyszło 10 ludzi z wezwaniem do bojkotu referendum.

W samym dniu głosowania też były i wygłupy, i wystąpienia bardziej serio, ale — jak się wydaje — przeważało poczucie surrealizmu całej tej sytuacji. Warszawski NZS, najwyraźniej zainspirowany wrocławską konwencją zbiorowej zabawy, zorganizował w południe na błoniach koło Stadionu X-lecia mecz piłkarski drużyn KS „Nędza" (w koszulkach czerwonych) i FC „Dobrobyt" (w niebieskich). „Pokojowa prowokacja" — skandowali gracze i ok. 200 widzów. Hasła na transparentach głosiły: „40 lat nędzy", „Nędzarze wszystkich uczelni, łączcie się!", był też akrostych „Niestety Znowu Studenci". Nawiązując do koloru strojów piłkarzy wznoszono okrzyki „Czerwoni do ataku" i „Niebiescy do domu". W przerwie meczu odbyło się referendum z pytaniami: „Czy

jesteś za FC 'Dobrobytem'?" — z trzema odpowiedziami do wyboru: tak, tak, tak. Rolę urny pełniła mała czarna trumna. Organizatorzy rozdawali talony na 5 kg baleronu i jedno jajko na 1990 rok. Licznie zgromadzona milicja, która dostała polecenie nieingerowania, jednak nie wytrzymała, kiedy po meczu pochód z trumienką ruszył wprost na nią.

I w Krakowie musiało być coś z nastroju *happening*'u, skoro kilkaset osób po mszy w kościele oo. dominikanów stanęło nieopodal i odpowiadało chóralnym TAK na zadawane przez megafon pytania: „Czy chcesz kresu komunizmu?" i „Czy chcesz wolnej Polski?". Tuż obok, na Stolarskiej o godz. 13-tej parę osób wdrapało się na dach kramów dominikańskich z transparentami: „W referendum głosujesz — kota w worku kupujesz" i „PZPR na Madagaskar", a kilkusetosobowa publiczność gwizdała i klaskała, gdy po ok. godzinie ściągała je MO.

Trzeba tu jeszcze wspomnieć o udaremnionych przez MO próbach demonstracji przy wychodzeniu z kościoła po mszy św. W Gdańsku siły porządkowe rozproszyły pochód, który ruszał spod kościoła św. Brygidy; w Warszawie po mszy za ojczyznę u św. Stanisława Kostki milicja zablokowała drogę i ustąpiła dopiero po dwóch godzinach, po pertraktacjach z księdzem. Była też krótka demonstracja w Nowej Hucie, po mszy w słynnej mistrzejowickiej Arce, gdzie uwagę przykuwał transparent „Chcesz głodować — idź głosować'.

Tak wyrażali swój stosunek do referendum najaktywniejsi, zaś poważny odłam tzw. milczącej większości po prostu nie poszedł. Jak można sądzić na podstawie — niezbyt licznych zresztą — przecieków z komisji referendowych, oficjalnie podane wyniki były jak zwykle zawyżone. Fałszowano je już na najniższym szczeblu, głównie poprzez zmniejszanie ilości uprawnionych do głosowania. W jednej z warszawskich komisji z końcem dnia okazało się, że przyszło jedynie ok. 300 osób na ponad 1.000 uprawnionych, więc przewodniczący zarządził zmniejszenie ich liczby do 700. Komisja sprzeciwiła się i po negocjacjach w swoim gronie przystała na zredukowanie uprawnionych w obwodzie do 800. Ale i na szczeblu centralnym z pewnością dorzucono parę procent — zgodne przecieki mówią o poprawce rzędu 10 %. Wystarczyło zresztą posłuchać, co mówią na ulicy czy w kolejce, gdzie udział w referendum był żywo komentowany: najczęściej kwitowany zdaniem: „Co się będę wygłupiać". Z pewną przesadą można więc stwierdzić, że naród referendum zlekceważył. Trzeba jednak powiedzieć, że ogłoszone parę dni wcześniej założenia dochodowo-cenowe niejednego musiały porazić i — tu znów paradoks — pobudzić do głosowania. Zapewne ci, którzy odpowiadali NIE (a takich było przecież ok. 1/3), poszli na referendum motywowani chęcią powstrzymania podwyżek.

W każdym razie wyniki zaskoczyły wszystkich. Spodziewano się, że władza ustali sobie procent uczestniczących w widełkach od sześćdziesięciu paru do osiemdziesięciu, a z tego większość opowie się „za". Tak było na urządzonym tydzień wcześniej

próbnym referendum w Garwolinie, gdzie mimo wzmożonej agitacji, obecności telewizji i wizyt partyjno-państwowej góry udało się wycisnąć niewiele ponad 60 %, za to prawie wszyscy z tej liczby głosowali TAK. Niespodzianką było więc nie finalne 68 %, lecz ponad 20-procentowa pula tych, co odpowiedzieli NIE na pytania o przyspieszenie reformy gospodarczej i demokratyzacji. Interpretacje mogą tu być różne. Choćby taka, że 1/3 głosujących chciała dać wyraz temu, iż wszystkie rządowe propozycje odrzuca jako niewiarygodne, a referendum odczytuje wyłącznie jako pytanie o zgodę na drastyczne podwyżki. Albo że ogłaszając taki procent popierających władza — w gruncie rzeczy niechętna reformom — postanowiła zapewnić sobie wolną rękę i wprowadzać tylko te z nich, które uzna za stosowne. Tym sposobem referendowa większość posłuży do uprawomocnienia niektórych posunięć, zaś brak absolutnej przewagi zwolenników szybkich przemian dostarczy argumentów do wycofania się lub opóźnienia innych kroków. Za trafnością tej interpretacji przemawiają zarówno propagandowe łamańce, jakimi od zakończenia referendum raczą nas *mass media*, jak i decyzje zwołanego z tej okazji na 5 grudnia sejmu. Premier Messner zapowiedział np., że węgiel drożeje natychmiast, za to podwyżki cen żywności będą rozłożone na trzy lata; że utrzymany zostanie państwowy monopol skupu płodów rolnych; natomiast o zmianach demokratyzacyjnych, których przecież dotyczyło drugie pytanie referendum — ani słowa.

Tymczasem planów zapowiedzianego „urynkowienia" gospodarki wciąż nie ma, a rynek reaguje na neurotyczne wahania władzy bardzo nerwowo. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy poszły znacznie w górę ceny wielu artykułów żywnościowych i przemysłowych (prócz podstawowych, posiadających ceny urzędowe czyli wyznaczane przez państwo), tak jakby producenci przewidując zmiany na gorsze postanowili przed podwyżkami zarobić ile się da. Z kolei ludzie próbują wyzbyć się pieniędzy, które po podwyżkach gwałtownie stracą na wartości, i wykupują nawet buble. Gromadzą też zapasy produktów, które dadzą się przechować, tak że np. proszki do prania i szampony zniknęły ze sklepów, a bywają też kłopoty z dostaniem ryżu czy cukru. I oczywiście niebywale poszedł w górę dolar — przez ostatnich parę miesięcy jego czarnorynkowa cena oscylowała w okolicy 950 zł, by na przełomie listopada i grudnia osiągać już 1.400 zł.

Przed ogłoszeniem założeń cenowo-dochodowych krążyły liczne pogłoski o tym, jak duże będą podwyżki, wszystkie oczywiście z powołaniem na superwiarygodne źródła i wszystkie przerażające. Mówiło się, że mleko zdrożeje nawet do 65 zł, masło do 400-500, szynka do 2-2,5 tysięcy. Oznaczałoby to 2-3-krotny wzrost samych tylko artykułów spożywczych, czyli prawdziwą klęskę dla rodzin najuboższych, młodych małżeństw i emerytów. A przecież nie wiadomo, co realnie oznacza rozłożenie podwyżek na etapy i jaki będzie rzeczywisty wzrost cen w przyszłym roku.

◆

Być może władzy chodziło o to, aby przed referendum popisać się, jak to miewała dawniej w zwyczaju, jakimś spektakularnym sukcesem policyjnym, a może był to po prostu zbieg okoliczności. W każdym razie w listopadzie aresztowani zostali ostatni ukrywający się jeszcze znaczący działacze. We Wrocławiu 15 listopada ujęty został po 6 latach w podziemiu przewodniczący „Solidarności Walczącej" Kornel Morawiecki (i wraz z nim Hanna Łukowska-Karniej), a 19 listopada aresztowano Jana Andrzeja Górnego, przewodniczącego RKW regionu Śląsko-Dąbrowskiego, członka KKW, a poprzednio TKK. Nie postawiono im — co charakterystyczne — zarzutów politycznych: Morawiecki dostał sankcję z artykułów o przemyt (chodzi o transporty sprzętu ze Szwecji dla „Solidarności Walczącej") oraz posługiwanie się fałszywym dowodem osobistym; Górny jest oskarżony o uchylanie się od płacenia alimentów i używanie cudzych dokumentów.

Nastąpił najwyraźniej zwrot ku większej represyjności wobec odmawiających służby wojskowej i z powodu sprzeciwu sumienia. Do trzech siedzących dołączyło w listopadzie dziewięciu nowych, którzy zwracali się o służbę zastępczą. Zapadł też kolejny wyrok: Jacek Borcz z Kołobrzega został skazany na 3 lata. I nowe aresztowania, i ten tak wysoki wyrok zdają się świadczyć o próbie zastraszenia innych, którzy zdecydowani są nie iść do wojska.

W sumie w listopadzie liczba więźniów politycznych wzrosła do 23 i problem ten znowu zaczął skupiać uwagę opinii publicznej. Nasiliły się wystąpienia w ich obronie. Było kilka akcji ulotkowych i transparentów z żądaniem uwolnienia Krzysztofa Wolfa, robotnika z Huty Warszawa, oskarżonego o pobicie milicjanta na pielgrzymce do Częstochowy. W ostatniej dekadzie listopada o Morawieckiego i Hannę Karniej w paru efektownych wystąpieniach upomniał się Wrocław: m.in. uniwersytecki NZS umieścił na akademiku wielki transparent: „Solidarność Walcząca" urządziła kilkuosobową demonstrację z rozdawaniem ulotek i wywiesiła transparent na ratuszu; nie zabrakło też „Solidarności" — w centrum 25 listopada przeprowadzona została akcja ulotkowa i pojawiła się 5-osobowa pikieta z Władysławem Frasyniukiem. Stale upominają się też o swoich więźniów WiP-owcy, a sposób, w jaki to robią, najwyraźniej stał się wzorem dla innych: w szczególnie ruchliwych punktach miasta (w Krakowie przy Rynku, we Wrocławiu na domu towarowym, w Warszawie na Nowym Świecie) wdrapują się na rusztowania lub dachy, rozwieszają parę dużych transparentów i czekają na górze, aż ściągnie ich milicja. Jednocześnie inne osoby na dole rozdają ulotki. Takie działania „na wysokościach" są bardzo widowiskowe, trwają nieraz — z uwagi na warunki — dosyć długo i wymagają wsparcia milicji przez oddziały specjalne i straż pożarną. Było ich w październiku i listopadzie kilka, m.in. 1 grudnia w Krakowie i Wrocławiu w ramach ogłoszonego przez WiP „Dnia Więźniów Politycznych".

◆

Jeżeli teza o ożywieniu środowisk niezależnych jeszcze miesiąc-

dwa wcześniej mogła się komuś wydawać dyskusyjna, to zdarzenia ostatnich tygodni musiały przekonać najbardziej sceptycznych. Na zaproszenie Lecha Wałęsy zebrało się 7 listopada w Warszawie kilkudziesięciu przedstawicieli różnych grup opiniotwórczych — jak powiedział Wałęsa rozpoczynając spotkanie, „ludzi światłych i kompetentnych, obdarzonych autorytetem moralnym i mandatem swoich środowisk" — intelektualistów, działaczy i doradców „Solidarności", reprezentantów rozwiązanych stowarzyszeń twórczych, by dyskutować nad możliwością zmian. Ten „solidarnościowy PRON" — jak żartowano, okazał się zaskakująco zgodny w sprawach zasadniczych: że trzeba przyjąć, iż system jest reformowalny i nacisk społeczny może na nim wymuszać zmiany; że dla pobudzenia aktywności społecznej i wyjścia z kryzysu konieczne jest przywrócenie pluralizmu związkowego, w tym legalizacja „Solidarności", a także pełna swoboda stowarzyszeń, rezygnacja z nomenklatury przynajmniej w przedsiębiorstwach oraz tworzenie systemu porozumień społecznych. Wałęsa zapowiedział dalsze spotkania w tym samym gronie.

Wielkie spotkanie pod hasłem „Reforma, demokracja, pluralizm" zorganizowało 10 listopada Duszpasterstwo Ludzi Pracy Archidiecezji Warszawskiej, zapraszając przedstawicieli struktur zakładowych i międzyzakładowych „Solidarności", samorządów, duszpasterstw robotniczych, redakcji pism niezależnych. Zebrało się ok. 400 osób, w wystąpieniach mówiono o reformie i referendum, o sytuacji związku w regionie i zakładach, o pomysłach na działanie. Dla wielu uczestników najważniejsze było to, że po raz pierwszy od 13 grudnia mogli się zebrać jawnie w tak licznym składzie.

W zakładach pracy powstało w listopadzie kilka nowych komitetów założycielskich „Solidarności", w tym w kopalni w Łęcznej (lubelskie zagłębie węglowe), w kopalni „Polkowice" (zagłębie miedziowe), w hucie Stalowa Wola. Sądy nadal odrzucają w kolejnych instancjach ich wnioski o rejestrację. Dwoje członków Komitetu Założycielskiego z łódzkich zakładów im. Marchlewskiego i jeden z „Polkowic" zostali wyrzuceni z pracy. Władze usiłują w ten sposób zahamować ruch tworzenia KZ-ów, te jednak próbują działać. Na przykład ursuski, jeden z aktywniejszych, ogłosił 17 listopada propozycję programu związku po rejestracji, złożoną głównie z postulatów dotyczących zakładu i jego poszczególnych wydziałów.

Spory zasięg miała akcja „Listopad miesiącem prasy zakładowej", zainicjowana przez podziemne pismo *Robotnik*. Przed kilkunastoma zakładami w Warszawie (m.in. Kasprzakiem, Waryńskim i Hutą) i Wrocławiu (przed Polarem, Chemitexem, Stocznią Rzeczną i in.) na styku pierwszej i drugiej zmiany rozdawane były jawnie setki egzemplarzy prasy zakładowej i regionalnej oraz *Robotnika*.

Ożywienie jest jednak najbardziej widoczne na polu pozasolidarnościowym. Tu sensacją miesiąca stało się reaktywowanie 15 listopada Polskiej Partii Socjalistycznej. Jej zjazd założyciel-

ski — ok. 60 osób z różnych miast — na wstępie uchwalił, że w razie wkroczenia milicji PPS uznaje się za zawiązaną. Po dwóch godzinach rzeczywiście weszła SB, zatrzymała kilka osób, lecz pozostali spotkali się tego dnia jeszcze dwukrotnie w kawiarni i uchwalili deklarację polityczną. W tydzień później zjazd wybrał władze partii — przewodniczącym jej Rady Naczelnej został Jan Józef Lipski. Działaniom PPS towarzyszy stała obecność Służby Bezpieczeństwa: nie dopuściła ona większości uczestników konferencji prasowej 16 listopada, a później wyłamała drzwi mieszkania, gdzie rozmawiali z dziennikarzami ci, którzy przybyli wcześniej; wkroczyła na następną konferencję 25 listopada i na zebranie CKW 28 listopada, zatrzymując za każdym razem po parę osób. Członkowie PPS byli też zatrzymywani kilkakrotnie w Warszawie i Wrocławiu podczas rozdawania pod zakładami gazetek podziemnych w ramach „Miesiąca prasy związkowej". Urząd m.st. Warszawy nie ociągał się z decyzją zdelegalizowania partii — z dniem 26 listopada zakazał jej działalności z „rygorem natychmiastowej wykonalności ze względu na ważny interes społeczny".

W listopadzie ogłosiło też swoje powstanie kilka niezależnych stowarzyszeń. W Warszawie zarejestrowane już Towarzystwo Przyjaciół „Powściągliwości i Pracy" (miesięcznika dla młodzieży wydawanego przez oo. Michalitów) odbyło zjazd założycielski, wybierając na swą przewodniczącą prof. Zofię Kuratowską. W Gdańsku z wnioskiem o rejestrację wystąpił Klub Polityczny im. Lecha Bądkowskiego — jego członkami są m.in. Aleksander Hall i inni uczestnicy Ruchu Młodej Polski — oraz Stowarzyszenie Akademickie „Verbum", zawiązane przez studentów Uniwersytetu, Politechniki i Akademii Medycznej, którzy deklarują chęć działania w oparciu o światopogląd katolicki. O rejestrację ubiega się założone w Warszawie Stowarzyszenie Kobiet „Nasz Dom". Przedstawiciele Rad Pracowniczych prowadzą rozmowy z władzami, usiłując uzyskać zgodę na Stowarzyszenie Działaczy Samorządów. Nowopowstały Górnośląski Klub „Solidarność i młodzi" zamierza w oparciu o ideały Sierpnia inspirować i wspomagać inicjatywy młodzieżowe.

Część stowarzyszeń ma zapewne szanse rejestracji, ale niektórych władza sobie wyraźnie nie życzy. Od warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego zażądano takich zmian w statucie (ograniczenie działalności do Warszawy i województwa stołecznego, rezygnacja z działalności gospodarczej i wydawniczej), które stawiają pod znakiem zapytania sens jego powoływania. Również idea Stowarzyszenia samorządowego spotkała się z niezbyt życzliwą reakcją przedstawicieli władz. Niemniej publiczne deklaracje woli działania, odwołania, interwencje, listy do władz świadczą o tym, że inicjatorzy nie rezygnują.

Zaktywizowało się również środowisko akademickie. Poza akcjami związanymi z referendum i obroną więzionych, zainicjowanymi przez warszawski i wrocławski NZS — słabo przedtem widoczny — warto wspomnieć o studentach poznańskiego Uniwersytetu, którzy do 1 grudnia zebrali 1.000 podpisów pod listem do ministra edukacji. Domagają się oni wycofania przepisów wykonawczych ograniczających autonomię samorządu studenckiego i pracowniczego na uczelniach oraz przywrócenia ustawy o szkolnictwie wyższym z 1981 roku. Grupa ponad 30 profesorów Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN zwróciła się w końcu października do opinii publicznej z memoriałem o dramatycznej sytuacji tych nauk wobec dominacji kryteriów i instancji politycznych nad merytorycznymi oraz izolacji od nauki światowej.

◆

Na tle wszystkich tych zdarzeń batalia o szkolny podręcznik „Przysposobienia do życia w rodzinie" może się zdawać nieznaczącym drobiazgiem, gdyby nie zasięg społecznego protestu, jaki wyzwoliło pojawienie się tej książki w szkołach. Tak masowego i ostrego, że Ministerstwo Edukacji postanowiło ją w końcu października zawiesić.

Specjaliści przyjęli podręcznik z uznaniem, większość uczniów również, lecz księża i rodzice zareagowali oburzeniem, głównie z powodu dwóch schematycznych rysunków pozycji przy stosunku płciowym i paru informacji o seksie (znanych zresztą młodzieży i bez książki, a przedstawionych w niej subtelnie i z umiarem). W parafiach rozpętała się olbrzymia akcja zebrań protestacyjnych i odsyłania jej do Ministerstwa. Nauczyciele i rodzice zaczęli się jednoczyć, pisząc do władz i prasy listy z żądaniem wycofania podręcznika demoralizującego nieletnich. Gdyby zastosować kryteria ilościowe, byłaby to jedna z największych i najbardziej spontanicznych akcji „frontu odmowy", jaka miała miejsce w Polsce w ostatnich latach. Złośliwie trzeba dodać, że olbrzymia większość oburzonych nie przeczytała tak ich bulwersującego „przysposobienia".

Chcąc zrozumieć, o co tu chodzi, warto poszukać innego jeszcze wyjaśnienia niż tylko tradycyjne, pełne zgorszenia, potępienia i wstydu nastawienie do życia seksualnego w polskiej kulturze (książka, która traktuje je jako źródło radości, bliskości i więzi między kochającymi się ludźmi, faktycznie mocno ugodziła w powszechny stereotyp). Ale być może ważniejsze jest co innego: znalazł się wreszcie godziwy pretekst, by wlać tłumioną latami nienawiść do szkoły jako ekspozytury państwa, narzędzia indoktrynacji, umysłowego zniewolenia i przymusowej ateizacji. Jednym słowem, konflikt o książkę okazał się konfliktem zastępczym. I jako taki musi być oczywiście na rękę władzy: przed referendum było jej bardzo potrzebne jakieś niezbyt kosztowne ustępstwo. To było wyjątkowo tanie i zostało bardzo dobrze przyjęte. Szkoda, że w bardziej żywotnych sprawach nie stać nas na równie zdecydowane i równie masowe działanie.

(ja)

Poroniona generacja

To jedno z bardziej łagodnych określeń, jakie sami (na przykład piosenka zespołu „Dezerter" pod tym właśnie tytułem) wysuwają pod własnym adresem. Tych najbardziej zaangażowanych jest chyba stosunkowo niewielu — socjologowie, kulturoznawcy mają szalone kłopoty z ustaleniem w miarę dokładnej liczby — a mimo to doczekali się licznych publikacji tak w prasie niezależnej jak i w oficjalnych mass-mediach. Spędzają sen z powiek specjalistom od młodzieży po obu stronach barykady, nie mieszczą się bowiem w przyjętych schematach, są inni, „dziwni" (to słowo często oznacza pełną dezaprobatę, nawet potępienie). Nie założą czerwonego, zetempowskiego krawatu i prawdopodobnie nie zechcą zbawiać ojczyzny w przyjęty przez ogół sposób. Mowa o polskich punkach, rastamanach, rockersach, ale też bardziej upolitycznionych odłamach kontestującej młodzieży, na przykład Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego. Jacy są i kim są? Czy podzielają ideały starszych? Czy kiedyś, może w niedalekiej przyszłości, będą potrafili przejąć z naszych rąk pałeczkę?

Cała sprawa zaczęła się u schyłku lat siedemdziesiątych. Wtedy dotarł do Polski punk, z początku moda na grane w obłąkanym tempie piosenki i ekstrawaganckie fryzury, później zaś bilet identyfikacyjny znacznej części młodzieży, głównie z tak zwanych dobrych domów. „Dobrych" znaczy tutaj tyle mniej więcej co zamożnych, gdyż tylko latorośl w miarę bogatych rodziców miała dostęp do najnowszych płyt muzycznych idoli, mogła odwiedzać kraje, które były kolebką młodzieżowych subkultur końca ubiegłej dekady. Anarchizujące hasła brytyjskich punków kupili jak własne, zaś prowokacyjny, lecz również wielce symboliczny strój oraz głośna, rytmiczna, nawet prymitywna muzyka były dla nich jedyną formą ekspresji. I oczywiście bunt. Bunt wobec zastanej rzeczywistości, autorytetów, domu, rodziny, szkoły. Wszędzie tam czuli się niepotrzebni, odepchnięci, zmuszani do wyrzeczenia się własnego stylu życia, garści ideałów opartych na elementarnych, acz wyrażanych w niekonwencjonalny sposób, wartościach.

Przy czym ów bunt — mimo zachodnich pierwowzorów — nie był wyłącznie bezmyślnym naśladownictwem, zawierał ogromny ładunek spontaniczności i autentyzmu, dotyczył spraw uniwersalnych, ale i typowo polskich. Poczucie marazmu, beznadziejności, bezwład i zarazem nieuzasadnione samozadowolenie systemu, młodzież odczuła bardzo dotkliwie, choć nie zawsze potrafiła lub chciała wypowiadać własne sądy w tradycyjnie przyjęty sposób. Stąd też dziwne fryzury, obszarpany strój, hałaśliwe piosenki — podstawowy i jedynie wiarygodny środek masowego przekazu w tym środowisku.

Szesnaście miesięcy „Solidarności" nie zmieniło buntowniczego charakteru kontestującej młodzieży. Społeczeństwo, w tym ogromna większość ich pracujących rówieśników, zachłysnęło się nowymi możliwościami samoorganizowania się, współdecydowania o sprawach najistotniejszych, wyrażania prawdziwych postaw i nastrojów. Subkultury trzymały się, czy też zostały pozostawione na bocznym torze: z jednej strony władza miała poważniejsze sprawy na głowie, by zajmować się pacyfikowaniem niepokornej lecz stosunkowo nielicznej grupy, z drugiej niewielu „naszych" widziało w kontestatorach naturalnego, choć niezbyt zdyscyplinowanego sojusznika. A może po prostu takiego sojusznika nie chciano, lekceważono?

Uczestnicy subkultur w znacznej części przyjęli (co nie oznacza jeszcze pełnej akceptacji) ten rodzaj wzajemnych stosunków. Szeroko rozumiana polityka, puste sklepowe półki, rozważanie możliwości sowieckiej interwencji były sprawami „ich", czyli dorosłych. Atmosfera Jarocina, najpopularniejszego z muzycznych festiwali, przypominała nieco muzyczne imprezy na Zachodzie u schyłku lat sześćdziesiątych. Rozmowy koncentrowały się wokół abstrakcyjnych — jeżeli za jedyny konkret przyjąć polskie problemy epoki „Solidarności" — tematów. Uczestników festiwalu interesowała filozofia Dalekiego Wschodu, Kosmogonia, Wszechświat.

A jednak ta ucieczka od polityki była jakby pozorna. Dowiódł tego stan wojenny — bez wątpienia największe, jak dotychczas, przeżycie pokoleniowe dla młodzieży pozostającej w kręgu subkultur. Piosenki tamtego okresu były aż „gęste" od polityki, poruszały najbardziej drażliwe sprawy społeczne, tryskały rewolucyjnością tekstów. Wszystko to próbowała skwapliwie zawłaszczyć władza, która nawet najbardziej czupurnym zespołom rockowym dawała miejsce na radiowej antenie. Co więcej, w śpiewanym proteście uczestniczyły również te grupy, które nieco później postawiły na czysty komercjalizm i oficjalną karierę. Po prostu zbuntował się cały polski rock.

Jednak takie zachowanie mogło dziwić tych, którzy za wzór obywatelskiego postępowania przyjęli bojkot mass-mediów przez środowisko aktorskie, niezgodę na uczestnictwo w kłamstwie sporej grupy dziennikarzy, opowiedzenie się po stronie społeczeństwa wszystkich środowisk opiniotwórczych. Tym niemniej występy rockowych idoli w radio czy telewizji nie ugłaskały subkultur. Władza stała się bardziej represyjna i wysłuchanie w radio najnowszego przeboju nie przesłaniało faktu, iż za postawione na

sztorc włosy można było zdrowo oberwać (dla wielu punków spędzenie jednego dnia w miesiącu na komisariacie tylko i wyłącznie z racji wyglądu stało się rzeczywistością wcześniej nieznaną, nowymi regułami gry).

Mimo to swoiste lansowanie subkultur miało przyczynić się — w oczekiwaniach władzy — do czasowego choćby zneutralizowania młodzieży. Niech się wykrzyczą, niech teksty ich piosenek będą obrazoburcze i ewidentnie niecenzuralne, byle by robili to wśród swoich, nie wychodzili na ulice, nie wznosili barykad. Przyszłość wykazała, iż taka ocena nastrojów młodzieży była klasycznym przykładem brania życzeń za rzeczywistość. W manifestacjach brali udział głównie ludzie młodzi i bardzo młodzi, już choćby z racji wieku skazani na udział w kulturze młodzieżowej i wpływy subkultur (przykładem niech będzie regularna bitwa stoczona przez uczestników RSA z ZOMO 1 maja 1985 roku w Gdańsku). Po gwałtownych zamieszkach w maju 1982 roku zakazano na pewien czas organizowania koncertów rockowych, zamknięto nawet dyskoteki (mówi się żartem, iż takim posunięciem władza definitywnie zraziła do siebie cinkciarzy i prostytutki), z anteny zniknęły co bardziej nieprawomyślne piosenki i zbuntowane zespoły, by już w następnym roku zastąpić je niemal całkowicie komercyjnym, lukrowanym cukierkiem.

Młodzież nie upomniała się zbyt stanowczo o odebraną sobie własność. Niemniej represyjne posunięcia władz świadczą o jednym — subkultur nie udało się podkupić, wpleść w ramy systemu, dlaczego też odpowiedzią na nieposłuszeństwo było wypchnięcie na margines, zastąpienie pozornej akceptacji jawną, otwartą niechęcią. Skąd bowiem tak nagle pojawiło się w oficjalnej prasie tyle artykułów, krytykujących każdy przejaw inności, w niesfornej czuprynie upatrujących jedynie głupotę, nieprzystający do realiów szczeniacki bunt, wariacką fanaberię?

W tym miejscu czas odpowiedzieć na pytanie, ostatnio nader często intrygujące publicystów prasy niezależnej: komu służą subkultury czy też ich zewnętrzny, najbardziej widoczny objaw — muzyka i festiwale? Jedno jest więcej niż pewne. Nie służą i nigdy nie służyły władzy, choć pozornie są systemowi bardzo na rękę. Wróćmy pamięcią do lat sześćdziesiątych i stawiającego w owym czasie pierwsze kroki polskiego *big-beat*'u. W tamtych działaniach młodych muzyków nie było nic ze spontaniczności, autentycznej ekspresji, zaś zespoły *big-beat*'owe nie mogą być w żadnym wypadku porównywane z kapelami grającymi punk lub reggae. Te pierwsze bowiem tworzono w sposób odgórny, z chwilą powstania wtłaczając je w mechanizmy i układy rządzące polską estradą, czyli normalnym przedsiębiorstwem, którego właścicielem i jedynym dysponentem jest państwo. Nawet jeżeli w początkowym okresie płyty Czerwonych Gitar pobrzmiewały podobnie do albumów Beatlesów, to już wkrótce były prezentacją twórczości opartej na pseudoludowości i żołniersko-partyzanckich nutach — słowem była to robota wykonywana na konkretne, jasno sprecyzowane zamówienie polityki kulturalnej. *Big-beat* wszedł do masowego obiegu w formie najbardziej komercyjnej, nawet ogłupiającej, a z pewnością sprzyjającej propagandzie rozrywki. Nie musiał niczego pacyfikować. Był zwyczajnie jedną z działek uprawianych przez system.

Można śmiało wyliczyć wiele dzisiejszych zespołów, których kariera potoczyła się podobnie, a mimo to z rockiem pozostającym w kręgu subkultur jest dokładnie odwrotnie. Ta autentyczna muzyka młodych, przed którą już dawno zamknięto oficjalne środki masowego przekazu, jest w dalszym ciągu śpiewanym buntem. Zespoły powstają same z siebie, ze spontanicznej potrzeby, oddolnie. Festiwal w Jarocinie — choć organizowany przez lokalne ZSMP — jest tego buntu i spontaniczności znakomitym przykładem. Zgłaszane propozycje piosenek przechodzą przez cenzurę organizatorów, a jednak szefowie przedsięwzięcia nie mają praktycznie żadnego wpływu na dokładne przestrzeganie ich zaleceń, odrzucone teksty są często wykonywane. Cóż bowiem można zrobić amatorom z wyboru, którzy po prostu nie chcą przyjąć statusu zawodowców, wejść w układy i zatracić tożsamość? Zresztą bywa i tak, że piosenki dopuszczone do prezentacji są równie obrazoburcze jak te odrzucone.

Słowem, subkultury nie mieszczą się w doskonałym, modelowym obrazie komunistycznej rzeczywistości i zmieścić tam się zwyczajnie nie mogą. Czyż bowiem można porównać zachowanie się, sposób bycia, mówienia, oceniania świata wyznawany przez młodych — tacy też się mogą przytrafić — działaczy młodzieżowych przybudówek partii i ich rówieśników, uczestników subkultur?

Czy subkultury służą społeczeństwu? Mimo licznych minusów — choćby narkomanii — chyba tak. Celem dzisiejszego oporu jest bowiem powstanie pluralistycznego społeczeństwa, a z tego względu różnorodność kulturowa już sama w sobie jest wartością godną najwyższej uwagi. Przyzwyczajani od lat do dychotomicznego podziału kultury na oficjalną i nieoficjalną, z reguły przygarnianą przez Kościół, tracimy z pola widzenia takie jej obszary, których Kościół i religia zaakceptować ani wesprzeć nie mogą. Nie mówię tutaj o satanicznych ekscesach, profanacji krzyży i grobów podczas ubiegłorocznego festiwalu w Jarocinie, które słusznie spotkały się z dezaprobatą (swoją drogą dziwne jest, dlaczego — przy zachowaniu właściwych proporcji oceny tego marginalnego zjawiska ze strony Kościoła — władza starała się całą sprawę mocno rozdmuchać). Chodzi przede wszystkim o wyrwanie się z pewnego schematu, nakazującego najbardziej niefortunny, pozbawiający wolności wybór: „albo, albo", w sytuacji,

gdy w zdrowo funkcjonującym społeczeństwie winny być nie tyle trzy, co trzydzieści trzy równouprawnione drogi. Właśnie subkultury, czy szeroko pojęty alternatywizm, na przykład w undergroundowej, polskiej sztuce filmowej — co przecież ściśle wiąże się z konkretnym sposobem na życie — pokazują, że takie oderwanie od schematu jest możliwe. Uczą więc tolerancji, szacunku dla inności, choćby przez fakt, że taka inność realnie istnieje. Nie bez racji w prasie drugiego obiegu pojawiają się od czasu do czasu stwierdzenia, iż totalitarna władza kształtuje totalitarne społeczeństwo. Cóż nam przyjdzie z oporu, jeżeli zabraknie w nim miejsca na własne przekonania i postawy, tolerancję dla tych, którzy myślą i robią inaczej, a co w sumie dla sprawy wcale nie jest szkodliwe.

Zastanówmy się jeszcze, co warto cenić wyżej: tolerancję i jej pochodną — wolność, czy jej brak, a więc swoiście pojęty porządek. Argument to nieco demagogiczny, iż szczytem porządku jest państwo policyjne, nadzorujące wszystko i wszystkich, czyli również wyznawane wartości, sposób ubierania się, muzykę, kulturę. Niemniej jednak coś w tym jest. I właśnie o tym „coś" warto stale pamiętać.

Kolejna wartość to autentyzm subkultur. Jeżeli w jakiejś miejscowości w Polsce zawiąże się kontestujący zespół i przetrwa sezon, wtedy można mówić o modzie, niewiele znaczącym zauroczeniu nowością. Jeżeli jednak wokół niego powstanie grupa zagorzałych wielbicieli i cała historia przetrwa kilka lat — a tak właśnie wygląda sprawa z większością polskich środowisk alternatywnych — znaczy to, że subkultury trafiły w autentyczne zapotrzebowanie społeczne, wypełniły lukę, która była niewidoczna dla innych centrów wzorotwórczych, Kościoła, opozycji, władzy. Wynika z tego, że owe trzy centra to zbyt mało, by wszyscy mogli się z nimi identyfikować. Dobra to lekcja dla tych, którzy są skłonni popadać w samozadowolenie, wynikające z prawdziwych zresztą przesłanek, że jeśli 90 % Polaków nie lubi władzy, to automatycznie jest wierną klientelą drugiej strony.

Jednak — jest to chyba oczywiste — subkultury winny służyć swojemu głównemu odbiorcy, czyli młodzieży. Tak jest w przypadku muzyki, koncertów, festiwali. Subkultury zaspokajają bardzo ważną potrzebę identyfikacji z grupą, pozwalają czuć się razem, wśród swoich. Stanowią sposób na przetrwanie, pozwalają odbierać rzeczywistość w cieplejszych kolorach, co wcale nie musi oznaczać rejterady przed nurtującymi młodzież problemami, choćby materialnymi czy światopoglądowymi. Bowiem główną zaletą subkultur jest zadawanie pytań. Być może są one niekiedy naiwne, niekiedy zbyt napastliwe, lecz dotyczą rzeczy istotnych. Co więcej, pytań podobnej treści nie zadadzą ludzie

przywykli akceptować tak zwaną normalność, choć normalność daleko odbiega od stanu idealnej szczęśliwości.

Na przykład szkoła. Wiele osób ubolewa nad stanem dzisiejszej polskiej oświaty. Z zasady ogranicza się to do kwestionowania kompetencji nauczycieli oraz zastąpienia tendencyjnie i propagandowo wykładanych przedmiotów prawdziwą, rzetelną wiedzą. Tak więc wyeliminowanie tych minusów winno przywrócić szkole należną jej pozycję. Jednak najuczciwszy nauczyciel historii czy polskiego nie musi być od razu akceptowany przez młodzież — badania dowiodły, iż nawet dla uczniów identyfikujących się z „Solidarnością", nauczyciel — członek Związku — nie był żadnym autorytetem. Współczesny system szkolny oparty jest na nakazie i posłuszeństwie, daleko mu zatem do demokratyzmu.

Kolejne kryterium oceny jakości szkoły to jej skuteczność w wychowaniu i przekazywaniu wiedzy. Warto wiedzieć, iż wielu socjologów za najbardziej skuteczną uważa szkołę sowiecką...

Może by więc spróbować urządzić społeczeństwo bez tradycyjnie rozumianej szkoły, zreformować system oświatowy od podstaw, zmienić zasady nim rządzące?

Podobnie kwestionowana jest konieczność istnienia organizacji państwowej i wszystkich konsekwencji tego faktu; armii, policji, więzień, systemu prawa w dzisiejszej postaci itp.

Z takim stawianiem sprawy można dyskutować, lecz nie można go lekceważyć. Ma to bowiem swoje racjonalne podstawy. Przytłaczająca większość społeczeństwa wie, iż polskie więzienia są uniwersytetem przestępczości, prawo służy sankcjonowaniu bezprawia, państwo — rozumiane jako aparat sprawowania władzy — chroni nieakceptowany porządek. Oczywiście, że może być inaczej, również przy zachowaniu negowanych przez subkultury instytucji. Tyle, że polska młodzież nigdy tego nie doświadczyła, zatem totalne kwestionowanie wszechobecnego zła, w otoczeniu którego się wychowała, jest naturalną reakcją upokarzającej sytuacji.

Subkultury już dawno przestały być w Polsce sezonową modą — niedługo będziemy „świętować" dziesiątą rocznicę tego bezdewizowego importu z Zachodu — i stały się trwałym elementem socjologicznego przekroju naszego kraju. Choć zachowania w pełni identyfikujące się z konkretnymi nurtami subkultur nie są zbyt powszechne, to jednak trudno nie dostrzegać ich wpływu na całą młodzież. Czy chcemy czy nie chcemy, w nich właśnie musimy upatrywać choć cząstkę obrazu przyszłej Polski. Nie wiadomo, jak ludzie ci będą się wtedy zachowywać, czy pozostaną wierni alternatywie, czy podporządkują się powszedniej, szarej codzienności. Jedno jest natomiast więcej niż pewne. Z dzisiejszych punków, rastamanów, członków innych grup nieformalnych, głoszących powszechną równość i totalną wolność, oraz na swój

sposób wiernych głoszonym ideałom nie wyrosną rzesze policjantów. Reporterzy powracający z Jarocina zgodnie powtarzają, iż przez kilka dni mogli obserwować wysepkę tolerancji i wolności. Takiego kapitału uzyskanego za młodu z reguły nie marnuje się w dorosłym życiu.

"Tłok w stopkach i sensacje z Poronina"

To prawie reguła, że każdy szanujący się publicysta, ale także i mniejsze płotki pióra, muszą przy byle okazji wtrącać swoje trzy grosze na temat reformy gospodarczej. Jest to temat dyżurny; wszyscy bowiem obywatele kraju nad Wisłą znają się na medycynie, sporcie i gospodarce.

Czytamy więc na różnych szpaltach liczne słowa-zaklęcia: atestacja stanowisk pracy, zdolność kredytowa, ustawa o poprawie gospodarki przedsiębiorstwa i jego upadłości... Co z tego wszystkiego wynika — widać gołym okiem.

Jest jednak pewna sfera, która w tym jałowym słowotoku umknęła jakby z pola widzenia. Mam na myśli oficjalne czasopiśmiennictwo społeczno-kulturalne, nietknięte żadną polityką oszczędnościową, o której dokoła tak głośno. Ta branża stanowi klasyczny przykład, że kiedy idzie o realizację politycznych celów, pieniądze nie odgrywają najmniejszej roli. W ramach personalnej karuzeli towarzysz profesor Witold Nawrocki, wydalony z Wydziału Kultury KC, otrzymuje więc, obok dyrektorowania IBL-owi, także we władanie tygodnik o dziwnie znajomym tytule *Kultura*. Jego poprzednik na tym stanowisku nie może być jednak pokrzywdzony; toż to przecież Klemens Krzyżagórski, który od środka przygotował likwidację Stowarzyszenia Dziennikarzy, obejmując następnie prezesurę aktualnie funkcjonującej dziennikarskiej organizacji z dodatkiem PRL w nazwie. Jemu przydziela się miesięcznik *Literatura*, gdzie posada naczelnego redaktora wakowała po śmierci Jerzego Putramenta.

Krakowskim *Życiem Literackim* kieruje od paru dziesiątków lat obśmiewany, lecz nieśmiertelny Machejek, istny fenomen politycznej akrobacji, a w kilku innych wojewódzkich miastach organy społeczno-kulturalne dzierżą w swoich rękach dobrze sprawdzeni towarzysze (bydgoskie *Fakty* — Jan Górec-Rosiński, poznański *Nurt* — Kazimierz Młynarz itp., itd.).

Przypominam te nazwiska i przytaczam dobrze znane fakty, ale idzie o coś całkiem innego. Mało który czytelnik zadaje sobie trud i zastanawia się nad tekstem, który w języku branżowym zwie się stopką redakcyjną. A tam dziwy nad dziwami — od

ścisku roi się wprost w oczach. Szesnaście stronic jałowej i przeraźliwie nudnej *Kultury*, przetkanej złymi rysunkami, redaguje zespół i stali współpracownicy w liczbie 41 osób. I nie dość, że poraża liczba, ale jakie tam zadziwiające stanowiska: obok sekretarza redakcji dwie panie pełnią funkcję zastępczyń. Zastępca sekretarza redakcji, ten tytuł brzmi dumnie, ale co one robią, jeśli sekretarz nie jest „na chorobowym" i tkwi pilnie przy własnym biurku? Posada kierownika działu polityki kulturalnej chyba nie do pozazdroszczenia.

Aż cztery damy czuwają w tym organie nad korektą. Uderza jednak w *Kulturze* brak pierwszego zastępcy naczelnego redaktora, który to etat przewidziano w *Przeglądzie Kulturalnym*, gdzie ilość ujawnionych w stopce redaktorów jest nieco mniejsza, bo tylko 37. Ale o zastępcy sekretarza redakcji i tu nie zapomniano. Tyle, że jest jeden, może dlatego, że pełnych sekretarzy jest dwóch.

To o czym wyżej dotyczy zresztą nie tylko tygodników. Jeszcze większy tłok — proporcjonalnie do nakładu pracy — panuje w miesięczniku takim jak *Literatura*. Cóż tam, na miłość boską, ma do roboty aż 29 redaktorów? A żeby było jeszcze śmieszniej, pismo to w znacznym stopniu posługuje się przekładami.

Czyż warto w tym miejscu przypominać, na jakiej zasadzie funkcjonowały przed wojną *Wiadomości Literackie*, nie mówiąc już o dzisiejszych i znacznie bliższych przykładach? Czyż warto w ogóle zaznaczać, że taki absurdalny stan rzeczy pozbawia czasopismo jakiegokolwiek piętna redagującej indywidualności?

Inny nieco temat, to ilość tytułów. Wystarczy zatrzymać się przed pierwszym-lepszym kioskiem „Ruchu", aby dostrzec ile poniewiera się tam przez nikogo nie chcianej makulatury. Niektóre do cna skompromitowane czasopisma, jak na przykład organ grunwaldczyków-patriotów *Rzeczywistość*, próbują różnych chytrych sztuczek, aby sprzedać choć część nakładu. Jednym z takich forteli jest publikowanie na cały tydzień programu telewizyjnego, który w każdy piątek lub sobotę drukują bardzo trudno dostępne w owych dniach gazety codzienne. To jednak stanowi tylko pewnego rodzaju zasłonę dymną przed wydawcą — RSW „Prasa". Prawda jest bowiem taka, że żadna reforma gospodarcza, żaden finansowy regres nie będzie zagrażał czasopismu, które winno istnieć, bo tak ustalono w Wydziale Prasy KC, albo jeszcze wyżej. I nic tu do rzeczy nie mają stosy zwrotów i fakt, że ludzie się tego brzydzą. Brzydzą się wielu innych rzeczy, a one ani myślą znikać z polskiego życia.

Mało jednak tych zadrukowanych płacht, zalegających w kioskach. Wciąż, jakby nigdy nic, rodzą się periodyki nowe. Oto turyści i ludność tubylcza Podtatrza mogli ostatnio zaobserwować sporych rozmiarów plakaty, reklamujące rychłe ukazanie się *Zeszytów Poronińskich*. Zapowiedź zawierała informację, że czasopismo zajmować się będzie na bieżąco działalnością muzeum Lenina w Poroninie, nadto drukować zamierza polemiki i dyskusje o przyszłości, przeszłości i dniu dzisiejszym Podtatrza, a także bogatą kronikę wydarzeń kulturalnych w regionie.

Ci, którzy spacerują po zakopiańskich Krupówkach, gdzie na co drugim sklepie wisi wywieszka, że remont, remanent, przyjęcie towaru, albo że personel chory lub na urlopie, mają jednak jakiś powód do radości. Z jedzeniem i innymi towarami wprawdzie bardziej niż krucho, ale zawsze miło wiedzieć, co dzieje się w ukochanym przez cały naród muzeum, gdzie jak żywy stoi pomnikowy wódz rewolucji.

A za pasem kolejny etap reformy gospodarczej.

INFORMACJA O DZIAŁALNOŚCI ZESPOŁU OŚWIATY NIEZALEŻNEJ

1. *Działalność koordynacyjna i wspomagająca grupy nauczycielskie*

W roku szkolnym 1986/1987 uległy widocznej intensyfikacji kontakty z nauczycielami z ośrodków pozawarszawskich. Co miesiąc odbywają się regularne spotkania nauczycieli z większych ośrodków (20 miast), na których ustala się wspólne stanowisko wobec najważniejszych problemów, wymienia się literaturę i informacje o działalności w poszczególnych regionach. W maju odbyło się z inicjatywy redakcji *Tu Teraz* spotkanie sześciu redakcji niezależnych pism oświatowych z terenu całego kraju, które postanowiły nawiązać bliższą współpracę. Ośrodki, które prowadzą własną działalność otrzymały od Zespołu Oświaty Niezależnej pomoc finansową w wysokości ponad 4 mln zł. Dla nauczycieli z mniejszych ośrodków regularnie raz w miesiącu organizowane są spotkania odczytowo-dyskusyjne w jednym z warszawskich kościołów. Zespół Oświaty Niezależnej prowadzi szkołę drukarską, która przygotowuje ekipy drukarskie dla oświatowych ośrodków pozawarszawskich oraz zaopatruje regionalne poligrafie w trudno dostępne materiały drukarskie.

2. *Działalność koordynacyjna i wspomagająca wśród młodzieży*

Zespół Oświaty Niezależnej współpracuje z różnego rodzaju środowiskami młodzieżowymi, takimi jak Federacja Młodzieży Walczącej, Ruch Młodzieży Niezależnej, Młodzieżowy Komitet Oporu, grupy harcerskie (działające bądź wewnątrz ZHP, bądź też poza nim), duszpasterstwa młodzieżowe, niesformalizowane grupy uczniowskie skupione wokół idei tworzenia samorządów szkolnych. Kontakty nasze obejmują młodzież z wielu ośrodków. Współpraca Zespołu z tymi środowiskami polega na udzielaniu pomocy finansowej (ok. 3 mln zł w ub. roku szkolnym), sprzętowej (sprzęt poligraficzny) oraz pomocy w działaniach samokształceniowych i inspiracji programowej (to ostatnie dotyczy zwłaszcza sprawy samorządów szkolnych, walki o prawa uczniowskie i bardziej niezależną organizację życia w szkole). Działalność samokształceniowa wspierana jest przez Zespół wydawnictwami przeznaczonymi do indywidualnego kolportażu i dla bibliotek (rocznie kanałami młodzieżowymi rozchodzą się wydawnictwa — głównie *ZEN*-y — wartości kilkuset tys. zł). Środowiska młodzieżowe wydają ok. 20 pism, z których większość jest przez Zespół wspierana finansowo i sprzętem. Dofinansowujemy i wspomagamy organizacyjnie również niezależne formy wypoczynku wakacyjnego młodzeży; takie obozy będą w tym roku zorganizowane w siedmiu miejscowościach.

3. *Działalność wydawnicza*

Zespół Oświaty Niezależnej jest wydawcą regularnie ukazujących się pism, serii książkowej *Zeszyty Edukacji Narodowej* oraz wydawnictw wykonywanych na zamówienie różnych grup i organizacji. Drukiem tych pozycji zajmuje się przede wszystkim Wydawnictwo Społeczne „KOS", choć w wydawaniu książek uczestniczą również inne oficyny.

a. *Pisma:*

— Miesięcznik *Tu Teraz*, ukazujący się od lutego 1982 roku (nakład 3 tys. egzemplarzy, format A4, 12 str.); od września ub. roku ukazało się 10 numerów (od początku — 58). Pismo przeznaczone przede wszystkim dla nauczycieli, ale czytane również przez uczniów, rodziców i w ogóle osoby interesujące się problemami oświaty. Blisko połowa nakładu kolportowana jest w środowiskach nauczycielskich poza Warszawą. Cena 30 zł (koszt produkcji — 108 zł).

— Dwumiesięcznik *Wielka Gra*, ukazujący się od jesieni 1986 roku (nakład 2 tys. egzemplarzy, forma A4, 12 str.); dotychczas ukazały się 4 numery. Pismo przeznaczone dla starszej młodzieży. Cena 20 zł (koszt produkcji — 108 zł).

— Wielomiesięcznik *Edukacja i Dialog*, ukazujący się od początku 1986 roku (nakład 1,5 tys. egzemplarzy, format A5, 50-60 str.); dotychczas ukazały się 3 numery. Pismo poświęcone przede wszystkim teoretycznym problemom oświaty i wychowania. Cena pokrywająca koszty produkcji.

— Miesięcznik *Okienko*, ukazujący się od jesieni 1986 roku (nakład 2 tys. egzemplarzy, format A4, 2-4 str.); dotychczas ukazało się 10 numerów. Ilustrowane pisemko przeznaczone dla dzieci, redagowane przez dzieci. Kolportowane bezpłatnie (koszt produkcji — 18-36 zł).

b. *Książki:*

Seria wydawnicza *Zeszytów Edukacji Narodowej*, ukazująca się od 1983 roku (nakłady 2-3 tys. egzemplarzy) przeznaczona jest przede wszystkim dla starszej młodzieży (starsze klasy szkoły średniej i studenci) oraz dla nauczycieli i ma za zadanie dostarczyć popularnych, lecz stojących na wysokim poziomie opracowań tematów przemilczanych lub wypaczanych przez piśmiennictwo oficjalne. Z redakcją stale współpracuje grono wybitnych autorów i tłumaczy. *ZEN*-y są dotowane przez Zespół Oświaty Niezależnej (średnio 100-200 zł egzemplarz) i dlatego są najtańszymi książkami na rynku, dostępnymi dla młodych czytelników. Dotychczas ukazało się 40 *ZEN*-ów. Od września ub. roku do końca czerwca bież. roku wydano następujące pozycje:

— *Materiały do dziejów Polski 1945-1980. Od Października 1956 do Grudnia 1970.* Cz. II: *Mała stabilizacja* (historia) — WSKOS 1986.

— *Materiały z dziejów Polski 1945-1980. Od Października 1956 do Grudnia 1970.* Cz. III: *Nowe wstrząsy.* Zeszyt 1: *Rok 1968* (historia) — WSKOS 1986.

— S. Bobowski: *Stosunki państwo — Kościół w latach 1945-1956 (Kościół katolicki w Polsce).*

— *Materiały z dziejów Polski 1945-1980. Od Października 1956 do Grudnia 1970.* Cz. III: *Nowe wstrząsy.* Zeszyt 2: *Grudzień 1970* (historia) — WSKOS 1986.

— M. Danilewiczowa: *Literatura wolnego słowa 1939-1986* (literatura) — WSKOS 1987.

— J. Dorycki: *Rzecz o samorządności* (dyskusje) — LOS 1986.

— A. Drawicz: *Wolna literatura rosyjska (na tle literatury oficjalnej)* (literatura) — WSKOS 1986.
— S. Grzegorzewski: *W kręgu nieprawdy* (dyskusje) — WSKOS 1987.
— *Konferencja jałtańska w polskiej perspektywie* (historia) — RYTM 1986.
— P. Lendvai: *Antysemityzm bez Żydów*, cz. I i II (dyskusje) — LOS 1986.
— Z. Mlynar: *Kryzysy w bloku radzieckim i ich przezwyciężanie* (dyskusje) — WSKOS 1987.
— *Ruch pokojowy w państwach komunistycznych* (dokumenty-dyskusje) — WSKOS 1986.

W planie wydawniczym do końca bież. roku przewidziane jest wydanie następujących pozycji:

— *Pierwsze wieki Kościoła w Polsce;*
— W. Mader: *Walka „Solidarności" o społeczny kształt oświaty;*
— J. Ward: *Sens ponad klęską;*
— *Materiały z dziejów Polski 1945-1980; Koniec państwa podziemnego;*
— *Niezależna Encyklopedia Powszechna*, t. II;
— J. Karski: *Wielkie mocarstwa a Polska*, t. I i II;
— *Wolna literatura czeska i słowacka.* Wybór i omówienie;
— *Antologia wolnej literatury radzieckiej.*

c. Kasety:

W ciągu omawianego okresu działało również studio kasetowe, które wydało 14 kaset o przeciętnym nakładzie 100 egzemplarzy. Cena jednej kasety 700 zł, koszt wyprodukowania 1.400 zł. Kasety te poświęcone były przede wszystkim tematyce historycznej (np. wydarzeniom węgierskim), inne miały bardziej rozrywkowy charakter (Joan Baez).

KOMUNIKAT FUNDUSZU WYDAWNICTW NIEZALEŻNYCH

Przedmiotem działalności Funduszu jest dotowanie powstających i prosperujących już firm wydawniczych. Określenie, czym jest przedsięwzięcie, które można uznać za oficynę wydawniczą *in statu nascendi* jest bardzo trudne. Zdaniem członków-założycieli Funduszu pomocna w tym może być tylko definicja negatywna, opisująca jaka inicjatywa nie jest jeszcze wydawnictwem.

Po długiej dyskusji sformułowaliśmy następujące warunki kwalifikujące:
1. wydawnictwem jest oficyna, która istnieje jako struktura organizacyjna nie krócej niż rok;
2. wydała już nie mniej niż 12 pozycji książkowych lub numerów czasopism (przez czasopisma rozumiemy periodyki takie jak: *Arka, Krytyka, Wezwanie, Obraz, Obecność, Szkice, Vacat* itp.);
3. nie miała przerw obecności na rynku dłuższych niż 9 miesięcy;
4. przestrzega praw autorskich i wydawniczych.

Wydawnictwem z natury rzeczy jest pewne *continuum* organizacyjne od redakcji tekstu po kolportaż książki. W szczególnych przypadkach za wydawnictwo może być uznana inicjatywa ograniczona do przedruku książek

bez podejmowania prac redakcyjnych. Proponowana definicja jest przy całej niedoskonałości niezbędnym elementem uporządkowania gospodarki Funduszu. Bez niej po dotacje i kredyty zgłaszać się będą wszyscy — także ci, którzy korzystają z innych funduszy, np. związkowych. Sądzimy natomiast, że rozproszenie naszych wysiłków źle służy stabilizacji produkcji wydawnictw, które się sprawdziły. O przypadkach wątpliwych rozstrzygać będzie Rada Funduszu: jest rzeczą oczywistą, że małe ośrodki nie mogą być traktowane tak jak duże.

Konsorcjum sześciu firm-założycieli Funduszu nie jest klubem zamkniętym. Wejście i wyjście z Konsorcjum odbywa się za zgodą większości jego członków. Jakiekolwiek wątpliwości będą rozstrzygane przez Społeczną Radę Wydawnictw Niezależnych, decydującą o ostatecznym składzie Konsorcjum. Wszystkich zainteresowanych w dotowaniu przez Fundusz informujemy, że Konsorcjum 6 największych firm wydawniczych nie powstało dzięki Funduszowi, lecz właśnie Fundusz powstał dzięki ich staraniom. W grudniu 1987 roku mija drugi rok istnienia FWN. W związku z tym prosimy wszystkich wydawców o przekazanie przed 31 października 1987 do Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych, bądź do aktualnych przedstawicieli Funduszu, spisów wydawanych pozycji w latach 1986-1987. Posłuży to za podstawę ustalenia składu Konsorcjum na następne dwa lata.

Przestrzeganie praw autorskich i wydawniczych jest nie tylko sprawą dobrych obyczajów, ale i samoobrony przed chaosem i marnotrawstwem wysiłków. Oznacza płacenie honorariów, wydawanie skrótów za zgodą autora lub wydawcy, uzyskiwanie prawa do przedruku, stosowanie ogólnie przyjętych — niezależnie od legalności — norm edytorskich w redakcyjnym opracowaniu tekstu. Przypominamy, że posiadaczem praw autorskich Instytutu Literackiego w Paryżu na Polskę jest NOW-a. Fundusz podejmie starania o przestrzeganie praw autorów i niezależnych wydawnictw krajowych na rynkach zachodnich. Konsorcjum informuje także, że po przeanalizowaniu obecnych cenników usług i materiałów poligraficznych, ustalono iż ceny książek nie powinny przekraczać 4,50 zł za stronę A-5 druku offsetowego.

WYDAWNICTWA-SYGNATARIUSZE FUNDUSZU:
CDN, KRĄG, NOW-a, OFICYNA LITERACKA, PRZEDŚWIT, WSKOS.

Tygodnik Mazowsze nr 222 z 7 października 1987.

Z przyjemnością odnotowujemy początki sprawozdawczości niezależnych organizacji społecznych. Mamy nadzieję, że głasnost' stanie się wreszcie regułą. Oczyści to coraz bardziej zatrutą atmosferę. Zresztą dotyczy to nie tylko Kraju.

Nie kwestionujemy umowy zawartej między Instytutem Literackim i NOW-ą aczkolwiek — niestety — ta umowa nie funkcjonuje. Spodziewamy się, że być może trudności dadzą się usunąć. Zależy nam na tym, gdyż dla działalności NOW-ej i jej dorobku mamy wiele uznania.

REDAKCJA

Wywiady «Kultury»

Pax sovietica, pax americana

ROZMOWA Z EUGENEM V. ROSTOWEM

Eugene V. Rostow jest znanym amerykańskim prawnikiem i dyplomatą, specjalistą od spraw rozbrojenia. Rostow przez ponad czterdzieści lat był profesorem prawa na Uniwersytecie Yale w New Haven. W ciągu swej bogatej kariery politycznej pracował dla czterech prezydentów amerykańskich: Roosevelta, Trumana, Johnsona i Reagana. Rostow był też bliskim współpracownikiem zmarłego w 1983 roku senatora Henry „Scoop" Jacksona, duchowego przywódcy frakcji konserwatywnej w Partii Demokratycznej.

W latach 1981-1983 Eugene Rostow był dyrektorem Agencji do Spraw Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia. Rostow był współtwórcą strategii amerykańskiej w rozmowach rozbrojeniowych z Sowietami w czasie pierwszej kadencji rządów Reagana. Polityka ta doprowadziła do tego, że Związek Sowiecki po zerwaniu rozmów w Genewie powrócił do stołu negocjacyjnego i zgodził się na znaczną redukcję sowieckiego arsenału nuklearnego.

Eugene Rostow, który wykłada obecnie prawo i dyplomację na Uniwersytecie Obrony Narodowej w Waszyngtonie, udzielił poniższego wywiadu specjalnie dla Redakcji Kultury.

ROBERT KOSTRZEWA: — *Jaki jest główny cel Sowietów w negocjacjach rozbrojeniowych? Jak Pan sądzi, dlaczego Związkowi Sowieckiemu tak bardzo zależało na podpisaniu umowy o kontroli zbrojeń akurat teraz?*

EUGENE ROSTOW: — Głównym celem Sowietów przy prowadzeniu rozmów na temat kontroli zbrojeń było, jak dotąd, doprowadzenie do sytuacji, w której jakikolwiek opór ze strony państw zachodnich wobec sowieckiej ekspansji stałby się niemożliwy. Innymi słowy Sowietom chodzi o to, aby doprowadzić do paraliżującej Zachód przewagi w sowieckim arsenale nuklearnym; przewagi, dzięki której Związek Sowiecki będzie mógł osiągnąć swoje strategiczne cele bez uciekania się do wojny. Użyłem określenia „jak dotąd", gdyż nie można wykluczyć, że pewnego dnia polityka sowiecka ulegnie zmianie.

Drugim celem sowieckim przy prowadzeniu rozmów rozbrojeniowych jest zawsze dalsza neutralizacja Europy zachodniej. Podstawą sowieckiej strategii jest wypchnięcie Stanów Zjednoczonych z Europy i zredukowanie jej do statusu Finlandii. Chodzi tu oczywiście o zachwianie równowagi sił na świecie i zastraszenie Chin, Japonii i wielu innych mniejszych państw. Kontrola zbrojeń jest zatem bardzo potężną i jak dotąd skuteczną bronią w rękach Sowietów.

R.K.: — *Dlaczego Sowietom zależało na podpisaniu umowy rozbrojeniowej właśnie teraz?*

E.R.: — Sowieci uważają po prostu, że są bardzo sprzyjające okoliczności po temu. W ciągu lat siedemdziesiątych udało im się osiągnąć ogromną przewagę w broni nuklearnej. Stan taki utrzymał się właściwie bez większych zmian do dnia dzisiejszego. Związek Sowiecki zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że komunizm jako system społeczno-ekonomiczny jest zupełnym fiaskiem i dlatego chce osiągnąć swoje najważniejsze cele strategiczne jak najszybciej, kiedy ma ciągle zdecydowaną przewagę wojskową.

R.K.: — *Od wielu lat doktryna NATO oparta jest na groźbie użycia przez Zachód broni nuklearnej. Jest to życiowa konieczność wynikająca z tego, że państwa zachodnie mają bardzo ograniczone możliwości prowadzenia wojny konwencjonalnej. Wielu strategów NATO zadaje sobie pytanie, czy rządy państw członkowskich sojuszu północnoatlantyckiego będą w stanie przekonać opinię publiczną krajów zachodnioeuropejskich, że konsekwencją obecnego amerykańsko-sowieckiego porozumienia o wyeliminowaniu rakiet średniego i bliskiego zasięgu jest konieczność stworzenia przez Europejczyków własnego arsenału nuklearnego.*

Jaki wpływ na gotowość Ameryki do obrony Europy będzie miał, Pana zdaniem, ostatni pakt między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim? W jakim stopniu przyczyni się on do osłabienia sojuszu państw Zachodu?

E.R.: — Nie jestem aż takim pesymistą, jak Pan. Uważam jednak, że Pana niepokój jest jak najbardziej usprawiedliwiony. Z jednym tylko zastrzeżeniem. Moim zdaniem, nie można prze-

widzieć na podstawie umowy dotyczącej broni nuklearnej średniego zasięgu (INF) jak będzie wyglądał końcowy bilans sił. Dlatego pakt ten nie powinien być, według mnie, ratyfikowany sam w sobie. Ratyfikację odłożyć należy do czasu, kiedy będzie wiadomo, jak wyglądają pozostałe części składowe równania wszystkich rodzajów broni atomowej. Broń średniego zasięgu nie jest jakimś odrębnym rodzajem broni, bo każdy jej cel może być zniszczony również przez rakietę międzykontynentalną. Aby zdać sobie w pełni sprawę z powagi sowieckiego zagrożenia, należy więc patrzeć na całokształt sił nuklearnych, czyli zarówno na broń atakującą, jak i na systemy obronne. Uważam, że Związek Sowiecki znacznie wyprzedził Zachód w budowie systemów obrony strategicznej. Sowieci zainstalowali już bardzo nowoczesny, skomplikowany system obronny wokół Moskwy. Instalacje takie powstają również w innych częściach Związku Sowieckiego. O wielu z nich wiemy, o wielu nie mamy prawie żadnych danych. Powszechnie jednak wiadomo, że Związek Sowiecki zdecydowanie prześcignął Stany Zjednoczone w pracach nad bronią kosmiczną, taką jak chociażby rakiety antysatelitarne. Myślę, że głównym celem Gorbaczowa — poza wywołaniem psychologicznego szoku w Europie zachodniej — jest oddanie paru pionków w tej strategicznej grze, o której wspomniałem na początku. Związek Sowiecki gotów jest pozbyć się nadmiaru pocisków, aby nakłonić Stany Zjednoczone do zredukowania amerykańskich sił nuklearnych, zaprzestania badań w kosmosie i powstrzymania programu obrony strategicznej (SDI). Związek Sowiecki zostałby wtedy z wystarczająco potężnym arsenałem broni atakującej i monopolem w systemach obronnych. Nie muszę chyba nikomu tłumaczyć, że sytuacja taka miałaby dla Zachodu skutki zupełnie katastrofalne. Ocena paktu o wyeliminowaniu broni nuklearnej średniego zasięgu zależeć będzie w dużej mierze od tego, co stanie się w następnej rundzie rokowań, czyli w rozmowach o ograniczeniu broni strategicznej dalekiego zasięgu (START). W negocjacjach tych podjęte zostaną również decyzje co do umowy o pociskach antybalistycznych (ABM) oraz przyszłości systemów obronnych. Nie można oczywiście wykluczyć, że Gorbaczowowi objawił się Archanioł Gabriel na wieży katedry świętego Bazylego. Jest to jednak mało prawdopodobne. Dlatego powinniśmy być niezwykle ostrożni w kolejnej fazie rozmów, w których rozstrzygnie się przyszłość równowagi sił na świecie.

Jeżeli chodzi o gotowość Ameryki do obrony Europy i Japonii, to należy stwierdzić, że coraz więcej Amerykanów — niezależnie od ich politycznych afiliacji — nawołuje do rozwiązania NATO, wycofania się Stanów Zjednoczonych z sojuszów z Japonią, Koreą Południową i innymi krajami w basenie Oceanu Spokojnego i zniesienia umów z Chinami, aby prowadzić to co byłoby ich zdaniem niezależną polityką zagraniczną. Wielu z nich to zwyczajni izolacjoniści, pozostali wierzą, że Amerykanie mogą sami sobie zapewnić bezpieczeństwo. Jest to według mnie niebezpieczne złudzenie, wynikające w dużej mierze ze strachu przed wojną atomową. Na szczęście jest ciągle w tym kraju wielu ludzi, którzy z całych sił walczą z tego rodzaju złudzeniami.

Podstawowym warunkiem bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych jest zachowanie na świecie równowagi sił. Walczyliśmy w dwóch wojnach światowych, aby nie dopuścić do podboju Rosji przez Niemcy właśnie dlatego, że byłoby to zbyt niebezpieczne zachwianie równowagi sił. NATO powstało oczywiście dokładnie z tych samych powodów — aby nie dopuścić do podboju Europy zachodniej przez Związek Sowiecki, co dałoby Sowietom kontrolę nad całą Eurazją. Nikt nie byłby wtedy w stanie powstrzymać sowieckiej potęgi. Jest to zresztą odwieczny powód prowadzenia wojen. To się nigdy nie zmieni. W dzisiejszej sytuacji równowaga sił może być zachowana tylko dzięki sojuszom Stanów Zjednoczonych z państwami Europy zachodniej i Dalekiego Wschodu. Powód tego jest prosty: tylko Ameryka, dzięki broni nuklearnej, jest w stanie zagwarantować tym krajom bezpieczeństwo. Jest to jednak zależność dwustronna, gdyż sama Ameryka jest za mała, aby w razie potrzeby prowadzić wojnę konwencjonalną. System amerykańskich sojuszów ma zatem spójną wewnętrzną logikę, która nie może ulec żadnym zmianom.

R.K.: — *Wielu ludzi uważa, że negocjacje rozbrojeniowe mogą być użyte jako waluta przetargowa, aby nakłonić Sowiety do wycofania się z Europy wschodniej. Rozumowanie takie oparte jest na założeniu, że kraje Europy wschodniej są dla Związku Sowieckiego nie tylko ciężarem finansowym, ale także niepewnym sojusznikiem wojskowym w razie konfliktu zbrojnego z Zachodem, oraz na nadziei, że jeżeli Stany Zjednoczone wycofałyby się z Europy zachodniej i jeśli nastąpiłby w Europie proces dalszej finlandyzacji, Sowieci skłonni byliby do przyznania „wewnętrznej suwerenności" sowieckim państwom satelickim w Europie. Oczekiwania takie bardzo trudno pogodzić z wypowiedziami Gorbaczowa, w których powtarza on właściwie dosłownie doktrynę Breżniewa, zgodnie z którą żaden rząd komunistyczny nigdy nie może być obalony. Jaki wpływ na przyszłość Europy wschodniej będzie miała ostatnia zmiana kierunku w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim?*

E.R.: — Tak jak już powiedziałem, celem Związku Sowieckiego jest przynajmniej neutralizacja całej Europy. Mówię przynajmniej, gdyż nie można wykluczyć próby jeszcze większej kontroli i dominacji. James Schlesinger, w okresie kiedy był ministrem Obrony,

twierdził, że celem Sowietów jest albo finlandyzacja, albo polonizacja całej Europy. Myślę, że Związek Sowiecki gotów jest zapłacić stosunkowo wysoką cenę, aby doprowadzić do takiej sytuacji. Prób ze strony sowieckiej było oczywiście bardzo wiele, że wspomnę tylko o planie Rapackiego i różnych jego odmianach. Jeden z sowieckich dyplomatów powiedział mi kiedyś, że nie może zrozumieć, dlaczego prasa na Zachodzie krytykuje Związek Sowiecki za próby oderwania Europy zachodniej od Ameryki. Czy ludzie na Zachodzie — zapytał — myślą, że Sowieci popierają NATO? Myślę, że jest to dobre podsumowanie realiów geopolitycznych w Europie. Przyszłość NATO będzie zatem w centrum uwagi w ciągu najbliższych kilku lat.

Nie wykluczałbym też takiej możliwości, że w pewnym momencie państwa Europy wschodniej będą mogły osiągnąć jakąś formę niezależności, oczywiście na warunkach mniej sprzyjających niż finlandyzacja. Bardzo wysokiej rangi doradca sowiecki zapytał mnie ostatnio, co strona sowiecka mogłaby zrobić, aby przekonać Amerykanów o swoich dobrych intencjach. Przyjmujemy waszą własną propozycję o wyeliminowaniu broni średniego zasięgu, powiedział, a wy ciągle kręcicie nosem. Odpowiedziałem mu na to, że umowa INF jest jedynie częścią dużo poważniejszego problemu. „Ach, uważa Pan pewnie, że powinniśmy zrobić coś w sprawie Afganistanu". Ja na to: „Nie, z Afganistanu musicie się po prostu wycofać. To chyba oczywiste, że musicie się stamtąd wynosić jak najszybciej. Myślę o czymś zupełnie innym. Gorbaczow mógłby rzeczywiście zwrócić naszą uwagę takim oto oświadczeniem: W Jałcie, a potem w Poczdamie Stalin przyrzekł, że w krajach Europy wschodniej odbędą się wolne, demokratyczne wybory. Stalin nie dotrzymał swojej obietnicy, nie dotrzymali jej również jego następcy, ale oto ja, Gorbaczow, wprowadzę umowę jałtańską w życie". Oczekiwałem wybuchu wściekłości ze strony mojego rozmówcy. Zamiast tego, przeciwnie, wszyscy członkowie sowieckiej delegacji stali się bardzo poważni, zarówno w czasie rozmów oficjalnych jak i potem w trakcie bankietu. Szef delegacji sowieckiej wziął mnie nawet na stronę i nalegał, aby mówić na ten temat przez ponad godzinę i wyjaśnić, jak można byłoby taki plan przeprowadzić. Odpowiedziałem mu, że Związek Sowiecki na pewno sam sobie poradzi z tak błahym problemem jak sposób wprowadzenia takiego planu w życie. Zasugerowałem też, że można by podpisać specjalną umowę na ten temat. Zachód, na przykład, na pewno nie chciałby aby nagle Bułgaria została członkiem NATO. Ton całej rozmowy był jednak poważny i bardzo cywilizowany.

Uważam, że nie można wykluczyć takiej ewentualności. Myślę, że nadszedł czas, aby zarówno wschodni Europejczycy jak i Zachód uświadomili sobie, że przyszłość Europy wschodniej jest

kluczem do rozwiązania podstawowych problemów strategicznych między Ameryką i Sowietami. Wyzwolona Europa wschodnia zmieniłaby całkowicie sytuację na świecie. Rozwiązanie wschodnioeuropejskiej łamigłówki jest na dłuższą metę również w interesie Związku Sowieckiego. Sowiecka dzierżawa Europy wschodniej nie przyczynia się do większego bezpieczeństwa Związku Sowieckiego, chociaż posiadanie wschodniej Europy jest oczywiście ogromnym atutem, jeżeli Sowieci zamierzaliby zaatakować Zachód. Sprawowanie władzy we wschodniej Europie jest jednak przede wszystkim bardzo kosztowne. Związek Sowiecki zaczyna rozumieć, że utrzymanie imperium nie jest takie proste. Pewien włoski minister powiedział kiedyś, że dzięki temu, że Włochy przegrały wojnę, Włosi na szczęście stracili kolonie. Utrzymywanie kolonii było i jest bardzo kosztowne. Wszystko zależy od tego, czy Sowieci zrozumieją w miarę szybko, jaką iluzją jest ich polityka niekończącej się ekspansji. Myślę zatem, że nadszedł czas, aby zająć się zagadnieniem najpoważniejszym, jakim jest Europa wschodnia, zamiast koncentrowania się na sprawach drugorzędnych jak Afganistan czy Nikaragua.

R.K.: — *Trzeba byłoby jednak założyć, że Sowieci nie tylko zrezygnują z prowadzenia polityki zagranicznej, opartej na podbojach, ale że będą skłonni oddać to, co już od dawna uważali za swoje. Problem polega oczywiście na tym, że ciągła ekspansja jest nieodłączną częścią sowieckiego systemu.*

E.R.: — Oczywiście, że takie założenie jest konieczne. Bez tego nie można w ogóle mówić o jakiejkolwiek *détente* czy pokoju. Jeżeli stanie się inaczej, Zachód musi przygotować się do bardziej aktywnej obrony, wykraczającej poza politykę powstrzymywania. Taka była zresztą nasza strategia w ciągu ostatnich kilku lat, czego najlepszym dowodem jest doktryna Reagana. W amerykańskich kręgach wojskowych strategia ta nazywana jest strategią półwyspu. Podobną politykę prowadziła Anglia przeciwko Napoleonowi, wykorzystując przewagę floty angielskiej, aby odzyskać ważne strategiczne przyczółki. Jest to najlepsza ilustracja tego, o co chodzi dzisiaj w Afganistanie. Najistotniejsze jest właśnie to, aby zmusić Związek Sowiecki do zaprzestania polityki podbojów. Kontrola zbrojeń jest zagadnieniem drugorzędnym. Umowy rozbrojeniowe same w sobie nic nie dają. Mogą natomiast wyrządzić wiele szkody. Musimy się na taką ewentualność przygotować, szczególnie jeśli ostatniej umowie o wyeliminowaniu broni średniego zasięgu nie będą towarzyszyć porozumienia dotyczące pozostałych składników równania nuklearnego, czyli rakiet międzykontynentalnych oraz systemów obronnych. W 1982 roku przy okazji słynnego „spaceru w lesie" zaproponowaliśmy

Sowietom moim zdaniem dużo lepsze rozwiązanie niż to, które nazywa się opcją zero. Ówczesna propozycja przewidywała utrzymanie niewielkiej liczby amerykańskich i sowieckich rakiet średniego zasięgu zarówno w Europie jak i na Dalekim Wschodzie. Była to dużo bezpieczniejsza formuła porozumienia i kto wie, czy jeszcze się do niej nie powróci.

R.K.: — *Wielu ludzi na Wschodzie i na Zachodzie uważa, podobnie jak Pan, że podział Europy, wynikający z porozumienia amerykańsko-sowieckiego zawartego w 1945 roku w Jałcie, musi ulec zmianie. Dysydenci w Europie środkowo-wschodniej podkreślają, że nie może być mowy o pokoju w Europie, dopóki rządy państw bloku sowieckiego nie zawrą pokoju ze swoimi obywatelami. Poszanowanie praw człowieka jest zatem koniecznym warunkiem bezpieczeństwa na kontynencie europejskim. Jak jednak zagwarantować poszanowanie praw człowieka? Umowa helsińska z 1975 roku, która bez wątpienia stała się pomocnym narzędziem nacisku na rządy państw wschodnioeuropejskich, potwierdziła jednocześnie sowiecką dominację. Zdobycze w dziedzinie praw człowieka okazały się bardzo nietrwałe. Piękne hasła nie mają zbyt dużych szans w konfrontacji z nagą siłą. Jak ważne dla amerykańskiej racji stanu są kraje Europy wschodniej? Jaka powinna być Pańskim zdaniem amerykańska strategia w Europie wschodniej?*

E.R.: — Europa wschodnia jest niezwykle ważnym elementem nie tylko w strategii Stanów Zjednoczonych, ale w strategii wszystkich państw, których bezpieczeństwo oparte jest na zachowaniu równowagi sił na świecie. Europa wschodnia oddziela ogromną potęgę Związku Sowieckiego, czy przedtem Rosji, od Niemiec i Europy zachodniej. Jest to jakby gwarancja uniemożliwiająca jakiemukolwiek mocarstwu podbój całej Eurazji. Rozumiał to dobrze Tomasz Jefferson, kiedy Napoleon podbijał Rosję. Jefferson napisał wtedy słynny list, w którym ostrzegał, że jeżeli Napoleonowi uda się podbój Rosji i cała Europa będzie leżała u jego stóp, Anglia będzie tylko deserem po obiedzie. Nic się od tego czasu nie zmieniło i dlatego Europa wschodnia spełnia tak ważną strategicznie rolę. Nikt nie zaprzecza że porozumienie jałtańskie doprowadziło do podboju krajów Europy wschodniej przez Związek Sowiecki. Nie zapominajmy jednak, że Jałta przyrzekała tym krajom wolność. Uważam, że jest to ciągle niezwykle ważny politycznie argument. Prezydent Kennedy powiedział kiedyś, że nie może być mowy o pokoju między Ameryką i Sowietami, dopóki nie dojdzie w Europie wschodniej do przyrzeczonych w Jałcie wolnych wyborów. Myślę, że zdecydowana większość Amerykanów uważa, że to oświadczenie Kennedy'ego nie

tylko nie straciło na ważności, ale że jest dziś jeszcze bardziej aktualne.

R.K.: — *Większość wschodnich Europejczyków uważa jednak, że po tym kiedy Sowieci złamali dane słowo i pogwałcili umowę jałtańską stała się ona bezwartościowym kawałkiem papieru. Jałta w tym sensie ważna jest wyłącznie dla rządów komunistycznych, które używają jej do legitymizacji władzy.*

E.R.: — Będę jednak upierał się przy tym, że należy ciągle przypominać Gorbaczowowi czy jego następcom, że Stalin przyrzekł w Jałcie wolne wybory w Europie wschodniej i że przywódcy sowieccy powinni się z tej obietnicy wywiązać. Nie można moim zdaniem wykluczyć, że w pewnym momencie do tego dojdzie, gdyż Sowieci są zmęczeni rządzeniem Polakami, Czechami czy innymi narodami Europy wschodniej. Tak się stało zresztą z Jugosławią. W obecnej sytuacji politycznej jakaś bardziej bezpośrednia interwencja czy atak ze strony Zachodu są bardzo mało prawdopodobne. Byłoby to zresztą ryzykowne. Wspomniał Pan o Helsinkach. Rzeczywiście było haniebnym posunięciem ratyfikowanie w ten sposób podziału Europy. Tak jak Pan też stwierdził, obietnice dotyczące tzw. trzeciego koszyka nagminnie łamane są przez państwa bloku sowieckiego. Dlatego alternatywa jest prosta. Albo nastąpi jakaś istotna zmiana w polityce sowieckiej, albo doktryna Reagana będzie coraz szerzej wprowadzana w życie, co będzie przysparzać Sowietom coraz więcej kłopotów, szczególnie w centralnej Azji.

R.K.: — *Czy nie jest to jednak polityka oparta prawie wyłącznie na reakcji na posunięcia Związku Sowieckiego? Nie jestem zresztą pewien, czy można ciągle mówić o doktrynie Reagana. Jeśli nawet można, to uległa ona w ostatnim czasie poważnemu zmiękczeniu.*

E.R.: — Owszem. Nie zapominajmy jednak, że jest to okres euforii związanej ze spotkaniem na szczycie i podpisaniem umowy INF.

R.K.: — *Mniej więcej rok temu CIA opublikowała informację, że Sowieci budują trzy kolejne ogromne radary w zachodniej części ZSSR. Te trzy gigantyczne radary — każdy wielkości footballowego boiska — zamkną sieć radarów, która uniemożliwi przedarcie się amerykańskich rakiet na terytorium Związku Sowieckiego.*

Specjaliści amerykańscy przewidują, że budowa sowieckiego systemu obronnego opartego na rakietach antybalistycznych (ABM) ukończona zostanie w 1991 lub 1992 roku.

Chodzi o to, że Związek Sowiecki będzie wkrótce w posiadaniu zgubnej dla Zachodu kombinacji uderzeniowej broni atakującej i systemu obrony, zdolnego powstrzymać odwet amerykańskich rakiet balistycznych. Jak dużo czasu mają Stany Zjednoczone na opracowanie i instalację własnego systemu obrony (SDI), który w połączeniu z amerykańską siłą odwetową byłby w stanie powstrzymać zmasowany atak sowiecki? A raczej, czy jest na to jeszcze czas?

E.R.: — Tak, jest na to ciągle czas. Po pierwsze nasze prace badawcze nigdy nie były całkowicie zatrzymane. Po podpisaniu umowy ABM amerykański program badawczy utrzymywany był na stosunkowo niskim poziomie. Zdemontowany został też system obronny w Grand Forks w Północnej Dakocie. Począwszy jednak od roku 1983-1984 prowadzone są dość intensywne badania w ramach Strategicznej Inicjatywy Obronnej. To dosyć dużo czasu dla naszej machiny technologicznej. Program ten wygląda zresztą bardzo obiecująco. Wracając do Pańskiego pierwszego pytania, dokładnie z tego powodu Gorbaczow bardzo zabiegał o podpisanie umowy rozbrojeniowej właśnie teraz. Sowieci chcą zatrzymać amerykański program obrony, zanim stanie się on dla nich niebezpieczny, czyli zanim Stany Zjednoczone doścignął Związek Sowiecki. Mam jednak nadzieję, że im się to nie uda. Myślę, że rozumie to zarówno prezydent jak i Kongres.

R.K.: — *Wiara w kontrolę zbrojeń i umowy rozbrojeniowe wydaje się być integralną częścią zachodniej kultury politycznej. Nie zważając na liczne porażki w negocjacjach rozbrojeniowych, demokracje zachodnie podpisują kolejne pakty ze Związkiem Sowieckim wierząc, że umowy rozbrojeniowe zapewnią pokój na świecie. Jakie są korzenie tej złudnej wiary?*

E.R.: — Korzenie te sięgają bardzo głęboko. Rzeczywiście jest to część zachodniej kultury politycznej, z tym że dużo bardziej jej protestanckiego niż katolickiego składnika. Wiara ta rozpowszechniona jest najbardziej w Stanach Zjednoczonych. Korzenie jej sięgają dużo głębiej w Anglii, Holandii, Danii czy w Norwegii niż we Francji, Hiszpanii czy we Włoszech. Osadnicy angielscy w Ameryce — początki społeczeństwa amerykańskiego to Anglia postawiona na głowie, czyli bardzo radykalni, a przy tym bardzo pobożni i oczytani w Piśmie Świętym protestanci — wierzyli w układy rozbrojeniowe na tej samej zasadzie, na jakiej wierzyli w biblię czy w system konstytucyjny i niezawisłe sądownictwo. Dlatego pewnie Amerykanie mają tak wielkie zasługi w prawodawstwie międzynarodowym. Pierwsza propozycja umowy rozbrojeniowej datuje się z czasów rozmów pokojowych z Anglią w 1772 roku. Owocem tych pertraktacji był pakt o demilitaryzacji strefy Wielkich Jezior — jak dotąd jedyna w historii umowa rozbrojeniowa, która nigdy nie została pogwałcona. Pakt ten okazał się niesłychanie użyteczny w dziewiętnastym wieku w momentach napięć między Stanami i Anglią, dotyczących Kanady. Nie jest zatem łatwo przekonać Amerykanów czy Anglików, że nie warto zamienić szpady na lemiesz.

R.K.: — *Sprawa komplikuje się jednak, kiedy zamiast Anglii mamy do czynienia z państwem, które nie tylko nie podziela naszego systemu wartości, ale w swych ideologicznych oświadczeniach zwycięstwo nad nami traktuje jako historyczną konieczność.*

E.R.: — To prawda. Podobne doświadczenie mieliśmy zresztą z umowami rozbrojeniowymi w okresie międzywojennym. Wszystkie pięknie brzmiące pakty o flocie wojennej, z umową waszyngtońską włącznie, zaprowadziły nas prosto do Pearl Harbor, dlatego, że Niemcy i Japończycy budowali tzw. kieszonkowe krążowniki — teoretycznie w ramach wszelkich podpisanych pokojowych paktów, a w rzeczywistości niebezpieczne okręty wojenne. Tak samo było zresztą z Traktatem Wersalskim i demilitaryzacją Nadrenii. Nadrenia tak długo była strefą zdemilitaryzowaną, dopóki Hitler nie wprowadził tam swoich wojsk. Francuzi, jak wiadomo, chcieli interweniować, ale Anglia oczywiście nie kiwnęła palcem. Najtragiczniejsze jest to, że doświadczenia tego rodzaju niczego nas nie nauczyły.

R.K.: — *Jeden z moich amerykańskich przyjaciół powiedział mi ostatnio, że gdyby ktoś kilka lat temu przewidział kolejną falę amerykańskiego uwielbienia dla Związku Sowieckiego, pomyślałby, że biednemu człowiekowi pomieszało się w głowie. Entuzjazm, z jakim przyjmowane są w Stanach Zjednoczonych wypowiedzi sowieckich przywódców a szczególnie Gorbaczowa, nauczyły go, przyznał, większego sceptycyzmu w ocenie swoich braci-Amerykanów. Zupełnie załamany zwierzył mi się, że nie pamięta bardziej przyjacielskiego nastawienia do Sowietów od czasów Wujaszka Joe, kiedy Związek Sowiecki był wielkim sojusznikiem wojennym i jakakolwiek krytyka polityki sowieckiej była co najmniej nie na miejscu, jeśli nie wręcz niewybaczalna. Na ile ta odnowiona miłość groźna jest dla Zachodu i do czego może doprowadzić?*

E.R.: — Mam nadzieję, że miłość ta nie jest ani tak spontaniczna, ani tak głęboka, jak za czasów Wujaszka Joe. Zresztą nawet wtedy nie było aż tak źle. Członkowie ówczesnego rządu amerykańskiego zdawali sobie doskonale sprawę z tego, co się dzieje. W kilka lat potem, w 1947 roku, kiedy prezydent Truman potę-

pił sowieckie poczynania, znalazł w narodzie amerykańskim bardzo wiernych słuchaczy. Wystarczy zresztą spojrzeć na wyniki badań opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, aby przekonać się o prawdziwym stosunku Amerykanów do Związku Sowieckiego. Wyniki te pozostają zresztą od lat prawie niezmienne. Oto co pokazują. Pytanie: „Czy jesteś za negocjacjami ze Związkiem Sowieckim i próbą osiągnięcia jakiegoś porozumienia?". 80 % odpowiada: „Ależ tak, oczywiście". Swoją drogą zdumiewa mnie fakt, że jest w tym kraju 20 % ludzi, którzy są tak sceptyczni, że nawet nie chcą prowadzić negocjacji. Następne pytanie: „Czy Sowieci dotrzymają podjętych w paktach tych postanowień?". Te same 80 % odpowiada: „Nie". Kolejne pytanie: „Czy Stany Zjednoczone powinny zwiększyć wydatki wojskowe?". Odpowiedź: „Oczywiście, bez wątpienia. Nie powinniśmy dać się wyprzedzić". Pytanie: „Czy gotów jesteś płacić większe podatki na zbrojenia?". Odpowiedź: „Jak najbardziej". Badania te, przeprowadzane na przestrzeni wielu lat pokazują, jak sądzę, prawdziwe nastawienie opinii publicznej w Ameryce. Amerykanie jako naród są dużo rozsądniejsi niż ich przywódcy, a już z pewnością mają więcej oleju w głowie niż amerykańscy intelektualiści, którzy są oczywiście najgłośniejsi i najbardziej widoczni.

R.K.: — *Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.*

Rozmawiał ROBERT KOSTRZEWA

Waszyngton, 27 listopada 1987 r.

"Nie jestem hazardzistą"

(ROZMOWA Z MARIANEM KALETĄ)

REDAKCJA: — *Jest kilka szwedzkich gazet, które wiele by dały, aby móc przeprowadzić z tobą wywiad.*

MARIAN KALETA: — Zapewne. Myślę, że też kilku oficerów Służby Bezpieczeństwa. Wnioskuję tak z częstotliwości i kontekstu pojawiania się mojego nazwiska w prasie polskiej i na konferencjach prasowych Jerzego Urbana.

R.: — *Czy cieszy cię taka popularność?*

M.K.: — Nie! I dlatego wycofuję się z działalności.

R.: — *Czy to jedyny powód?*

M.K.: — Nie. Jestem już tym także zmęczony, a poza tym jak zaczyna źle iść, należy powiedzieć do widzenia. Po mojej wpadce, i właściwie jedynej, ale dużej, tej z listopada 1986, kiedy wpadło osiem ton sprzętu, zapowiedziałem w Biurze Brukselskim, że wycofuję się. Funkcje człowieka odpowiedzialnego za zakup i wysyłkę sprzętu pełniłem jednak do grudnia 1987. W maju 1987 roku, kiedy wykupiliśmy z więzienia Lennarta Järna, szwedzkiego kierowcę, który wpadł z ciężarówką, umówiłem się z Brukselą, że pociągnę pracę do końca 1987 roku i tak się stało.

R.: — *Jesteś osobą już znaną, a przecież niewiele wiadomo na twój temat. Czy możesz się przedstawić?*

M.K.: — Moja działalność polegała na zachowaniu dyskrecji. Hałas wokół mojej osoby jest jedną z przyczyn, dla których się wycofuję. Wszystko co robiłem wymagało maksymalnej dyskrecji i pozostawania w cieniu. Skoro stało się inaczej, moja osoba stała się również mało przydatna. A jeśli coś o sobie mam powiedzieć, to chyba tyle, że w Szwecji jestem od 17 lat, mam rodzinę, z wykształcenia jestem optykiem, a sprzęt do Polski wysyłam od 1978 roku.

R.: — *Czy przyjechałeś z emigracją marcową?*

M.K.: — Nie. Uciekłem pod koniec lat sześćdziesiątych przez Jugosławię do Włoch, z kilkoma kolegami; zrobiliśmy sobie taką wycieczkę.

R.: — *Jak doszło do tego, że zająłeś się właśnie zaopatrywaniem opozycji w Polsce w sprzęt techniczny?*

M.K.: — To był przypadek. Przecież nie ja jeden wysyłałem i wysyłam sprzęt do Polski. Przede mną robił to w Szwecji np. Andrzej Koraszewski, także inni, których nazwisk do dzisiaj nie można ujawnić. Właśnie Andrzej Koraszewski spotkał mnie kiedyś w 1978 roku na ulicy i powiedział, że szuka sposobu przerzucenia sprzętu dla KOR-u. Miał powielacz, a nie miał pomysłu. Ja miałem pomysł, pomogłem tym bardziej, że nic nie mogło mi sprawić większej satysfakcji niż pomoc opozycji w Polsce. Potem okazało się, że o sprzęt jest dużo łatwiej niż o możliwości przerzucenia go do kraju, a potem na odwrót. Ciekawe zresztą, że nikt nie zastanawia się, jak trudne i kosztowne bywa wysyłanie sprzętu. Ludzie na Zachodzie składają się na powielacz, farbę,

offset a potem mówią do kogoś znanego: tutaj są pieniądze na sprzęt dla kraju; albo nawet mówią, żeby odebrać sobie gdzieś tam sprzęt. Gdyby chociaż zapytali się na poczcie albo w jakimś towarzystwie spedycyjnym we Francji czy RFN czy gdziekolwiek na świecie: ile kosztuje wysłanie tego oficjalną najtańszą drogą do Polski? Przecież trzeba wwieźć nielegalnie sprzęt, dotrzeć do adresata, to wymaga często dużych nakładów finansowych, zarówno tutaj jak i w kraju.

R.: — *Stałeś się specjalistą od tego typu operacji?*

M.K.: — Po dziewięciu latach mogę mówić już o pewnej znajomości problemu. Ileż ja się musiałem nauczyć — przepisy celne, przepisy prawa transportowego, taryfikatory. To przecież podstawa zorganizowania systematycznego transportu takiego sprzętu. A do tego oczywiście pomysły na ukrycie, rozładunek, najtańszy zakup, jeśli dostajemy pieniądze, a nie sprzęt.

R.: — *Czyli praca raczej menadżerska?*

M.K.: — Ależ skądże! Podstawowy wymiar takiej pracy to ciężka fizyczna orka. To nie do uwierzenia dla wielu, ale tak jest naprawdę. Cały czas zbijałem skrzynie, ładowałem samochody, pakowałem książki, nosiłem paczki itp., itp. To wszystko trzeba zrobić samemu, bo im więcej ludzi w to angażujesz, tym większe prawdopodobieństwo wpadki. Oczywiście można korzystać z pomocy zaufanych osób, ale one też nie zawsze mają czas, a i tak sznurki trzyma się w ręku i trzeba nimi samemu pociągać.

R.: — *Jakich kwalifikacji wymaga taka działalność?*

M.K.: — Chyba najważniejsze są mocne nerwy. Bez tego nie ma po co zaczynać. Mimo wszystko oczekiwanie na powrót kuriera czy potwierdzenie, że przesyłka bezpiecznie doszła na miejsce przypłaca się nieprzespanymi nocami. A zaraz potem szykuje się następny transport. Przypłaca się to również brakiem czasu dla najbliższych.

R.: — *Twoje doświadczenie nie ulega wątpliwości, jak więc mogło dojść do tego, że wysłałeś do Polski 8 ton sprzętu w ciężarówce o fałszywych numerach rejestracyjnych, prowadzonej przez kierowcę, który nie miał prawa jazdy? Trafiła ona prosto w ręce celników w Świnoujściu, a prasa szwedzka przez kilka miesięcy wydziwiała na temat lekkomyślności zagranicznych pomocników „Solidarności".*

M.K.: — Może po kolei. Po pierwsze nikt z wyjątkiem Lennarta

Järna i policji szwedzkiej nie wiedział, że zabrano mu na jakiś czas prawo jazdy. Lennart miał duplikat, a ponieważ całe życie był kierowcą i to jest jego jedyny zawód, jeździł w dalszym ciągu dla różnych firm szwedzkich. Kiedy zapytałem go, czy pojedzie z tym transportem, wyraził zgodę, a ja nie miałem najmniejszych podstaw do podejrzeń, tym bardziej, że do naszej ciężarówki wsiadł z innej, powróciwszy właśnie z kursu. Dopiero po jego aresztowaniu w Polsce policja szwedzka sprawdziła na swoich komputerach, że pozbawiono go okresowo prawa jazdy za jakieś wykroczenie. Sam byłem tym tak zdumiony jak wszyscy, bo pracowałem z Lennartem długo przedtem i powinien był mnie poinformować. Zresztą po powrocie do Szwecji sam o tym mówił na konferencji prasowej. A sprawa druga — fałszywe tablice rejestracyjne. Mieliśmy jedną ciężarówkę, którą przemalowywaliśmy, aby nie rzucała się w oczy na granicy w Polsce zbyt częstą obecnością. Dlatego też używaliśmy fałszywych tablic rejestracyjnych, które zostały założone dopiero w Ystad. W końcu Polska nie ma listy komputerowej ciężarówek szwedzkich. Mają ją jedynie celnicy szwedzcy. I to, pośrednio, okazało się przyczyną wpadki. Szwedzi zorientowali się, że ciężarówka ma zmienione tablice rejestracyjne, puścili ją do Polski a następnie wysłali teleks, w którym zwrócili się z prośbą o skontrolowanie tej ciężarówki.

R.: — *Czyli bezpośrednią przyczyną wpadki był donos szwedzkiego cła?*

M.K.: — Tak! Udało nam się ustalić po wpadce, że po odpłynięciu promu poszedł jakiś teleks do Polski, wskazujący tę ciężarówkę, ale byłem pewien, że to może jakiś pracownik Pol-Line zwrócił uwagę na zamieszanie, jakie powstało przy ciężarówce w Ystad. Celnicy długo ją trzymali, gdzieś dzwonili, przyjechał wóz policyjny, prom czekał parę minut z odbiciem, aż w końcu puszczono ją. A teraz mam czarno na białym, że to Szwedzi zwrócili się do Pol-Line, aby zawiadomić polskie cło, że trzeba skontrolować naszą ciężarówkę. Taki teleks wyszedł kilka minut po odpłynięciu promu. Tylko po co? Nie wierzę, że zrobił to jakiś drobny urzędnik szwedzki na własną rękę. A najbardziej żałuję, że już nie mogłem cofnąć ciężarówki, kiedy powstało zamieszanie wokół niej. Niestety, zawrócić mógł tylko Lennart, ale on tego nie zrobił licząc, że szczęście dopisze mu także tym razem.

R.: — *Wróćmy do teleksu. Kto w takim razie mógł podjąć taką decyzję, jak powiadomienie polskich celników o podejrzanej zawartości ciężarówki, która ma właśnie dotrzeć do Polski?*

M.K.: — Decyzja w Szwecji musiała zapaść na wyższym szczeblu i kiedy nadarzyła się okazja, zostaliśmy sprzedani. Szwecja ma

swoją politykę neutralności, chętnie pokrzykuje w obronie praw człowieka w Ameryce Południowej, ale tutaj na miejscu siedzi cicho i chce mieć dobre stosunki z rządami komunistycznymi, niekoniecznie ze społeczeństwami Europy Wschodniej. O tym powinni pamiętać też krajowi przywódcy „Solidarności". Na marginesie warto dodać, że za coraz rzadziej wygłaszanymi hasłami poparcia dla „Solidarności" idzie też coraz mniejsza pomoc materialna. Zachodnie związki zawodowe udzielają poparcia w dalszym ciągu i międzynarodowe organizacje związkowe również, ale zasięg jest coraz mniejszy. Choćby z powodu inflacji. Biuro Brukselskie dysponuje w tej chwili takim samym budżetem jak kilka lat temu, dotacje otrzymuje w dolarach, a przecież kurs dolara spadł o kilkadziesiąt procent, a ceny maszyn i koszty zakupów poszły o kilkanaście procent w górę.

R.: — *Tak czy owak w grę wchodzi ogromna kwota. Jak jest ona rozliczana?*

M.K.: — Biuro Brukselskie przedstawia wszystkie swoje wydatki dwuosobowej komisji złożonej z przedstawicieli związków zawodowych udzielających pomocy „Solidarności" Ponadto przesyłamy systematycznie sprawozdania do kraju, w których informujemy przywództwo związku o dokładnych rozmiarach wysyłanej pomocy. Zresztą bezpieka też ma niezłe rozeznanie, bo kiedy w maju 1986 wpadło RKW Mazowsze, znaleziono nasze sprawozdanie — moje i Mirka Chojeckiego — z ilością i datami przesłania sprzętu za okres 1982-1985.

R.: — *Czy bezpieka wie więcej?*

M.K.: — Nie wiem. Lennartowi Järnowi pokazywano moje zdjęcie, które składałem w latach 60-tych, kiedy starałem się o dowód osobisty. Teraz oczywiście prasa szwedzka upowszechniła moje zdjęcie, telewizja szwedzka również moją obecną podobiznę. To jednak mniej ważne. Przykre jest natomiast, że koledzy w kraju nie zadają sobie trudu, by nas informować o tym, co przechwytuje bezpieka. To sprawozdanie pokazano akurat w telewizji polskiej i stąd wiemy, że znalazło się w ręku bezpieki. Ten dokument pozwalał SB nabrać dokładnego rozeznania w zasobach sprzętu, którym dysponuje opozycja i wyciągnąć także inne wnioski, za które może przyjdzie kolegom w kraju i tutaj płacić.

R.: — *Lennart Järn po powrocie do Szwecji przyznał się, że kilkanaście razy woził sprzęt dla „Solidarności". Ty mówisz, że nie był jedynym człowiekiem, który to robił. Czy transporty o rozmiarze tego, który wpadł odbywały się wcześniej?*

M.K.: — Tak. Duży transport jest oczywiście związany z ryzykiem dużej straty, ale można wydać trochę więcej pieniędzy na dodatkowe gwarancje.

R.: — *Jakie?*

M.K.: — To musi pozostać tajemnicą moją i tych, którzy tym się zajmują. Mogę tylko dodać, że przez moje ręce poszło do kraju kilkaset maszyn drukarskich, tysiące książek, tony farby drukarskiej, sitodrukowej, sprzęt komputerowy, łącznościowy itp.

R.: — *Można jednak powiedzieć, że taka działalność wymagała obchodzenia przepisów i kiedy nastąpiła spektakularna wpadka, wiele osób zaczęło podejrzliwie patrzeć na całość twojej działalności, na twoją osobę w ogóle.*

M.K.: — Tak, to się zgadza. Mam wrażenie, że w kraju i na emigracji otoczyła mnie atmosfera pewnej podejrzliwości — że jestem awanturnikiem, który całą tę sprawę traktuje jako rozrywkę, hazard i źródło utrzymania. Nie jestem hazardzistą, to oczywiste, jeśli na osiem lat takiego zajęcia nastąpiła jedna wpadka. Byłem zatrudniony przez Biuro Brukselskie, bo moja praca wymagała tego, abym się jej całkowicie poświęcił. Zresztą, mimo że starałem się pozostać w cieniu, już przed kilku laty spotkałem się z oskarżeniami, że jestem trockistą, malwersantem i agentem Służby Bezpieczeństwa. Tym się nie przejmowałem.

R.: — *Czym się teraz przejmujesz?*

M.K.: — Nawet nie za bardzo własną renomą, bo wiem co robiłem i sam bez fałszywej skromności mogę ocenić swoje zasługi. Przejmować się zacząłem, kiedy Lennart Järn siedział w więzieniu w Polsce, a ani jedna gazeta niezależna w Polsce i ani jeden przywódca związkowy nie wystąpili w jego obronie, a po jego wyjściu nikt z wymienionych nie podziękował mu za jego odwagę. W dodatku *Tygodnik Mazowsze* opublikował pełen nieścisłości artykuł pt. „Historia jednego przerzutu", który w niewielkim stopniu różnił się od wersji *Trybuny Ludu,* mimo tego, że Biuro Brukselskie na bieżąco informowało kraj o zebranych przez nas informacjach i wyjaśniało te pozornie sensacyjne elementy transportu. Teraz przejmuję się brakiem zrozumienia przez kraj problemów Biura Brukselskiego. Znaczenie Biura jest ogromne i jest ono oczywiście służebne wobec kraju, ale jego praca powinna być brana w Polsce pod uwagę. Jest dokładnie odwrotnie i to zniechęca nie tylko działaczy biura, ale i innych instytucji emigracyjnych. Chociaż oczywiście są na emigracji takie osoby, które chętnie przejęłyby rolę Biura Brukselskiego i obawiam się, że

działają w kraju na rzecz podważenia jego autorytetu. Przejmuje mnie ponadto, że tracę rozeznanie w konstelacji personalnej w Polsce. Zawsze wysyłałem sprzęt do osób i instytucji, które potwierdzały jego odbiór. Kierowaliśmy się wskazaniami TKK i wszystko grało. Teraz organy zwierzchnie związku zmieniają się równie często jak pory roku, a ja zaczynam się czuć jak każdy przeciętny członek związku, który już doprawdy nie wie, kto kogo powoła i kogo odwoła, kiedy, z jakiego powodu i na jakiej podstawie. A nad tym wszystkim unosi się duch Przewodniczącego, bo sam Przewodniczący mówi mało, głównie na okrągło i nie zawsze na temat. Wystarczy przeczytać wywiad, którego udzielił prasie szwedzkiej kilka miesięcy temu (sugerując możliwość wolnych wyborów w Polsce w bliskiej przyszłości).

R.: — *Jesteś bardzo rozgoryczony?*

M.K.: — Może, ale głównie odczuwam zmęczenie. I jednak satysfakcję, także z rzeczy, o których dzisiaj nie wolno mi jeszcze mówić. Chociaż jednym mogę się pochwalić — ja zorganizowałem wyszmuglowanie dezertera sowieckiego, który się ukrywał w Polsce. W tym przypadku wiem, że ratowałem mu życie. Nie chodzi o rozgoryczenie. Widzę coraz mniej sensowności w tym, co się dzieje. Odrzucono milion dolarów, a wymagania kraju wcale nie maleją. Za co kupować sprzęt, pytam się, z czego finansować grzywny, jak dopłacać do wydawnictw niezależnych, żeby książki nie były tak piekielnie drogie. Salony przeżyją bez tych pieniędzy, ale robotnicy wyrzucani z pracy za działalność, którzy nie mają za co utrzymać rodziny mogliby otrzymać wsparcie z tych pieniędzy. Zresztą całkowicie zgadzam się z tekstem Romaszewskiego „Jak Polak z Polakiem", który ukazał się w listopadowej *Kulturze*.

R.: — *Optyka człowieka z kraju pokrywa się z twoją?*

M.K.: — Całkowicie. I to stanowi dla mnie pocieszenie. Zresztą nie pomagałem salonom, które czekają, aż je władza zaprosi do stołu obrad jako równoprawnych partnerów! To przecież śmieszne! Mam też takie wrażenie, że istnieje wzajemna komunikacja między salonami warszawskimi a, na przykład, polskimi salonami w Paryżu, gdzie podsyca się intrygi. Mam takie wrażenie, jakby odbywał się wyścig do stanowisk liderów akceptowanej przez władze opozycji. To mnie już przestało bawić. Teraz jako prywatna osoba mogę sobie pozwolić na takie sformułowanie.

R.: — *Nie obawiasz się nieprzyjaznych reakcji na Twoje oceny?*

M.K.: — Tych jestem pewien. Ale ja mówię o przywódcach i

elitach, które już definitywnie pogrzebały „Solidarność" własnymi rękoma przez kunktatorstwo, brak odwagi i brak lojalności. Nie mówię o tych, którzy na tym sprzęcie, który poszedł do Polski pracowali. To są moi bohaterowie. Ja mówiłem o moim zmęczeniu, mocnych nerwach itd. Tamci ludzie ryzykowali więzieniem, pobiciem, narażali na cierpienia swoje rodziny. I pozostaną anonimowi. Tak więc nie mnie się chwalić przy nich. Kilku z nich poznałem osobiście. To są wspaniali ludzie. Wiem, że jest ich wielu i łączy ich ze sobą, a mnie z nimi, marzenie o wolnej Polsce. Z tego marzenia nie zrezygnuję. Satysfakcja, że im pomagałem jak umiałem najlepiej też pozostanie. A w wolnej Polsce wcale nie będę szefem Głównego Urzędu Ceł — jak czasem żartują moi przyjaciele.

R.: — *Czego więc życzysz swoim następcom?*

M.K.: — Mocnych nerwów, silnych mięśni, pełnej kasy, pomysłowości i dużo szczęścia.

Dokumenty załączone do wywiadu z Marianem Kaletą, a które są w posiadaniu Redakcji, mają nie tylko znaczenie historyczne. Pokazują bowiem, co zdarza się po raz pierwszy, rzeczywistą przyczynę przejęcia przez SB dużego transportu sprzętu dla „Solidarności" 28 listopada 1986 roku. Był nią — najzwyczajniej w świecie — teleks wysłany przez szwedzkiego celnika w Ystad do polskiego kolegi w Świnoujściu z prośbą o skontrolowanie zawartości ciężarówki, która wiozła ten transport.

Ten pouczający w swej prostocie fakt winien by skłonić szwedzką Polonię do zapytania odpowiednich czynników w Szwecji, czy ów teleks był prywatną inicjatywą celnika Ulfa Janssena lub jego szefa Larsa Svenssona, czy też — wbrew wielu pięknym deklaracjom — władze szwedzkie postanowiły nawiązać współpracę z władzami PRL w zwalczaniu „Solidarności"? Ale fakt ten jest pouczający również dla opozycji i dla emigracji. Sukces SB wspomożonej przez szwedzką służbę celną dał przecież asumpt do oskarżenia organizatorów wysyłki o rzeczy, których nie popełnili. W szczególności znalazły się na emigracji osoby, które przyjęły za pewnik, iż przedstawiciele „Solidarności" za granicą wysyłają do Polski sprzęt komputerowy objęty ze względów strategicznych zakazem wywozu do krajów bloku sowieckiego. Teraz wiadomo na pewno, że oskarżenie to było bezpodstawne.

Nie zamierzamy wchodzić tu w szczegóły organizowania wysyłki sprzętu do Polski. Odpowiedzialni za to muszą w każdym przypadku sami ustalić, czy lepiej wysyłać transporty duże czy małe, czy należy obniżać koszta nawet za cenę zwiększenia ryzyka, czy jakieś kanały są lepsze od innych. Musimy natomiast

stwierdzić stanowczo, że przekazywanie sprzętu do kraju jest absolutną koniecznością i że ktokolwiek sprzeciwia się temu, uderza w prowadzenie nielegalnej działalności związkowej i w istnienie kultury niezależnej, stawiając się przeto poza obrębem emigracji politycznej i opozycji niepodległościowej. Musimy też sprzeciwić się wykorzystywaniu każdego niepowodzenia w wysyłce sprzętu do wszczynania publicznych kampanii przeciw jej organizatorom, którzy nie mogą się nawet bronić, gdyż ze zrozumiałych powodów nie mogą przedstawić swego punktu widzenia. Ujawnienie prawdziwych przyczyn wpadki z 28 listopada ubiegłego roku winno dać do myślenia tym, którzy takie kampanie prowadzili i wpoić wszystkim więcej ostrożności na przyszłość.

REDAKCJA

Jedyna w Bawarii **POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne
organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.
Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Parafrazując Marksa, można by powiedzieć: „Widmo krąży po świecie, widmo spotkań na szczycie". Przygotowuje się je długo, w toku niekończących się negocjacji dyplomatycznych. Wreszcie jest! Szczyt! Choć w słowniku politycznym każde spotkanie między głowami państw nazywa się „spotkaniem na szczycie", w praktyce formuła ta stosuje się tylko do spotkań między kolejnymi wodzami ZSSR a kolejnymi prezydentami USA. Z nielicznymi wyjątkami wystarczy, by spotkanie doszło do skutku, a uznaje się je za sukces i rozpoczyna nowy okres „odprężenia". Nad spotkaniem unosi się duch miejsca, w którym się odbyło. Istniał więc „duch Camp David" po spotkaniu Chruszczowa z Eisenhowerem, „duch Glassboro" po spotkaniu Kosygina z Johnsonem i wiele innych „duchów". Duchy, podobnie jak widma, krążą po najnowszej historii i przypominają o tym, o czym nikt — na Zachodzie — nie chce pamiętać.

Historia z „duchami" przypomniała mi się, bo narodził się kolejny „duch" — „duch Waszyngtonu". Historycy, politolodzy, socjolodzy i psychiatrzy długo jeszcze będą szukać przyczyny gwałtownej miłości do Gorbaczowa, która poraziła Amerykę. Chyba nigdy jeszcze Amerykanie nie witali żadnego gościa tak, jak małżeństwo Gorbaczowych. Największe gazety i stacje telewizyjne niemal dosłownie powtarzały słynne słowa Chamberlaina, który oświadczył po podpisaniu układu monachijskiego: w naszej epoce pokój jest zabezpieczony. Amerykanie witali Gorbaczowa jak gołąbka pokoju, ucieleśnienie dążeń do reform liberalno-demokratycznych i — co nie mniej ciekawe — władcę ponętnego rynku.

Nieliczni amerykańscy publicyści, którzy oparli się „gorbomanii", pisali o „zamroczeniu odprężeniem". Wymyślono także słówko „gorbazm", coś pomiędzy fantazmem, orgazmem i namiętną miłością do generalnego sekretarza.

Kiedy zapytano byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych

we Francji, republikanina, przyjaciela Reagana i przeciwnika jego obecnej polityki, co chciałby powiedzieć Gorbaczowowi, dyplomata odparł, że chciałby mu pogratulować zwycięstwa. To nie ulega kwestii. Likwidacja niewielkiego odsetka sowieckich i amerykańskich rakiet absolutnie niczego nie zmienia, stwarza tylko pozory zmniejszenia „zagrożenia atomowego". Zdaniem ekspertów wojskowych — którego nie wolno im otwarcie wypowiedzieć — „kontrola na miejscu" jest też fikcją. Rzeczywistością natomiast będzie — po ratyfikacji układu przez Kongres — demontaż amerykańskich rakiet w Europie i „super-odprężenie".

Jeszcze będąc w Waszyngtonie Gorbaczow przypomniał, że Amerykanie powinni zapłacić. W „szczerej rozmowie" z siedemdziesięcioma największymi biznesmenami Stanów Zjednoczonych *gensek* oświadczył, że „nie może istnieć dialog polityczny bez umocnienia więzi gospodarczych". André Fontaine, komentując w *Le Monde* wizytę Gorbaczowa w Waszyngtonie, bardzo *à propos* przypomniał słynną ideę Roosevelta. William Bullitt, poseł Roosevelta w Moskwie, a potem w Paryżu, opisuje, jak w 1945 roku prezydent amerykański tłumaczył mu swoją teorię: „Jeśli dam Stalinowi wszystko, co mogę, o nic w zamian nie prosząc, to — *noblesse oblige* — nie będzie on niczego okupować i zgodzi się współpracować ze mną w świecie demokracji i pokoju". André Fontaine nie cytuje odpowiedzi Bullitta, który dobrze znał Stalina i także Lenina. „Zapomina pan — odparł Bullitt Rooseveltowi — licząc na *noblesse oblige*, że nie ma pan do czynienia z księciem Norfolku, a z kaukaskim rozbójnikiem, który — jeśli za darmo dostanie to, czego mu trzeba — pomyśli: mój partner jest osłem".

Dwa lata temu francuski filozof Jean-François Revel napisał książkę po tytułem „Jak giną demokracje". Pora teraz zacząć pisać utwór zatytułowany „Jak giną odprężenia". Amerykański dziennikarz Henry Alleg tak skomentował „gorbomanię": „Kult Gorbaczowa będzie trwał w Stanach Zjednoczonych do chwili, kiedy Związek Sowiecki zestrzeli kolejny samolot pasażerski, pośle czołgi na Węgry albo do Polski, wyśle kolejny kontyngent Kubańczyków do jednego z państw Trzeciego Świata. Wtedy Stany Zjednoczone zaczną od nowa odkrywać Związek Sowiecki" (*International Herald Tribune* z 1 grudnia 1987).

Wielkie zwycięstwo Gorbaczowa w Stanach Zjednoczonych jest wynikiem głęboko przemyślanej strategii wpływania na amerykańską opinię publiczną i umiejętnie wybranych obiektów obróbki. Sowieccy znawcy Ameryki doskonale zrozumieli rolę patentowanych sowietologów w kształtowaniu opinii i dbają o nich jak nigdy dotychczas. Los uśmiechnął się do mnie i miałem możność przyjrzeć się, jak pracuje „na miejscu", w Ośrodku badań nad Rosją w Harvardzie, *attaché* prasowy Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSSR, Genadij Gierasimow. Relacjonując swój udział w konferencji w Harvardzie, wystawiając „tak zwanym sowietologom" (formuła Gierasimowa) oceny od zera do czwórki, *attaché* prasowy sowieckiego MSZ zakończył artykuł słowami:

„Ogólnie rzecz biorąc, *pieriestrojka* przełamała lody sowietologii" (*Sowietskaja kultura* z 13 listopada 1987). Gierasimow doskonale pamięta, że ulubionym zwrotem „wielkiego kombinatora" Ostapa Bendera było: „Lody ruszyły, panowie przysięgli. Dowodzić paradą będę ja".

Gorbaczow jest jedynym dziś (a i dawniej takich chyba nie było) działaczem państwowym, popularniejszym za granicą aniżeli we własnym kraju. Sukces jego polityki zagranicznej w Stanach Zjednoczonych na pewno doda nowego blasku kultowi, jaki w niebywałym tempie narasta wokół osoby generalnego sekretarza.

Pod koniec 1987 roku, po prawie trzech latach działalności Gorbaczowa na forum wewnętrznym (jubileusz w marcu 1988) można zaryzykować podsumowanie. Sam generalny sekretarz radzi poczekać na pierwsze wyniki reform jeszcze ze trzy-cztery lata, aż rozkwitnie te 60 % sowieckich przedsiębiorstw, które zgodnie z nową ustawą „usamodzielniły się" — jak mówią sowieccy przywódcy — z dniem 1 stycznia 1988, łącząc w ten sposób „centralizm demokratyczny z samorządnością" (recepta Gorbaczowa).

Na razie można się wypowiedzieć o wpływie przyjętych już ustaw: 1) Wybory dyrektorów przedsiębiorstw: tam, gdzie się odbywają, „wybory" mają charakter spektakli, organizowanych na użytek dziennikarzy; kandydatów wybierają jak zawsze komitety partyjne; 2) Firmy mieszane sowiecko-zagraniczne: żadnych rezultatów dotychczas nie odnotowano; 3) Prywatna inicjatywa nie rozwija się, ogranicza ją szalenie profilaktycznie uchwalona ustawa o dochodach „nie z pracy"; 4) rachunek ekonomiczny i samofinansowanie przedsiębiorstw odłożono do 1 stycznia...

Pozostaje *głasnost'*, tzw. liberalizacja w dziedzinie kultury, zezwolenie na powstanie opinii publicznej. Jegor Ligaczow, sekretarz KC pasowany na „jastrzębia" i „konserwatora", który nawet we śnie myśli tylko o tym, jak przegnać „gołębia" i „liberała" Gorbaczowa, bawił w Paryżu i dał wywiad do *Le Monde*. Okazało się, że w rzeczywistości Ligaczow też jest demokratą, liberałem i gołębiem. „*Pieriestrojka* — oświadczył — to demokratyzacja plus reforma ekonomiczna". O reformie niczego nowego powiedzieć nie potrafił, podkreślał tylko, że „my nie chcemy osłabiać roli centrum, bo to równałoby się rezygnacji z ogromnej przewagi gospodarki planowej". Za to o demokratyzacji kierownik (wespół z A. Jakowlewem) wydziału ideologicznego KC Ligaczow mówił dużo i chętnie. *Głasnost'*, którą nazywa także „krytyką i samokrytyką" powinna mieć jego zdaniem tylko jedną granicę — tajemnicę państwową. Będąc jednak prawdziwym dialektykiem, sekretarz KC dorzucił: „Zbyteczne dodawać, że krytyka nie może być celem samym w sobie... Innymi słowy, krytyka powinna być konstruktywna".

Niektórzy jeszcze pamiętają, że towarzysz Stalin, który zawsze murem stał za krytyką i samokrytyką, często przypominał, że krytyka musi być konstruktywna.

Istnieją dokumenty, pokazujące co się dzieje, kiedy Najwyższa Instancja uzna, że *głasnost'* wyszła poza ramy konstruktywności. Wiele z nich publikuje *Russkaja mysl*, która stała się dziś wyjątkowym źródłem informacji o tym, co się naprawdę dzieje w kraju *głasnosti* i *pieriestrojki*. Weźmy na przykład taki oto dokument: osiemdziesięciu dwóch obywateli sowieckich podpisało list do Gorbaczowa, Jakowlewa, pierwszego sekretarza moskiewskiego *gorkomu* itd. W liście mowa była o tym, że dla „demokratyzacji i humanizacji kultury w kraju" należy zlikwidować monopol państwa na wydawnictwa, zezwolić na powstanie wydawnictw niepaństwowych i niepaństwowych związków zawodowych twórców. Odpowiedź nadeszła od Związku Pisarzy Sowieckich: „Polecono mi powiadomić Was — brzmiała odpowiedź — że Wasza propozycja stworzenia licznych i różnych co do objętości i kierunku artystycznego wydawnictw i czasopism jest dla nas praktycznie nie interesująca. Z poważaniem — I. Winokurow, odpowiedzialny sekretarz Rady d/s krytyki i literaturoznawstwa".

Ślicznie. Nawet kulturalnie: „Z poważaniem". Lenin, którego tak chętnie dziś cytują w Moskwie, tak nazywał podobne odpowiedzi: „Forma słuszna, a treść szydercza". Ale jakby nie było napisali „z poważaniem", napisali „praktycznie nie jest interesująca" (a teoretycznie?). W porównaniu z następnym dokumentem — Wersal. Drugi dokument został przybity do drzwi pomieszczenia, wynajętego w Moskwie przez klub prasowy *„Głasnost'"* na obrady międzynarodowego seminarium na temat problemów humanitarnych. Kartka zawierała dwa słowa: „Dzień sanitarny". Pomieszczenie zamknięto celem wymycia go i wysprzątania. Któż mógłby protestować przeciw higienie, gwarancji zdrowia? Seminarium odbyło się w mieszkaniu jednego z organizatorów, ale wszyscy organizatorzy dostali listy ostrzegawcze z milicji, liczni uczestnicy z innych miast zostali zatrzymani, straszono i grożono im. Całkowity zakaz nieoficjalnego seminarium był niemożliwy, Gorbaczow wciąż chce zwołać do Moskwy międzynarodową, wszechświatową konferencję nt. praw człowieka.

Innym namacalnym wyrazem *głasnosti* było rozgonienie przez „pacyfistów" w Moskwie demonstracji Żydów, domagających się pozwolenia na wyjazd do Izraela. Kiedy koło stacji metra zebrało się ok. pięćdziesięciu *otkazników*, zajechały autobusy, wyskoczyło z nich ok. trzystu „bojowników o pokój", silnych chłopów z plakatami przeciw niebezpieczeństwu nuklearnemu i za pokojem na świecie. „Pacyfiści" stosunkowo szybko rozpędzili zarówno *otkazników*, jak zagranicznych dziennikarzy, którzy przyszli nacieszyć się widokiem *głasnosti*.

Jedną ze zdumiewających cech *głasnosti* w dziedzinie kultury jest jej bezpłodność. Uchwała o przyznaniu nagród państwowych ZSSR w dziedzinie literatury, sztuki i architektury nie wymienia ani jednego ciekawego zjawiska za minione dwa lata. Nagrodzono „Pożar" Rasputina, opublikowany w 1985 roku, nagrodzono pośmiertnie Władimira Wysockiego (rodzina odmówiła przyjęcia nagrody), nagrodzono starą książkę prof. Bursowa o Puszkinie, dawne wiersze E. Winokurowa, stary film R. Bałajana *„Polety wo snie i najawu"*. Wszystko to jest produkcja przed-gorbaczowowska. A gdzie płody *głasnosti?* Poza dokumentalnym filmem „J. W. Andropow" nie widać niczego. Niczego godnego nagrody.

Jałowość ery *głasnosti* ma dwie przyczyny. Po pierwsze, twórcy nie zareagowali na zezwolenie tworzenia „swobodnie". Po drugie, starcy, tj. ci, którzy stanowią literaturę sowiecką (niewątpliwie najbardziej starczą na świecie) boją się (nawet jeśli by potrafili). Ich strach jest w pełni uzasadniony. Zezwolenie na „wolność" może być w każdej chwili cofnięte. W październiku zebrała się w Leningradzie wszechzwiązkowa „konferencja twórcza" zatytułowana „Wielki Październik: internacjonalizm socjalistyczny, patriotyzm sowiecki a literatura współczesna". Przewodniczył — rzecz znamienna — ulubiony pisarz Breżniewa, wieloletni przewodniczący Związku Pisarzy Sowieckich, Gieorgij Markow. Na niedawnym zjeździe pisarzy miał atak serca, ale jak widać doszedł do siebie. Główne przemówienia (p. *Literaturnaja gazeta* nr 41 z 7 października 1987) wyrażały niepokój wobec faktu, że „na miejsce uznanych w całym świecie artystów, klasyków literatury sowieckiej jak Szołochow, Leonow, A. Tołstoj, pospiesznie winduje się inne nazwiska". Mowa była o tym, że „pod pozorem internacjonalizmu i pierwszeństwa ogólnoludzkich treści literatury następuje zamiana klasyki sowieckiej na utwory Chodasiewicza i Nabokowa". Doszło do tego, że *Ogoniok* „poświęcił całą stronicę Annie Achmatowej, a Demianowi Biednemu mały skrawek".

Najlepiej przemówił na forum literackim generał D. Wołkogonow, zastępca kierownika Głównego Zarządu Politycznego armii czerwonej. „Tak — powiedział generał — uznajemy parytet wojenno-strategiczny, ale żadnego parytetu duchowego ani moralnego z Zachodem nie ma i być u nas nie może". Szkoda, że Gorbaczow nie zabrał Wołkogonowa do Waszyngtonu, żeby porozmawiał o parytetach w kulturze: doskonale by uzupełniał rozmowy o *pieriestrojce* i *głasnosti*.

Kommunist, teoretyczny i polityczny organ KC KPZS, opublikował w październiku (nr 15) artykuł redakcyjny na temat „kultury socjalistycznej".

Artykuł przedstawia dwa modele polityki kulturalnej partii. Pierwszy zdefiniowany został w rezolucji KC w 1925 roku, drugi w uchwale KC w 1946 roku. Dokument pierwszy nosił tytuł „O polityce partii w dziedzinie literatury pięknej" i związany był z nazwiskiem M. Frunzego; drugi nazywał się „O gazetach *Zwiezda* i *Leningrad*", a autorem jego był Andriej Żdanow. Pierwszy był liberalny, drugi konserwatywny, pierwszy dobry, drugi — zły.

Rezolucję z 1925 roku uchwalili pisarze nie-komuniści jako Magna Charta Libertatum, mającą ich uwolnić od władzy „wściekłych obrońców", nie uznających pojęcia *poputczik*, a dzielących ludzi z żołnierską prostotą na swoich lub wrogów. Rezolucja — której nie publikowano w ZSSR przez długie dziesięciolecia — zawiera z dzisiejszego punktu widzenia wiele elementów liberalnych. Nie należy jednak zapominać, że w 1925 roku nie znano jeszcze partyjnego kierownictwa w literaturze. Dopiero szukano

form i środków. Najważniejszym elementem rezolucji było zagwarantowanie partii prawa do kierowania literaturą. „Rozpoznając bezbłędnie socjalno-klasową treść prądów literackich... kierując literaturą jako całością...", partia w 1925 nie chciała jeszcze wtrącać się w spory na temat form literackich. Zapragnęła tego już cztery lata później. Punktem kulminacyjnym był okres żdanowszczyny, kiedy partia przyznała sobie prawo do kierowania wszystkim i na zawsze. Dziś partia obiecuje powrót do 1925 roku: „Partia znów mówi inteligencji twórczej: 'Proszę z nami!' — wspólnie pracujmy, ale inaczej, w zmienionych warunkach, z wzajemnym zaufaniem, uczciwie...".

Rezolucja z 1925 roku głosiła: „Partia powinna wszelkimi sposobami wykorzeniać próby samodzielnego i niekompetentnego administracyjnego ingerowania w sprawy literatury; partia powinna dbać o staranny dobór osób w urzędach, zarządzających sprawami prasy, aby zapewnić prawdziwie umiejętne, pożyteczne i taktowne zarządzanie naszą literaturą". Artykuł z 1987 roku mówi: „W naszych czasach państwowe organy kultury i ideologiczne służby partii powinny szukać nowych, bardziej giętkich i skutecznych form szczerej, opartej na wzajemnym zaufaniu współpracy ze związkami i kolektywami twórczymi".

Sens jest ten sam. Partia kierowała, kieruje i będzie kierować. Zmieniają się tylko formy.

W dużym artykule w *Kommunistie* nie ma mowy o Stalinie. Jako inicjatora uchwały z 1946 roku (która oficjalnie wciąż obowiązuje) wymienia się tylko Żdanowa. Winę za zastosowanie nieodpowiednich metod ponosi zatem nie partia, ale przypadkowy człowiek, kto wie, czy nie szkodnik. Partia wybacza inteligencji twórczej jej grzechy i znów zaprasza: Prosimy do nas! Inteligencja ochoczo podejmuje zaproszenie. W ostatnim (11-tym) numerze *Nowego mira* ukazał się artykuł Igora Klamkina pt. „Która droga prowadzi do świątyni?". Tytuł jest aluzją do końcowej sceny filmu Abuładze „Pokuta". „Czy ta droga prowadzi do świątyni?" — pyta stara kobieta. Na przeczącą odpowiedź powiada: „Więc po co droga, jeśli nie prowadzi do świątyni?".

Klamkin szuka w historii odpowiedzi na pytanie, jak „nie schodząc z naszej drogi, dojść do świątyni". Stawia sobie dwa zadania, na pozór trudne do pogodzenia: nie zejść „z naszej drogi", nie odejść od socjalizmu, a jednak „dojść do świątyni", odtworzyć świat ducha. Niewątpliwie artykuł ten zasługuje na osobne omówienie. Ciekawy w nim jest fakt, że chcąc dowieść, iż można stojąc w miejscu „dojść do świątyni", autor powołuje się na „Wiechy", słynny zbiór artykułów Bierdiajewa, Szestowa, Bułhakowa i innych (1909), którzy zaprzeczyli nieuchronnej więzi między inteligencją a rewolucją, oraz na zbiór artykułów „Smiena wiech" (1921), w którym Ustriałow, Klucznikow, Łukianow i inni oświadczyli, że bolszewicy zwyciężyli i pora iść do Canossy. Lekko podgrzane „smienowiechowstwo" ma zostać nową ideologią sowieckiej inteligencji.

Francuscy dziennikarze, którzy niedawno wrócili z Moskwy, pozytywnie ocenili rezultaty *pieriestrojki*. Na dowód, że życie stało się znacznie milsze, przytaczają fakt, że nie ma już w Rosji dowcipów. Co byłoby oczywiście straszne, znaczyłoby bowiem, że duch w narodzie doszczętnie usechł. W rzeczywistości naturalnie dowcipy są i człowiek sowiecki wciąż jeszcze się śmieje. Najnowszy dowcip dotyczy żony wodza. Krąży o niej zresztą dużo dowcipów, ale ostatni wydaje mi się szczególnie zabawny. Jak nazywano żonę Lenina: *Nadieżda Konstantinowna*. A żonę Gorbaczowa? *Odieżda Konstantinowna*.

Adam KRUCZEK

14 grudnia 1987

Kronika niemiecka

W ambasadzie PRL w Kolonii odznaczono medalami *Zasłużony dla Kultury Polskiej* małżeństwo Birgit i Joachima Lang-Langraf, impresaria zespołów polskich koncertujących w RFN oraz ks. prof. dr. Franza Roniga, generalnego konserwatora zabytków diecezji trewirskiej (przez kilka lat pracowali tam polscy restauratorzy). ■ Kabaret *Elita* z Krystyną Prońko, J. Kaczmarkiem, L. Niedzielskim, J. Skoczylasem i W. Plaskotą występował kolejno w Bonn, Kolonii, Düsseldorfe, Akwizgranie, Dortmundzie i Essen. ■ Na koncercie *Mazowsza* w Bonn obecni byli m.in. prezydent Richard von Weizsäcker, Willy Brandt, redaktorzy naczelni pism i rektorzy wyższych uczelni. *Mazowsze* występowało również w Wiesbaden w ramach *Dni Kultury Polskiej*. Pokazano tam ponadto wystawę *Ludzie w Oświęcimiu;* przez tydzień prezentowano polskie filmy i wystawę polskiego malarstwa 1945-1986 (ze zbiorów *Muzeum Narodowego* w Poznaniu). ■ W bońskim dzienniku *Die Welt* ukazał się obszerny wywiad z prof. Leszkiem Kołakowskim. Kołakowski m.in.: „Nie ma powodu przypuszczać, że przywódcy sowieccy są teraz gotowi do podzielenia się władzą z niezależnymi siłami społecznymi. Nie widzę też takiej możliwości na przyszłość. Sowieccy przywódcy zrozumieli natomiast, że scentralizowany system ekonomiczny jest niewydajny i że nie pozwala na utrzymanie dotychczasowej pozycji Związku Sowieckiego w świecie". ■ W Polsce zapowiedziano wystawienie sztuk Gerharta Hauptmanna. Znany niemiecki dramaturg, liryk i powieściopisarz zmarł w 1946 roku w miejscowości Agnetendorf na Śląsku. Nagrodę Nobla przyznano mu w 1912 roku. ■ Polskie wydawnictwa krajowe wzięły udział w *XXXVIII Międzynarodowej Wystawie Książek dla Dzieci i Młodzieży*. Wystawa została zorganizowana przez *Międzynarodową Bibliotekę Młodzieżową* (na zamku Blutenburg k/Monachium mieści się prawdopodobnie największy na świecie zbiór książek dla dzieci i młodzieży) w reprezentacyjnych pomieszczeniach *Bawarskiej Biblioteki Państwowej*. Lektorem działu *slavica* jest mgr. Werner Küffner. ■ Hans Kremp w bońskiej *Die Welt* napisał: „Język ojczysty dopiero w szkole średniej. Ponad milion Niemców w Polsce walczy o swoją tożsamość". Że w szkołach podstawowych nie uczą niemieckiego to prawda, ale z tą „walką o tożsamość", to już zupełna bzdura. Niemcy w Polsce nie przejawiają żadnej działalności politycznej, społecznej i kulturalnej. Ci, którzy próbowali coś zrobić w tym kierunku opuścili Polskę przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nawet w okresie *Solidarności* mniejszość niemiecka w Polsce nie podnosiła kwestii swoich praw. ■ 25 książek z cyklu *Pol-*

nische Bibliothek. Partnerów jest trzech: *Deutsches Polen-Institut* (dr Karl Dedecius), *Fundacja im. Boscha* i wydawnictwo *Suhrkamp* we Frankfurcie. Tomy zestawione są epokami (cały cykl ma liczyć ok. 50 tomów) albo tematycznie; jest cykl poeci (Miłosz, Herbert, Szymborska, Różewicz), prozaicy (Różewicz, St. I. Witkiewicz), powieści (Kruczkowskiego, Andrzejewskiego, Żeromskiego, Józefa Wittlina, Berenta), opowiadania (Kornela Filipowicza, Iwaszkiewicza, Bruno Schulza) oraz *kultura i społeczeństwo.* W sumie w wydanych dotychczas 25 tomach znaleźć można utwory ponad 150 autorów. ■ Nakładem monachijskiej oficyny *Piper-Verlag* ukazało się *Pożegnanie jesieni* Stanisława Ignacego Witkiewicza (powieść napisana w 1927 roku) w przekładzie Waltera Tiela. *Groteskowy metafizyk* — pod takim tytułem ukazała się we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* obszerna recenzja Tadeusza Nowakowskiego. ■ *Athenäum-Verlag* we Frankfurcie n/Menem wydało dzieła Bronisława Malinowskiego w czterech tomach (m.in. *Argonauci z zachodniego Pacyfiku* i *Życie seksualne dzikich).* ■ *Wschodnioeuropejskie Centrum Kulturalne IGNIS* w Kolonii urządziło dyskusję na temat aktualnej sytuacji gospodarczej w Polsce. Udział wzięli: prof. Stefan Kurowski *(KUL),* Edward Klimczak (wydawca *Poglądu* w Berlinie Zachodnim) i prof. Rudolf Künstlinger *(Uniwersytet* w Kolonii). ■ Całokolumnowy artykuł Uwe Schmitta o polskich emigrantach żyjących w Berlinie Zachodnim zamieściła w specjalnym dodatku *Frankfurter Allgemeine Zeitung.* ■ Zachodnioberliński *ASPEN Institute* urządził konferencję poświęconą perspektywom XXI wieku *(Perspectives on the 21st Century)* w tamtejszym *Reichstagu.* Wśród prelegentów znaleźli się. m.in. Lord Bullock (historyk), Henry Kissinger, Helmut Schmidt, prof. Kurt Biedenkopf *(CDU),* Eberhard Diepgen (nadburmistrz Berlina Zachodniego) i prof. Władysław Bartoszewski *(Uniwersytet* w Monachium). Wystąpienie Bartoszewskiego zostało szeroko omówione przez zachodnioberlińską *Der Tagesspiegel* i bońską *Die Welt.* ■ W *Polskiej Misji Katolickiej* w Essen, na zaproszenie ks. Gregora Okroya dr Andrzej Sulikowski *(UJ)* wygłosił kolejny odczyt poświęcony kulturze i religii: *Życie wewnętrzne Hanny Malewskiej. Refleksje nad dziełem pisarki.* Sulikowski oparł się głównie na badaniach, jakie prowadził nad archiwum zmarłej w marcu 1983 roku autorki. Publiczność bardzo życzliwa, długa dyskusja, wiele pytań. Na podobny temat, choć w nieco zmienionej formie, Sulikowski mówił we frankfurckiej *Polskiej Misji Katolickiej* (na *zaproszenie* Lidii Ziółkowskiej z księgarni *Dialog* i proboszcza ks. Kazimierza Kosickiego). Tenże wykład dr Sulikowski powtórzył w *Świetlicy Polskiej* w Wuppertalu, gdzie istnieje maleńka placówka, biblioteczka, punkt poradnictwa prawniczego dla Polaków (5600 Wuppertal-Barmen, Elsternstr. 27/8). Duszą wszystkiego jest Peter Siegfanz, zaprzysiężony tłumacz sądowy polsko-niemiecki i znakomity organizator. ■ Frankfurcki *Athenäum-Verlag* wydał solidną pracę naukową Klausa Ziemera z Heidelbergu pt. *Polens Weg in die Krise. Eine politische Soziologie der „Ära Gierek" (Droga Polski do kryzysu. Polityczna socjologia „ery Gierka").* ■ Ambasada PRL w Kolonii ma spore kłopoty z zakładaniem przychylnych reżymowi organizacji polskich. Pomimo długich i dość kosztownych zabiegów nie udało się np. powołać do życia w Kolonii *Towarzystwa Kulturalnego POLONICA.* Na razie przygotowano statut (sąd niemiecki ociąga się z zatwierdzeniem), ale brak chętnych do przystąpienia. Ambasada chce na wszelkie sposoby penetrować skupiska najnowszych uchodźców z Polski, w większości ludzi w młodym i średnim wieku. Najciekawsze, że w tych zabiegach urzędnikom konsularnym PRL pomaga kolońskiej... CARITAS. Wiele szczegółów na ten temat podaje *Informations-Bulletin „Solidarność",* wydawany w języku niemieckim przez Andrzeja Wirgę (6500 Mainz 1, Berliner Str. 61). ■ Edmund Męclewski w *Gazecie Pomorskiej:* „Żydzi, zarówno obywatele Izraela, jak i rozproszeni po świecie, otrzymali dotychczas ponad 70 mld marek (odszkodowania — A.J.Ch.). Na tym tle krzywda Polaków jest szczególnie jaskrawa. Dlatego inicjatywa parlamentarna partii *Zielonych* wydaje się być cenna i zasługuje na uznanie". Jak wiadomo, na wniosek partii *Zielonych* odbyła się w *Bundestagu* krótka debata na temat odszkodowań, która praktycznie skończyła się niczym. Partie chadeckie zasłaniają się wewnętrznymi przepisami o przedawnieniu prawa do roszczeń po dwudziestu latach od działań, które by roszczenia takie uzasadniały. Ostatnio roszczenia PRL o odszkodowania za pracę przymusową Polaków w *III Rzeszy* zostały przez rząd boński zdecydowanie odrzucone. Uzasadnienie zostało wyrażone w specjalnej nocie i dostarczone władzom PRL. Należy dodać, że wniosek *Zielonych* był aktywnie popierany przez zachodnioniemiecką partię komunistyczną *(DKP)* i *VVN (Zrzeszenie Prześladowanych przez Reżym Nazistowski,* organizację skupiającą głównie starych komunistów). ■ Kolońska galeria *Au Petit Passé* urządziła wernisaż akwarel Malgi Drugeon-Stroynowskiej. Jest to trzynasta wystawa (m.in. w Kopenhadze, Hong-Kongu i Paryżu) tej uzdolnionej, urodzonej w Warszawie malarki. ■ Obrazy olejne Jerzego Dudy-Gracza (ur. 1941 w Częstochowie, zamieszkuje w Katowicach) są sprzedawane w zachodnioniemieckich galeriach w cenie od 5 do 8 tys. marek. Płótna Dudy-Gracza w kraju od 800 tys. do 1 mln zł. Za dobry obraz Józefa Brandta (szkoła monachijska) trzeba na rynku niemieckim zapłacić ok. 40 tys. marek. ■ *Fundacja Pruskiej Kultury* urządziła w Bonn wystawę poświęconą antyhitlerowskiemu ruchowi oporu w Niemczech, koncentrując się głównie na działalności *Kreisauer Kreis.* Inicjatorem był Helmuth James von Moltke, którego hitlerowcy skazali na karę śmierci (wyrok wykonano). Spiskowcy spotykali się na zamku Moltkego w Kreisau, który znajduje się dzisiaj w stanie kompletnej ruiny (Krzyżowa k/Świdnicy). Wpływowe koła niemieckie zabiegają dzisiaj o odnowienie zamku lub — przynajmniej — wmurowanie odpowiedniej tablicy pamiątkowej. Jak dotąd podejmowane wysiłki w tym kierunku nie odnoszą skutku. ■ Po śmierci ks. prof. Franciszka Blachnickiego uruchomiono wreszcie *MARIANUM (Centrum Ewangelizacji)* w Carlsbergu. Nowym *moderatorem* został ks. Jan Krawiec (ur. w 1947 r.; pracował w diecezji katowickiej). Prawdopodobnie zrezygnowano — i pewnie słusznie — z szumnej nazwy *Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów (ChSWN).* Ośrodek *Diakonii MARIANUM* jest fatalnie położony, zupełna prowincja, z dala od większych skupisk Polaków. Obserwatorzy twierdzą, że cały kompleks trzeba po prostu sprzedać i przenieść się (wspaniale wyposażona drukarnia!) do jakiegoś opuszczonego klasztoru w Nadrenii-Westfalii. Ks. Jan Krawiec na łamach *Ostatnich Wiadomości: „Marianum* upada! Rozstrzyga się właśnie los *Betanii,* ośrodka zakwaterowania dla dzieci. Bez naszego wsparcia zostanie zajęty i pójdzie pod młotek licytacyjny!". ■ *Niezależna Polska Telewizja* w Berlinie Zachodnim nadała ostatnio dwa ciekawe programy: pierwszy zatytułowany był *Extra* i poświęcony relacji z *Frankfurter Forum '87* i przyznanej tam nagrody dla *NSZZ Solidarność;* program ten zawierał wywiady z Tadeuszem Mazowieckim, Waldemarem Kuczyńskim, prof. Władysławem Bartoszewskim i szefem *Fundacji im. Kurta Schumachera,* Fritzem Schenkiem; drugim programem było kolejne wydanie *Magazynu WYSPA,* w którym zakończona została seria *Wydawcy emigracyjni w Berlinie;* zaprezentowano Wojciecha Drozdka i jego wydawnictwo *Veto,* ponadto *Magazyn* zawierał impresję poetycką pt. *Kurfürstendamm inaczej* z wierszami dwóch poetek — Polki, Ewy Lipskiej i Niemki, Eddy Zint. Dalsza część *Magazynu WYSPA:* o *Solidarności,* Kościele i Niemczech mówił prof. Jerzy Holzer; przedstawiono ezoteryczne malarstwo Wiesława Sadurskiego, polskiego twórcy żyjącego w Berlinie od ośmiu lat, i wreszcie rozmowa z prof. Bartoszewskim pt. *Polacy - Żydzi - Niemcy.* ■ Elżbieta von Janota-Bzowska, artystka-graficzka mieszkająca w Düsseldorfie, zaprojektowała już 30 znaczków dla *Federalnej Poczty Niemiec.* Emisja poszczególnych znaczków 25-30 mln sztuk . ■ Według ankiet przeprowadzonych przez kilka zachodnioniemieckich insty-

tutów badań opinii publicznej 78 % obywateli Republiki Federalnej sądzi, że podzielone państwo niemieckie tworzy jeden naród, a 21 % respondentów uważa, że mamy w chwili obecnej do czynienia z dwoma oddzielnymi narodami. ■ Przewodniczący *SPD* Hans-Jochen Vogel po powrocie z wizyty w Warszawie oświadczył, iż obecnie w Polsce po początkowo ciężkim okresie „dochodzi do stopniowej reintegracji społeczeństwa, a demokratyzacja w sensie zachodnim czyni postępy". ■ Boński rządowy instytut rozwoju współpracy naukowej *DAAD* podał, że organizacja ta przyznała stypendia 1.600 Polakom. ■ *Zsolnay Verlag* (Wiedeń/Hamburg) wydał autobiografię Lecha Wałęsy pt. *Ein Weg der Hoffnung (Droga nadziei)* w tłumaczeniu Friedricha Griese i Olafa Kühl. ■ *Haag + Herchen Verlag* (Frankfurt n/Menem) wydaje dwa razy w roku pismo *Dialog mit Polen. Beiträge zur deutsch-polnischen Verständigung (Dialog z Polską. Artykuły o niemiecko-polskim porozumieniu)*. Półrocznik zupełnie bezbarwny i nastawiony na współpracę z władzami PRL. ■ Łużyczanie mają autonomię kulturalną w NRD, dysponują dziś własną organizacją społeczno-kulturalną *Domowina*, dobrze funkcjonującą oficyną wydawniczą i własną sceną folklorystyczną. Na terenie NRD ciekawe pozycje literatury przygotowane w języku łużyckim istnieją w sprzedaży ciągłej. Coraz częściej jednak członkowie zespołów ludowych Łużyczan już nawet między sobą rozmawiają na co dzień po niemiecku. ■ Zaledwie w 11 krajach liczba zatrudnionych (oficjalnie!) naszych rodaków przekroczyła 1.000 osób (w NRD powyżej 10 tys. ludzi): w Niemieckiej Republice Demokratycznej 18,8 tys. Polaków budowało elektrownie atomowe, kopalnie węgla brunatnego, silosy do krochmalu i hamownie silników. W przypadku NRD trzeba się liczyć ze spadkiem zatrudnienia w ostatnich latach. Już w 1986 roku liczba Polaków zatrudnionych we Wschodnich Niemczech zmniejszyła się o 2.800 osób. Ok. 3 tys. Polaków pracuje w RFN, głównie przy budowie dróg. ■ Andrzej Micewski poparł na łamach hamburskiego tygodnika *Die Zeit* referendum: „Jeśli zostanie odrzucone, to Polsce grozi chaos, a pokój w naszym kraju i Europie zostanie naruszony". ■ W kolońskim *Instytucie Slawistyki* Wiktor Woroszylski wygłosił odczyt o stanie literatury polskiej w ostatnim 10-leciu. ■ Prezes *Związku Pisarzy NRD*, Hermann Kant, w swym przemówieniu inaugurującym obrady zjazdu wezwał w łagodnym tonie tych literatów NRD-owskich, którzy w ostatnich latach opuścili kraj — lub przedłużają pobyt na Zachodzie — do powrotu. Wymienił szereg nazwisk — wśród nich Stefana Heyma, który od lat znajduje się na liście cenzury w NRD. Kant zaproponował także nawiązanie normalnych stosunków ze związkami pisarzy w RFN. ■ Trzeci tegoroczny zeszyt wydawanego przez *PZ Pädagogika Zentrale (Centrum Pedagogiczne)* kwartalnika *SOWI* poświęcony jest w całości sprawom polskim. Zawiera on m.in. rozważania Dietera Bingena o sytuacji w Polsce, Piotra Pysza i Rolanda Schaffa o polskiej gospodarce, Melanie Tatur o polskim katolicyzmie oraz dwa artykuły, Manfreda Macka i Helgi Hirsch, poświęcone niezależnej prasie w Polsce. ■ W prasie zachodnioniemieckiej rozpisano konkurs na dyrektora sekcji polskiej rozgłośni *Deutschlandfunk* (Kolonia).

Andrzej J. CHILECKI

Kronika kulturalna

Granice sprzeciwu

W dniach 19-21 listopada ubiegłego roku miało miejsce w Paryżu spotkanie intelektualistów: pisarzy, publicystów, historyków i sowietologów, którzy w ramach *Forum de Paris* dyskutowali o roli literatury wobec władzy.

Forum było próbą przeciwstawienia propagandzie gorbaczowowskiej myślenia, nauki, kultury opartych na wolności, na poszanowaniu zasad demokracji, na umiłowaniu prawdy. W jakiejś mierze odbijało się to w retorycznym stylu części wystąpień (klasą dla siebie byli francuscy kronikarze *Résistance)* i w próbie ograniczenia rzeczywistości do słów. Niektóre z nich jak: odpowiedzialność, honor, prawda, walka, prawa człowieka, władza, przyszłość krążyły w nadmiarze ponad salą obrad (w zgodzie z tematem — *Littérature au-delà des frontières)*, z rzadka dotykając stałego gruntu. Zaniepokoiło to wielu uczestników. Jeanne Hersch, François Bondy, Alain Besançon, Jean-François Revel wzywali do większego umiaru, dialogu z samym sobą, przywoływania konkretu.

Forum paryskie, zamierzone ambitnie — na co złożył się olbrzymi wysiłek organizatorów: PEN-Club francuski, Międzynarodówka Oporu, redakcja *Kontynentu* — za bardzo rozgraniczyło formy literackiego i intelektualnego sprzeciwu od analiz mechanizmów politycznych i ideowych komunizmu. Sprzeciw stawał się emocjonalny, mało przydatny do opisu totalitarnego świata. Niektóre wystąpienia były niebezpiecznie blisko granicy, oddzielającej komunistyczną nowomowę od żywego języka ludzi wolnych. Zapomniano, że wielu tradycyjnym pojęciom, takim jak sprawiedliwość, demokracja, prawo, odpowiedzialność, komuniści odebrali jednoznaczny sens, roztopili je w pustosłowiu, nadużyli tyleż semantycznie co moralnie.

Na szczęście — chociaż nie brakowało podczas paryskiej imprezy wystąpień słabych i retoryki — przeważał (nade wszystko w ostatnim dniu obrad) ton okrutnej — również wobec własnej

tradycji i kultury — rozprawy z mitami politycznymi (Olivier Todd), z chorobliwą słabością wielu współczesnych intelektualistów wobec władzy (André Glucksmann), ze zrywaniem przez nich związków z resztą społeczeństwa (Alain Besançon) i dezawuowaniem wartości doświadczeń historycznych (Michał Heller).

Piękne dopełnienie znalazło się w zamykającym Forum, wydrukowanym poniżej wystąpieniu Władimira Maksimowa, co w istotny sposób zaważyło na pozytywnym obrazie całości.

Pozostaje jednak pytanie: na ile można przybliżyć narodom i społeczeństwom żyjącym w demokracjach Zachodu zrozumienie rzeczywistości ustrojów totalitarnych?

Trudno na nie odpowiedzieć. Smutnym *pendant* do tego było niewielkie zainteresowanie Francuzów dyskusjami trzydniowego Forum, z udziałem wielu znakomitości literackich, naukowych i dziennikarskich z całego świata, przy praktycznie całkowitej nieobecności francuskich pisarzy. Czyżby była to miara granic, na jakie natrafia sprzeciw? Sceptyczne potraktowanie reform Gorbaczowa nie należy na Zachodzie do dobrego tonu. W tym miejscu nie tylko wolna literatura, ale i nieskrępowana myśl krytyczna, zderzają się z barierami w świecie zachodnim, które wzniosła ignorancja i tchórzostwo. Niechęć do zrozumienia.

Marek ZIELIŃSKI

Cud naszego istnienia

Gdzieś na samym początku lat sześćdziesiątych Anna Achmatowa opublikowała piękny cykl wierszy w dość konformistycznym wydawnictwie, co wzbudziło zdziwienie w środowisku naszej liberalnej inteligencji. W odpowiedzi na zarzuty jednej ze swych wielbicielek, wielka poetka tak określiła swój stosunek do hierarchii wartości, którą nasza liberalna inteligencja uważała w owych latach niemal za świętą:

— Jestem starą kobietą i nie mam czasu na badanie mikroskopijnych różnic między waszymi postępowymi a reakcyjnymi organami prasowymi.

Od tego czasu minęło ćwierć wieku. I to jakie ćwierć wieku! „Archipelag GUŁag" Sołżenicyna wydał ostateczny moralny wyrok na totalitaryzm i radykalnie zmienił stosunek do niego wszystkich myślących ludzi. Dzieła Pasternaka Bułhakowa, Brodskiego i Szałamowa, Władimowa i Dombrowskiego, Wojnowicza i Aksjonowa, zdobyły światowe uznanie i skierowały literaturę rosyjską na powrót ku odwiecznym problemom dobra i zła, prawdy i sprawiedliwości, miłosierdzia i dobra. W tych samych latach pojechało

do obozów, psychuszek lub na emigrację wielu ludzi, którzy jeszcze niedawno byli ozdobą sowieckiej kultury. Wydawać się mogło, że po tym wszystkim inteligencja rosyjska, która w dobie *głasnosti* nareszcie ma możność pokazać światu nowy poryw twórczego ducha, wyzwoli w sobie nareszcie całą siłę zduszonego potencjału i zadziwi świat nieznanymi dotąd nazwiskami. O dziwo, okazało się, że nawet w tych wyjątkowo sprzyjających okolicznościach nasza inteligencja — a przede wszystkim pisarze — nie ma swoim odbiorcom niczego do powiedzenia poza tym, co im już powiedziała sto razy pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych. Wydawnictwa, ekrany i deski sceniczne są dosłownie zalane pseudofilozoficznymi utworami na temat „kultu jednostki", „przywracania leninowskich norm", „walki między nowatorstwem i zacofaniem w nauce", „demaskowania biurokracji" i „odnowy w rolnictwie". Nawet tak prawdziwie z talentem zrobiony film jak „Pokuta" Tengiza Abuładze nie wyszedł poza ramy antystalinowskiej alegorii. Era jawności zdemaskowała bezlitośnie tylko duchową nicość inteligencji twórczej, zastygłej w skorupie problematyki sprzed trzydziestu lat.

Inteligencja ta jakby w ogóle nie zauważyła, że przez minione trzydziestolecie wyrosło pokolenie, które przejmuje się nie jeremiadami powieściopisarza Anatola Rybakowa z powodu stalinowskich represji w latach trzydziestych, nie cierpieniami jego kolegi Władimira Dudincewa z powodu zaszczutych przez łysenkowców przeciwników naukowych, a już na pewno nie kolejnymi poetyckimi wygibasami Jewgienija Jewtuszenki, lecz naczelnym pytaniem naszych niepięknych, choć żarliwych czasów: co się z nami właściwie stało i jak doszliśmy do takiego stanu?

Cóż łatwiejszego niż za wielkodusznym pozwoleniem władz przelewać łzy nad niewinnie straconymi bolszewikami jak Trocki, Bucharin, Tuchaczewski i inni bohaterowie wojny domowej, ubolewać nad zagładą wielkiego uczonego Nikołaja Wawiłowa, ze zgrozą wspominać sprawę lekarzy-trucicieli, czy po raz enty załamywać ręce nad rozpadem rosyjskiej wsi. Znacznie trudniej pisać, ile niewinnej krwi przelali bolszewicy, zanim sami padli ofiarą Stalina, dlaczego wielu spośród lekarzy-trucicieli na długo przed własnym nieszczęściem pogrążało w charakterze ekspertów i świadków oskarżenia swoich byłych profesorów podczas procesów lat trzydziestych i jaką rolę odegrało nasze chłopstwo w rozbijaniu (zwłaszcza po rewolucji lutowej) państwa rosyjskiego.

Dopóki literatura nasza nie odpowie — jeśli nie społeczeństwu, to chociażby samej sobie — na wszystkie te „przeklęte pytania", będzie skazana na zaspokajanie pragmatycznych potrzeb oficjalnej propagandy, w całkowitej zgodzie z kolejnymi uchwałami kolejnych zjazdów partii.

Nie przypadkiem obecnej epoce „jawności, przebudowy i przyspieszenia" przewodzą ci sami ludzie, którzy zawsze w naszym kraju szli na czele postępu, wysławiali zagospodarowywanie ugorów, obsadzanie bieguna północnego kukurydzą, sukcesy w Kosmosie i geniusz literacki Leonida Breżniewa, opluwali Andrieja

Sacharowa i przeklinali Aleksandra Sołżenicyną. Jestem przekonany, że kiedy nadejdzie stosowna godzina, wezmą się do grzebania obecnej odwilży z takim samym zapałem, z jakim dziś przysięgają jej dozgonną wierność.

Ale jestem też głęboko przekonany, że wcześniej czy później usłyszymy odpowiedź na pytania, o których wyżej mówiłem. Tak ogromny kraj o takiej historii nie może nie wydać talentów na swoją miarę. Pamiętam jeszcze, jak bez mała piętnaście lat temu, rozstając się ze Związkiem Pisarzy Sowieckich, napisałem w pożegnalnym oświadczeniu:

„...u końca drogi ogrzewa mnie wiara, że na nieprzebytych przestrzeniach naszego kraju, przy nowoczesnych żarówkach, przy lampach naftowych i kopciłkach, siedzą chłopcy, którzy pójdą naszym śladem. Siedzą i marszcząc sokratesowe czoła piszą. Piszą! Być może nie im jeszcze będzie dane odmienić odrażające oblicze rzeczywistości (zresztą literatura nie stawia sobie takich celów), nie wątpię jednak, że nie pozwolą oni cichcem pogrzebać swojego państwa, jakby się o to nie starali duchowi grabarze wszelkich maści i odcieni".

Przekonanie to zachowałem po dziś dzień. Wierzę, że bliski jest dzień, w którym rosyjski czytelnik stanie w obliczu pisarza, na którego czeka i który odpowie mu na wszystkie dręczące go „przeklęte" problemy współczesności. Niejeden taki pisarz się narodzi. Jakże mizerne i nędzne wydadzą się nam wówczas — wierzcie mi — dzisiejsze obrachunki sowieckich działaczy na niwie literatury z „kultem jednostki", ich łzawe wypociny na temat niewinnych rosyjskich wieśniaków i mózgowe wypracowania na tematy chrześcijańskie, jakie spływają z topornych piór niektórych zabawiających się literaturą partyjnych członków nomenklatury.

Ale droga takiego pisarza do czytelników nie będzie łatwa. Nie tylko dlatego, że stać będzie między nim a nimi totalitarny system z jego wszechobecnym aparatem ucisku — przykład Sołżenicyna dowodzi, że tę przeszkodę można pokonać. O ileż trudniej — świadczy o tym los tego samego Sołżenicyna — będzie pokonać opór nie tylko własnego, ale i zachodniego *establishment*'u. Na przestrzeni niemal całych siedemdziesięciu lat istnienia totalitarnego monstrum pewna dość wpływowa część zachodniej elity umysłowej robiła wszystko, co mogła, by wybielać jego zbrodnie: pucz październikowy, głód na Powołżu i Ukrainie, przymusową kolektywizację, procesy moskiewskie, antysemickie orgie końca lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych. Rozczulająca wierność wobec własnych mrzonek zawsze była im droższa, niż cudza krew.

Niestety, po lekkim otrzeźwieniu po Budapeszcie i Pradze, Sacharowie i Sołżenicynie, Afganistanie i „Solidarności", znów ogarnęła ich anielska euforia wobec zadekretowanej przez władze *głasnosti* w Związku Sowieckim. Nareszcie można odzyskać utracony duchowy i uczuciowy komfort!

Spotkania, konferencje i zjazdy odbywają się jedne za drugimi. Wino się leje strumieniami, znakomite zakąski bez ograniczeń, toasty jeden wznioślejszy od drugiego. Intelektualni oportuniści, by nie nazwać ich gorzej, bratają się ekumenicznie na oczach całego świata. Boże, jak to przypomina koniec „Folwarku zwierzęcego" Orwella! Były angielski pisarz całuje się z byłym sowieckim szpiegiem, pracownik Departamentu Stanu ściska agenta KGB, czołowy amerykański recenzent telewizyjny głównego sowieckiego dezinformatora, francuski członek episkopatu dostojnika z KC PZPR. Co ich obchodzi Afganistan, co ich obchodzi Polska, co ich wreszcie obchodzi los stu czternastu narodów i narodowości imperium sowieckiego? Ślepcy i pożyteczni idioci wszystkich krajów, łączcie się!

Daleki jestem od myśli, że literatura jest powołana i zdolna do naprawy świata, zwłaszcza świata współczesnego, śmiertelnie porażonego, jeśli można się tak wyrazić, moralnym *AIDS*, ale jestem głoboko przekonany, że literatura jest wieczna, a póki istnieje literatura, człowiek zdolny jest stawiać opór. Dlatego pozwolę sobie powiedzieć na zakończenie, parafrazując lekko Kartezjusza:

Myślę, więc stawiam opór!

Władimir MAKSIMOW

Czy warto opłakiwać związki twórcze?

Jest mi przykro wobec cenionego pisarza, jakim jest Jan Józef Szczepański, ale lektura jego książki pt. „Kadencja", będącej zapisem rokowań ostatniego, demokratycznie wybranego w końcu 1980 roku Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich z władzami o niedopuszczenie po stanie wojennym do rozwiązania Związku — pozostawiła mnie chłodną. Nie odczuwałam solidarności z pełnymi zapamiętania wysiłkami pisarzy na rzecz utrzymania Związku ani też żalu, kiedy władze go zlikwidowały.

Zarówno recenzenci z prasy niezależnej jak i ci z oficjalnej ustosunkowali się wyłącznie do słuszności racji wytaczanych przez obie układające się strony przeciwko sobie. Recenzenci opozycji — potępiali makiawelizm strony rządowej, recenzenci prasy rządowej — makiawelizm działaczy ZLP, z jego prezesem J. J. Szczepańskim na czele. Nie poddano jednak w wątpliwość, czy w ogóle Związek wart był tego zaangażowania sił i uczuć.

Alina Grabowska z „Wolnej Europy", poświęcając parę audycji „Kadencji" stwierdziła, że jest ona chcąc nie chcąc — zbiorowym portretem władzy. Oczywiście, rozumiemy się, haniebnym. Ale przecież władza, jaka jest, każdy widzi od dawna. Natomiast daje nam „Kadencja" (chcąc nie chcąc) — portret środowisk twórczych w socjalizmie. Tak dalece zindoktrynowanych przez system, że nie wyobrażają już sobie, aby można było istnieć i pracować bez Związku.

ZLP odegrał szczególną rolę w historii powojennego pisarstwa polskiego. Żaden związek twórczy nie miał takiego wpływu na to, co powstaje w jego branży, jak właśnie on. Żaden nie był poddawany takim zabiegom indoktrynacyjnym przez komunistów. Wynikało to z wagi, jaką przywiązywali oni do roli literatury w sowietyzacji narodu, a także z faktu, iż literaci, uprawiając swoją twórczość głównie w domu, byli osiągalni dla tej indoktrynacji z trybuny związkowej.

Związek Literatów Polskich był tuż po wojnie kontynuacją przedwojennego związku zawodowego literatów (ZZLP), który miał charakter syndykalny: bronił interesów zawodowych pisarzy, dbał o etykę zawodu, walczył o swobodę artystycznego działania. Ale nie był głuchy na sprawy obywatelskie, zabierał w nich głos, występując np. przeciw przejawom nacjonalizmu.

Taki też charakter miał związek tuż po wojnie. Zmieniło się to z narastaniem stalinizmu w Polsce. Punktem zwrotnym stał się pamiętny IV Walny Zjazd ZLP w Szczecinie w 1949 roku, kiedy to związek zawodowy został uznany za związek twórczy. Niby nie tak to ważne, ale...

Na wzór sowiecki. W ZSSR uchwałą KC WKP(b) z 23 kwietnia 1932 roku zlikwidowano wszystkie ugrupowania artystyczne (wśród nich RAPP — Rosyjskie Stowarzyszenie Pisarzy Proletariackich). Na ich miejsce powołane zostały związki twórcze. Dla literatów — Związek Pisarzy Sowieckich. Nie związek zawodowy, ale twórczy. Pozwala to dodać do dwóch zasadniczych funkcji związku zawodowego — ekonomicznej i prawnej — funkcję trzecią, ideologiczno-polityczną, która staje się dominująca.

Podobnie dzieje się w polskiej kulturze, i o to samo chodzi. W miejsce różnorodnych ugrupowań artystycznych i związków zawodowych — scentralizowane związki twórcze. Dziennikarzy (Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich), plastyków (Związek Polskich Artystów Plastyków), stowarzyszenia kompozytorów, filmowców, architektów.

Ujęcie twórczości kulturalnej w te scentralizowane struktury umożliwia sterowanie nią i kontrolę. Czyni to armia partyjnych i ministerialnych aparatczyków z Wydziałem Kultury Komitetu Centralnego PZPR na czele. Dla prasy — Wydziałem Prasowym KC. Do tego obrastają związki twórcze własną machiną administracyjną: otrzymują reprezentacyjne gmachy z tabunem urzędników, służbowymi samochodami. Najlepiej się ma pod względem tej reprezentacji chyba SDP. Rośnie liczba funkcjonariuszy związkowych. Z „Kadencji" można się dowiedzieć, że w ostatnich latach zarząd główny ZLP liczył 33 członków, 4 wiceprezesów no i prezesa. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze funkcjonariusze partyjni związków, bo partyjny pion jest co najmniej tak ważny jak „samorządowy". Jest równie ważne, kto jest prezesem związku (przynajmniej w ZLP) jak i to, kto jest w nim sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej. Ta dwuwładza istnieje przez cały czas.

Jak to naprawdę było, kapitalnie dokumentuje opublikowany w 1986 roku w warszawskim piśmie *Poezja* skrót protokołów zebrań sekcji poezji ZLP z lat 1950-1954. Na tych zebraniach brutalnie krytykowano wiersze najznakomitszych poetów pod kątem artystycznym i politycznym, czyniąc z tego artystycznego sprawę bardzo polityczną. Pouczano, potępiano „schorzenia" ideologiczne twórców, aktywizowano, narzucając poetom nawet tematy. Na przykład zobowiązano każdego do dostarczenia w ciągu 2-3 miesięcy mobilizującej pieśni masowej. Jest to ogromnie ciekawy tekst (pisała o nim w paryskiej *Kulturze* nr 5/1987 Maria Danilewicz Zielińska), pełen smakowitych kąsków, bo z nazwiskami i to najwspanialszymi. Smakowitych, jeśli zapomnieć, jak to wszystko owiane było grozą.

ZLP jest trybuną i narzędziem ideologicznej ofensywy partii, jego zadaniem jest „wspieranie socjalizmu". Istnienie Związku, a może nawet historię powojennej literatury polskiej, wyznaczają kolejne zjazdy. Pisze o tym sporo autor „Kadencji". O zjazdach, odbywanych hucznie, z udziałem prominentów partyjnych. Na zjazdach tych instruuje się pisarzy, co i jak mają pisać, karci i poucza. Robi to nie tylko biurokracja partyjna, ale i sami pisarze, ci najwspanialsi.

„Uczymy strachu, cynizmu, nieczułości" — powie Andrzej Braun na ostatnim, walnym Zjeździe ZLP w końcu 1980 roku („Kadencja").

Koncentruję się na ZLP, ale dotyczy to przecież wszystkich związków twórczych.

Że model związków twórczych był pociągający dla totalitarnych rządów, świadczy fakt, że podobna struktura powstała w dwa lata po sowieckiej — w hitlerowskich Niemczech. Uchwałą z 13 marca 1933 roku uległy likwidacji wszystkie stowarzyszenia i ugrupowania artystyczne (m.in. Bauhaus), a na ich miejsce powołano scentralizowane struktury. Ministerstwo Ludowej Oświaty i Propagandy z Goebbelsem na czele wyłania z siebie izby, zrzeszające twórców. Izba literatury, izba sztuki, muzyki, teatru.

Izba Sztuki *(Kunstkammer)* zrzesza wszystkich malarzy, rzeźbiarzy, grafików, projektantów przemysłowych, którzy chcą wykonywać zawód. Niezrzeszeni nie mogą otrzymywać zamówień, wystawiać prac, sprzedawać ich, kupować materiałów.

Kopia Związku Plastyków Sowieckich

Wracając do polskich twórców, trzeba przyznać, że idea związku twórczego była środowiskom miła, akceptowaliśmy ją (ja, należąc od 1960 roku do SDP), bo podnosiła prestiż zawodu, przed wojną ponoć pośledni. Pisarza, dziennikarza, malarza, aktora. Teraz czujemy się ważni, potrzebni, czujemy się elitą kulturalną i także społeczną. Naród traktuje nas jako część *establishment*'u. Z okazji Walnego Zjazdu ZLP w końcu 1980 roku J. J. Szczepański pisze w „Kadencji": „Duch elitaryzmu, duch izolacji uleciał z sali obrad. Po raz pierwszy przedstawiciele społeczności pisarskiej mieli wyraźne poczucie łączności z narodem".

A poza tym — tak łatwo stać się teraz twórcą. Nieudacznicy też mogą mieć wpisane w dowodzie osobistym: pisarz, dziennikarz, artysta-malarz. Na podstawie przynależności do związku. Aby zostać członkiem ZLP, wystarczy przedstawić dwie wydane, na pewnym poziomie, książki. Ale kryteria są płynne, bardziej liczy się zaangażowanie polityczne autora. Oczywiście poza tymi bezdyskusyjnymi. Często wystarczają tylko dobre chęci, bo instytucja koła młodych czy kandydatów pozwala np. wejść do ZLP autorowi jednej noweli czy wiersza, gdzieś tam wydrukowanego, np. w almanachu młodych; ale znów dla niektórych poprzeczkę podnosi się i z powodów rzekomo artystycznych nie przyjmuje, mimo że kandydat wydał kilka dobrych książek. Tak się działo np. po 1968 roku. Równie łatwo było stać się członkiem SDP czy ZPAP.

Ten ostatni był najpotężniejszym związkiem twórczym, liczył pod koniec swego istnienia 13 tysięcy członków. O paradoksie!, przy tak nędznej kulturze plastycznej kraju. Ta liczebność płynęła stąd, iż ZPAP zrzeszał wszystkie specjalności plastyczne, poza tym do związku zapisywano automatycznie po ukończeniu akademii. Zapisywali się wszyscy, bo niezrzeszony nie miał prawa otrzymywać zamówień, kupować materiałów do uprawiania sztuki, wystawiać swoich prac i sprzedawać. Pozostawał poza stypendiami, nagrodami, zakupami muzealnymi, przydziałami mieszkań, samochodów.

Jan Cybis w „Notatkach malarskich" odnotowuje swój sprzeciw wobec inicjatywy ZPAP ograniczenia prawa sprzedaży prac przez artystów niezrzeszonych. Sprzeciw był bezskuteczny. Pisze

on: „... Związek Polskich Artystów Plastyków jest istotnie skupiskiem astronomicznym. W tej chwili główną troską tego skupiska jest uzyskanie w Sejmie ustawy o ochronie zawodu plastyka. Sejm odrzuca podobno ten postulat jako przeżytek średniowieczny. Nie można nie przyznać mu racji. Skutki bowiem byłyby takie, że obywatel nie miałby prawa kupienia sobie tego, co mu się podoba. Nikifor nie miałby prawa uważać się za malarza, ponieważ A. wyrzucił go ze Związku..., nawet słowik nie miałby prawa uważać, że śpiewa, ponieważ nie jest śpiewakiem zawodowym, natomiast cztery tysiące knociarzy mogłoby grasować bardziej jeszcze bezkarnie niż dotąd i oddawać się ubijaniu kolegów zdolniejszych, czym się starannie zajmują. Patrz składy zarządów, komisji artystycznych itd. Tło tych spraw to walka między rzezimieszkami związkowymi i nie zrzeszonymi amatorami...".

Cybis odnotowuje też, jak uzależniony był ZPAP od czapy partyjnej: „... Męcząca długa rozmowa z referentem KC od spraw plastyki Bojko na tematy organizacyjne w związku ze Zjazdem Plastyków". Nie inaczej było w innych związkach. Znów Cybis: „Związek Kompozytorów obejmuje tylko 150 członków, sytuacja jest podobna do naszej... W tej samej organizacji, powstałej z zarządzenia, znaleźli się ludzie tego samego co prawda zawodu, ale którzy by się dobrowolnie nigdy nie zeszli".

Ogromnie ważnym nurtem działalności związków jest reprezentacja. Rok w rok podpisywane są umowy o współpracy i wymianie z tzw. bratnimi związkami twórczymi. Pozwala to obdarzonym zaufaniem partii działaczom związkowym na nieustające podróżowanie i reprezentowanie, zacieśnianie współpracy, głównie biesiadując. Doskonale to widać z opublikowanych dzienników byłych funkcjonariuszy związkowych, m.in. Putramenta.

Reprezentacja była szczególnie mocną stroną SDP. Doktrynersko-kontrolna funkcja SDP była mniejsza niż np. ZLP, choć była, oczywiście. Ale to nie zasługa Stowarzyszenia, uchowaj Boże, lecz samej partii, Białego Domu. Kierowanie prasą nie musiało odbywać się z trybuny Stowarzyszenia, gdyż niemal wszyscy dziennikarze byli zatrudnieni w redakcjach. Biały Dom organizował odprawy, na które wzywał szefostwo redakcji i czołowych publicystów. Czasem czołowi funkcjonariusze partyjni przybywali osobiście na spotkania z zespołami bardziej upolitycznionych redakcji.

Dlatego, jeśli chodzi o SDP, to mniej pretensji można doń wnosić o to, co robił, a więcej o to, czego nie robił, a co było jego psim obowiązkiem. Nie wspierał więc czasopism, które partia skazała na likwidację jako nieprzydatne systemowi, mimo że czytelnicy uganiali się za nimi. Nie walczył o nakłady dobrej prasy w sytuacji, gdy rozdęte były nakłady prasy upartyjnionej.

Nie przeciwstawiał się omnipotencji cenzury i listom proskrypcyjnym. Nie bronił prześladowanych dziennikarzy, nie starał się o zatrudnienie dziennikarzy pozbawionych pracy z wyroku władzy.

Lata 1954-1956 odmieniły w dużym stopniu świadomość twórców, a więc i związki twórcze. Presja ideologiczna przez nie wywierana zelżała, pisarze buntowali się przeciw roli policjanta, sprawowanej przez związki. Ale wybrani do zarządów na fali odwilży nowi ludzie zostali wkrótce wymanipulowani na korzyść „swoich".

„... W wypadkach, gdy zdawało się, że dominacja partii jest zagrożona, nie wahano się sięgać po argumenty, nie mające już nic wspólnego ze statutem ani z demokracją. Na Walnym Zjeździe w Poznaniu, w 1975 roku, miał miejsce jeden z takich incydentów. Po zamknięciu dosyć burzliwej dyskusji i przed przystąpieniem do wyborów, pojawił się niespodziewanie na mównicy Andrzej Wasilewski, przewodniczący zjazdowej Komisji Matki i surowym tonem ostrzegł delegatów, że od sposobu, w jaki będą głosować, zależą ich umowy wydawnicze i posady" — pisze J. J. Szczepański w „Kadencji".

Do lata 1980 roku w ZLP i innych związkach twórczych panowała niezmienna atmosfera podporządkowania władzy. Dopiero sierpień 1980 odmienił sytuację w związkach: naprawiano ludziom najbardziej krzyczące krzywdy, wybierano demokratycznie nowe zarządy, przyrzekano nie poddawać się nigdy więcej zniewoleniu.

Ale taka odnowa — jak wiemy i o czym wspomniałam wyżej — była już brana ćwierć wieku wcześniej. Po czym stare wracało. Choć poprzeczkę przyzwoitości umieszczano trochę wyżej. Czy były jakieś gwarancje, że teraz sytuacja się nie powtórzy? Chyba nie, można się było obawiać, że po pewnym czasie funkcjonariusze związkowi znów dadzą się skusić kompromisami. Wiadomo, że stare struktury oporne są wobec nowych idei. Dlatego przecież jesienią 1980 roku robotnicy nie chcieli już naprawiać starych związków, lecz tworzyli nowe.

Chyba więc nie warto żałować tych naszych. Bądźmy raczej wdzięczni generałowi, że nas uwolnił od tego balastu. Ten chwalebny okres solidarnościowy ZLP, ZPAP, SDP to przecież zaledwie epizod w ich długiej karierze. Prawie czterdziestoletniej! Bywały w niej okresy gorsze i lepsze, podnoszenia głowy, ale przyznajmy — te lepsze nie były zasługą związków. Demokratyzowały się one dopiero pod wpływem zaistniałych faktów politycznych.

Mimo więc tej ostatniej bohaterskiej kadencji bilans jest raczej ujemny. Nie załatwiły nic dla kultury narodowej, skoro w każdej jej dziedzinie — z małymi wyjątkami — wleczemy się w ogonie

Europy. W czytelnictwie książek, rozwoju prasy, kulturze plastycznej, liczbie kin. Powodowały też zamykanie się twórców w gettach środowiskowych jak nigdzie na świecie. Nastąpił zanik więzi poziomych, które łączyłyby różne warstwy i zawody i były inspirujące dla obydwu stron.

Można więc przypuszczać, iż kultura nie potrzebuje zrzeszania się w tak mocnych związkach. Ten, kto obcuje z zachodnimi dziennikarzami, literatami, malarzami przyzna, iż związki w ich życiu nie odgrywają prawie żadnej roli, w ich prasie nie ma śladu ich istnienia. W naszej — wciąż pełno dyskusji o nich.

Że scentralizowane związki twórcze nie służą sztuce, zdali sobie sprawę już chyba z dziesięć lat temu plastycy. Pragnienie oddzielenia się od ZPAP narastało w pewnych grupach od dawna. W czasie „Solidarności" odbyły się nawet zebrania założycielskie nowych ugrupowań, np. własne stowarzyszenie chcieli mieć projektanci, graficy, rzeźbiarze. Próby te były jednak potępiane przez aktyw ZPAP jako rozbijanie Związku od wewnątrz, sugerowano nawet, że są sterowane zewnętrznie, aby podzielić Związek i osłabić go. Część secesjonistów urzeczywistniła swój plan po stanie wojennym, ale rzeczywiście nie był to dobry czas na to, zostali zbojkotowani.

Jerzy Puciata, prezes rozwiązanego ZPAP, wybrany w maju 1980, nie żałuje swojego Związku. Ocenia go w wywiadzie udzielonym *Tygodnikowi Mazowsze* (nr 206) krytycznie. Jakaś organizacja środowiskowa byłaby może potrzebna — mówi — ale o charakterze zawodowym, dla ochrony interesów plastyków.

Natomiast Andrzej Skoczylas, prezes powołanego przez władze po rozwiązaniu ZPAP nowego związku plastyków oświadczył niedawno, iż uważa rozwiązanie ZPAP za chybione. Wystarczyło — jego zdaniem — zmienić strukturę. W ten sposób nowy, niepopularny związek kokietuje znaczących artystów oraz młodych, którzy go bojkotują. Skoczylas, niczego się nie nauczywszy z niedawnej przeszłości, śni o jednym, w dawnym stylu związku twórczym, który „byłby elementem ideowej, historycznej koncepcji ustrojowej i jego członkowie mieli swój udział w tworzeniu pożądanego społecznie systemu wartości".

Nie, dość. Posłannictwo społeczno-ustrojowe związków już braliśmy. Dość związków twórczych, które „wytyczają kierunki rozwoju kultury polskiej", sterują poczynaniami środowisk. Tylko prawo do własnego, nieskrępowanego lotu daje bogactwo sztuki, literatury, dziennikarstwa. Bez ekscytowania się, kto będzie prezesem, co uchwali zjazd. Różnorodność. Także ugrupowań, klubów, stowarzyszeń, fundacji. Powstających nie z namaszczenia władz, ale z potrzeby twórców. Pluralistyczny model kultury wymaga pluralistycznych organizacji, powstających oddolnie.

I odrzućmy argumenty, że szkoda ZLP, SDP czy ZPAP, bo

mają 60-letnią tradycję. To przecież nieprawda. Traktowanie powojennych związków jako kontynuacji przedwojennych związków zawodowych było potrzebne władzy i działaczom związków dla uwiarygodnienia ich. Ale było to nadużycie.

Kończę historyjką z życia Josifa Brodskiego, przypomnianą w związku z przyznaniem mu nagrody literackiej. Nobla. Kiedy stanął w 1963 roku przed sądem sowieckim, oskarżony o pasożytniczy tryb życia, sędzina zapytała go o zawód.

— Poeta — odpowiedział oskarżony.

— Poeta? A należy do Związku Poetów Sowieckich? — pyta sędzina.

— Nie.

— No to skąd poeta?

— Od Boga — odpowiedział Josif Brodski.

Teresa KUCZYŃSKA

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222
GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Nagrody "Kultury" za r. 1987

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: RENATA GORCZYŃSKA

W roku 1983 ukazała się książka Ewy Czarneckiej (Renaty Gorczyńskiej) *Podróżny świata,* dwadzieścia pięć rozmów z Czesławem Miłoszem plus trzynaście komentarzy autorki (wydano ją później po francusku i po angielsku w Stanach Zjednoczonych). Nawet dziś, gdy rośnie z dnia na dzień ilość studiów krytycznych o Miłoszu i wywiadów z nim, można śmiało uznać książkę Gorczyńskiej za najlepszy portret i autoportret laureata nagrody Nobla (nawiasem mówiąc, Gorczyńska pisała swoją książkę przed przyznaniem mu tego wysokiego wyróżnienia). Uderzała przede wszystkim sztuka prowadzenia rozmowy nie konwencjonalnej, nie banalnej, dociekliwej, nie unikającej tematów kontrowersyjnych: wystarczy wskazać przykładowo podjętą przez parę rozmówców próbę spojrzenia po latach na *Zniewolony umysł.* Odnosi się często wrażenie, czytając *Podróżnego świata,* że Miłosz sam dzięki celnym i inteligentnym pytaniom i reakcjom Gorczyńskiej uświadamia sobie lepiej, ostrzej istotę swojej twórczości i swojej osobowości. W coraz popularniejszym ostatnio — nie tylko zresztą wśród Polaków — gatunku „rozmów z pisarzami" trudno o większą pochwałę „konwersatorskich" talentów Gorczyńskiej.

Rzecz jasna, by takie „rozmowy z pisarzami" móc dobrze prowadzić, trzeba być dobrym krytykiem literackim. Wrażliwego, dojrzałego już krytyka literackiego odsłaniają wyraźnie komentarze własne Gorczyńskiej do rozmów z Miłoszem. Bez nich *Podróżny świata* nie zasługiwałby na określenia — użyte przez samą autorkę w słowie wstępnym — „monografii Miłosza" i „wprowadzenia do jego twórczości". Gorczyńska ma doskonały „słuch" poetycki, o czym świadczą jej analizy wierszy Miłosza. Doskonale też „odczytuje" prozę. Tytuł, znowu dla przykładu, jej komentarza o *Dolinie Issy* — „Baśń o nieśmiertelności" —

wydaje się uderzająco trafny. Nie najmniej ważną zaletą jej komentarzy jest wreszcie ich jasność i czytelność, wolna od nałogów „polonistycznej" dłubaniny. W *Podróżnym świata* Miłosz zostaje doprawdy przybliżony czytelnikowi, nie ma w książce Gorczyńskiej tak częstej u krytyków Miłosza skłonności do popisywania się zawiłym i hermetycznym „aparatem krytycznym", który usiłuje stworzyć wokół niego aurę „poety dla wybranych i wtajemniczonych".

Cechy czujnego i bystrego krytyka literackiego widać również w ostatnich szkicach Gorczyńskiej, drukowanych w *Kulturze:* o Straszewiczu i Gombrowiczu, „dwóch panach na Chrobrym", o książce Rymkiewicza *Żmut,* o Januszu Głowackim i Zygmuncie Haupcie; wzorową próbką jej znajomości literatury amerykańskiej jest szkic o twórczości Erskine'a Caldwella.

Tegoroczna nagroda literacka *Kultury* przypada pisarce, której rozwój śledzić będziemy z najżywszym zainteresowaniem.

NAGRODA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: JAKUB KARPIŃSKI

Socjologię Jakuba Karpińskiego (znanego polskim czytelnikom również jako Marek Tarniewski[1] i pod kilkoma jeszcze innymi pseudonimami) należy umieścić na linii takich klasyków socjologii prawdziwie naukowej a jednocześnie zaangażowanej jak Max Weber, Edward Shils i Stanisław Ossowski. Nie popadając w niepotrzebny socjologiczny żargon, nie poddając się ani przejściowym politycznym modom i presjom, ani nawet własnej pasji politycznej, Karpiński od wielu już lat[2] w swoich emigracyjnych artykułach i książkach oraz w licznych publikacjach krajowych drugiego obiegu daje nam jasno sformułowane, spokojne diagnozy strukturalnych przemian w aparacie władzy PRL i społeczeństwa polskiego. Ważnym aspektem jego socjologicznej publicystyki (która na pewno spotkałaby się z aprobatą patrona tej nagrody Juliusza Mieroszewskiego) jest również korygowanie mylnych diagnoz. Jakub Karpiński na przykład od dłuższego już czasu cierpliwie wyjaśnia po polsku, francusku, angielsku[3], jaka jest

1. Marek Tarniewski, „Ewolucja czy rewolucja" (1973); „Krótkie spięcie" (1977); „Płonie komitet" (1979).
2. Jakub Karpiński jest na emigracji od roku 1978.
3. Najważniejsza z jego książek o ruchach opozycyjnych i przemianach strukturalnych w Polsce wydana została w Stanach Zjednoczonych w 1982 roku pt. *Countdown.*

różnica między dysydentami, rewizjonistami a coraz bardziej rosnącą demokratyczną opozycją w Polsce. Równie cierpliwie tłumaczy zachodnim ekspertom od tak zwanej „Europy Wschodniej", czym różnią się dążenia do politycznych i społecznych reform od aspiracji niepodległościowych. Takie korygowanie mylnych, pośpiesznych, ideologicznie zamglonych diagnoz jest bardzo trudnym zadaniem dla socjologa nie związanego z żadnym środowiskiem i z żadną instytucją, socjologa wędrującego z kraju do kraju. Na pewno niełatwo mu stwierdzić, że choć system komunistyczny narzucony był Polsce przez Związek Sowiecki, to jednak od dnia 13 grudnia 1981 roku widać, że i polskie wojsko, i policja i góry polskiej partii komunistycznej gotowe są do obrony tego narzuconego systemu[4].

Nie tylko jednak jego odwaga cywilna, wiele razy wypróbowana[5], pomaga Karpińskiemu w walczącej publicystyce. Ważne jest również jego szerokie, wielostronne wykształcenie[6], doskonała znajomość niezafałszowanej politycznej historii Polski, jej kultury i ustroju ekonomicznego.

Dla wiarygodności tak niezależnego jak Karpiński socjologa ważny jest również fakt, że wykładał nie tylko na Uniwersytecie Warszawskim i na Latającym Uniwersytecie w podziemiu, ale również na amerykańskich i francuskich uczelniach. Zna dobrze akademickie środowiska kilku krajów i rozproszone po świecie nieakademickie środowiska polskich i niepolskich przeciwników komunizmu, które zapraszają go na odczyty.

Mimo powagi, nawet pewnej surowej oschłości, socjologiczna publicystyka Karpińskiego niepozbawiona jest ostrego poczucia humoru[7] spokrewnionego z humorem Gombrowicza, Mrożka, Barańczaka, humoru łatwo czytelnego dla młodych zachodnich intelektualistów.

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: JAN CHODAKOWSKI

Przyjaźń zaczęła się wiele lat temu. Jan Chodakowski należał do tej grupy młodych Polaków w Londynie, którzy — choć uro-

4. „Polish Intellectuals in Opposition", *Problems of Communism,* Jul.-Aug. 1987, str. 44.
5. Był jednym z „autorów intelektualnych" 1968 roku. Spędził przeszło dwa lata w więzieniu.
6. Magisterium z filozofii, doktorat z socjologii.
7. Ten humor najbardziej widoczny jest w książce „Polska, komunizm, opozycja" (1985).

dzeni na obczyźnie, wychowani w angielskich szkołach i wykształceni na angielskich uniwersytetach — zachowali związek z polskością, nie przestali interesować się polskimi sprawami, zapoznawali się z historią Polski i jej literaturą. Dla licznych Polaków z tego pokolenia *Kultura* stała się szybko naturalnym punktem odniesienia. Wśród nich dla młodego architekta Chodakowskiego. Był pilnym czytelnikiem naszego miesięcznika i naszych książek, odwiedzał często nasz dom w Maisons-Laffitte, uczył się od nas (jak sam kiedyś wyznał). Proces wiązania się z polskością młodych Polaków w Londynie nabrał szczególnej intensywności, gdy ich rówieśnicy w Kraju stworzyli nowy kościec opozycji, dotychczas milczącej i biernej na ogół, nadali jej nowy ton i nową treść. Niech wolno tu będzie wtrącić wspomnienie o wielogodzinnej rozmowie w Maisons-Laffitte, gdy po stronie młodych siedziała trójka: Joanna Jaraczewska (obecnie Onyszkiewiczowa), Adam Michnik i Jan Chodakowski.

Przyjaźń zamieniła się niebawem we współpracę, konkretną i coraz żywszą. Chodakowski objął najpierw kierownictwo *Pulsu* i do czasopisma dobudował edycje książkowe, a potem kierownictwo *Polonia Publishing House*. Rzutki, energiczny, wiecznie zabiegany i zapracowany, obdarzony talentem organizacyjnym, z każdym dniem lepiej obeznany z problematyką polską, krajową i emigracyjną, zawiesił całkowicie na kołku swój zawód architekta, aby bez reszty poświęcić się polskiej działalności edytorskiej. W tym charakterze umocnił i wciąż umacnia więź z *Kulturą*. Istnieje między nami stała wymiana materiałów przysyłanych z Kraju. Cenne też i ważne dla nas jest współdziałanie z kierownikiem *Pulsu* i *Polonii* na corocznych Targach Książki w Frankfurcie.

Przypieczętowaniem, wymownym i wzruszającym, naszej przyjaźni i współpracy z Janem Chodakowskim jest wydanie w październiku zeszłego roku w Bibliotece *Pulsu* tomu *O „Kulturze"* w opracowaniu Grażyny i Krzysztofa Pomianów.

LEKARSTWA
BONY DOLAROWE
dewizowe konta bankowe A
HASKOBA Ltd
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

Polemiki

O Komitecie Kultury Niezależnej

Artykuł Bogdana Stasikowskiego „Komitet Kultury Niezależnej — wątpliwości" wywołał ożywioną dyskusję. Niestety z braku miejsca nie możemy zamieścić wszystkich polemik, tym bardziej, że zawierają one te same argumenty, a w zamieszczonych musieliśmy dokonać pewnych skrótów, usuwając z tej dyskusji zbyt ogólne sformułowania i niepotrzebne połajanki.

Przy okazji odnotowujemy z przyjemnością elementy poprawy. Ukazał się pierwszy numer *Informatora Międzywydawniczego*, wydawanego przez Konsorcjum Niezależnych Wydawnictw.

REDAKCJA

ODPOWIEDŹ BOGDANOWI STASIKOWSKIEMU

We wrześniowym numerze *Kultury*, w dziale „Wolna Trybuna", Bogdan Stasikowski pisze o swoich „wątpliwościach" na temat działalności Komitetu Kultury Niezależnej (KKN). W rzeczywistości jest to atak na KKN, w którym zawarte są fałszywe informacje i nieuzasadnione pretensje. Muszę zatem, jako reprezentant OKN (w którego skład wchodzi między innymi KKN) sprostować fałsze i wykazać, że pretensje są istotnie nieuzasadnione. Zrobię to, dla jasności wywodu, w punktach, które będą odpowiedzią na kolejne zarzuty p. Stasikowskiego.

1. Zdaniem Stasikowskiego KKN dysponuje pieniędzmi „niejawnie". Istotnie, KKN prowadzi działalność podziemną. Natomiast bardzo dokładnie rozlicza się przed fundacjami, od których pochodzą pieniądze na działalność. W przypadku NED takie sprawozdanie jest informacją publiczną. W kraju KKN rozliczał się

przed TKK, a obecnie kontrolowany jest przez przedstawicieli środowisk twórczych (nazwisk nie podam). Jestem osobiście zdania, że budżety organizacji niezależnych powinny być podawane do wiadomości publicznej (z zachowaniem odpowiedniej ostrożności). KKN nie robi tego bezpośrednio, ale pod tym względem nie różni się od innych.

2. Od czasu amnestii nie ma już wzmianki o honorowym charakterze nagród „Solidarności". Ze zrozumiałych powodów nie będę się wypowiadać na temat sytuacji sprzed amnestii.

3. Trudno jest dyskutować z ogólnym zarzutem „fikcyjności" działalności KKN. O ile dobrze zrozumiałem, Stasikowski uważa, że fikcją jest umowa między OKN i TKK. Stasikowski może uważać, że umowa ta była niepotrzebna, to jego prawo, z całą pewnością nie jest to natomiast fikcja, o czym mogą zaświadczyć zainteresowani. Argument, że i tak „wszyscy jedziemy na jednym wózku" jest niepoważny, przy jego pomocy można by uzasadnić wszystko (włącznie z kolaboracją z reżymem). Uwagi o Wiktorze Kulerskim, który — choć inteligentny — dał się wymanewrować nawróconym (?) działaczom kulturalnym są tak niesmacznym stereotypem, że zanotowawszy, wolę je pozostawić bez komentarza.

4. Jestem upoważniony do oświadczenia, że KKN nigdy nie żądał ujawnienia składu redakcji pisma *Wybór:* znał ten skład. Z kolei KKN wspomaga pisma, których zna działalność, a nie zna składu redakcji. KKN nie prowadzi *żadnej* kartoteki.

5. Sprawa pisma *Wezwanie* została wyjaśniona (przez zdementowanie zarzutów) przez samą redakcję.

6. Następuje w artykule Stasikowskiego cała seria zarzutów, które dadzą się sprowadzić do następujących: KKN powinno być opozycyjnym Ministerstwem Kultury i Sztuki — a nie jest, powinno być opozycyjnym RSW-Prasa — a nie jest, *Kultura Niezależna* nie jest podziemnym *Monitorem*, a powinna być itd. Zdaniem Stasikowskiego KKN powinien zwalczać kicz. Jak? Czyżby powinno wydać w tej sprawie oświadczenie? KKN pełni rolę funduszu, mecenasa..., a nie urzędu, jak tego chciałby pan Stasikowski, któremu chętnie bym zarzucił, że jest skażony przez rzeczywistość komunistyczną, gdyby nie to, że z właściwą sobie logiką zarzuca właśnie to KKN-owi.

7. Pieniądze od szwedzkich LO nie były przeznaczone dla pisarzy, tylko na oświatę.

8. Zasady przyznawania stypendiów są ogólnie znane, przynajmniej w środowiskach twórczych, ale też były wielokrotnie ogłaszane na łamach prasy. Zdanie, że p. Stasikowski nie zetknął się w swoim środowisku z żadną pomocą finansową świadczy albo o tym, że Stasikowski nie jest tym, kim myślę, że jest, albo o tym, że mówi nieprawdę.

9. Nie należy do obowiązków KKN występowanie z żądaniami do państwa: to chyba oczywiste?

10. Przeciwnie do p. Stasikowskiego nie sądzę, że byłoby nieszczęściem, gdyby powstały ciała konkurencyjne w stosunku do KKN i nie rozumiem, dlaczego miałoby dojść do gorszących przetargów i oskarżeń (*nota bene* niektóre z oskarżeń p. Stasikowskiego są gorszące). O strukturach niezależnych działań kulturalnych decydują w końcu sami twórcy. Jest rzeczą oczywistą, że KKN nie mógłby był działać przez prawie sześć lat wbrew życzeniom środowisk twórczych.

Wydaje mi się, że wbrew temu co sam sądzi, pan Stasikowski nie wydostał się z dusznego salonu, w którym przebywa. Pociesza mnie myśl, że skoro nie spotkał nikogo, kto by korzystał z pomocy KKN, nie jest to ten sam „salon", w którym działają moi przyjaciele, których mam zaszczyt reprezentować.

J. P. LASOTA

OPOZYCJONISTA ZSOWIETYZOWANY I SPOŁECZEŃSTWO NIEZALEŻNE

Bogdan Stasikowski zaczyna swój artykuł we wrześniowej *Kulturze* od słów: „Powstanie po wprowadzeniu stanu wojennego Komitetu Kultury Niezależnej zdawało się zapowiadać nie tylko uporządkowanie chaotycznych poczynań różnych środowisk, ale także ich koordynację". (...)*

Ktoś, kto traktuje świat zewnętrzny jedynie jako teren swoich roszczeń i rewindykacji, nie czuje się zań odpowiedzialny. Nasz autor, jako to się często artystom zdarza, nie widzi dalej własnego nosa, to znaczy kulturę utożsamia z literaturą, a szczególnie poezją. Rozżalony brakiem dbałości o jej interesy, stanowczo domaga się, by KKN publicznie rozliczył się z wydatków. Może byłoby to i zasadne, gdyby KKN zajmował się jedynie literaturą, jako że jej obieg jest w całości podziemny. Ale zgoła inaczej ma się rzecz z plastyką, z teatrem, odczytami, sesjami naukowymi, sympozjami kulturalnymi. Na miejscu malarzy i aktorów wolałbym, żeby KKN pod szantażem p. Stasikowskiego się nie ugiął i nie rozpisywał, choćby najogólniej, gdzie i na co wydaje pieniądze. On oczywiście na takie drobiazgi, jak bezpieczeństwo innych dziedzin niezależnej kultury, nie musi zwracać uwagi, jemu na sercu leży wyłącznie „dynamika twórczości poetyckiej". Epatuje nas niezwykle szczegółową wiedzą o salonach, układach i podwójnych przynależnościach, nie wie natomiast rzeczy zasadniczej, takiej oto, że dla dochodzenia krzywd literatury w podziemiu wybrał sobie zły worek treningowy — dwa lata temu

* Artykuł Bogdana Stasikowskiego w numerze 9 *Kultury* z 1987 roku.

całą sprawę wydawnictw i czasopism przejął od KKN Fundusz Wydawnictw (a do tego momentu wszystkie bodaj wymienione przez Stasikowskiego pisma pomoc KKN otrzymały).

Nad działaniem Funduszu Wydawnictw czuwa Społeczna Rada. Złożona jest z ludzi poważnych, jest wśród nich Wiktor Kulerski występujący pod nazwiskiem, czyli łatwo do tej Rady trafić. Ale B. Stasikowski nie wniósł tam skargi na wydawnictwo, które nie chciało drukować pisma, nie zwrócił się o pomoc dla czasopisma, któremu grozi upadek, w ogóle nie przedstawił tam żadnych zastrzeżeń do praktyk wydawniczych. Skąd wiem to z taką pewnością? Ano stąd, że do lata 1987 do Rady Funduszu nie wpłynęła ani jedna skarga. To nie znaczy, że ich nie było, były oczywiście, tylko że składane w ważnych ośrodkach emigracyjnych (dopiero stamtąd jakieś echa docierają do Polski). Zatem — powstała instancja społecznej kontroli nad największymi po związkowych funduszami i nikomu nie przychodzi do głowy zwrócić się do niej. Choćby po to, żeby sprawdzić czy działa.

Stąd emigracja ma taki dziwny obraz działania wszelkich opozycyjnych instytucji. Z jednej strony widzi pisma, książki, katalogi wystaw, lektury studenckie, podręczniki szkolne, kasety video, z drugiej słyszy głównie relacje o nierzetelnościach, zaniedbaniach, nadużyciach, niesprawiedliwych podziałach. Dzieje się tak, bo ludzie normalni, którzy coś robią, chcą swoją działalność chronić, więc za dużo o niej nie gadają. Natomiast dla innych Zachód i emigracyjny słuchacz to cieplarniany ogród, w którym rozkwitają. Tam można opowiedzieć (w poczuciu bezpieczeństwa) wszystkie swoje krzywdy prawdziwe — a szczególnie urojone — tam można wyżalić się na spisek mocnych przeciwko słabym.

Jest często tak, że w gwarze sporów politycznych, w lamentach że brak programu, wśród pytań „co dalej" nie zauważa się lub nie docenia jakiejś powolnej pracy, jakichś przekształceń, zanikania jednych pojęć, rodzenia się innych; nie dostrzega się ważnych zmian, które dokonują się bez wodzów i bez programów. Gdyby ktoś chciał program tego ruchu sformułować, brzmiałby on tak: ponieważ w najbliższym czasie nie wybijemy się na niepodległość, nie odbierzemy państwu gospodarki, nie wywalczymy wolnych wyborów itp., winniśmy zacząć od drugiej strony — wyprowadzić się z peerelu, stworzyć enklawy normalności, w nich nasze własne instytucje, uczyć się ich używać, uczyć się samorządności, samodzielności, niezależności i odpowiedzialności. Uświadomić sobie wszystkie nasze psychiczne, intelektualne uwikłania w komunizm i wyplątać się z nich. Żyć normalnie.

Efekt realizowania w różnych środowiskach i różnych miejscach Polski tego niesformułowanego programu nazywany jest społeczeństwem niezależnym i nie jest to nazwa na wyrost — próba pobieżnego wyliczenia firm, instytucji, grup zorganizowanych uzmysławia olbrzymią rozmaitość jego elementów, bo są to: wydawnictwa, drukarnie, sieci kolportażu, redakcje czasopism, zespoły samokształceniowe, oficyny fonograficzne, zarządy stowarzyszeń twórczych, firmy ubezpieczeniowe, zespoły teatralne, zespoły bibliograficzne, radio podziemne, duszpasterstwa twórców, grupy ulotkowe, zespoły badawcze, organizatorzy wystaw, archiwa i dokumentacje, realizatorzy filmowi, kina domowe, grupy ekologiczne, WiP, Komitet Helsiński, KOPP, Rada Funduszu Wydawnictw, komitety OKN-a i różne ogniwa związku „Solidarność".

Myślę, że proces ustalania relacji między tymi wszystkimi firmami, komitetami i instancjami jest znakomitym treningiem godnym kiedyś szerszego opisu, tu poprzestaniemy na pobieżnym. Najpierw odbywały się ćwiczenia w niezależności — była ona np. oczywista dla większych wydawnictw, ale już pisma, szczególnie związkowe, musiały czasem toczyć o nią uparte boje. Generalna tendencja była taka, że początkowo większość powstających firm skupiała się wokół związku, uważała się za jego agendy, po czym zaczął się szybki proces oddzielania się od struktur solidarnościowych i usamodzielniania się — na ogół bezkonfliktowy. Stosunki OKN-o - inne firmy od początku były określone jasno: udzielanie pomocy finansowej nie może się wiązać z żadnymi warunkami, inaczej mówiąc, OKN-o nie może uzależniać od siebie żadnej firmy i żadnej inicjatywy. Warto też powiedzieć, że problem niezależności stał się w pewnym momencie przedmiotem zasadniczego konfliktu. Część TKK wysunęła projekt przejęcia budżetu OKN-a i rozdzielenia go sprawiedliwie na wszystkie regiony, uważając, że pieniądze na kulturę przychodzą dzięki istnieniu „Solidarności", a więc do „Solidarności" należy ich podział. Większość TKK przychyliła się w debacie do zdania, że kultura, nauka i oświata winny być niezależne i że kryterium podziału winno być oparte na wartościach naukowych i artystycznych, a nie na sprawiedliwości terytorialnej. Efektem tej debaty było podpisanie porozumienia TKK - OKN-o, porozumienia, które tak niesłychanie śmieszy p. Stasikowskiego z *Kultury* i p. Spektatora z *Wezwania* (nr 11). A ja muszę powiedzieć, że tym, którzy śledzili paromiesięczne zmagania środowisk naukowych i kulturalnych ze związkiem „Solidarność" o prawo do niezależności, wcale nie było do śmiechu.

Kolejnym pojęciem, z którym należało się uporać, było pojęcie własności. Kto jest właścicielem maszyny drukarskiej — firma, która jej używa, związek, który dał na nią pieniądze czy może społeczeństwo, z dużej litery oczywiście, bo szło o to, by owa własność była wykorzystywana zgodnie z interesem społecznym. Ten „społeczny interes" to była jedna z bardziej pouczających lekcji o skutkach bezmyślnego używania pojęć odziedziczonych po komunizmie. Polegała na zaborach maszyn, frondach drukarzy ze sprzętem, poleceniach różnych instancji, żeby zwracać źle wykorzystane offsety, sporach o to, co jest słusznym, a co niesłusznym wykorzystaniem. Nauczyliśmy się na razie tyle, że własność musi być konkretna, im bardziej ogólna, tym gorzej dla wszystkich. Ćwiczymy się też w ekonomii. Mamy głównie przemysł poligraficzny i pamiątkarski. Ten drugi zdaje się być pokazowym wykładem o produkowaniu inflacji, zobaczymy z jaką konkluzją. Poligrafia stawia przed nami bardziej skomplikowane problemy. Teoretycznie byliśmy wstępnie zwolennikami gospo-

darki normalnej, czy kapitalistycznej — tworzyło się więc rynek i zdobywało kapitał zakładowy (Fundusz Wydawnictw). Teraz jednak wygląda, że nadciąga klasyczny kryzys nadprodukcji — pojawiają się więc koncepcje interwencjonizmu (np. zmiany kierunku dotacji), ochrony klienta (wymuszenie obniżki cen). W sumie myśli się, jak tworzyć mechanizmy poprawiające sytuację, a nie naruszające samodzielności wydawnictw.

Szkoła samodzielności również nie była łatwa. Początkowo wyraźne było traktowanie instancji związkowych i OKN-a jako wszechmocnego państwa, tyle że „naszego" — miało się ono do spraw danej firmy nie wtrącać, ale było oczywiste, że ma pełnić funkcje rozdawczo-opiekuńcze. Każdy kto miał choćby wyimkowy wgląd w pocztę podziemną, wie co zawierała: prośby do centrali o maszyny, zszywki, papier, blachy, kasety, części radiowe, matryce, letrasety, farbę, klej, gilotynę; prośby o interwencje — żeby zza granicy przysłali wreszcie margerytkę, żeby jedno wydawnictwo wydało wiersze debiutanta, a inne dotrzymało terminu druku pisma, żeby firma X oddała baterie, które przypadkiem do niej trafiły, żeby firma Y zgłosiła się po odbiór obiektywu, a firma Z zabrała wreszcie swoje klamoty ze skrzynki czwartej; prośby o lekarstwo dla matki łączniczki, o znalezienie drukarni, która wyda zbiór atykułów „ważnych dla naszego środowiska", o załatwienie spotkaniówki, o wakacje dla dzieci drukarza; prośby o kontakty: między autorem i wydawnictwem, między wydawnictwem a grafikiem, między drukarnią a fachowcem od naprawy offsetu, między charakteryzatorem a charakteryzowanym, między źródłem informacji a *Tygodnikiem Mazowsze*. Potok próśb dużych i małych, bardzo ważnych i niepoważnych. Wychowanie do samodzielności odbywało się powoli i rzekłbym półświadomie. Początkowo instancje zasypywane postulatami i zadaniami usiłowały im sprostać, ale rychło stało się jasne, że wszystkiemu nie podołają. Przeprowadziły więc olbrzymią pracę kontaktowania ze sobą różnych firm, zrezygnowały z pośrednictwa między nimi, a tym samym z kontroli nad ich stosunkami. Szybko okazało soię, że dóbr do dzielenia jest dużo mniej niż chętnych do nich, wtedy podjęto decyzję sprzeczną z peerelowskim wychowaniem — pomagać tym, co sobie dobrze radzą, a nie wiecznym nieudacznikom. Zasada „zanim wyciągniesz łapę, pokaż co potrafisz" została szybko zaakceptowana. Stały napór na maszyny rozładowano pomysłem — dostanie ten, kto sam sobie przerzuci. Powstała olbrzymia liczba czasopism — od bardzo dobrych do takich, których jedyną racją istnienia był fakt, że „integrują środowisko". Wiadomo było, że nie ma rynku na wszystkie — pozostawiono rzecz wolnej grze sił, licząc że wygrają najlepsze, najsprawniej i najofiarniej robione. Statystycznie się sprawdziło, najlepsze przetrwały, słabe upadły. Ale padło też parę bardzo dobrych, z reguły wtedy, gdy redakcja uważała, że o druk i kolportaż troszczyć się powinien ktoś inny. Zasady przyznawania stypendiów też zostały bardzo wcześnie ustalone i są takie same do dziś: stypendium dostaje się na wykonanie konkretnej pracy, na podstawie rekomendacji kogoś

znającego się na danej dziedzinie — nie dostaje się go za zasługi. Premiowanie pracy, talentu organizacyjnego, rzutkości, inicjatywy i rozmachu zostało jakby wymuszone przez rzeczywistość — i okazało się, że samodzielność jest wartością, że mnóstwo ludzi czerpie największą satysfakcję z tego, że coś wymyślą, zrealizują, zorganizują. Jest to satyfakcja, której komunizm ludzi pozbawił, otoczył aurą podejrzliwości, tak jak z przedsiębiorczości uczynił cechę kryminogenną. A teraz, po utracie złudzeń, że władza wreszcie się zreformuje, przedsiębiorczość nagle zaczęła się gwałtownie w społeczeństwie odradzać (znacząca zmiana w języku — słowo „dostałem" coraz częściej jest zastępowane słowem „zdobyłem"). Dla tej przedsiębiorczości enklawa wolności, którą zbudowaliśmy, może być szkołą i szansą.

Uczymy się też innych rzeczy — że tworząc naszą pozapeerelowską przestrzeń społeczną, nie tworzymy automatycznie dobrej antytezy złego komunizmu, że po naszej stronie barykady rodzą się konflikty interesów, które dopiero uczymy się rozwiązywać, że powstaje nasza własna patologia społeczna, z którą też trzeba będzie się zmierzyć. Że rzeczywistość nie wartościuje się dychotomicznie, jest bardziej skomplikowana. Ale ludzie, którzy tę własną przestrzeń tworzą, wierzą, że od nich ona zależy i czują się jej gospodarzami.

Jan RAWSKI

OD AUTORA WĄTPLIWOŚCI

Pomijając ataki *ad personam*, z przyjemnością przeczytałem artykuł Jana Rawskiego, który wreszcie publicznie ujawnia część mechanizmów, nieraz bardzo skomplikowanych, rządzących życiem kultury niezależnej. To tekst, który w dużej części realizuje moje postulaty, może niezbyt czytelnie wyrażone w artykule, który stał się powodem polemiki. Jedno nadal budzi moje wątpliwości. Chodzi mianowicie o cały skomplikowany mechanizm rozliczeń, o którym w swej notatce pisze Piotr Lasota. Nie nawołuję przecież do szczegółowego ujawniania wydatków KKN. Proponuję tylko *publiczne*, a nie dokonywane przed innymi utajnionymi instancjami, określenie z grubsza, na co wydawane są pieniądze i w jakich mniej więcej proporcjach. To, że KKN się nie rozlicza powoduje, że nie rozliczają się także „niższe szczeble": pieniądze się rozmywają, zanikają. Każdy wie, jak łatwo w takich wypadkach o utratę samokontroli, o wydatki niekonieczne. Mamy do czynienia z działalnością społeczną za społeczne pieniądze — to musi tworzyć napięcia, gdy nie jest ujawniane. Dobre by było zatem ujawnienie choćby skali pomocy, ilości stypendystów, ilości wspomaganych wystaw, wydatków na sprzęt itp. To chyba nie wymaga utajnienia. Zasadą winno być ujawnianie wszystkiego, co można bez ryzyka ujawnić.

Fakt, że najlepiej znam zagadnienia życia literackiego spowodował, że skupiłem się głównie na tej problematyce. Ale nale-

żało to chyba potraktować jako przykład, a nie redukcję życia kulturalnego do literatury czy czasopiśmiennictwa. Myślę nadal, że KKN jest w stanie, gdy zechce, promować poszczególne inicjatywy, decydować o ich być albo nie być. Nie przekonały mnie argumenty o konieczności pozostawienia poszczególnych redakcji samym sobie, o np. nieuniknionej i niezależnej od postawy KKN czy Funduszu Wydawnictw śmierci poznańskiego *Bez Debitu*. Myślę też, że wśród licznych, ale przecież dobrowolnie na siebie przyjętych działań KKN, znajduje się i to, by dbać o poziom kultury niezależnej. Byłoby dobrze, gdyby w wypadkach skrajnego obniżenia tego poziomu KKN zechciał zabierać głos (np. sprawa powieści Dalcza czy ostatnio dramatów Bratkowskiego, ale przecież i w innych dziedzinach, choćby w plastyce, zdarzają się skandaliczne, szeroko upowszechniane kicze).

Jest czymś znamiennym dla wielu ludzi działających w strukturach niezależnych odbieranie wszelkiej krytyki jako „ataku" czy „napaści". Podobnie zresztą, jak doszukiwanie się tego „kto za tym stoi". J. P. Lasota wyraża przypuszczenie, że „Stasikowski nie jest tym, kim myślę, że jest"; zapewne jest tym, kim myśli, że jest, ale co to ma do rzeczy? U nas wciąż obowiązuje schemat — „napadają — chwalą". Może w efekcie zachodzących przemian terminologicznych, o których pisze Rawski, znajdzie się jakaś inna, emocjalnie bardziej neutralna kategoria? Choć przyznam, że ton mego artykułu nie był przyjemny i że, owszem, dałem się ponieść emocjom. Nie większym zresztą, niż te, które w swym artykule zaprezentował Leon Bober, autor, którego dotychczas znane teksty bardzo sobie cenię. Odczytywanie mego artykułu jako „donosu" mieści się idealnie w tej poetyce, jaką narzucano nam w PRL od przedszkola. Warto się może zastanowić, *dlaczego* skargi na działalność instytucji podziemnych napływają, jak pisze Rawski, do ważnych ośrodków emigracyjnych, a nie do samych zainteresowanych. Ten mechanizm daje dużo do myślenia, także o postawach działaczy KKN wobec „ludzi z zewnątrz".

Kończę. Warto było napisać uprzedni artykuł po to chociażby, by w odpowiedzi przeczytać tekst Jana Rawskiego, który wreszcie sporo wyjaśnia, choć przecież nie jest bezdyskusyjny. Wyrażając swoje obawy pisałem, że byłoby źle, gdyby powstały jakieś ciała wobec KKN konkurencyjne. Odebrano to jako pogróżkę. Dlaczego? Może jednak warto odczytać to zgodnie z intencją: jako obawę przed kolejnymi podziałami, przed grą partykularnych interesów, przed źle pojętą konkurencyjnością.

Podkreślam raz jeszcze: nikt nie powinien poddawać w wątpliwość intencji działaczy KKN i ich dobrej woli w rozwiązywaniu piętrzących się wciąż kłopotów. Ale też i oni sami, i bliscy im publicyści nie powinni głosów krytycznych traktować wyłącznie jako wyrazu złej woli, „napaści" czy „donosu".

Bogdan STASIKOWSKI

Książki

Reformizm ks. Hansa Künga

1

Nie dziwcie się tytułowi, który trąci trochę ideologiczno-polityczną kontrowersją. Wspomnijmy natomiast, że *Ecclesia est semper reformanda.* Tytuł Kościoła dotyczy.

W posoborowym Kościele dialogu akcent spoczywa w tej chwili na roli świeckich w Kościele. To zagadnienie dominowało w czasie tegorocznej wizyty papieża w Stanach Zjednoczonych i jemu jest poświęcony synod biskupów zwołany na październik do Rzymu. Jest to sprawa, która nam przedstawia się jako dialog po linii pionowej, między „dołem" a „górą", ale sądzę, że jest tak tylko pozornie. Równocześnie cały czas odbywa się dialog ekumeniczny, między Kościołem rzymskokatolickim i innymi Kościołami, jak i innych wyznań chrześcijańskich pomiędzy sobą. Ten zdaje się odbywać na płaszczyźnie poziomej, ale znowu raczej tylko pozornie. U sedna obu dialogów leży ten sam fundamentalny problem chrześcijańskiej prawdy, istoty Kościoła jako nosiciela tej prawdy i jego posłannictwa. To jest problem teologiczny i punkt przecięcia linii obu dialogów (jeśli mamy pozostać przy tej geometrycznej metaforze) leży na gruncie teologii.

Teologia sama w sobie też jest problemem. Nie tu miejsce, by wchodzić w to, czy teologia jest nauką. Jeśli nią jest, to na pewno w sensie bardzo różnym niż inne nauki, także humanistyczne. Jest raczej intelektualną refleksją nad życiem religijnym, esencjonalnym dialogiem między człowiekiem a Bogiem. Jest to dialog angażujący wszystkie władze ludzkie, nie tylko intelekt, także uczucia i wolę, i dlatego intelektualna refleksja daleko nie jest wszystkim, nie wyczerpuje i nie może zastąpić życia religijnego. To stwierdzenie wydaje się truizmem, ale truizmem, właś-

nie dlatego że jest tak oczywisty, często zapoznawanym. Dlatego teologowie grają w Kościele drugoplanową rolę, wyraźnie służebną. Dobry duszpasterz nie potrzebuje być dobrym teologiem i można być dobrym chrześcijaninem nie będąc wcale teologiem. Ale nie można być dobrym chrześcijaninem, tym bardziej duszpasterzem, bez refleksji nad treścią wiary. Rola teologii zatem i teologów, acz służebna, jest istotna.

2

Ta krótka refleksja na temat miejsca teologii w Kościele wydała mi się potrzebna jako tło dla zarysowania sylwetki jednego z najwybitniejszych, najbardziej wpływowych i najbardziej kontrowersyjnych teologów katolickich naszych czasów. Nazwałem Hansa Künga teologiem katolickim, bo sam się za takiego uważa; jego refleksja wyrosła z tradycji katolickiej i ta tradycja jest naczelnym jej tematem. Küng jest katolickim księdzem i w czasie II Soboru Watykańskiego jako tak zwany *peritus* (czyli ekspert) odegrał zapewne istotną, choć zakulisową rolę w sformułowaniu soborowych dokumentów. Lecz w grudniu 1979 roku dekret watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary wycofał nagle, choć nie całkiem niespodziewanie, jego tak zwaną *missio canonica,* czyli status oficjalnie uznanego katolickiego teologa. Nie całkiem niespodziewanie, bo w latach posoborowych Küng był wielokrotnie krytykowany od strony oficjalnej jako zbyt śmiały myśliciel i zbyt radykalny innowator. Nieoficjalnie zarzucano mu nawet herezję. Okazją do napisania niniejszego szkicu jest niewielka książeczka Künga, która ukazała się niedawno na rynku angielskim pod tytułem *Why I am still a Christian?* (Dlaczego jestem nadal chrześcijaninem). Będę podawał tytuły książek Künga w języku angielskim, bo w tym języku docierają one do większości jego czytelników na całym świecie i w tym języku sam je czytałem, ale angielski tytuł tej książki jest bardzo niewłaściwy i mylący. Tytuł niemieckiego oryginału brzmi *Woran man sich halten kann* (Na czym można polegać). Wbrew pozorom zatem nie jest to osobista apologia człowieka, który, jak sugeruje angielski tytuł, jest, czy był, na drodze do wyrzeczenia się chrześcijaństwa, z tym że coś go jeszcze trzyma na dawnych pozycjach. Wprost przeciwnie, jest to, jak wszystkie książki Künga, jeszcze jedna apologia chrześcijaństwa, skierowana tym razem (jak autor mówi we wstępie) do tych wszystkich, którzy nie mieli czasu ani sił na przeczytanie jego pękatych i niezmiernie uczonych tomów. Faktem jest, że wśród czytelników tych pękatych i uczonych tomów jest wielu, którzy dzieła teologicznego innego autora nie wzięliby do ręki. Jeśli śmiałość i otwartość Künga, w gruncie rzeczy

jego intelektualna uczciwość, rażą stróżów kościelnej ortodoksji, to te same cechy sprawiają, że ludzie stojący nieraz daleko od religii uznają, że Küng wart jest czytania, nawet kosztem znacznego intelektualnego wysiłku. W tym, moim zdaniem, leży jego wielka apostolska zasługa. Atmosfera skandalu, jaka powstała wokół niego po wycofaniu jego *missio canonica,* zapewne jeszcze zwiększyła jego poczytność. Wygląda na to, że pisząc omawianą książeczkę Küng sprytnie (i w stosunku do kościelnych krytyków trochę złośliwie) wyzyskał swoją reputację czarnej owcy — i może stąd ten zalatujący skandalem angielski tytuł. Jeśli tak, to się nie pomylił. Autor recenzji na łamach katolickiego *Tablet*'u, prałat Bruce Kent, sam trochę na bakier z władzami kościelnymi z racji swego bardzo świeckiego zaangażowania w kampanię jednostronnego rozbrojenia nuklearnego, wyraził zdumienie, że czarna owca okazała się tak zaangażowanym „chrześcijańskim fundamentalistą". Jak gdyby innych rzeczy Künga nie był czytał. Istotnie, krytyka Künga ze strony szeregowych obrońców katolickiej ortodoksji jest często krytyką z drugiej ręki. *Why I am still a Christian* jest nie do nabycia w księgarni Catholic Truth Society w Londynie, choć leży na składzie w sąsiedniej księgarni przy katedrze westminsterskiej (katolickiej).

Adresatom książki, którymi są zasadniczo nie-chrześcijanie i byli chrześcijanie (te określenia pojawiają się w tekście kilkakrotnie) autor tłumaczy charakter i motywację swego niezmiennego chrześcijańskiego zaangażowania. Tłumaczy, że wiara w Boga jest rozumną opcją, że lepiej wierzyć w sens niż w bezsens istnienia i życia, że istnieją autentyczne i niezniszczalne wartości i że, umierając, nie umieramy w nicość, ale w wartość najwyższą, którą nazywamy Bogiem. A nie jest to abstrakcyjny Bóg filozofów, lecz Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, który objawił się w całej pełni w najdoskonalszym z ludzi, Jezusie z Nazaretu, w jego życiu, śmierci i zmartwychwstaniu, którego dlatego nazywamy Chrystusem, Synem Bożym. I którego, nadal działającego w naszym świecie, nazywamy Duchem Świętym.

Nieposzlakowana ortodoksja, jak widać. Küng staje się kontrowersyjny (i równocześnie niejako wychodzi naprzeciw niechrześcijanom i byłym chrześcijanom), gdy wprowadza rozróżnienie między chrześcijaństwem prawdziwym a nominalnym. Chodzi o to, że wiele z tego, co w Kościele i poza Kościołem określa się jako chrześcijańskie, nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem Ewangelii. I tak Küng nie wyobraża sobie, aby Jezus, który wolał towarzystwo grzeszników niż rzekomo sprawiedliwych, potępiał rodziców, którzy uciekają się do stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych, by odtrącał rozwiedzionych i powtórnie żonatych, którzy chcą do niego przystąpić w sakramencie eucharystii, by pochwalał system kapłaństwa, który sprawia, że

tysiące ludzi miesiącami są pozbawione udziału we mszy św., by surowo oceniał każdy stosunek przedmałżeński, każdy związek homoseksualny i każde przerwanie ciąży. Akcent tu jest na słowie *każdy*. Küng daleki jest od beztroskiego libertynizmu i relatywizowania moralności. Chodzi tylko o to, by nie stawiać wymogów kościelnego prawa ponad wymogami miłosierdzia, by religii miłości nie zakuwać w okowy abstrakcyjnego przepisu. Uznaje zresztą, że ten postulat jest w praktyce stosowany w Kościele katolickim nie mniej niż w Kościołach innych wyznań chrześcijańskich. Jest w Kościele prawdziwe chrześcijaństwo, nie tylko nominalne. Dlatego autor, przy całej swojej opozycji wobec praktyki duszpasterskiej Rzymu w okresie posoborowym, pozostaje nie tylko chrześcijaninem, ale i członkiem swego rodzimego Kościoła. Wspomina z nostalgią okres soborowej odnowy i związane z nią wielkie nadzieje widzialnego zjednoczenia chrześcijaństwa. Wspomina, nie wymieniając nazwisk, tych swoich konfratrów, którzy po Soborze, głęboko zawiedzeni połowicznością jego osiągnięć, od Kościoła rzymsko-katolickiego odeszli. Przypomnijmy, że już rok po zakończeniu Soboru odszedł najwybitniejszy teolog angielski, X. Charles Davis. Ale przypomnijmy również, że wielu podobnie jak Küng nie odeszło i, trwając nadal, pełni w Kościele rolę lojalnej opozycji, by wymienić tylko głośne obecnie nazwiska Charles Currana w Stanach Zjednoczonych (charakterystyczny jest tytuł ostatniej książki Currana *Faithful Dissent),* Edwarda Schillebeeckxa w Belgii czy Williama O'Shea w Australii. Rolę lojalnej opozycji pełnią nie tylko teologowie, ale i biskupi (na przykład amerykańscy w czasie ostatniej wizyty Jana Pawła II w Stanach Zjednoczonych). Najbardziej znane jednak jest nazwisko Künga.

3

W bogatej twórczości Künga przewijają się trzy nurty myśli, na tyle różne, że można je oddzielnie opisać, ale ściśle ze sobą związane i wzajemnie uwarunkowane. Tytuły poszczególnych dzieł sygnalizują tylko nurt dominujący w każdym z nich, z tym że pozostałe dwa są w nich również obecne. Jeden to nurt dogmatyczny, który reprezentują głównie trzy książki: *On Being a Christian, Does God Exist?* i *Eternal Life?* Zwróćmy uwagę na zapytania w tytułach, które jakby sygnalizują, że autor nie jest dogmatyczny w pejoratywnym tego słowa znaczeniu, choć na te odwieczne pytania udziela odpowiedzi dogmatycznych w pozytywnym sensie, w postaci dogmatów chrześcijańskiego objawienia. Drugi dotyczy formy wyrazu tego objawienia w po-Chrystusowej historii, czyli Kościoła, nurt, który można by nazwać sakramentalnym albo eklezjalnym. Są to znowu trzy książki: *Structures of the Church,* najwcześniejsze z wielkich dzieł Künga, powstałe jeszcze przed Soborem, *The Church,* zupełnie nowe i rozszerzone opracowanie tego samego tematu, wydane bezpośrednio po Soborze, oraz *Infallible? — An Enquiry,* dociekliwa historyczna analiza dogmatu nieomylności, która bodaj przysporzyła Küngowi najwięcej wrogów. Trzeci nurt, ekumeniczny czyli dotyczący problemu jedności chrześcijaństwa, jest obecny we wszystkich wymienionych książkach, ale może właśnie dlatego nie jest reprezentowany osobnym tytułem (jeśli nie liczyć wielu pomniejszych prac i rozpraw, wśród których jest nawet zbiór kazań dla młodzieży, dotykających także ekumenicznego problemu). Daleko poza problem chrześcijańskiej ekumenii wychodzi najnowsze z wielkich dzieł Künga, *Christianity and the World Religions* (1985, wydanie angielskie 1987). Tu chrześcijaństwo występuje już jako jedna zwarta alternatywa wobec trzech innych wielkich religii: islamu, hinduizmu i buddyzmu. Judaizm został świadomie z tego przeglądu wyłączony jako religia zbyt blisko związana z chrześcijaństwem, co wymaga całkiem innego potraktowania problemu. Nie jest to zresztą dzieło wyłącznie Künga, choć wyszło pod jego nazwiskiem, gdyż on był jego inicjatorem. Składają się na nie obszerne opracowania różnych aspektów tych trzech religii, dokonane przez specjalistów od każdej z nich. Do każdego rozdziału tych opracowań Küng dodaje potem oceny opisanych zjawisk z chrześcijańskiego punktu widzenia, określone mianem *Christian Response.*

Dogmatyka jest oczywiście nurtem kluczowym. Zaznaczmy, że Küng, z pochodzenia Szwajcar, jest od wielu lat profesorem studiów dogmatycznych i ekumenicznych w Tybindze w Zachodnich Niemczech. Wiara religijna w pojęciu Künga to nie tyle intelektualna akceptacja określonych twierdzeń na temat Boga, człowieka i świata, lecz nade wszystko egzystencjalna postawa wobec życia i otaczającej nas rzeczywistości, postawa zasadniczego zaufania, które życiu i rzeczywistości odpowiada „tak", *fides* raczej niż *credo,* jest zatem akceptacją określonych wartości*. Ta akceptacja jest wynikiem mniej lub bardziej świadomej, ale wolnej i racjonalnej decyzji. Dopiero ta decyzja pociąga za sobą również akceptację przez intelekt twierdzeń, które możemy nazwać światopoglądem czy treścią wiary religijnej. Gdy zatem Küng w *Does God Exist?* przedstawia na kilkuset stronach wszystkie *pro* i *contra* historycznej debaty między teizmem a ateizmem czy agnostycyzmem, to debata nie kończy się sytuacją, w której czytelnik jest intelektualnie zmuszony do opowiedzenia

* Warto zaznaczyć, że greckie słowo *pisteuein* na określenie tej postawy nie pojawia się w klasycznej grece nigdzie poza Nowym Testamentem. Jest to zatem postawa specyficznie chrześcijańska.

się po jednej czy drugiej stronie. Egzystencjalna opcja na rzecz wiary lub niewiary pozostaje przed nim nadal otwarta, tyle że sytuacja jest wzbogacona wynikami przemyśleń niezliczonej plejady myślicieli, filozofów, teologów, poetów i świętych.

Chrześcijańska opcja koncentruje się całkowicie i wyłącznie na układzie wartości, których wyrazem i ucieleśnieniem jest Jezus z Nazaretu. Choć Küng potrafi pisać z szacunkiem (w swym ostatnim dziele) o Mahomecie i Buddzie, to jednak miarą i sprawdzianem wartości reprezentowanych przez innych twórców wielkich religii pozostaje dla niego Jezus. Dla czytelnika nie ulega wątpliwości, że w przypadku Künga, podobnie jak większości chrześcijan, źródłem tej opcji jest fakt, że autor wzrósł i wychował się w chrześcijańskim środowisku i w wieku lat 27 został katolickim księdzem. Dla autora jednak to źródło nie jest decydujące. Decydująca dla niego jest postać wędrownego żydowskiego nauczyciela, jaka się wyłania z kart Nowego Testamentu. Küng jest wytrawnym egzegetą, znakomicie obznajomionym z techniką i wynikami nowoczesnej krytyki biblijnej, na tej podstawie przekonanym — wbrew przekonaniu wcześniejszego pokolenia egzegetów, przeważnie protestanckich — że możliwe jest dotarcie tą drogą do historycznego Jezusa. Prawdą jest, że cztery Ewangelie i inne dokumenty Nowego Testamentu nie są beznamiętnymi historycznymi zapisami, lecz proklamacjami wiary pierwszych chrześcijan, również Żydów przecie, że Jezus był obiecanym Mesjaszem, po grecku Chrystusem. Właśnie krytyczna egzegeza pozwala wykryć w tych proklamacjach ich autentycznie historyczny rdzeń, historyczną prawdę o naukach, życiu i śmierci Jezusa, nawet o jego zmartwychwstaniu, choć samo zmartwychwstanie jako fakt kosmiczny wykracza już poza historię.

Dokumentacją tej egzegezy jest *On Being a Christian* (Być chrześcijaninem), niewątpliwie najważniejsza książka Künga. Ale jak wynika z tytułu, dotarcie do historycznego Jezusa oznacza również dotarcie do Chrystusa i ten kontakt pociąga za sobą absolutne ludzkie zobowiązanie. Jezus, jaki się wyłania z kart tej książki, jest człowiekiem z krwi i kości, wielkim i tragicznym, obdarzonym prawdziwie boską misją, ale równocześnie poddanym zwykłym ludzkim ograniczeniom, mocnym tylko siłą swej wiary, nawet omylnym. Zwiastując rychłe nadejście Królestwa Bożego, Jezus nie zamierzał wcale tworzyć nowej religii, która wobec przewidywalnego bliskiego końca czasów nie była już potrzebna. Realizował to królestwo już tu i teraz, lecząc chorych, podnosząc upadłych, głosząc ubogim swą dobrą nowinę. Jednak w tym realizowaniu królestwa już tu i teraz poniósł całkowitą klęskę, skazany jako przestępca na śmierć. Dopiero ukrzyżowany i zmartwychwstały Jezus jest Chrystusem.

Nie dziw może, że ten obraz historycznego Jezusa wywołał

protesty i stał się koronnym zarzutem przeciwko Küngowi, że zaprzecza boskości Chrystusa. Ale Küng odpowiada na to, że tylko naprawdę ludzki Jezus, nie wszechmocny i nie wszechwiedzący, mógł stać się pełnym objawieniem Boga w człowieku. Jezus jest paradygmatem pełnego człowieczeństwa w całym jego tragizmie i wielkości i właśnie w tym doskonałym człowieczeństwie objawieniem prawdziwego Boga. Taki właśnie jest Bóg, a nie inny. Jakiekolwiek inne doskonałe przymioty mogą Bogu przypisywać filozofowie, wszechmoc czy wszechwiedzę (które są tylko ekstrapolacją ludzkich przymiotów), prawdziwy Bóg jest przede wszystkim taki, jakim go widzimy w Chrystusie, absolutnie solidarny z cierpiącą ludzkością, współcierpiący, współcieszący się ludzkimi radościami (jak Jezus w Kanie Galilejskiej, jak Jezus cieszący się z każdego uzdrowienia), biorący na siebie ludzkie upadki (bo Jezus jest przecież barankiem, który wziął na siebie grzechy świata). Jezus jest żywym obrazem najgłębszych intuicji Boga w Starym Testamencie, do którego jako człowiek się modlił, nazywając go Ojcem. Filozoficzny absolut jest przede wszystkim absolutem miłości. Zmartwychwstanie, jakkolwiek będziemy interpretować nowo-testamentowe relacje, które stanowiły podstawę wiary apostołów, że Jezus nadal żyje, w swej najgłębszej warstwie stanowi potwierdzenie, że ten obraz Boga jest prawdziwy.

Wiele stron *On Being a Christian* jest poświęconych zestawieniu tej radykalnej chrystologii Künga z tradycyjną chrystologią datującą się z czasów pierwszych Soborów, głównie Nicei i Chalcedonu. Küng uznaje, że nie można przekreślić historycznego rozwoju myśli chrześcijańskiej, którą żyły całe pokolenia i którą żyje Kościół po dziś dzień. Ale nie sądzi, by te transpozycje świadectw Nowego Testamentu w kategorie myśli greckiej owego czasu (dwie *natury* w jednej *osobie* Chrystusa, *współistotność* Ojca i Syna, przedwieczne istnienie osoby Jezusa w Bogu, a zatem nawet dogmat Trójcy św., jeden Bóg w trzech osobach) stanowiły rozdział raz na zawsze zamknięty i nie podlegający dalszej interpretacji. Są one dziś skostniałym intelektualnym wyrazem wiary, która powinna być wiarą żywą, dla współczesnego człowieka zaledwie sygnałem istnienia nieprzeniknionej tajemnicy, a poza tym nie mówiącym mu prawie nic. Także pojęcie Syna Bożego, w przeciwieństwie do wybitnych wyżej kursywą pojęć greckich określenie biblijne, pojawiające się jednak w różnych kontekstach w różnym sensie, wymaga dla potrzeb współczesnego człowieka interpretacji, jako że oczywiście nie może być traktowane dosłownie. W swej ostatniej książce, w części poświęconej dialogowi z islamem, Küng zwraca uwagę na zgoła nieprzezwyciężalną trudność jaką dla wyznawców radykalnie monoteistycznego islamu, a także judaizmu, stanowi pojęcie Trójcy św., z którym świat chrześcijański zdołał się oswoić. Czy spetryfikowana

przez wiele stuleci forma słowna tego dogmatu jest jedynym możliwym wyrazem dla zawartej w nim tajemnicy? Küng sądzi, że nie. Czy jest możliwa interpretacja dogmatu, która umożliwiłaby chrześcijaństwu dotarcie do umysłów, które teraz są przed nim zamknięte? Küng sądzi, że tak.

On Being a Christian nie jest tylko uczoną rozprawą teologa. Jest książką w intencji pastoralną. Chodzi o umożliwienie zrozumienia istotnych treści chrześcijaństwa ludziom dobrej woli, dla których tradycyjne sformułowania dogmatyczne są hermetycznie zamknięte. Innym przykładem tego podejścia jest *Eternal Life?* (Życie wieczne?). Autor zaczyna od socjologicznego i antropologicznego przeglądu ludzkiego doświadczenia dotyczącego śmierci, wspólnego ludziom religijnym i niereligijnym, by dopiero na tym tle przejść do doświadczenia chrześcijańskiego, opartego na dogmacie zmartwychwstania Chrystusa i zmartwychwstania ciała. Od egzegezy biblijnej przechodzi do interpretacji biblijnych przekazów w kategoriach myśli współczesnego człowieka. Życie wieczne jako bezkresne trwanie w czasie czy raczej dopełnienie człowieczeństwa w nieskończonym lecz ponadczasowym Bogu? Sąd Ostateczny w momencie śmierci czy dopiero po skończeniu czasów? Czy pojęcie wiecznej kary jest do pogodzenia z wiarą w nieskończenie miłosiernego Boga? Jak rzutuje na problem ludzkiej odpowiedzialności za swoje życie rozpowszechniona zwłaszcza w Kościołach wschodnich idea *apokatastasis* czyli ostatecznego zbawienia wszystkich ludzi? W końcowej części książki autor znowu wraca na ziemię. Jakie są konsekwencje postawy chrześcijańskiej nadziei dla sztuki życia i sztuki umierania? Kwestie etyki lekarskiej, eutanazji, stosunku do umierających, umieranie z chrześcijańską godnością. Charakterystyczna dla Künga jest nade wszystko nieufna postawa wobec metafizycznych struktur czy bytów odziedziczonych po dawnych wiekach, istniejących jakoby niezależnie od rzeczywistości ziemskiej, tajemniczych tylko dlatego, że oddzielonych od rzeczywistości ziemskiej barierą śmierci. Rzeczywistość wieczna dlatego jest tajemnicza, że jest już w rzeczywistości ziemskiej obecna, że wieczność jest już w każdym momencie przemijającego czasu. Przecież Jezus uczył, że Królestwo Boże jest tu i teraz, że „jest w was". Küng, szukając, jak to określa, metafor-pojęć na wyrażenie rzeczywistości życia wiecznego, mówi (cytuję w wielkim skrócie), że jest to:

„życie, w które przechodzimy z całą naszą ludzką historią...

sprawiedliwość, o którą walczyliśmy już w tym społeczeństwie...

wolność, której zaznaliśmy już na ziemi...

miłość, którą się już tu dzielimy...

i zbawienie, którego przedsmak już tu mamy w zmartwychwstaniu ukrzyżowanego Chrystusa".

4

W tym nader pobieżnym przeglądzie nurtu dogmatycznego musiała czytelnika uderzyć pewna mglistość czy wieloznaczność teologii Künga. Zamiast jasnych dogmatycznych sformułowań mamy dociekania interpretacyjne. Natomiast nie można Küngowi zarzucić braku precyzji. Każdy pogląd jest dokumentowany cytatami z Pisma św. czy olbrzymiej literatury przedmiotu, nagromadzonej w ciągu 2000-letniej historii Kościoła. Na 700 stron *On Being a Christian* jest 100 stron przypisów. Jest to wynik świadomej postawy autora, wyostrzonego poczucia tajemnicy chrześcijaństwa. Jedno sformułowanie nie wystarcza, każde sformułowanie słowne jest tylko nieudolnym przybliżeniem do jądra tajemnicy, oglądem danej prawdy tylko z jednej strony. Szkolny katechizm z dokładnym wyliczeniem sakramentów, przykazań czy grzechów jest jasnym kompendium łatwym do nauczenia się, ale jest też tylko suchą destylacją niezgłębionego bogactwa Ewangelii. Pismo św. pełne jest życia, które nie da się zakuć w sztywne formuły. Küng stara się być wierny bogactwu i żywotności Biblii.

Ta sama postawa jest widoczna w tym, co nazwałem nurtem sakramentalnym (albo eklezjalnym). *The Church* jest dziełem fundamentalnym, które ukazało się już po zakończeniu Soboru i uwzględnia uchwaloną przez Sobór Konstytucję Dogmatyczną o Kościele *(Lumen Gentium)*, dokument pod pewnymi względami rewolucyjny. Można przypuszczać, że w redakcji tego dokumentu *peritus* Küng odegrał pewną rolę, choćby jako autor wcześniejszych o parę lat *Structures of the Church*. Rewolucja polega na tym, że w konstytucji natychmiast po ogólnym rozdziale wstępnym następuje rozdział określający Kościół jako Lud Boży, a dopiero po nim rozdział poświęcony hierarchii i rozdział poświęcony świeckim. Ta zmiana w stosunku do pierwotnego rzutu, dokonana już w czasie debat soborowych, była niewątpliwie po myśli Künga, gdyż tonowała wytworzony w ciągu wieków, zwłaszcza od Soboru Trydenckiego i I Vaticanum, obraz Kościoła jako wyłącznie hierarchicznej struktury na rzecz obrazu Kościoła jako duchowej wspólnoty wszystkich pełnoprawnych jej członków. Ale także pojęcie Ludu Bożego samo w sobie nie wyczerpuje istoty Kościoła, który jest również mistycznym Ciałem Chrystusa, jest równocześnie powszechny i obecny w najmniejszej swojej komórce, święty i grzeszny, jeden i bar-

dzo różnoraki w swych formach. Küng wykazuje, że Kościół w ciągu wieków przybierał bardzo rozmaite formy, często równocześnie w różnych miejscach, poczynając od różnic między Kościołami Pawłowymi a Kościołem jerozolimskim. Także prymat biskupa Rzymu jest historycznie uwarunkowaną formą i nie należy go absolutyzować. Ale nie można też historycznych form Kościoła oddzielać od jego istoty i postulować niezależnego istnienia ezoterycznego, czysto duchowego Kościoła oddzielonego od jego form. Właśnie te różnorakie formy, mniej lub bardziej doskonałe lub niedoskonałe, *są* Kościołem Chrystusowym i poprzez te formy Kościół wypełnia swoją misję w świecie. Dlatego można i trzeba Kościół krytykować poprzez stałą konfrontację jego form z dobrą nowiną Ewangelii. I ten właśnie Kościół trzeba kochać, bo w nim jest Chrystus. Nie potrzeba, nawet nie wolno z niego występować. W tym jest cały Küng, również w swej obecnej sytuacji.

Szczególną pozycję w nurcie eklezjalnym twórczości Künga zajmuje *Infallible? — An Enquiry,* gdyż ta bolesna rozprawa z koncepcją kościelnej nieomylności, głównie z dogmatem o nieomylności papieża proklamowanym przez I Sobór Watykański w roku 1870, była niejako bezpośrednim rzuceniem rękawicy Rzymowi. W każdym razie tak została przyjęta. Inna rzecz, że wycofanie *missio canonica* nastąpiło dopiero dziesięć lat później, gdy na tronie papieskim zasiadł Jan Paweł II. Rozprawa została napisana pod wrażeniem szoku, jakim było ogłoszenie przez Pawła VI w roku 1968 encykliki *Humanae Vitae,* potwierdzającej zakaz stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych, obowiązujący katolików *explicite* od czasu encykliki Piusa XI *Casti Connubii* z roku 1930. Od tego czasu sprawa była przedmiotem debaty w świecie katolickim, która w sposób zrozumiały przybrała na sile w czasie II Soboru Watykańskiego. Jednak Paweł VI wycofał sprawę spod kompetencji Soboru, zastrzegając sobie wyłączne prawo wydania autorytatywnej decyzji. Powołał reprezentatywną komisję złożoną z osób duchownych i świeckich dla przebadania sprawy i wypowiedzenia swojej opinii. Po paru latach komisja przedstawiła papieżowi dwa raporty. Raport znacznej większości, piętnując nieodpowiedzialną „mentalność antykoncepcyjną", stwierdzał jednak że absolutny zakaz stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych jest moralnie nie do utrzymania. Raport mniejszości wypowiedział się za utrzymaniem zakazu w mocy. Papież po krótkim okresie widocznych wahań przychylił się do opinii mniejszości i wynikiem była encyklika *Humanae Vitae.* Küng relacjonując tę sprawę w swej książce dochodzi do wniosku, że Paweł VI, podejmując taką decyzję, kierował się nie tyle względami merytorycznymi, ile troską o nienaruszalność autorytetu nauczycielskiego papieża. Przyjęcie bowiem raportu większości oznaczałoby uznanie, że jego poprzednik Pius XI popełnił błąd.

Książka Künga nie była jednak tylko publicystyczną rozprawą na aktualny w danej chwili temat. Jak wszystkie rzeczy Künga, *Infallible?* jest pogłębionym studium historycznym i teologicznym całego problemu, wspartym jak zwykle potężnym aparatem naukowym. Istotne jest, że nieomylność papieska w formie zadeklarowanej sto lat wcześniej na I Vaticanum (zresztą w bardzo specyficznych warunkach i w obliczu silnej opozycji) jest tylko bardzo szczególnym wypadkiem ogólnej nieomylności Kościoła i jest obwarowana pewnymi warunkami. Dogmat stwierdza mianowicie, że papież jest nieomylny tylko wtedy, gdy przemawia *ex cathedra* w sprawach wiary i moralności. Formą szerszej nieomylności Kościoła jest zasada „niereformowalności" uroczystych orzeczeń Soborów Powszechnych. W praktyce jednak aspiracje do nieomylności orzeczeń i decyzji kościelnych wysokiego szczebla, zwłaszcza papieskich, miały i mają po dziś dzień jeszcze szerszy zakres, obejmując całe tak zwane *magisterium ordinarium,* pod które podpadają w pierwszym rzędzie encykliki papieskie.

Równocześnie jednak nikt nie zaprzecza, że Kościół w swej długiej historii popełniał błędy, często tragiczne, często zbrodnicze: wyprawy krzyżowe, krwawa krucjata Innocentego III przeciw albigensom, inkwizycja, prześladowania Żydów. Przez wieki głoszono, że *extra Ecclesiam nulla salus* i że nieochrzczeni w Kościele katolickim są na wieki potępieni; jeszcze parę dziesiątków lat temu głoszono, że udział w nie-katolickim nabożeństwie jest grzechem. Nie jest ważne, jaki status te orzeczenia miały w oficjalnej strukturze zasady nieomylności; istotne jest, że stanowiły elementy bieżącej nauki Kościoła. Oczywiście, te błędy zostały przezwyciężone, ale czy nie czekają nas jeszcze inne? Zdumiewające jest, po ludzku niezrozumiałe, że obok tych błędów, w tym samym czasie, Kościół potrafił głosić autentyczną chrystusowość i że w licznych pokutnych nawrotach do prawdy Ewangelii potrafił tę chrystusowość wciąż na nowo odnajdywać. I tak ją doniósł aż do naszych czasów. Według Künga słowa Chrystusa „Oto ja jestem z wami aż do skończenia świata" nie są gwarancją kościelnej nieomylności, są natomiast obietnicą nieustannej opieki Ducha św., która zawsze pozwala Kościołowi w gąszczu historii odnaleźć właściwą drogę. Tę zdolność określa Küng mianem *indefectibility* (niemieckie *Unzerrütlichkeit),* które jest pojęciem znacznie szerszym niż odnoszące się tylko do intelektu pojęcie nieomylności *(infallibility).* Nie bardzo wiem, jak to oddać po polsku: proponuję „niezniszczalność" albo „ostateczna niezawodność".

Propozycja Künga spotkała się ze zdecydowanym oporem. Nawet tak światły umysł jak nieżyjący już dziś Karl Rahner, sam

twórczy kontestant wielkiej miary, toczył z Küngiem przyjazną lecz zdecydowaną polemikę, broniąc dogmatu nieomylności. U podłoża sprawy leży oczywiście pojęcie autorytetu; autorytet implikuje przynajmniej jakiś stopień nieomylności, bo posłuch i zaufanie do nauk Kościoła wymagają, by posiadały one tego rodzaju stempel. Dlatego o zmianach, jakie się dokonały w naukach Kościoła, mówi się niechętnie; dawne błędy tłumaczy się nieraz okolicznościami historii, ale na ogół błędne nauki zostają odłożone do lamusa i zapomniane. Ale o ile dyscyplina organizacyjna — także w Kościele — wymaga oficjalnego autorytetu, prawda — nie tylko intelektualna — wymaga autorytetu całkiem innego rodzaju. Jest nim po prostu przekonująca moc prawdy. Wierzymy w prawdę Ewangelii nie dlatego, że ją głosi Kościół; wierzymy w Kościół dlatego, że głosi prawdę Ewangelii.

5

Całe pisarstwo Künga jest przesycone duchem ekumenicznym. We wszystkich jego książkach słyszymy głosy chrześcijan wszystkich wieków i wszystkich wyznań, dających świadectwo Chrystusowi i rozważających jego tajemnicę — jak gdyby nigdy nie było wśród nich podziałów i był tylko jeden Kościół. Swoje stanowisko w sprawie obecnego stanu procesu jednoczenia chrześcijaństwa Küng przedstawił w sposób zwarty i przejmująco dramatyczny w ostatnim rozdziale skromnej książeczki, która dała mi okazję do napisania tego artykułu. Zatem ten trzeci nurt jego myśli przedstawię, na ile ramy artykułu pozwalają, niejako jego własnym głosem.

Oto jak apostoł Paweł strofował chrześcijan w Koryncie:

„Bracia, doszły mnie głosy poprzez ludzi Chloe, że są spory pomiędzy wami; że jedni z was mówią 'Ja się opowiadam za Pawłem', inni 'Ja za Apollosem' albo 'Ja za Kefasem' albo 'Ja za Chrystusem'. Czyż Chrystus jest podzielony? Czy to Paweł został za was ukrzyżowany? Czy w imię Pawła zostaliście ochrzczeni? Dziękuję Bogu, że nikogo z was sam nie ochrzciłem, z wyjątkiem Kryspusa i Gaiusa, więc nikt z was nie może powiedzieć, że został ochrzczony w moje imię. Owszem, ochrzciłem również rodzinę Stefana, ale poza tym, o ile pamiętam, nikogo więcej. Bo Chrystus posłał mnie nie abym chrzcił, ale bym głosił ewangelię, i to nie w sposób mądry, lecz mocą Chrystusa ukrzyżowanego". (I Kor. 1,11-17).

Te słowa z pierwszego Listu do Koryntian, najstarszego w ogóle dokumentu chrześcijaństwa, świadczą że już wtedy, zaledwie 25 lat po ukrzyżowaniu, były wśród chrześcijan różnice zdań. W interpretacji Künga wszystkie te ówczesne frakcje mają swoje odpowiedniki w dzisiejszym chrześcijaństwie. Zwolennicy Kefasa (Piotra) to katolicy, którzy powołują się na to, że Piotr przecież jest opoką; zwolennicy Apollosa to wschodni chrześcijanie, dla których opoką jest ich wielka grecka tradycja; zwolennicy Pawła to protestanci podkreślający nade wszystko wagę Pisma *(sola scriptura);* wreszcie są tak zwane wolne Kościoły, odrzucające wszelkie pośrednictwo instytucji, zwolennicy samego tylko Chrystusa. Paweł nie poparł żadnej z korynckich frakcji, nawet tych, którzy się na niego powoływali, wszystkich skarcił za to, że się nad innych wynoszą. Czy my dziś powinniśmy postąpić inaczej, skoro wszyscy zostaliśmy ochrzczeni w imię Ukrzyżowanego?

Küng nie ukrywa swego zniecierpliwienia rytualnymi ubolewaniami nad skandalem rozbicia chrześcijaństwa; deklaracjami ekumenicznej dobrej woli, z których nic nie wynika; rozmowami między-wyznaniowych komisji wysokiego szczebla, po których następują tylko nowe rozmowy. Dodałbym od siebie, że jest jakaś dziwna arogancja, acz nieuświadomiona i na pewno dobromyślna, w przypuszczeniu, że eksperci poszczególnych wyznań zdołają kiedyś uzgodnić pomiędzy sobą w co my, prosty Lud Boży, powinniśmy potem wierzyć. Küng wie lepiej niż wielu innych, że są między nami różnice, że mamy różne teologie, ale czy nie mamy tej samej wiary? Wiary nie tyle w sensie *credo* co w sensie *fides,* pokładania całego zaufania w Bogu objawionym w Chrystusie. Nawet w ramach tego samego wyznania istnieją różne formy intelektualizacji wiary, różne teologie. A jednak potrafimy się wzajemnie rozumieć i razem się modlić, tak między sobą jak ostatnio także z chrześcijanami innych wyznań. Czy zrastanie się ludzkich społeczności nie odbywa się raczej drogą życzliwych kontaktów między ich szeregowymi członkami, niż drogą odgórnych dekretów?

Küng kładzie szczególny nacisk na wspólne celebrowanie Eucharystii i interkomunię. Powołuje się na tak zwaną Deklarację Zbliżenia *(Declaration of Convergence)* przyjętą na konferencji Komisji Wiary i Ładu *(Faith and Order)* Światowej Rady Kościołów w Limie w roku 1982, z udziałem również przedstawicieli Kościoła katolickiego. Deklaracja obejmuje także wspólną liturgię Eucharystii. A jednak, poza udziałem w tej Eucharystii entuzjastycznych grup zaangażowanych ekumenistów, niewiele z tego wynikło. Dlaczego? Küng z goryczą wylicza argumenty czynników decydujących, które twierdzą, że jest na to jeszcze za wcześnie, w tym oficjalne stanowisko katolickie stwierdzające, że interkomunia i wspólne celebrowanie Eucharystii, sakramentu jedności, będzie możliwe dopiero *po* osiągnięciu jedności we wszyst-

kich innych sprawach. Sakrament zatem ma być dopiero przypieczętowaniem duchowego wzrostu, nie drogą do duchowego wzrostu.

W zakończeniu książki Küng uderza w ton zagniewanego proroka. Gniewa go samozadowolenie duchownych przywódców ze stanu Kościołów, którym przewodzą; zasklepienie w tradycjach swoich wyznań; brak zaufania do innych, poczucie, że każdy krok na drodze do zjednoczenia jest kwestią ich osobistej odpowiedzialności; brak zaufania w moc Ducha Świętego. W pewnym momencie woła nawet „Precz, duchu nie-święty". Tym mocniej, nawet rewelacyjnie brzmią potem frazy starego hymnu: *Veni Sancte Spiritus — riga quod est aridum — flecte quod est frigidum — fove quod est frigidum — rege quod est devium.*

6

Kilkanaście lat temu (było to chyba wkrótce po pojawieniu się encykliki *Humanae Vitae)* byłem na odczycie Künga w wypełnionej po brzegi wielkiej auli Londyńskiej Szkoły Nauk Ekonomicznych. Drugim mówcą wieczoru był wybitny konserwatywny poseł do parlamentu i działacz katolicki Norman St. John-Stevas. Przewodniczący w zagajeniu powiedział żartobliwie, że ma zaszczyt przedstawić publiczności przyszłego premiera Wielkiej Brytanii i przyszłego papieża, co zostało powitane gromkim aplauzem. Oczywiście był to wybuch wesołości, ale zapewne było w tym i coś więcej. Na dobrą sprawę St. John-Stevas miał zapewne większe szanse zostania premierem niż Küng papieżem. Ale warto się zapytać, czy chciałbym, aby Küng został papieżem.

Chyba jednak nie — przy całej mojej sympatii dla jego poglądów, podziwu dla jego inteligencji, silnego charakteru, a nade wszystko jego wielkiej wiary. Może ten radykał na tak wysokim stanowisku byłby zbyt radykalny, zbyt bezwzględny w demaskowaniu naszych przesądów i burzeniu drogich nam idolów. Choć kto wie? Ludzie zmieniają się, gdy znajdą się na wysokim władczym stanowisku, a kto jak kto, ale Küng nie powinien być autokratycznym papieżem. Występuje przecież przeciw rzymskiemu centralizmowi, domaga się zwiększenia autonomii biskupów i krajowych konferencji biskupich, prawdziwej kolegialności, nasłuchiwania głosu również ludzi świeckich w przekonaniu, że Duch Święty jest czynny w całym Kościele i udziela swoich natchnień nie tylko członkom hierarchii. Jest w tym, swoim zdaniem i zdaniem wielu, przeciwieństwem polityki pastoralnej Jana Pawła II. W swej krytyce obecnego pontyfikatu jest bezwzględny, może nawet arogancki. Bo Hans Küng jest bardzo pewny swych racji,

pewny swojej wizji przyszłości Kościoła. A w tym jest bardzo podobny do obecnego papieża. Nade wszystko jednak obaj mężowie są do siebie podobni w swym umiłowaniu Kościoła, któremu obaj ze wszystkich sił, pod presją mocy przekonującej swoich wizji, pragną służyć. Obaj mówią swojemu Panu, na pewno szczerze, „słudzy nieużyteczni jesteśmy". Obaj wiedzą, że są pielgrzymami, wraz z całym Ludem Bożym, i że właściwą drogę nie oni wybiorą i wyznaczą. Jan Paweł II mocą swego urzędu wyłączył Hansa Künga spośród godnych zaufania przewodników Ludu Bożego. Hans Küng w sumieniu swym wierzy, że przyszłość wykaże, iż papież jest w błędzie. Czy obaj nie są w błędzie sądząc, że ta ostra alternatywa wyczerpuje sprawę? Od czasu dramatycznej decyzji z grudnia 1979 nigdy się nie spotkali i nie rozmawiają ze sobą. W tym na pewno jest jakiś błąd. *Veni Sancte Spiritus!*

Antoni POSPIESZALSKI

Diana - powieść o polskim losie

Powieści historyczne w Polsce cieszyły się zwykle dużą popularnością i wpływ ich na kształtowanie świadomości narodowej był znacznie większy niż opracowań naukowych. Dla badacza dziejów ludzkich powieści były wszędzie jednym z głównych źródeł wiedzy o społeczeństwie. Rozwój nauk społecznych, bardzo pomocnych do zgłębiania historii, zmniejszył rolę powieści historycznych. Jednocześnie coraz bardziej męczący tryb życia i przedłużający się dojazdami dzień pracy są powodem, że ludzie chętniej sięgają po powieść, niż po książkę naukową. Nadto, w sytuacji polskiej, pracownicy zakładów naukowych nie mają takiej swobody tworzenia, jaką posiadają powieściopisarze, których książki wcześniej czy później są wydawane, mimo różnych trudności, stąd też i większa ich osobista odpowiedzialność za przekazywaną wizję przeszłości.

Dzieje Armii Krajowej miały dotychczas nikły oddźwięk w literaturze tak w Kraju, jak i na emigracji, co jest tym bardziej paradoksalne, że tradycja walk AK jest żywa, ale grozi jej skostnienie i ograniczenie do malowania kotwicy AK-owskiej na murach i odprawiania nabożeństw za umarłych, chwalebne ale dla żywych niewystarczające. Nie biorąc pod uwagę literatury akowskiej pisanej „na zamówienie", ani też epizodów z AK rozsianych po różnych książkach, nie ukazał się dotychczas utwór literacki, który byłby na miarę roli odegranej przez AK i tragedii, jakiej stała się symbolem. Z tym większą przeto satysfakcją należy powitać ostatnią książkę Jerzego R. Krzyżanowskiego [1].

Autor książki, żołnierz AK, walczył w oddziałach partyzanckich na Lubelszczyźnie. W 1944 roku zostaje aresztowany przez NKWD i deportowany do Rosji, skąd powraca do Polski w 1947. Od 1959 mieszka w USA, gdzie doktoryzował się i od 1970 roku jest profesorem literatur i języków słowiańskich na uniwersytecie Ohio. Pisarz i krytyk, prof. Krzyżanowski ma bogaty już dorobek literacki, w którym przeważają tematy akowskie. Poczesne miejsce w tym dorobku zajmuje książka o generale Leopoldzie Okulickim, biografia w formie powieściowej o ostatnim dowódcy AK [2], słusznie nazwana przez jednego z recenzentów „pomnikiem generała Okulickiego".

Z kilku zdań od wydawcy dowiadujemy się, że „Diana jest powieścią o miłości zniszczonej przez Historię" i czytelnik winien znaleźć odpowiedź na pytania: „Czy Diana jest ofiarą tragedii? Czy jej bezwolną współwinowajczynią? Czy może symbolem polskiego losu?". Motywem powieści, jak wielu innych, jest zakochana w sobie młoda para i dopiero osnute wokół tej pary wydarzenia nadają książce swoisty charakter.

Diana, protagonistka powieści, córka oficera polskiego i matki, której ojciec był oficerem carskim, miała osiemnaście lat, gdy podczas okupacji niemieckiej zaprzyjaźniła się z Jankiem Krzemieniem, podchorążym AK. Uczucie młodej pary splątane jest z pracą w konspiracji, gdzie — zgodnie z rzeczywistością — mowa jest nie tylko o poświęceniu, lecz i o zabawie, piciu wódki i beztroskich chwilach, na jakie zdobyć się mogła tylko młodzież pełna entuzjazmu i wiary w zwycięstwo. Nie było wówczas rozterki ani wahania co do potrzeby walki i wyniku, jakim zostanie ona uwieńczona. Właśnie ta niezachwiana pewność w skuteczność walki była później powodem wielu tragedii.

Dalszy ciąg powieści toczy się w Polsce „oswobodzonej" przez armię czerwoną, która niosła ze sobą grozę gwałtów, aresztowań i deportacji. „Ale — zapytuje Diana — co ty jesteś winien, obcy żołnierzu... I co my wszyscy jesteśmy winni? Historia szumi wokół nas, nie rozumiemy jej znaczenia...". Krzemień, wraz z innymi z wołyńskiej dywizji AK zostaje wywieziony do Rosji. Zwolniony po trzech latach z obozu, wraca do Polski.

W tym samym czasie Diana nie uniknęła swego, wspólnego z jej ojczyzną losu: zgwałcona przez kapitana armii czerwonej, zostaje jego żoną, „wojenną żoną", nie na długo, bo do wyjazdu kapitana do Rosji. Diana i Krzemień znowu są razem, na bardzo jednak krótko. Ujawniona przeszłość Diany po „wyzwoleniu" jest dla Krzemienia nie do zapomnienia, mimo żywionego ciągle dla niej uczucia. Rozstają się definitywnie. W 1957 roku Krzemień otrzymuje wreszcie paszport i wyjeżdża za granicę. Po wystartowaniu z Okęcia spogląda „za siebie, tam, gdzie pod ciężką zasłoną chmur pozostało wszystko, co kochał".

1. Jerzy R. Krzyżanowski, *Diana*, Bicentennial Publishing Corporation, New York 1986.

2. Jerzy R. Krzyżanowski, *Generał. Opowieść o Leopoldzie Okulickim*, Odnowa, Londyn 1980.

Powieść napisana jest stylem potoczystym, tętni życiem, takim jakie ono było w czasie okupacji niemieckiej, z plastycznie oddaną atmosferą lat powojennych i problemów nurtujących wówczas społeczeństwo, co mógł zrobić tylko pisarz, który sam to wszystko przeżywał. Jest to zarazem książka pobudzająca czytelnika do myślenia i szukania odpowiedzi na pytanie postawione przez Dianę: „Dlaczego tak musiało się stać?".

Tadeusz WYRWA

Nadesłane nowości wydawnicze

HELLER (Michał), NIEKRICZ (Aleksander). *Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego.* Tom II. Z rosyjskiego przeł. Andrzej Mietkowski. Str. 424 i 2 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).

Stalin i stalinizm. Rozmowy George'a Urbana. Str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).

KRALL (Hanna). *Okna.* Str. 97 i 7 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 4, $ US 8,50).

RATUSZYŃSKA (Irena). *Mój ty kraju znienawidzony.* Wiersze. Wybrał i przełożył z rosyjskiego W. Woroszylski. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 4, $ US 8,50).

KOWALSKI (Miłosz). *Mikołajek w szkole PRL.* Rysunki Masława. Str. 56 i 6 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 2,50, $ US 6,25).

SOLSKI (Wacław). *Rysy twarzy.* Powieść. Str. 251 i 1 nlb. (Wyd. nakładem czytelników, Londyn 1957).

MICEWSKI (Andrzej). *Kościół wobec „Solidarności" i stanu wojennego.* Str. 283 i 5 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1987).

PESZKOWSKI (Zdzisław J., ks.). *Ojciec. Wspomnienie o Stefanie kardynale Wyszyńskim, Prymasie Polskim.* Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. nie podane, Orchard Lake 1987).

BATEROWICZ (Marek). *Serce i pięść.* Str. 72. (Wyd. Polish Cultural Association, Sydney 1987).

GARLIŃSKI (Józef). *Niezapomniane lata. Dzieje wywiadu więziennego i wydziału bezpieczeństwa Komendy Głównej Armii Krajowej.* Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1987).

KAZ-OSTASZEWICZ (Kazimierz). *Czas nieurodzonych dni.* Str. 292. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).

ROWIŃSKA (Leokadia). *Pokłosie.* Str. 212. (Wyd. Artex Press, Stevens Point, WI, USA, 1987).

TERLECKI (Tymon, proza), BOHUSZ-SZYSZKO (Marian, rysunki), PIETRKIEWICZ (Jerzy, wiersze), WIERZYŃSKI (Kazimierz, wiersze). *Opowieść o dwu miastach. Londyn — Paryż.* Str. 126. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

KRAWIEC (Jan). *Najtrwalsza konstytucja.* Str. 40 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Bookstore, Chicago 1987).

WERNER (Andrzej). *Polskie, arcypolskie...* Str. 201 i 7 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).

WIERZBICKI (Piotr). *Szary człowiek.* Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Bookstore, Chicago 1987).

IWANIUK (Wacław). *Nocne rozmowy.* Wiersze. Str. 106 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

Biuletyn informacyjny 1987. Str. 58. (Wyd. Polski Instytut Naukowy w Kanadzie i Biblioteka Polska w Kanadzie, Montreal 1987).

TARNAWSKA (Maria). *Siostra Faustyna Kowalska. Życie i posłannictwo.* Str. 371 + fotografie. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).

Kalendarz żydowski 5748 (1987-1988). Str. 176 + XXXII. (Wyd. Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego w PRL, Warszawa 1987).

WERESZYCKI (Henryk). *Niewygasła przeszłość. Refleksje i polemiki.* Str. 422 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 600).

KOTLARSKI (Grzegorz). *Myśl społeczna Róży Luksemburg. Próba rekonstrukcji historiozofii.* Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1987, cena zł 390).

JECHOVA (Hana, red.), WLODARCZYK (Hélène, red.). *Emigration et exil dans les cultures tchèque et polonaise.* Str. 287 i 5 nlb. (Wyd. Presses de l'Université Paris-Sorbonne, Paryż 1987).

WYRWA (Tadeusz). *L'idée européenne dans la Résistance à travers la presse clandestine en France et en Pologne (1939-1945).* Str. 237 i 5 nlb. (Wyd. Nouvelles Editions Latines, Paris 1987).

WALESA (Lech). *A Way of Hope. An Autobiography.* Str. 325 i 3 nlb. (Wyd. Henry Holt and Co., New York 1987).

Harvard Ukrainian Studies, vol. X, nr 1/2, June 1986. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA).

GIEDROYĆ (Michał). *The Arrival of Christianity in Lithuania: Between Rome and Byzantium (1281-1341).* (Nadbitka z „Oxford Slavonic Papers" vol. XX, 1987, str. 1-33, wyd. Clarendon Press, Oxford 1987).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Computing Systems in an Ecology of Knowledge-Perspective.* (Nadbitka z *Future Computing Systems* vol. I, nr 4/1986).

ŚWIDERSKI (Bronisław), NEUGER (Leonard). *Ritualized Language: The Polish Obituary as a Signal of Different Social Values.* (Nadbitka z *Symbols of Power. The Esthetics of Political Legitimation in the Soviet Union and Eastern Europe.* Wyd. Almqvist and Wiksell International, Stockholm 1987).

KÜNG (Hans). *Why I am still a Christian.* Str. 82 i 4 nlb. (Wyd. T. and T. Clark, Edinburgh 1987).

Harvard Ukrainian Studies, special issue: Concepts of Nationhood in Early Modern Eastern Europe. Vol. X, nr 3/4, december 1986, str. 597 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA).

PELENSKI (Jaroslaw, ed.). *State and Society in Europe from the Fifteenth to the Eighteenth Century. (Proceedings of the First Conference of Polish and American Historians, Nieborów, May 27-29, 1974).* Str. 297 i 3 nlb. (Wyd. Warsaw University Press, Warsaw 1985).

MIŁOSZ (Czesław). *Zeichen im Dunkel. Poesie und Poetik.* Herausgegeben von Karl Dedecius. Str. 123 i 13 nlb. (Wyd. Suhrkamp Vlg, Frankfurt/M. 1987).

LAUB (Gabriel). *Mein lieber Mensch. Neue Gespräche mit dem Vogel.* Str. 159 i 3 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus, München und Hamburg 1987).

MIŁOSZ (Czesław). *Das Zeugnis der Poesie.* Przeł. Peter Lachmann. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, München-Wien 1987).

Studien zu Nationalitätenfragen nr 1/1985. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Institut zur Erforschung der nationalen Probleme, München).

Studien zu Nationalitätenfragen nr 2/1986. Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. Institut zur Erforschung der nationalen Probleme, München).

SERKE (Jürgen). *Das neue Exil. Die verbannten Dichter.* Str. 399 i 1 nlb. (Wyd. Fischer Taschenbuchverlag, wyd. II, Frankfurt/M 1985).

BOCHEŃSKI (Joseph M.). *Über den Sinn des Lebens und über die Philosophie. Aufsätze.* Str. 168 i 2 nlb. (Wyd. Herder/NZN-Buchverlag, Freiburg-Basel-Wien-Zürich 1987).

BINGEN (Dieter). *Gab es eine Revolution in Polen (1980-1981)? Versuch der begrifflichen Annäherung an einen historisch-politischen und sozialen Prozess.* Str. 44. (Wyd. Bundesinstitut für ostwissenschaftliche und internationale Studien, Köln 1987).

HERBERT (Zbigniew). *Rapport fra en beleiret by og andre dikt.* Przełożył z polskiego Ole Michael Selberg. Str. 108 i 12 nlb. (Wyd. Solum Forlag, Norwegia).

BRANDYS (Kazimierz). *Rondo.* Traduzzione di Giovanna Tomassucci. Str. 278 i 2 nlb. (Wyd. edizioni e/o, Roma 1986).

BRANDYS (Kazimierz). *Sansone.* Traduzione di Franciszka Frova e Giovanna Tomassucci. Str. 176 i 4 nlb. (Wyd. edizioni e/o, Roma 1987).

BRANDYS (Kazimierz). *La madre dei re.* Traduzione di Ludovico Tulli. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. Impronte/Feltrinelli, Milano 1987).

MicroMega. Le ragioni della sinistra 3/1987. Str. 232 i 8 nlb. (Wyd. Editrice Periodici Culturali, Roma 1987).

Alle middelen waren geoorloofd. Poolske stalinisten verbreken het zwijgen. Interviews van Teresa Torańska. Str. 362 i 2 nlb. (Wyd. Sijthoff, Amsterdam 1987).

MILOSZ (Czeslaw). *Sobre la esperanza.* Traducción: José Agustin Mahieu. (Wyd. Cuadernos Hispanoamericanos).

BRANDYS (Kazimierz). *Maneder. Warszawa dagbog 1978-1983.* Przeł. Willy Dähnhardt i Janina Katz. Str. 378 i 6 nlb. (Wyd. Gyldendal, Kopenhaga 1987).

Ruska fantastična pripovetka. Przeł. Petar Vujičić. Str. 336 i 8 nlb. (Wyd. Izdavacka Radna Organizacija „Rad", Beograd 1987).

KOSIDOWSKI (Zenon). *Kad je sunce bilo bog.* Przeł. Petar Vujičič. Wyd. II. Str. 372 i 6 nlb. (Wyd. Srbska Knižewna Zadruga, Belgrad 1987).

MANDELSZTAM (Nadieżda). *Kniga trietia.* Str. 334 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1987).

MIŁOSZ (Czesław). *Poeticzeskij traktat.* Przeł. Natalia Gorbaniewska. Str. 54 i 8 nlb. (Wyd. Ardis, Ann Arbor MI, USA 1987).

POLANSKIJ (Nikołaj). *MID Dwienadcat' liet na sowietskoj diplomaticzeskoj służbie (1969-1981).* Przedmowa Michaiła Woslenskiego. Str. 344 i 4 nlb. (Wyd. OPI, London 1987).

SUWOROW (Wiktor). *Akwarium.* Str. 366 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1987).

MOSS (Robert). *Moskowskije prawiła.* Przeł. z angielskiego Michaił Szargorodskij i Rita Schneider. Str. 509 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1987).

ZIEMCOW (Ilja), FARRAR (John). *Gorbaczow: czełowiek i sistiema siemdiesiat liet posle Oktiabra.* Str. 320 i 4 nlb. (Wyd. Overseas Publications, London 1987).

MIŁOSZ (Czesław). *Ponewołenyj rozum.* Przeł. B. Struminsky. Str. 264. (Wyd. Suczastnist', USA, 1985).

MECZNYK (S.). *Rozdumuju, pryhaduju (spohady tretia czastyna 1954-1973).* Str. 282 i 4 nlb. (Wyd. Ukrajinśke Wydawnyctwo, Monachium 1985).

MECZNYK (S.). *Ludy, roky, podiji (spohady czetwerta czastyna).* Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Ukrajinśke Wydawnyctwo, Monachium 1986).

PITHART (Petr). *Osmasedesaty.* Str. 314 i 6 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Anglia 1987).

Rozmluvy nr 7/1987. Literarni a filozoficka revue. Str. 186 i 6 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, Wielka Brytania).

HUMENNA (Dokia). *Prohulanka ałejamy milionolyti. Mikronoweli.* Str. 170 i 8 nlb. (Wyd. V. Symonenko Smołoskyp Publishers, New York - Baltimore 1987).

DEMKOWYCZ-DOBRIANŚKYJ (Mychajło). *Potockij i Bobrzynskij. Cisarśki namistnyky Hałyczyny 1903-1913.* Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. Ukrajinśkyj katołyćkyj uniwersytet im. Kłymentija Papy, Rzym 1987).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

21-10-87
Z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin Romana Palestra odbył się szereg koncertów i imprez poświęconych muzyce tego wybitnego kompozytora, mieszkającego od wielu lat w Paryżu. W Warszawie Filharmonia Narodowa urządziła koncert muzyki Palestra w sali koncertowej na Zamku Królewskim, a Towarzystwo Muzyki Współczesnej w Akademii Muzycznej. W Krakowie koncert jubileuszowy odbył się w auli Collegium Novum staraniem Uniwersytetu Jagiellońskiego i Filharmonii Krakowskiej. Na dwóch z tych imprez Palester miał również przemawiać, ale zły stan zdrowia uniemożliwił mu w ostatniej chwili podróż do Polski.

20-11-87
Niekonsekwencje władz PRL: w Warszawie zarejestrowano Towarzystwo Przyjaciół katolickiego miesięcznika *Powściągliwość i Praca* oraz dwa nowe Kluby Inteligencji Katolickiej — w Lubaczowie i w Jaworznie; ponadto zaaprobowano Klub „Dziekania", w którym czołową rolę odgrywają Marcin Król i Aleksander Hall. Odmówiono natomiast rejestracji Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Warszawskiego oraz Klubu Myśli Politycznej im. Lecha Bądkowskiego w Gdańsku.

23-11-87
Zmarła w Warszawie Julia Minc, znana działaczka komunistyczna, współorganizatorka PAP i jego kierowniczka do 1954 roku. Została ona uwieczniona w głośnej książce Teresy Torańskiej pt. „Oni".

24-11-87
Biuro prasowe Episkopatu Polski opublikowało pismo, z którego wynika, że władze kościelne nie zgadzają się na propozycję czasowego odstąpienia Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie na wystawę kolekcji malarstwa europejskiego, przekazanej Archidiecezji Warszawskiej przez pp. Janinę i Zbigniewa Porczyńskich. Władze kościelne doszły do wniosku, że Archidiecezja powinna zbudować w krótkim czasie własny, nowy budynek muzeum, odpowiadający randze kolekcji. Rozpoczęcie budowy zależy wyłącznie od wydania przez władze administracyjne i budowlane odpowiednich decyzji.

25-11-87
Zmarł w Krakowie w wieku 89 lat Karol Bunsch, popularny autor książek o tematyce historycznej.

1-12-87
W związku z przyznaniem specjalnej nagrody Ministra Kultury i Sztuki PRL należy wyjaśnić, że Witold Lutosławski odmówił jej przyjęcia, tak zresztą jak i wszystkich innych nagród państwowych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5-10-87
W Ottawie powstał Związek Pomocy „Solidarności" — Solidarity Assistance Association, który postawił sobie za cel moralne i finansowe wspieranie opozycji zrzeszonej w szeregach „Solidarności" regionu bydgoskiego. Organizacja została założona przez emigrantów politycznych z tego regionu, b. działaczy NSZZ „Solidarność".

17-10-87
Komitet Pomocy Polsce w Saint-Geneviève-des-Bois (Francja) od lat współpracujący z Regionem Łódzkim „Solidarności", zorganizował wystawę publikacji niezależnych, prasy podziemnej oraz dokumentów „Solidarności" z tego regionu.

7-11-87
Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce przyznało trzy nagrody: Andrzejowi Pomianowi, historykowi i dziennikarzowi, za całokształt działalności publicystycznej; Jerzemu Lerskiemu za powieść „Emisariusz Jur"; Januszowi Głowackiemu za twórczość teatralną.

13-11-87
Zmarł w Londynie w wieku 86 lat prof. Zdzisław Stahl.

14-11-87
Zmarł w Waszyngtonie w wieku 84 lat Doman Andrzej Rogoyski. W okresie międzywojennym pracował w MSZ jako sekretarz ministra Józefa Becka, z którym dzielił sześcioletnie internowanie w Rumunii (1939-1945). M.in. autor polsko-angielskiego słownika metereologicznego (1969 r.).

17-11-87
Klub „Kontakt" wraz ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów we Francji zorganizował w Paryżu wieczór poświęcony Josifowi Brodskiemu, tegorocznemu laureatowi literackiej Nagrody Nobla.

19-11-87
Przegląd Polski, dodatek tygodniowy do nowojorskiego *Nowego Dziennika*, ogłosił listę polskich *bestseller*'ów, najlepiej sprzedawanych w ostatnim okresie. Są to książki: Andrzeja Nagórskiego „Przymusowe pożegnanie" (Nowy Jork, 1987, Bicentennial Publ. Corp.), Józef Piłsudski „Rok 1920" (Polska Fundacja Kulturalna, wydanie VI), Kazimierz Brandys „Miesiące (1985-1987)" (Instytut Literacki), J. M. Bocheński, OP „Sto zabobonów" (Instytut Literacki), Daniel Beauvois „Polacy na Ukrainie (1831-1863)" (Instytut Literacki).

23-11-87
Zmarł w Paryżu w wieku 87 lat ks. infułat Kazimierz Kwaśny, wieloletni rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji i współzałożyciel Kongresu Polonii Francuskiej.

28-11-87
W Bibliotece Polskiej w Paryżu, w czasie zebrania dla uczczenia 157-ej rocznicy Powstania Listopadowego, prof. Jan Myciński wygłosił referat o Aleksandrze Franciszku Druckim-Lubeckim, postaci wybitnej, ale bardzo mało znanej.

1-12-87
Na cmentarzu Saint-Chéron-de-Chartres (Francja) odbyła się uroczystość położenia płyty na grobie malarza Stanisława Grabowskiego, ofiarowanej przez Muzeum sztuki w Łodzi dla uczczenia Jego pamięci.

2-12-87
Zmarł w Oslo Bronisław Lubiński, długoletni Prezes S.P.K. w Norwegii i przedstawiciel *Kultury* na Norwegię.

4-12-87
W lokalu Księgarni Polskiej w Paryżu odbyło się spotkanie z Tadeuszem Żenczykowskim, który zaprezentował swoją ostatnią książkę pt. „Polska lubelska".

8-12-87
W sali Mutualité w Paryżu odbyło się zebranie dyskusyjne na temat „La Pologne entre l'apathie et l'espoir", zorganizowane przez l'Association Solidarité France-Pologne, z udziałem dziennikarzy francuskich Bernarda Guetta *(Le Monde)* i Véronique Soulé *(Libération)* oraz Leopolda Ungera *(Le Soir*, Bruksela), jak również Georgesa Minka z CNRS. Zebraniu przewodniczył prezes Stowarzyszenia, prof. Piotr Słonimski. Przemawiał również dziennikarz z Polski, Stefan Starczewski.

9-12-87
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odczyt b. ambasadora Francji w Warszawie, Jacques Dupuy, pt. „Józef Poniatowski a Francja". ■ W Centre du Dialogue Księży Pallotynów w Paryżu odbył się wieczór autorski Marka Nowakowskiego.

11-12-87
W Galerie Lambert w Paryżu odbył się wernisaż wystawy rysunków Jacka Fedorowicza, która będzie otwarta do 30 stycznia 1988 roku.

16-12-87
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. Romualda Kukułowicza, b. doradcy do spraw „Solidarności" Prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, na temat „Polska przed i po referendum w dniu 19 listopada 1987".

19-12-87
W księgarni Libella w Paryżu Józef Czapski podpisywał od godz. 16-tej do 19-tej swoje dwie książki, które ukazały się w języku francuskim w wydawnictwie Noir sur Blanc: „Proust contre la déchéance" (odczyty wygłoszone w obozie w Griazowcu) i „Souvenirs de Starobielsk".

◆

Podczas ostatniego walnego zebrania członków Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego wybrano nowy zarząd w skład którego weszli ze strony polskiej: Agnieszka Szumańska — prezydent, Beatrice Deryng — sekretarz, Janusz Deryng — delegat Zarządu na Francję północną; ze strony ukraińskiej: prof. Aristid Wirsta, Mychajło Gomoła — skarbnik i Wołodymyr Małynowicz. Tego samego wieczoru prof. Waldemar Voisé wygłosił odczyt o polskim historyku Michale Bobrzyńskim.

◆

Od kilku miesięcy działa we Francji dwujęzyczny, francusko-polski serwis informacyjny na minitelu o nazwie KONTAKT. Minitel — telefoniczny komputer — stał się we Francji niezwykle popularnym środkiem przekazu, funkcjonuje już prawie trzy miliony terminali-miniteli obsługiwanych przez ponad 3.000 rozmaitych serwisów. Za jego pośrednictwem można uzyskać nie tylko dostęp do różnego rodzaju informacji, ale także wejść w kontakt

z jednym lub z wieloma rozmówcami. Korzystać z niego może każdy abonent telefoniczny. Serwis KONTAKT oferuje program poświęcony Polsce i informacje o Polakach i polskich instytucjach we Francji; obejmuje m.in. takie działy jak: wiadomości, przegląd prasy polskiej i o Polsce, działalność „Solidarności", porady praktyczne, drobne ogłoszenia etc. (Z „Kontaktem" można połączyć się wykręcając numer telefonu 36-15 z hasłem „Polk". Dokładnych informacji na temat działania serwisu udziela: Jan Meretik, 176, Bld. de Charonne, 75020 Paris, tel. 42 66 48 43).

NOTATKI Z KANADY

Stefania Bukaczewska-Pastuszenko, nauczycielka, urodzona w Skale nad Zbruczem, uczyła do 1944 roku w Koninie, a następnie wyjechała do Niemiec. Do Kanady przybyła w 1948 roku, owdowiała w 1979 roku i obecnie mieszka w ukraińskim domu starców w Toronto. Dla uczczenia pamięci swojej matki założyła fundację badań archiwalnych przy katedrze ukrainoznawstwa na Uniwersytecie Alberta w Edmonton (wartość fundacji — $ c. 100.000). Wpływy z tego kapitału przeznaczone są na stypendia dla studentów lub pracowników naukowych, zbierających materiały archiwalne, względnie katalogujących materiały w już istniejących archiwach ukraińskich. Rząd prowincji Alberta uzupełnia stypendia roczne w stosunku dwa do jednego. ■ Nieznany ofiarodawca ustanowił fundację imienia Marusi i Iwanki Charuk dla uczczenia pamięci dwojga młodych Ukraińców, którzy zginęli podczas ostatniej wojny. Kapitał fundacji wynosi $ 10.000 i przeznaczony jest na stypendia dla osób badających problemy ukraińskie. Podobnie jak do poprzednich stypendiów rząd prowincji Alberta dokłada w stosunku dwa do jednego. ■ Klub ukraińskich profesjonalistów-przedsiębiorców w Edmontonie przekazał Uniwersytetowi $ 200.000 jako dotację na pokrycie kosztów ośrodka pedagogicznego języka ukraińskiego, istniejącego przy katedrze ukrainoznawstwa. Rząd prowincji Alberta dołoży na ten cel $ 400.000. Grupa ukraińska nie ma przypływu nowych emigrantów, a wysiłek pedagogów i pracowników naukowych ma na celu przekazanie, względnie umacnianie języka i wszelkich wartości kultury ukraińskiej w pokoleniach urodzonych czy wychowanych w Kanadzie. ■ Na żadnej z wyższych uczelni w Kanadzie nie ma funduszu stypendialnego ufundowanego przez Polaka lub polską organizację czy instytucję, przeznaczonego na stypendia dla osób zajmujących się badaniami problematyki polskiej czy polonijnej. Nie znalazły się odpowiednie fundusze na kapitał zakładowy dla zorganizowania katedry polonistyki na Uniwersytecie w Toronto. Więcej — w ubiegłym roku akademickim zakończył pracę na uniwersytecie w Toronto dr Peter Brock, wieloletni wykładowca historii — w tym historii Polski. Władze tej uczelni nie obsadziły opróżnionego miejsca nie tylko ze względów finansowych, ale i z braku odpowiedniego kandydata we własnym gronie. Oficjalna reprezentacja społeczności polskiej — Kongres Polonii Kanadyjskiej — w toku dyskretnych i poufnych kontaktów ustalił, iż złożenie uniwersytetowi sumy około 2 mln dolarów spowoduje dotację rządu federalnego w wysokości 300 tys. i wówczas zostanie zaangażowany wykładowca historii Europy środkowo-wschodniej, a w jej ramach historii Polski. Te dotacje umożliwiłyby także stypendia dla prac badawczych. Uniwersytet czeka... Z dużą przykrością i żalem trzeba odnotować, iż wydaje się, że okres tego czekania będzie długi. A przecież sporo jest zamożnych, a nawet bardzo zamożnych Polaków i osób dumnie podkreślających swoje polskie pochodzenie — brak tylko ofiarności na cele tak istotne, jak zachowanie, podtrzymanie i rozwój wiedzy o Polsce.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Według konserwatywnego stockholmskiego pisma *Svenska Dagbladet* radca sowieckiej ambasady w Helsinkach, Albert Akułow — biorąc udział w seminarium rozbrojeniowym, zorganizowanym przez stronnictwo prawicowe, do którego należy obecny premier Finlandii — powiedział, że na wypadek wojny i konfliktu Sowiety - USA Związek Sowiecki nie będzie respektował neutralności Finlandii i Szwecji. W wypadku gdyby USA wystrzeliły rakietę z Morza Północnego poprzez powietrzne terytorium tych krajów Sowiety będą prowadziły wojnę obronną nad terytorium Finlandii i Szwecji. ■ W duńskiej prasie ukazał się niedawno ilustrowany rysunkami artykuł ujawniający detale zaplanowanego przez Sowiety — na wypadek wojny — desantu powietrznego w Danii. Pismo zaczerpnęło te precyzyjne dane ze źródeł wojskowych NATO, które licząc się z taką możliwością, prowadziło gry wojenne na powyższy temat według dwóch alternatyw: inwazji Szwecji przy użyciu wojsk sowieckich i wschodnioniemieckich (NRD) oraz inwazji Danii przy udziale wojsk z NRD i PRL. ■ W ostatnim tygodniu listopada miał miejsce w Stockholmie festiwal muzyki Witolda Lutosławskiego, który osobiście dyrygował orkiestrą szwedzkiej Filharmonii. W entuzjastycznych recenzjach Lutosławski nazywany jest mistrzem polskiej muzyki. ■ Dnia 5 listopada 1987 odbyło się w Stockholmie nadzwyczajne Walne Zebranie Kongresu Polaków w Szwecji, poświęcone wnioskom Sądu Koleżeńskiego i Komisji Rewizyjnej o wykluczenie z Kongresu Polaków w Szwecji Oddziału stockholmskiego oraz wiceprezesa Oddziału Jana Żuchowskiego i pp. Zbigniewa Kozickiego i Bogusława Rzewuskiego. W Walnym Zebraniu brali udział delegaci z całej Szwecji. Za wykluczeniem głosowało 104 delegatów, przeciw wykluczeniu 6-ciu, a 2-ch wstrzymało się od głosowania. W czasie ożywionej dyskusji Oddziałowi stockholmskiemu zarzucono: 1) że wbrew zasadom przyjętym przez polskie organizacje na Zachodzie trzej wymienieni wyżej członkowie władz Oddziału wzięli oficjalnie — jako przedstawiciele Oddziału Kongresu — udział w spotkaniu w dniu 8 kwietnia 1987 roku z ministrem PRL Urbanem, które odbyło się w lokalu Konsulatu Generalnego PRL w Stockholmie, przynosząc w ten sposób ujmę dobremu imieniu polskiej politycznej emigracji w Szwecji; 2) że na Walnym Zebraniu Oddziału Stockholmskiego odbytym 31 maja 1987 roku przyjęto uchwałę dotyczącą nowej polityki w odniesieniu do przedstawicieli PRL. Mianowicie prowadzenie takiej działalności, która umożliwiłaby wywieranie nacisków na przedstawicieli władz PRL w Szwecji poprzez nawiązywanie z nimi kontaktów dyskusyjnych; 3) p. Janowi Żuchowskiemu zarzucono odwiedzanie organizacji Kongresu w różnych miastach Szwecji, i namawianie ich do wystąpienia z obecnego Kongresu i założenia z nim nowego Kongresu. Jak dotąd tylko Oddział Stockholmski i 3 oddziały prowincjonalne (w Jönköping, Malmö i Uppsali) zbojkotowały Walne Zebranie Kongresu z 5 grudnia 1987. Ponieważ są to oddziały mające niewielką ilość członków, nieobecność ich delegatów nie wpłynęła ani na nastroje, ani na wyniki Walnego Zebrania.

Norbert ŻABA

Listy do Redakcji

Trieste, 26 listopada 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Kiedy kilka lat temu na zamówienie francuskiej *Encyclopaedia Universalis* pisałem biografię Sir Freda Hoyle'a z okazji siedemdziesiątych urodzin tego sławnego brytyjskiego astronoma, posłałem Jubilatowi konspekt mojego artykułu z prośbą o poprawienie ewentualnych nieścisłości. Sir Fred błędy poprawił, lecz także wykreślił z artykułu kilka zbyt jego zdaniem pochwalnych o sobie opinii. Ta skromność była mi bardzo nie na rękę, uważałem, że superlatywy są nie tylko najzupełniej na miejscu, lecz że są wręcz konieczne.

To właśnie doświadczenie skłoniło mnie do tego, by dopuszczając możliwość błędu, polegać na własnej pamięci i nie konsultować Bohdana Paczyńskiego przed posłaniem do listopadowego numeru *Kultury* notatki o przyznaniu mu Medalu Eddingtona. Zacznę od najbardziej przykrej pomyłki: oczywiście Paczyński nie jest jedynym Polakiem, wybranym do US National Academy of Sciences, jak błędnie w swej notatce napisałem. Można wymienić także nazwiska choćby takich słynnych polskich matematyków jak Kac, Tarski, Ulam, Zygmund. Nie jest to pełna lista. Chodziło mi o to, że jeśli się nie mylę, Bohdan Paczyński jest jedynym Polakiem wybranym jako *zagraniczny* członek, *Foreign Associate*, tej Akademii, i to właśnie szczególne wyróżnienie, a nie fakt bycia członkiem US National Academy of Sciences, miałem na myśli używając, sądzę iż najwłaściwiej, słów *elitarne grono*. Ceremonia wręczenia medalu odbyła się w Londynie, a nie jak napisałem w Cambridge.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Marek ABRAMOWICZ

◆

OŚWIADCZENIE

Z przykrością stwierdzam, że oświadczenie pana Piotra Chruszczyńskiego, zamieszczone na 155 stronie grudniowego numeru *Kultury*, nie odpowiada prawdzie. Wywiad, który z Nim przeprowadzałam, nagrany był na taśmę, spisany i opracowany. Ostateczny tekst pan Chruszczyński czytał i w obecności świadków poczynił poprawki. Ponadto telefonicznie, również w obecności świadków, wprowadził kolejne zmiany, które także zostały przeze mnie uwzględnione. Niniejszym sprawę uważam za zakończoną.

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

Paryż, 12 grudnia 1987.

◆

Oslo, 25 listopada 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W tekście pt. „Twierdza nienawiści" zamieszczonym w *Kulturze* (nr 11/482), celnym i bardzo potrzebnym, zabrakło niestety dwóch dość istotnych aspektów *casusu* kościoła na Zagórnej.

Pierwszy z nich — to fakt szerokiego reklamowania prowadzonej w tym kościele działalności „kulturalnej" okazałymi afiszami o specjalnym wzorze, stale wywieszanymi m.in. na głównym dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego — o ile wiem, bez niczyjego przeciwdziałania (tak było przynajmniej na przełomie lat 1984/1985, kiedy przebywałem przez dłuższy czas w Warszawie).

Drugi aspekt — to udział w tej działalności dosyć eksponowanych intelektualistów (?) katolickich ze środowisk cieszących się zaufaniem hierarchii. Nazwiska dostępne były (i być może nadal są) na wspomnianych afiszach. Niektórzy z nich trafili tam, być może, przez przypadek — wtedy przynajmniej, gdy sprawa Zagórnej nie była jeszcze szerzej znana. Trudno w to jednak uwierzyć np. w wypadku pani dr med. Kingi Wiśniewskiej-Roszkowskiej, znanej publicystki i uznanego katolickiego autorytetu w zakresie seksuologii i dziedzin pokrewnych (autorki wysokonakładowych książek publikowanych przez wydawnictwa katolickie). Jej odczyt pt. „Erotyzm przeciw Polsce" był wprost idealnie wpasowany w „ducha" Zagórnej. Oprócz treści uczonej prelekcji — chodziło o to, jakie cele osiąga zgniły Zachód organizując demoralizowanie seksem Narodu Polskiego — świadczył o tym obszerny, fachowy komentarz wprowadzającego (na temat zachodniej żydowsko-masońskiej mafii urządzającej m.in. konkursy *Miss Polonia)*, a także żywe reakcje sali. *Nota bene*, próba zabrania głosu przez niżej podpisanego skończyła się wyzwaniem go od Żydów i omal-że nie pobiciem.

A może p. Tomasz Jerz rozmyślnie pominął ten drugi aspekt wstydliwej sprawy, by móc napisać o „zadziwiającej bezradności" przedstawicieli Episkopatu? Najuprzejmiej przepraszam autora cennego artykułu, ale to jego „zadziwienie" wydało mi się nieco naiwne.

Z wyrazami poważania

Dr Michał SICIŃSKI
(czasowo) Cederholm 2/902
Kirkeveien 166 N-0450 Oslo 4

◆

Warszawa, 15 listopada 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Poglądy p. Michała Jagiełły *(Kultura* nr 10/1987) na wyjazdy polskich specjalistów do ZSSR wymagają pewnych komentarzy. Wrzucanie do jednego worka wszystkich wyjazdów i sprowadzanie ich do zarabiania pieniędzy lub życia w luksusie (?!) jest uproszczeniem i zdradza niechęć specjalistów od kultury do konsultowania się ze światem ścisłym.

Nie każdy wie, że masowa turystyka służbowa w KDL-ach trwa od dziesiątków lat, a skoncentrowana głównie na wielonarodowych posiedzeniach RWPG nie doprowadziła absolutnie do niczego poza spotkaniami typu wzajemnej adoracji przy niezłym jedzeniu i piciu. Zindywidualizowanie kontaktów i skierowanie ich głównie na kraj Wielkiego Brata stwarza nowe możliwości.

Rzecz jest w tym, że Rosjanie nie wszystko knocą jak na przykład tragicznie uproszczone reaktory jądrowe typu RBMK, produkowane na użytek we własnych granicach. Oprócz tego robią czasem rzeczy technicznie ciekawe i dobre, zwłaszcza gdy korzystają z technologii dla wojska, z badaniami kosmicznymi i innymi pseudopokojowymi włącznie. Można w nich nawet rozpoznać elementy ukradzione przedtem w USA.

Nie dostaniemy dziś nic ciekawego technicznie z Zachodu, bo albo przeszkadza embargo, albo brak prawdziwych pieniędzy. Trzeba wreszcie pojąć, że większość naszego eksportu idzie na Wschód i właśnie stamtąd trzeba wyduszać rzeczy najlepsze i nie dać sobie wciskać odrzutów eksportowych.

Handel z ZSSR nie ma nic wspólnego z handlem w normalnym świecie. To nie jest handel ani współpraca, to jest właśnie wyduszanie (nie znajduję innego terminu). Jedna strona nie wie za ile naprawdę sprzedała, druga nie wie sama czy sprzedać i za ile fikcyjnych rubli. Sam podpatrywałem wielokrotnie co wydusić i podpisywałem odpowiednie umowy, nawet ostatnio. Już, już wydawało się że podpisują, a tu zaczynają biegać po korytarzach, kogoś nie ma, wszędzie widać mętne i rozbiegane oczy partnerów (?) techniczno-handlowych. Nienormalny handel wymaga nienormalnych metod, typowych dla azjatyckiego suku.

Jeżeli więc ma dojść nowy element w postaci wyjazdów indywidualnych (a u naukowców to też się już zintensyfikowało), to zamiast rozdzierania szat przez p. Jagiełłę („co to będzie, co to będzie") należy polskim inżynierom przypomnieć: Obserwujcie pilnie co Rosjanie robią naprawdę dobrze (test łatwy: kontakty materiałowe, maszynowe, technologiczne z kompleksem produkcji militarnej) i te rzeczy właśnie od nich starajcie się kupić, przepraszam, wydusić. Dokładnie tak, jak oni wyduszali nasze dolarowe maszyny, materiały i technologie w czasie radosnej twórczości okresu gierkowskiego.

Z wyrazami głębokiego szacunku

STARSZAWY INŻYNIER Z KRAJU

◆

Lille, 16 listopada 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Fragment tekstu Renaty Gorczyńskiej pt. „Mięszkał ubogi szlachcic na Podolu" *(Kultura* nr 11 z 1987 r.) wymaga małego sprostowania. Autorka wspomina, iż jeden z uczestników sesji majowej na Uniwersytecie w Lille III (poświęconej pisarzom kresowym) wygłosił odczyt o Zygmuncie Haupcie. Informacja ta jest tylko częściowo prawdziwa. Rzeczywiście w moim referacie omawiałem wątki kresowe w twórczości Zygmunta Haupta, lecz nie poświęciłem mu odrębnego odczytu, jak sugeruje Renata Gorczyńska, a jedynie spróbowałem umieścić dzieło tego wybitnego choć prawie nieznanego pisarza w szerszym kontekście prozy emigracyjnej naszego wieku, obok takich autorów jak Czesław Miłosz, Józef Mackiewicz czy też Włodzimierz Odojewski.

Marek TOMASZEWSKI
Uniwersytet Lille III

◆

Buenos Aires, 23 listopada 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Bohdan Osadczuk w swym artykule „Sprawa Tatarów Krymskich" *(Kultura* nr 9/480, str. 119) podaje: „Nie pomogło przyjęcie do kierownictwa rządu Aleksandra Sulkiewicza, polskiego Tatara i wybitnego rewolucjonisty, przyjaciela Piłsudskiego".

Pan Osadczuk myli się: państwo Tatarsko-Krymskie powstało bezpośrednio po upadku caratu i trwało do 1920 roku, gdy Aleksander Duzman Emirza Beg Sulkiewicz — o nim pisze p. Osadczuk — poległ w Legionach dnia 18 września 1916 roku.

Naczelnikiem państwa Tatarsko-Krymskiego był inny Sulkiewicz, polski Tatar. W wojsku rosyjskim doszedł do stopnia generała w czasie pierwszej wojny światowej. W czasie swego pobytu w Azerbajdżanie był szefem sztabu gen. Machmandarowa, dowódcy wojsk z ramienia partii „Musawat". Był już człowiekiem starym — nie pamiętam jego imienia — z trudnością doszukiwał się w pamięci zapomnianych słów języka polskiego, podobno pragnął jednak powrotu do rodzinnych stron (Grodzieńszczyzna).

Przy okazji tego sprostowania może warto przypomnieć czytelnikom *Kultury*, że państwo Tatarsko-Krymskie notyfikowało Polsce swą „wieczystą przyjaźń" (w maju 1919 roku) oraz zwróciło się do Polski z prośbą o objęcie nad nim mandatu (w maju 1920 roku). Liga Narodów zgody na mandat nie udzieliła, na prośbę Tatarów w tej sprawie odpowiedziała, że może to być rozpatrywane łącznie ze „sprawą rosyjską" i — skończyło się tak, jak to opisuje p. Osadczuk...

Łączę serdeczne pozdrowienia

Bolesław TUROWICZ

◆

Saint-Rémy, 12 września 1987.

Drogi Panie Redaktorze!

Nie mam zwyczaju powracania do sprawy, którą poruszyłem w liście do Redakcji, jeżeli później w odpowiedzi spotyka się argumenty mające głównie na celu odwrócenie uwagi czytelnika od sedna rzeczy. W stosunku do „Uwag" p. Prokopa, zamieszczonych w *Kulturze* nr 9/1987, str. 171-172, robię wyjątek, gdyż chodzi o jedno z palących zagadnień, do jakich winno należeć na emigracji opracowanie możliwie jak największej ilości tematów z najnowszej historii Polski.

Na terenie Francji — piszę o Francji, bo tutaj mieszkam i pracuję — niewielu jest historyków zajmujących się najnowszymi dziejami Polski. Żaden z nich, gdy udaje się do Biblioteki polskiej w Paryżu, którą opiekuje się Towarzystwo Historyczno-Literackie, nie powinien napotykać na najmniejsze trudności, bez względu na to czy jest dobrze lub źle widziany przez kogoś z personelu. Odpowiedź, jaką otrzymałem na moją prośbę o zobaczenie archiwum Kawałkowskiego z okresu ostatniej wojny — że mogę je otrzymać pod warunkiem, iż zrobię inwentarz — nie wymaga już dodatkowych komentarzy.

Komentarze zrobił już właściwie sam p. Prokop, gdzie jednak często mija się z prawdą. W dość długim paragrafie pisze co on robi gdy idzie do bibliotek, jako czytelnik. Pomylił jednakże fakty, bo przecież w poruszonej przeze mnie sprawie p. Prokop występował nie w roli czytelnika, lecz w roli pracownika biblioteki, którego obowiązkiem było i jest obsłużenie czytelników. W dalszym ciągu tego paragrafu p. Prokop usiłuje sugerować, iż pretendowałem do specjalnego traktowania mnie w drodze „kumoterstwa", czy też z racji zajmowanego stanowiska. Insynuacja niegodna szanującego się człowieka. Wszyscy, którzy mnie bliżej znają wiedzą, że nigdy nikogo nie prosiłem o żadne uprzywilejowanie.

Niezgodne również z prawdą jest twierdzenie p. Prokopa, że dawniej miałem rzekomo pomagać w inwentaryzacji rękopisów Biblioteki polskiej w Paryżu. Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z inwentaryzacją. Następnie p. Prokop pisze, że zgodnie z regulaminem THL winienem, jak każdy członek, wykazać się pracą dla THL, z czego wywiązywałem się „doskonale za czasów p. Wandy Borkowskiej". Nie wiem skąd dowiedział się p. Prokop o mojej „doskonałości", gdyż ani za czasów p. Borkowskiej, ani później nie składałem żadnego sprawozdania.

Słusznie natomiast pisze p. Prokop, że Bibliotece Polskiej w Paryżu powinno się pomóc. Pomoc może być okazana w różnej formie, również przez publiczne poruszenie problemów, mimo że później na daną osobę spadają gromy — znam to zbyt dobrze z własnego doświadczenia — i mobilizuje się obrońców istniejącego stanu rzeczy. Od kilku lat Biblioteka otrzymuje dość dużą pomoc materialną, dzięki której robiony jest remont i która ułatwiła zwiększenie personelu. Jednocześnie wytworzyła się atmosfera, w której rej wodzą intrygi.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

◆

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Z.W., RFN; „Ja-Ro", RFN; T.F., USA; A.J.S. w Kraju; A.A., Australia; A.K., USA; M.A., Francja; R.D., RFN; Autor wierszy GŁOS, ŚCIANA PŁACZU etc.; M.Cz. w Kraju; A.W.Ch., RFN; D.W. w Kraju; T.J., RFN. — Z wierszy nie skorzystamy.

Futurolog, USA. — Pana „satyra polityczna" wywołałaby nie tyle „odruch oburzenia", co wzruszenie ramion. Bo jaki morał nasuwa Pana pomysłowy zresztą i miejscami dowcipny „scenariusz" odzyskania niepodległości? Że nie warto niczego zmieniać, do niczego dążyć, skoro po zatoczeniu wielkiego koła wrócimy do punktu wyjścia. Ale „scenarzyści" futurologiczni (i logiczni) mają skłonność do zapominania o jednym: że życie narodów i poszczególnych ludzi nie toczy się w ramach ich „żelaznej logiki".

A.A., Australia. — Pani opowiadanie jest *wyłącznie* opisem przyrody, krajobrazem z pamięci. To trochę za mało.

C.M., USA. — Odpowiadamy tylko w niniejszej rubryce, o czym uprzedza od lat nota na wstępie. Pana poemat nie został zakwalifikowany do druku, widocznie przeoczył Pan naszą odpowiedź w jednym z poprzednich numerów *Kultury*.

W.G., RFN. — To bardzo proste: każdy czytelnik *Kultury* ma prawo przysłać swoje utwory do oceny; druk lub odrzucenie zależą od wyniku tej oceny.

L.Ż., Australia. — Niestety, Pani przekłady wierszy Brodskiego nie są najlepsze. Tegorocznego laureata nagrody Nobla przekładali tłumacze tej miary co Barańczak, Wirpsza, Woroszylski. W tej chwili przygotowywany jest przez jedno z wydawnictw emigracyjnych tom wierszy zebranych Brodskiego po polsku.

B.Sz., USA. — Przykro nam, ale także *Pierwsza pomoc* nie nadaje się do druku. Trudno ten tekst nazwać „opowiadaniem", jest to raczej relacja o wypadku.

J.O., Francja. — Wszystkie cztery opowiadania wydają nam się bardzo słabe. Łączy je skłonność do przerysowywania grubą krechą absurdów opisywanej rzeczywistości.

A.Z., Szwecja. — Pomijając już fakt, że *Kultura* nie drukuje utworów teatralnych, uważamy Pana „sztukę wystawną" (jak ją Pan nazywa) za sztukę absolutnie „nie wystawną".

J.H.W. w Kraju. — Miniatury, forma bardzo trudna, nie dają pojęcia o Pana możliwościach prozatorskich. Wiersze są według nas zbyt patetyczne, najbardziej udany jest wiersz o Leśmianie.

Z.K. w Kraju. — Niezależnie od wartości Pana księgi aforyzmów, wykracza ona poza zakres naszych zainteresowań wydawniczych.

F.Sm., Londyn. — Nie zamieścimy. Dosyć już tych potępieńczych swarów.

Anna Kwiecińska. — Pani artykułu „R.W.E. jeszcze na rozdrożu czy już dalej" nie zamieścimy. Jest on bowiem albo prowokacją, albo nieodpowiedzialnym zbieraniem plotek.

M.F., Malmö (Szwecja). — Pana felietonu pt. „Sukces" nie zamieścimy — bardzo słaby.

Na prośbę sygnatariuszy zamieszczamy poniżej ich list skierowany do Redakcji *Tygodnia Polskiego*, który nie został opublikowany.

REDAKCJA KULTURY

DO REDAKCJI „TYGODNIA POLSKIEGO"

Droga Redakcjo,

Niedawno dotarł do nas *Biuletyn na 25-lecie Koła Lwowian* (cz. 1, Londyn, grudzień 1985, nr 50) gdzie, ku naszemu zdumieniu, znaleźliśmy na stronach 100-101 pozytywną recenzję książki Edwarda Prusa „Władyka Świętojurski. Rzecz o arcybiskupie Andrzeju Szeptyckim (1865-1944)".

Książka Prusa została wydana w 1985 roku przez Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych (reżymowych neo-związków założonych po rozbiciu „Solidarności"). Dlaczego książka mająca aspiracje bycia publikacją akademicką została wydana przez wydawnictwo ruchu związkowego, jest rzeczą trudną do zrozumienia. Zdumiewający jest również nakład, w jakim się ukazała — 20 tysięcy egzemplarzy! — w kraju, gdzie permanentny „brak papieru" nie pozwala na drukowanie wystarczającej ilości podręczników, gdzie obiektywne prace naukowe dotyczące Ukrainy ukazują się w 500 egzemplarzach!

W największe jednak zdumienie wprawił nas fakt, iż polskie ugrupowanie emigracyjne (prawdopodobnie antykomunistyczne) wyraziło tyle pochwał wobec tej niechlubnej, nierzeczowej i tendencyjnie interpretującej fakty pracy. W Polsce książka ta została oceniona negatywnie zarówno w fachowej prasie oficjalnej (patrz Andrzej Zięba, *Kwartalnik Historyczny* nr 4, 1986 oraz Władysław Serczyk i Ryszard Torzecki, *Dzieje Najnowsze* nr 1, 1986) jak i w prasie niezależnej (*Solidarność Nauczycielska*, październik 1984; *Arka* nr 16/1986; *Bez Dekretu* nr 9-10 i 11 z 1986; *Kultura Niezależna* nr 26/1986; *Konkret* nr 3/1986). Recenzja *Biuletynu Koła Lwowian* zgodna jest więc tylko z oficjalną propagandą reżymową.

Z jakich to powodów Koło Lwowian czy też recenzent książki Prusa, ukrywający się pod inicjałami T.K., uważa ją za „pozytywną"? T.K., podobnie jak Prus, nie może zrozumieć „zdrady" Metropolity Szeptyckiego, zdrady czyniącej go w jakiś sposób „antypolskim". Szeptycki, pomimo wielu kontrowersyjnych działań, był gorącym adwokatem współpracy polsko-ukraińskiej (być może tu leży przyczyna niechęci Koła Lwowian?) i wiosną 1943 roku zaaranżował kontakty i spotkania pomiędzy AK i grupami ukraińskich nacjonalistów OUN i UPA w celu przełamania polsko-ukraińskiej wrogości. Mimo, iż te akurat rokowania załamały się, nie można zaprzeczyć, że Szeptycki gorąco wierzył w polsko-ukraińskie zbliżenie. Dla Prusa i jego popleczników (dla Koła Lwowian?) to zbliżenie jest wysoce niepożądane.

Z jakich źródeł korzystał Prus i jak do nich dotarł przy pisaniu tej pierwszej w komunistycznej Polsce książki o Szeptyckim? Prus sam przyznaje, iż korzystał z archiwów sowieckich, do których dostęp mają nieliczni (niekoniecznie badacze). Jeśli Prus jest uznawany za *persona grata* w archiwach lwowskich, to świadczy to albo o kontaktach na wysokim szczeblu, albo o poparciu stamtąd płynącym. Chyba, że podaje się za kogoś, kim nie jest.

Książka Prusa nie wydaje się pracą oryginalną. Co więcej, wydaje się być identyczna z książką wydaną w 1968 roku we Lwowie, rozszerzoną i ponownie wydaną po rosyjsku w 1970 roku w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Tę książkę opatrzono tytułem „W tini Swiatoho Jura", autorem jest Wołodymir Dobryczew. Na jej podstawie zrobiono w 1983 roku w Kijowie standardowy sowiecki — antymniejszościowy i antyunicki — film. Więc może Prus jest jednocześnie Dobryczewem?

Obie książki są typowymi sowieckimi produktami, mającymi na celu dyskredytację Kościoła unickiego, Szeptyckiego, nacjonalizmu ukraińskiego. Obie są typowe w ich oczywistych intencjach rozdmuchiwania i kontynuacji nienawiści między Polakami i Ukraińcami. Czy Koło Lwowian też tego chce?

My, ludzie związani z pismem *Dialogi* wierzymy, że większość Polaków i Ukraińców chce szczerze zakończyć okres wzajemnej wrogości. Zapewne i w Kole Lwowian są tacy ludzie. Dlaczego więc tak łatwo ulegają propagandzie KGB?

Z wyrazami szacunku

REDAKCJA
DIALOGÓW. BIULETYNU POLSKO-UKRAIŃSKIEGO
POLITYCZNA GRUPA „DIALOGI"

FELIKS MANTEL
„POLITYCZNY ELEMENTARZ"
Opinia prof. Brzezińskiego: Czytam ELEMENTARZ. Jestem pod wrażeniem proroczych obserwacji.
Skład Główny w **Księgarni Polskiej,**
123 Bld. St.-Germain, 75006, Paris.
Telefon: 43 26 04 42.

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Co to jest jaszczurka?
— Krokodyl po reformie.

◆

— Jak określisz reformę gospodarczą w Polsce?
— Jest jak szeroka rzeka: dno głębokie a koryto takie samo.

◆

— Jaka jest różnica pomiędzy pluralizmem a pluralizmem socjalistycznym?
— Taka jak między krzesłem a krzesłem elektrycznym.

◆

— Do czego podobna jest reforma gospodarcza?
— Do Wyścigu Pokoju. Pierwszy etap mamy już za sobą, drugi przed nami, a o wszystkim zadecyduje kryterium uliczne...

◆

— Jak po angielsku brzmi *pieriestrojka?*
— Science fiction.

◆

— Co jest powodem ciągłych kryzysów w Polsce? — zapytano komputera.
— Atak na Smolny w 1917 — padła odpowiedź.

◆

Papież modli się gorąco i pyta Pana Boga:
— Powiedz mi Boże kiedy nareszcie w Polsce zapanuje sprawiedliwość, kiedy naród polski będzie wolny, kiedy na świecie będzie lepiej, kiedy trzeci świat nie będzie głodny?...
Pan Bóg schylił głowę i powiedział:
— Nie za Twojej kadencji, mój synu.
— A powiedz mi, Panie Boże, czy w Watykanie będzie jeszcze kiedyś polski papież?
— Nie za mojej kadencji — padła odpowiedź.

HUMOR SOWIECKI

Towarzysz Lenin powiedział: „W socjalizmie wszyscy będą mieli wszystkiego dosyć". I słowa dotrzymał...

◆

W Moskwie facet wchodzi do sklepu, prosi o piwo i kładzie 50 kopiejek.
— Daj rubla — mówi sprzedawca.
— Dlaczego?
— 50 kopiejek na *pieriestrojkę!*
Następnym razem prosząc o piwo facet daje rubla, ale sprzedawca wraca mu 50 kopiejek.
— Co to, czy już nie ma *pieriestrojki?*
— *Pieriestrojka* jest, ale piwa nie ma.

Zebrała Zofia HERTZ

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 431 — J. M. BOCHEŃSKI

STO ZABOBONÓW

Krótki filozoficzny słownik zabobonów

Z przedmowy: „Słownik ten zostanie z pewnością przyjęty z oburzeniem, ponieważ nazywam 'zabobonami' wiele rzeczy, uchodzących powszechnie za szlachetne, czcigodne, ba, święte". Kilka przykładów takich haseł: altruizm, Oświecenie, filozofia chrześcijańska, postęp, idealizm, młodość, marksizm, pacyfizm, prawda (moja), światopogląd (naukowy).

Str. 120. Cena F. 55,00.

◆

TOM 432 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985-1987

Tom IV — zakończenie cyklu

Str. 192. Cena F. 80,00.

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

Wiesław Brodowski, Spartanburg, SC (USA) — zamiast kwiatów na grób mego ukochanego, 15-letniego naówczas brata Grzegorza, zabitego w grudniu 1970 — na pomoc dla oświaty niezależnej w Kraju — $ 50,00 ..... F. 270,00
Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00 F. 33,00
E.M., Paryż — na prześladowanych w PRL ..... F. 200,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Oxley (Australia) ..... F. 367,80
Jacek Kala, Berlin Wschodni ..... F. 197,96
Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — $ c. 30,00 F. 132,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"

Grupa Przyjaciół „Solidarności" w Kitchener, ON (Kanada) — dochód z zabawy 17 października 1987 roku (nadesłali: Teresa Gromek — skarbnik i Tadeusz Durlak — przewodniczący — $ c. 500,00 ..... F.2.220,00
Iwo Zmorski, Zurych — na „Solidarność Walczącą" ..... F. 150,00

◆

Edward Gil, Toronto, ON (Kanada):
— na „Solidarność Walczącą" — $ c. 25,00 ..... F. 111,00
— dla Jacka Fedorowicza za parodię wywiadu z Wojciechem Żukrowskim (Video-Kontakt) — $ c. 25,00 ..... F. 111,00

◆

Stefan Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA):
— na Fundusz „Kultury", po raz 12-ty — $ 40,00 ..... F. 216,00
— na NSZZ „Solidarność" — $ 30,00 ..... F. 162,00
— na Pomoc dla walczących w Kraju „Żeby Polska była Polską" — $ 30,00 ..... F. 162,00

◆

POMOST, Chicago, IL (USA) — dla pisma NZS-u „Nurt" (nadesłała skarbnik Janina Budzińska — $ 75,00 + $ 25,00 = $ 100,00 ..... F. 533,00

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLIN-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1er trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8731.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1988		
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA : Ksiegarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 10,00	$A. 60,00	$A. 110,00
AUSTRIA : Ksiegarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel. : 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA : prosimy o przysylanie naleznosci za prenumerate do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA : prosimy o przesylanie czekow do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Ksiegarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. Donald M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C.; **Z. Micherdzinski,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Lopuszanski,** 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »),** 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8	$ can. 10,00	$ can. 50,00	$ can. 98,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA : prosimy o wplaty poczta do « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kosciuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wojcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Ksiegarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Ksiegarnia « Nowego Dziennika »,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$ US 7,50	$ US 40,00	$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WLOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 433 — CZESŁAW MIŁOSZ

KRONIKI

Nowy tom poezji

Str. 80. ◆ Cena F. 45,00.

TOM 434 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

zawiera opracowania: A.P.: *25 lat „Zeszytów Historycznych"*; Stanisław Sosabowski: *Józef Rybicki;* Józef Rybicki: *Rok 1945;* Jerzy Łojek: *Historia nie jest obrazem czarno-białym;* Tadeusz Wyrwa: *Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich);* Z. S. Siemaszko: *Jeńcy wojenni (ZSSR 1939-1941);* Marek Kazimierz Kamiński: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj - czerwiec 1945 roku)* (dok.); *Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza;* Bohdan Tadeusz Urbanowicz: *Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich;* Dr Stefan Mozołowski: *Przed zgonem Marszałka Józefa Piłsudskiego;* Józef Garliński: *Sprawa Józefa Hammera* oraz działy RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. ◆ Cena F. 70,00.

TOM 435 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

UMSCHLAGPLATZ

Jest to książka wielowątkowa, łącząca różne gatunki pisarskie, próbująca opisać stosunki polsko-żydowskie: to, co się wydarzyło i co się nadal wydarza między Polakami i Żydami.

Opisując wywózkę Żydów w sierpniu i wrześniu 1942 roku z warszawskiego Umschlagplatzu do Treblinki, Rymkiewicz chce dać świadectwo nie tylko tego co się stało, ale także opisać co o zagładzie Żydów myśleli wówczas i myślą dzisiaj Polacy.

Str. 224. ◆ Cena F. 95,00.

TOM 436 — JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

Opowiadania: Jakoś pusto. — Płonie teatr narodowy. — Jeszcze Polska? — Zwycięs... — Trzej królowie. — Łańcuch czystych serc. — Poczucie. — Świat światów.

Str. 80. Cena F. 50,00.

(Ukaże się w końcu stycznia 1988)

RICHARD S.A. - Paris - 46.06.88.26

Cena 70 F